

RW2010

MAŁGORZATA BINKOWSKA
KATARZYNA RUPIEWICZ
SZYMON GONERA
KATARZYNA KUBACKA
MICHAŁ CHOLEWA
HELENA STROKOWSKA
MARCIN PAWEŁCZYK
ANDRZEJ TRYBUŁA
IWONA SURMIK
ANNA GŁOMB
ANNA KAŃTOCH



ŚWIATY RÓWNOLEGŁE

ŚWIATY RÓWNOLEGŁE

antologia opowiadań fantastycznych

Oficyna wydawnicza RW2010

Poznań 2015

Spis treści:

Michał Cholewa ECHO

Katarzyna Rupiewicz AQUARTA

Szymon Gonera JUGS

Anna Głomb Z POPIOŁÓW

Małgorzata Binkowska KOPALNIA WODY

Marcin Pawełczyk MEFERT

Andrzej Trybuła LUDZKI DEMON

Iwona Surmik ZARAZA

Katarzyna Kubacka HOTEL ALABAMA

Helena Strokowska JAKO ANIOŁOWIE

Anna Kańtoch SZTUKA POROZUMIENIA

Michał Cholewa

– rocznik 1980, zamieszkały w Gliwicach. Z wykształcenia matematyk, z zamiłowania także. Członek Śląskiego Klubu Fantastyki, miłośnik George'a R. R. Martina, Stanisława Lema i Rogera Zelazny'ego. Opublikował opowiadania Ognisko 11 w antologii Epidemie i zarazy oraz Studnia w internetowym magazynie Esensja. Wiosną 2012 roku nakładem wydawnictwa Ender ukazała się jego pierwsza powieść Gambit, rok później jej kontynuacja Punkt cięcia, a w 2014 trzecia część cyklu pod tytułem Forta.

ECHO

Rick Dunham nie był pewien, czy szli trzy, czy cztery doby. Krótkie dni grudniowej Karelii niewiele różniły się od nocy, a zmęczenie i zimno odbierały zmysły, wypełniając wszystko srebrzystoszarą pustką otępienia. Od dłuższego czasu organizm litościwie oszczędzał mu kolejnych sygnałów alarmowych, a zajmował się już tylko poruszaniem stopami.

Szur, szur, szur.

Nie tyle kroki, co przesunięcia stóp po ciemnych płytach szosy.

Rick od dawna (doby? tygodnia? stulecia?) nie rejestrował niczego poza tymi szurnięciami. Nie czuł bólu w płucach, potęgującego się z każdym haustem mroźnego powietrza, z łatwością pokonującego materiał narciarskiego swetra. Zniknęło szarpanie rany na przedramieniu. Właściwie ledwo pamiętał, skąd ją ma.

– Tato... – Rick zmarszczył brwi.

Głos docierał do niego stopniowo, jakby w kilku falach. Dobre kilka sekund zajęło mu umiejscowienie go w pamięci.

Siobhan. Dziewięciolatka, którą niósł na plecach. Córka. Kolejne fragmenty układanki wskakiwały na swoje miejsca. Pożar Kuopio. Decyzja o oddzieleniu się od pozostałych. Łuna za plecami, kiedy maszerowali na wschód. Czteropasmowa opustoszała droga do Joensuu.

Wygaszone systemy prowadzenia pojazdów. Samochody zamarte na środku drogi lub porzucone w zaspach. I cisza, jakby byli jedynymi osobami na świecie.

– Słucham, malutka? – Sam miał problem z rozpoznaniem własnego głosu.

Otępienie mijało, szybko wypierane przez strach. Siobhan nie była przyzwyczajona do surowego klimatu Finlandii i pomimo że oddał jej swoje okrycie, znosiła marsz bardzo źle. Po raz tysięczny pożałował, że nie poszedł z innymi na południe, do Helsinek. Jak on w ogóle mógł ryzykować życie dziecka? Maggie przecież była dorosła, dałaby sobie radę...

– Zimno mi... Kiedy dojdziemy? – Siobhan mówiła cicho, niemal szeptem.

Od jakiegoś czasu przestała kaszleć czy nawet dygotać i Rick był niemal pewien, że nie miało to nic wspólnego z tym, że opatulił ją w dwie kurtki i nafaszerował podwójną dawką leków. Organizm dziecka zwyczajnie się poddawał.

– Już się zbliżamy. Niedawno widziałem tablicę. Trzy kilometry. Trzy kilometry to jak... minuta samochodem. I już będziemy w Joensuu, u mamy – z wysiłkiem opuścił dziewczynkę na ziemię i kucnął przy niej. Mięśnie nóg natychmiast zaprotestowały. – Myślisz, że damy radę

przejść ten kawałek?

– Nie wiem. Jestem zmęczona – dziewięciolatka, zawinięta niczym w kokon w białoczną, sięgającą jej niemal do kostek narciarską kurtkę Ricka, ledwo trzymała się na nogach. Patrzyła na niego otępiąłym spojrzeniem zielonych oczu, zwykle wesołych i błyszczących, teraz jakoś... wyblakłych, jakby usiłowała cała wtopić się w krajobraz. Wystające spod czapki kosmyki włosów, zwykle płomienście rude, teraz wydawały się prawie szare. – Dlaczego mama nie dzwoni?

– Może próbuje, ale przecież nic nie działa – miał nadzieję, że zabrzmiał beztrąsko. Sięgnął do kieszeni, by wydobyć czarny prostopadłociąg komunikatora. Ostentacyjnie nacisnął kilka przycisków. – Widzisz? Popsuty.

– Aha.

– Ale mama na pewno czeka i się martwi, dlatego musimy iść szybko. Dasz radę? – skorzystał z okazji, żeby pozacierać zgrabiałe ręce.

– Chcę spać – dziecko zadrobiło stopami ledwie widocznymi spod za długiej kurtki. – Zróbmy przerwę.

Dunham sięgnął do kieszeni po opakowanie Thermana. Potrząsnął nim, ale nie pomogło – kapsułki magicznie nie pojawiły się w pustym pudełku. Ostatnią dawkę zużył, kiedy zaczęli iść po odpoczynku, chyba kilka godzin temu.

– To już blisko. – Wyrzucił opakowanie w śnieg. – Nie ma sensu spać tutaj. Zrobimy tak: pójdziemy dalej, a żebyś się nie nudziła, będziemy sobie śpiewać zimową piosenkę.

– Na dużo zwrotek? – Przez drobną twarzyczkę Siobhan przemknął cień uśmiechu.

– Na dużo. Aż dotrzemy. – Rick poklepał córkę po ramieniu. – A teraz wskakuj na plecy, pingwinku.

– Nie jestem pingwinkiem. – Dziewczynka zachichotała odrobinę żywiej.

– W mojej kurtce wyglądasz jak pingwinek. Białoczną z krótkimi nóżkami. – Rick podniósł córkę i umieścił sobie na barkach. Płuca bolały go przy każdym oddechu, ale póki rozmawiali, mała nie zaśnie. – Rudy pingwinek.

– Nie jestem pingwinkiem! – Siobhan pacnęła go rękawem w czoło.

– A umiesz śpiewać?

– Pewnie, że umiem!

Bo idziemy do Joensuu

By zobaczyć mamę,

Choć śnieg wszędzie dookoła

Zimie się nie damy!

Śpiew nie był głośny, ale rozbijał ciszę, tworząc enklawę ciepła na opustoszałej drodze. Co jakiś czas Rick podskakiwał, wrywając z podróżującej mu na ramionach córki wesołe chichoty. Płuca bolały go potwornie, ale robił, co mógł.

Starał się nie myśleć o Maggie, o tym, co zrobią, kiedy w Joensuu nie znajdą pomocy, kiedy trzeba będzie znowu nocować – tym razem bez leków.

Czy spotkamy podróżników

Przez północne drogi?

Niedźwiadka lub renifera

Albo trolle srogie!

Jeśli nie znajdą jedzenia. Jeśli mała się rozchoruje jeszcze bardziej albo on przekroczy granicę, za którą nie będzie mógł już jej chronić. Próbował, ale nie dawał rady.

Siobhan śpiewała coraz mocniejszym, choć niemiło zachrypniętym głosem.

Mężczyzna płakał.

* * *

Miasto wyrastało jakby wprost z lasu. Wysokie drzewa o gałęziach pokrytych grubą warstwą śniegu podchodziły na kilkanaście metrów do pierwszych zabudowań. Piosenka zamarła w pół słowa, mężczyzna i podróżujące mu na ramionach dziecko zatrzymali się, chłonąc nowy widok.

Niskie budynki mieszkalne pomalowano w pastelowe kolory, przez co sprawiały wrażenie jakby wypłowiałych. Tylko ozdoby świąteczne odcinały się od bladych ścian, przyciągając wzrok plamami jaskrawej czerwieni i złota zawieszonymi w zimowej bieli. Przy wąskich ulicach przycupnęły nieczynne sygnalizatory i równo rozstawione ostrzegawcze słupki. Kiedy byli jeszcze w Kuopio, tysiąc lat temu, Rick zapytał jednego z mieszkańców, po co ktokolwiek je stawia. „To proste” – odparł tamten. – „Jak napada, widać, gdzie zaczyna się droga”. Wtedy sądził, że to żart. Teraz nie był taki pewny.

Biały puch na nieodsnieżanych chodnikach skrzypiał przy każdym kroku, ale był to jedyny dźwięk, jaki rozcinał nienaturalną jak na miasto ciszę. Zupełnie inną niż ta, która towarzyszyła im od wyruszenia w drogę. Brak dźwięku w lesie jest czymś, co Rick mógł zrozumieć. Cisza w mieście... to zupełnie inna sprawa. Żadnego wiatru, odległego szumu, nic. Siobhan nieśmiało zanuciła kolejną strofkę piosenki, ale jej głos zdawał się gasnąć, jakby wsiąkał w śnieg.

– Widzisz? – Mężczyzna złapał się na tym, że mówi nieco zbyt głośno. Skrzywił się na kolejną eksplozję bólu w płucach. – Jesteśmy na miejscu. Teraz poszukamy mamy.

– Ciii... – syknęło dziecko przy samym uchu Ricka.

– Dlaczego? – Obrócił się zaskoczony, by spojrzeć w płonące gorączką zielone oczy córki. Siobhan rozejrzała się.

– Tu chyba nie wolno hałasować. – Dziewczynka prawie szeptała, ledwo poruszając spierzchniętymi wargami.

Rick ukrył uśmiech i pokiwał głową z udawaną powagą.

– Dobrze. Będziemy szli cichutko.

Krok za krokiem zagłębiali się w miasto, w sieć równych, zadbanych, choć białych teraz ulic. Joensuu nie wyglądało, jakby przeszła przez nie apokalipsa. Sprawiało raczej wrażenie zostawionego na moment, jakby nagle wszyscy mieszkańcy postanowili odwiedzić krewnych w innych częściach świata. Te nieliczne pojazdy, które porzucono na drodze, były pieczołowicie przykryte pokrowcami, na nienaruszonych witrynach sklepowych stały towary. Idąc w stronę centrum, widzieli węzeł kolejowy z pociągiem linii FinnRail, zamartwym w trakcie wjeżdżania na stację.

– Wszyscy chyba sobie poszli – wyszeptała Siobhan.

– Pewnie pojechali do Helsinek... – Odruchowo spojrział na południe.

Różowawa łuna zasnuwała tam niemal połowę nieba. Cokolwiek się stało, musiało bardziej dotknąć gęściej zaludnione rejony państwa. Z drugiej strony tam byli ludzie... tam pewnie była Maggie. Może jednak należało iść ze wszystkimi... Mężczyzna niezdecydowanie

spojrzał wzdłuż pustej ulicy.

Wtedy właśnie zaczęło padać. Grube białe płatki w ciszy opadały na Joensuu, sprawiając, że wyglądało jak na świątecznym obrazku. W oczach pokrywały ulice, samochody, peron i obły dach pociągu FinnRail, natychmiast przylegały do ubrań i odkrytych twarzy. Hipnotycznie krążyły w mroźnym powietrzu, skupiając zmęczony wzrok. Jak taniec wróżek.

Siobhan kaszlnęła kilka razy, nieprzyjemnie i ciężko. Rick natychmiast otrząsnął się z odrętwienia. Sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej plastikowy prostokąt – część folderu resortu sportowego. *Witaj w Karelii*, głosił krzykliwy napis, *europejskim centrum narciarstwa biegowego*. Na jednej stronie widniały kolorowe holo uśmiechniętych narciarzy i skydiverów, na drugiej połyskiwała bezużyteczna końcówka łącza danych. Cóż, dobrze, że wysilono się też na wydruk mapki... Chwilę wodził wzrokiem wzdłuż czarnych kresek ulic, aż znalazł to, czego szukał.

– Chodźmy, pingwinku. Pójdziemy najpierw po nowe leki dla ciebie i... – Przerwał. Ból w płucach uderzył nagle, wyrwał oddech i sprawił, że Rickowi zakręciło się w głowie. Przełknął kilka razy ślinę, starając się zwalczyć coraz silniejsze drżenie nóg. – I dla twojego starego ojca. Jak myślisz, dasz radę pójść?

– A to daleko? – Siobhan poruszyła mu się na ramionach i osłabiony mężczyzna z trudem utrzymał równowagę.

– Bliziotko. – Skupił spojrzenie na mapie. – Nie więcej niż piętnaście minut.

– Dobrze – zdecydowało dziecko, pozwalając się zestawić na ziemię. – To pójdę.

– Świetnie. Chodźmy. – Dunham zdobył się na słaby uśmiech i ruszył w kierunku, o ile dobrze odczytał mapę, szpitala.

Siobhan dreptała obok, mocno ściskając jego rękę. Co jakiś czas kaszlała nieprzyjemnie i zaciskała mocniej drobną dłoń, jakby broniąc się przed upadkiem.

Umysł Ricka, mobilizując się do decydującego wysiłku, po kolei eliminował mniej ważne funkcje. W końcu w myślach pozostały tylko rytm kroków, nazwy ulic i ufny dziecięcy uścisk.

Szpital Główny Północnej Karelii był nowoczesnym kompleksem kilku budynków otoczonych wspólnym ogrodzeniem. Frontową ścianę najbliższego ulicy budynku zdobił jasnozielony krzyż, a na kilku lądowiskach stały biało-czerwone strumieniowce transportowe. Spory parking był niemal pusty, ledwie parę pojazdów. Dwie karetki przy izbie przyjęć. Całość zaskakiwała rozmiarem – Joensuu było niewielkim miastem i Rick spodziewał się małego, prowincjonalnego centrum medycznego.

– To tutaj? – wychrypiała Siobhan, po czym odkaszlnęła kilka razy. – To tutaj? – powtórzyła, tym razem czystszy tonem.

– Tak. Chodź do środka. – Przez chwilę walczył o nadanie głosowi jakiegokolwiek intonacji. Zrezygnował w pół zdania. – Tam wszystko jest. Odpoczniemy.

Razem przeszli obok pustej budki strażniczej i ruszyli w stronę podjazdu dla karetek. Rick nie wiedział co prawda, dokąd iść, ale sądził, że leki na wyziębienie powinny być gdzieś w izbie przyjęć.

Rozsuwane przezroczyste drzwi były na wpół otwarte, ale jakimś cudem śnieg nie napadał do wnętrza budynku. W środku pewnie będzie chłodno, jednak musiał tam istnieć jakiś system grzewczy, coś, co dałby radę uruchomić...

– *Pysähtyä*. – Głos nadpłynął z boku, zza właśnie miniętego ambulansu.

Rozciął ciszę tak nagle, że Rick niemal podskoczył. Obrócił się, trochę za szybko, bo prawie stracił równowagę. Siobhan nagle pociągnięta za plecy ojca, w za dużej kurtce,

potknęła się o własne nogi i upadła jak długa na ośnieżony beton parkingu.

Karabin. Mężczyzna naprzeciw niego trzymał karabin. Miał też białą kurtkę, nasunięte na czapkę gogle i ciężkie buty, ale liczył się tylko karabin.

– Nie rozumiem po fińsku... – Rick wyciągnął przed siebie uniesione ręce. Zrobił lekki krok w bok, usiłując stanąć między nieznanym a z trudem podnoszącą się córką. – Proszę... Potrzebujemy tylko leków...

Oczy obcego zwięzły się na moment, po czym ruszył na Ricka. Szybko i pewnie, jakby wiedział, że mężczyzna nie będzie w stanie się bronić. A więc tak to się skończy.

Rick postąpił krok w kierunku napastnika, ale nie było go stać już na nic więcej. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa, a mózg zwyczajnie zrobił sobie przerwę, jakby zdecydował się umyć ręce od całej sytuacji. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszał Rick Dunham, zanim ogarnęła go ciemność, był przerażony pisk Siobhan.

* * *

Eleanor Rave zabębniła palcami w pulpity dowódczy i osłoniła dłonią ziewnięcie.

– Radar, raport?

– Nadal nic, dowódco. Albo się przyczaiły, albo odleciały.

– Dziękuję. – Komandor pokiwała powoli głową.

Wiadomość zdawała się dobra, więc czemu czuła jedynie niepewność?

Być może stanowiło to prostą funkcję zmęczenia. Zbyt długo już Pustułka trwała uwięziona na orbicie Księżyca. Ze wszystkimi systemami na najniższym możliwym poborze mocy. W ciągłym stanie podwyższonej gotowości bojowej. Cały czas w ukryciu.

Rave nie miała pojęcia, co robiły trzy okręty Imperium Chińskiego na orbicie Ziemi, jednak nie zamierzała ryzykować walki. Pustułka i tak ponad połowę przestrzeni przeznaczoną na uzbrojenie miała wypchaną sprzętem badawczym.

– Łączność? – zwróciła się do Vittario, przygarbionej nad swoim stanowiskiem. – Cokolwiek od grupy naziemnej?

– Status zielony na sondzie jeden i dwa, ale żadnych sygnałów – odparła młoda porucznik. – Sensory aktywne wyciszone, zgodnie z rozkazem.

– Rozumiem. – Rave złożyła dłonie w piramidkę. – Kontynuować nasłuch.

Bezsensowne zadanie, które już od początku nie szło dobrze. Pustułka została wysłana na Ziemię, aby odzyskać kilkanaście dokumentów z Kwatery Głównej Wojsk UE w Berlinie. Strategicznie ważnych, jak mówiono na odprawie. Rave uśmiechnęła się do siebie z przekąsem na samo wspomnienie. Wraz z pierwszym uderzeniem strategicznym wszystko stało się cokolwiek przeterminowane, a nawet gdyby jakimś cudem dokumenty miały jeszcze wartość, nie miały prawa przetrwać. Robota głupiego. Ale nie ona była od mówienia tego w Dowództwie.

Niszczyciel dowodzony przez Rave pojawił się w systemie Sol dwa dni temu. Oddział desantowy wysłali do Berlina już z orbity okołoziemskiej. Oczywiście jej ludzie nic nie znaleźli. Jakby można było liczyć na cokolwiek innego... Moersby zaczął właśnie zabierać się do powrotu na Pustułkę, kiedy jakby znikąd pojawiła się chińska eskadra, pewnie z podobnie głupim zadaniem ze strony Imperialnej Marynarki Wojennej. Gdyby Rave nie była taka wściekła, współczułaby Chińczykom, którzy pewnie myśleli o imperialnych dowódcach mniej więcej to samo, co ona o swoich. Tymczasem jednak Pustułka musiała się przyczaić, a grupa

naziemna – czekać.

Początkowo Rave miała nadzieję, że nie potrwa to zbyt długo: sześć, może dwanaście godzin. Powinna była wiedzieć lepiej. Trzydzieści sześć godzin – tyle czasu już musieli pozostawać w ukryciu, całkowicie niemal wyciszeni, rozładowując kondensatory termiczne tylko wtedy, kiedy mieli pewność, że nikt nie zauważy nagłych emisji ciepła. Załoga robiła się zmęczona, traciła szybkość reakcji, precyzję działania. Tak długi alarm bojowy nikomu dobrze nie robił. Nie to jednak było najgorsze.

Niedawno stracili kontakt z grupą naziemną. Ludzie Moersby’ego nie zgłosili się w codziennym meldunku. Nic wcześniej nie zapowiadało problemów, poprzedni raport nie informował o żadnych trudnościach. Sekcja taktyczna próbowała wyciągnąć coś z dalekozasięgowych zdjęć, które dało się zrobić z orbity Księżyca, ale jak dotąd nie mieli żadnych sensownych pomysłów.

Rave westchnęła. Wszystko byłoby prostsze, gdyby nie Chińczycy. Można by po prostu wysłać grupę ratunkową, sondę, cokolwiek.

Tymczasem jednak Pustulka musiała się ukrywać, a jej załodze pozostawało skanować wszystkie częstotliwości radiowe i czekać.

* * *

Obudziła go nucona przez kogoś melodia. Była dziwna, pełna gwałtownych zwrotów i zawodzeń, nagłych skoków i zmian tonu, zupełnie jakby nucący usiłował naśladować tuzin instrumentów naraz. Przywodziła na myśl stare drewniane wioski, których hologramy widział w muzeach. Tańczyła wzdłuż linii wyobraźni, malując pejzaże pełne lasów, śniegu i zamrzniętych strumieni.

Rick otworzył oczy. Rozmyty obraz pomieszczenia zyskiwał ostrość. Najpierw zobaczył świecę. Dawno nie widział, żeby ktokolwiek używał świec, i przez chwilę łapał się na tym, że wpatruje się w jasny płomyk ognia nad syntwoskowym walcem. Dopiero po kilkunastu uderzeniach serca przełamał jej czar i rozejrzał się. Szczegóły pojawiały się powoli. Był w pokoju przypominającym szpitalną salę. Wygodne, przestronne wnętrze z centralnie położonym łóżkiem, kilkoma nieczynnymi teraz med–monitorami i zestawem dozowników. Ciemno ubrany pielęgniarz siedział na krzeselku przy drzwiach, nucąc pod nosem. No tak, przecież szli do szpitala. Może wszystko okazało się po prostu chorobą, złudzeniem wymęczonego organizmu...

Pielęgniarz przerwał nucenie i spojrzał na Ricka, który dopiero teraz zauważył, że mężczyzna ma wojskową kurtkę. I karabin, w tej chwili oparty o ścianę. Rick poderwał się, ale mięśnie po raz kolejny odmówiły mu posłuszeństwa.

– Spokojnie. – Obcy podniósł się, wyciągając otwarte dłonie. – Nic tu panu nie grozi.

Irlandczyk skupił się na nieznanym. Mógł mieć koło sześćdziesiątki, o ile nie korzystał z chirurgii korekcyjnej. Sieć zmarszczek pokrywała mu twarz, a zarówno w ciemnych włosach, jak i w krótkiej brodzie wyraźnie odcinały się liczne siwe pasma. Mówił powoli z twardym północnym akcentem, pomiędzy każdymi dwoma słowami robił krótką przerwę. Wojskowa kurtka, teraz ciemnozielona, maskowała sylwetkę. Nie wyglądał niebezpiecznie. Gdyby nie broń, oczywiście.

– Gdzie moja córka? – Rick starał się nadać głosowi stanowczy ton, ale to, co udało mu się osiągnąć, było bardziej zbliżone do charkotu.

– W pokoju obok. Nie jest w dobrym stanie. Pan też nie. – Obcy potarł dłonią zarośnięty

policzek. – Zapalenie płuc, pocałunek zimy. Nic dobrego.

– Chcę ją zobaczyć.

– Rozumiem. – Tamten natychmiast skinął głową. – Ale lepiej, jeśli ona będzie leżeć.

Pójdzie pan ze mną?

Rick podniósł się z łóżka. Nogi niemal natychmiast ugięły się pod nim i upadłby, ale nieznajomy mężczyzna był na miejscu. Silny chwyt pomógł Irlandczykowi utrzymać równowagę.

– Ostrożnie. Jest pan bardzo słaby. I proszę założyć coś na wierzch.

– Wszystko w porządku. – Dunham przez chwilę usiłował opanować zawroty głowy, wreszcie dał za wygraną i wsparł się na obcym. Dał też sobie narzucić na plecy wojskową kurtkę. – Wszystko w porządku.

Próbował iść sam, ale był zbyt słaby. Nawet wsparty na ramieniu starszego mężczyzny, z dużym trudem zdołał wyjść na korytarz.

Mroźne powietrze natychmiast wtargnęło do zmęczonych płuc, powodując tępy ból – dopiero teraz Rick zorientował się, że pokój musiał być jakoś dogrzewany. Korytarz był pusty, żadna pielęgniarka nie przemykała pomiędzy salami, nie słyszał żadnego z tysiąca dźwięków, jakie powinny wypełniać szpital. Przez duże okna widział padający na zewnątrz śnieg, nieco rozjaśniający ciemność długiej skandynawskiej nocy. Przez jedno z przezroczystych drzwi przebijała jasna poświata, zapewne świecy. Na przeciwległej ścianie delikatnie drgało olbrzymie 47, cień podświetlonego numeru pokoju.

Przykryta kilkoma kocami, ułożona na szpitalnym łóżku Siobhan wyglądała jak miniaturowa kopia samej siebie. Rysy drobnej twarzy były wyostrome przez przeżycia ostatnich dni oraz migotliwe oświetlenie, a mocny zwykle połysk rudych włosów zdawał się blaknąć i wsiąkać w jasną pościel. Piers dziewczynki unosiła się spokojnie, a pod przymkniętymi powiekami mógł dostrzec szybkie ruchy oczu. Siobhan śniła.

Rick głośno odetchnął i ruszył w stronę pośłania tak szybko, że towarzyszący mu mężczyzna nie zdążył zareagować. Dunhamowi siły starczyło na dwa kroki i przed upadkiem powstrzymał go silny chwyt pod ramiona. Dopiero teraz zauważył, że w pomieszczeniu była jeszcze jedna osoba. Wojskowa maskująca kurtka drugiego z nieznajomych zlewała się ze ścianami, zresztą Rick i tak zwracał uwagę tylko na córkę.

– Proszę uważać. – Twardy akcent łamał słowa niczym lodowe ostrza. – Z pocałunkiem zimy nie ma żartów.

– Co z nią? – Irlandczyk bardzo chciał, żeby zabrzmiało to stanowczo, niestety z jego gardła wydobyło się tylko charkotliwe rzężenie.

Najwyraźniej jednak obaj obcy zrozumieli.

– Chora. Wyczerpana. Zima zabija nieprzygotowanych. – Tym razem usłyszał głos niemal przy samym uchu. Stanowczymi ruchami nieznajomy posadził go na szpitalnym łóżku. Drugi mężczyzna był o wiele młodszy od towarzysza. Miał jasną krótką brodę i obserwował go czujnym spojrzeniem bladoniebieskich oczu. – Niedobrze budzić. Sen pomaga.

Rick pokiwał tylko głową. Siobhan żyła. Żyła i była w szpitalu. Teraz wszystko będzie dobrze. Wyciągnął dłoń i dotknął delikatnie rudej grzywki.

– Udało nam się, pingwinku – wyszeptał, czując na policzkach łzy radości. – Udało się...

W tym momencie niewiele brakowało mu do pełni szczęścia. Nie zwracał uwagi na brak elektrycznego światła ani na dziwną ciszę szpitala. Nie dostrzegał zatroskanych spojrzeń obu nieznajomych.

Starszy mężczyzna, który przedstawił się jako Passi, podszedł do okna i wyjrzał na zaśnieżony parking. Pomarszczone palce wybijały nierówny rytm na zielonym parapecie, a bladoniebieskie oczy wpatrywały się w zimową noc. Heino, jego młodszy towarzysz, siedział wraz z Rickiem przy szerokim stole w pomieszczeniu lekarzy, obejmując oburącz kubek parującej kawy.

Obaj Finowie mieli – rozpięte teraz – pokryte aktywnym kamuflażem wojskowe kurtki. Całe fragmenty ich ciał, ukryte pod materiałem, rozmywały się w półmroku oświetlanego chemiczną lampą pomieszczenia. Wydawali się niemal duchami, tylko częściowo obecnymi w tej rzeczywistości. Na lewym ramieniu Heino odcinała się okrągła naszywka, na której widniał ideogram satelity. Karabiny stały oparte o ścianę, ale był jakiś nieokreślony element w postawach (głosach? spojrzeniach?) obu mężczyzn. Element, który sugerował, że bez broni są równie groźni, co z nią.

– Przykro mi. Naprawdę. – Passi nie odrywał wzroku od wirujących za oknem płatków śniegu. – Że nie spotkał pan żony.

– Przyznaję, że jestem trochę... – Rick przerwał w pół zdania, aby odkaszląć. Płuca znowu zapiekły żywym ogniem. – Zagubiony.

– Wszyscy jesteśmy zagubieni. Zwłaszcza teraz.

– Panowie są wojskowymi?

Fin spuścił na chwilę wzrok. Irlandczyk mógłby przysiąc, że młodszy Heino znieruchomiał na to pytanie.

– Tak. – Passi nadal patrzył przez okno.

Heino pokręcił zrezygnowany głową i opadł z powrotem na siedzenie.

– Może więc wiecie, panowie, co się dzieje? Dlaczego Kuopio zgasło, dlaczego Joensuu zostało opuszczone? Dlaczego cały kraj jest... pusty?

– Nie cały. Sądzę, że drogi na południe są pełne ludzi. – Po raz pierwszy Passi spojrzał prosto na Ricka. Niezbyt jasne światło chemiczne pogłębiło zmarszczki Fina i twarz mężczyzny wyglądała jak wyrzeźbiona w korze drzewa. – Południe to kierunek ewakuacji. Na południu łatwiej.

– Co łatwiej na południu? – Dunham spojrzał na Heino, ale ten uciekł wzrokiem.

– O ewakuację. – Twardy, ostry akcent starszego Fina sprawiał, że jego słowa brzmiały niczym zupełnie obcy język. – A jeśli braknie miejsc... I przeżyć łatwiej.

Rick bez słowa wpatrywał się w rozmówcę. Umysł walczył na najwyższych obrotach, starając się znaleźć interpretację słów Passiego, która prowadziłyby do jakichś łagodnych wniosków. Fin jednak nie zamierzał dać mu szansy. Odetchnął ciężko i kontynuował:

– Trzy dni temu wirus zaatakował SI sieci obronnej Unii... Placówek rządowych... Stacji kosmicznych – mówił powoli, jakby w myślach obracał każde słowo przed wypowiedzeniem. – W sześć sekund zniknęła łączność. Cała łączność. Po pięciu minutach zniszczono Zorzę.

– Zorzę...?

– Główną bazę Linii Północnej. Widzieliśmy łunę. Potem widzieliśmy podobną też na południu.

– Panie kapitanie. – Młodszy Fin spojrzał znacząco na Passiego i nerwowo przygryzł wargi, potem szybko powiedział kilka zdań po fińsku.

Starszy mężczyzna tylko uśmiechnął się smutno i odpowiedział jednym słowem. Heino westchnął ciężko, lecz zamilkł.

– Nie wiemy, kto to. Ale na pewno sprawny myśliwy. W jednej chwili... – Passi uderzył

nagle kantem jednej dłoni o drugą, jakby coś rozciął – było prawie po wszystkim.

– Prawie? – Rick złapał się na tym, że bezwiednie zaciska pięści. – To znaczy, że była wojna? Że potem nas najechano? Że... – Atak kaszlu nadszedł nagle, długi, charkotliwy, rozrywający płuca na tysiące małych płonących kawałków.

Młodszy Fin podskoczył natychmiast, aby podtrzymać zgiętego wpół Dunhama.

– Nie wiem. – Passi przetarł palcami powieki. – Jeśli tak, nie będzie mu łatwo. Tu, na wschodzie, na granicy Unii... Trzymaliśmy Yö. I uwolniliśmy je.

Odzyskujący równowagę po ataku kaszlu Rick spojrział niepewnie na rozmówcę i zmarszczył brwi na obce słowo.

– Co takiego?

Przytrzymujący go Heino westchnął, zrezygnowany.

– Yö. Noc. – Starszy Fin zwrócił się ku oknu. Przez chwilę nic nie mówił, utkwivszy wzrok gdzieś daleko w ciemnym krajobrazie ciemnego miasteczka. – Nanoboty EMP. Miliardy. Miały na celu zatrzymanie wrogiego sprzętu, zlikwidowanie SI, zniszczenie łączności... Jak widać, miecz był obosieczny.

– I wypuściliście coś takiego na ludzi? – W głowie Ricka wydarzenia z Kuopio zaczęły nagle układać się w sensowną całość. Ciemności, pożar, którego nikt nie gasił, zimno... – Co wy narobiliście?

Próbował podnieść głos, ale płuca zareagowały nieznośnym bólem, więc ograniczył się do pomruku.

– Nie my. Dowództwo. – Passi nie odwracał wzroku od okna. – Ale rozumiem tę decyzję. Wszystko wskazywało na inwazję.

– I teraz...

– Tak. – Mężczyzna pokiwał powoli głową, nagle drgnięcie płomienia świecy ożywiło wąwozy zmarszczek na jego twarzy. Za oknem płatki śniegu powoli opadały na ciemne Joensuu. – Nie na stałe. Yö mają się wyłączyć w ciągu sześciu miesięcy. Jak wszystko się wyjaśni.

– Ale co się stanie teraz?! – wybuchnął Rick. Ignorując ból w piersiach, podszedł do starszego z Finów i szarpnął go za ramię, zmuszając do spojrzenia na siebie. – Co się stanie ze mną, z moim dzieckiem, gdzie mam szukać żony? Czy wy w ogóle wiecie, co się dzieje? Gdzie jest wojsko, ktokolwiek? Jeśli mieliście taką broń, to czemu się w żaden sposób nie zabezpieczyliście?

– Powinien pan usiąść, panie Dunham. – Passi nie wydawał się ani trochę zdenerwowany, tylko znużony. – Mieliśmy zabezpieczenia. Nie wiem, czemu nie zadziałały. Yö musiały się dostosować. Zmienić... Nie wiem.

– I ciągle liczycie na te sześć miesięcy?

– Tak. Mogą zmienić program, ale nie chemiczny skład materiału, z jakiego są zrobione.

– Jesteście pewni? – Krzyknąłby, ale nagły atak kaszlu przerwał mu w pół słowa.

Fin milczał. Rick przymknął oczy. Krótki wysiłek niemal całkowicie wyczerpał jego siły.

– Co teraz? – powtórzył pytanie niemal szeptem.

Passi skinął na młodszego Fina, który podszedł i pomógł Rickowi usiąść na jednym z foteli.

– Mamy radio. Zabezpieczony przed nano model, ale coś wysiadło w odbiorniku. Trudno mi powiedzieć co. Ma wbudowany lokalizator, powinien działać. Zostawimy wam też karabin i trochę zapasów. Leki macie tutaj.

Irlandczyk spojrział z niedowierzaniem na Passiego i zamrugał kilka razy.

– Podczas gdy wy...?

– Udajemy się na południe, do punktu zbornego. – Fin przyczesał włosy palcami. – Musimy dowiedzieć się więcej. Pomóc.

– A co z nami, zostawicie nas tutaj?

– Nie pójdziecie, pocałunek zimy was zabije. – Passi lekko wzruszył ramionami. – Kiedy dołączymy do innych, przyślemy pomoc. Lekarza. Może transport. Informacje.

– Tutaj nic wam nie grozi, macie zapasy, leki, ciepłe ubrania... – włączył się Heino. Młodszy z Finów, kiedy już mówił, wydawał się swobodniej formułować zdania. – Bezpieczniej dla was zostać i poczekać. Wrócimy.

Rick Dunham powoli pokiwał głową i wbił wzrok w płomień świecy. Obaj żołnierze mieli rację. Nie wyobrażał sobie dalszego marszu przez zimę, zwłaszcza z dzieckiem. Tutaj było wszystko, czego potrzebowali do przetrwania. Tylko że to stawiało jego i Siobhan na krawędzi. Popęni jeden błąd i córka – chora dziewięcioletnia dziewczynka – zostanie sama, bez opieki, bez nikogo, do kogo mogłaby się chociaż odezwać.

Nie mógł przecież powiedzieć, że potwornie się boi samotności w tym białym, cichym, obcym świecie.

Finowie wyruszyli o świcie krótkiego północnego dnia, kiedy stalowe chmury stały nisko na niebie, a ich kolor zlewał się z szarawym horyzontem, widocznym ponad niskimi budynkami przedmieść. Rick obserwował ich odejście przez okno szpitala, stojąc obok niewielkiego stosu zapasów, które zostawili. Ledwo widoczne dzięki maskującym kurtkom sylwetki przeszły przez szpitalny parking, znacząc śnieg dwiema liniami śladów. Przez jakiś czas widać je było jeszcze na drodze, kiedy szły w stronę wiaduktu rozpiętego nad nieruchomym pociągami FinnRail. Jeden z Finów – Rick nie potrafił powiedzieć który – obrócił się i pomachał na pożegnanie. Irlandczyk odmachał, choć wiedział, że tamci nie mogą zobaczyć gestu przez jednostronnie przepuszczalne okna. Nie potrafił zmusić się do odejścia od parapetu jeszcze długo po tym, jak obaj żołnierze zniknęli w zimowym krajobrazie uśpionego miasta.

W końcu zmobilizował się do przejrzenia zapasów i notatek, które przygotował dla niego Passi. Bezdyskusyjnie najcenniejsza była niewielka, gęsto zapisana kartka, wypełniona nazwami leków i informacjami na temat dawkowania. Najwyraźniej starszy Fin o leczeniu zapalenia płuc wiedział naprawdę dużo, bo wyczerpujące wskazówki obejmowały nawet możliwe zamienniki i właściwą dietę. Kilka paczek lekarstw leżało na niewielkim stoliku przy łóżku nadal śpiącej Siobhan. Trzy wojskowe racje żywnościowe powinny pozwolić Rickowi działać, dopóki nie znajdzie czegoś w porzuconych domach. Kilka pałeczek chemicznego światła i dwie grube świece mogły okazać się bezcenne, jeśli problemy z elektroniką będą aż tak poważne; na wagę złota były też chemiczne grzejniki – żołnierze zostawili oba, które posiadali. Pospiesznie przejrzana instrukcja mówiła, że powinny zapewnić Rickowi i Siobhan dwie noce względnego ciepła.

Całości dopełniał załadowany karabin oraz masywna konsola radia. Pozbawiona interfejsu holograficznego i komputera komunikacyjnego wyglądała jak relikwida poprzedniej epoki – zapewne była to cena przynajmniej częściowej odporności na działanie broni EMP. Według słów Passiego z ogniwem nie powinno być żadnych problemów, nawet gdyby urządzenie było włączone cały czas. Fin nauczył Ricka obsługiwać nadajnik – podobno sprawny, choć Bóg jeden wiedział, jak żołnierz to sprawdził – i spisał kilkanaście ważnych częstotliwości, które

dało się wybrać staroświeckim potencjometrem.

Wszystko to pozwalało przetrwać najbliższy dzień, może dwa, ale nie więcej.

Wkrótce trzeba będzie opuścić budynek szpitala.

Obudził Siobhan kilka godzin później, zgodnie z wytycznymi z kartki Passiego. Teraz, w szpitalnym łóżku, uderzyła gorączka. Dziecko było całe rozpalone i Rick miał wrażenie, że ledwo go rozpoznaje.

– Hej, pingwinku, zgadnij, co będziemy robić? – mamrotał bardziej do siebie niż do dziewczynki, wsadzając kapsułkę leku w pneumatyczny dozownik. – Podamy ci lekarstwo. Pan doktor mówi, że od niego zaraz poczujesz się lepiej.

Zatrząsk urządzenia zaskoczył dopiero za trzecim razem. Mężczyzna podwinął rękaw dziecięcej bluzy.

– Zaraz wszystko będzie dobrze, wiesz? – Przyłożył końcówkę dozownika do drobnego ramienia i z najwyższym trudem stłumił atak kaszlu. – Ma nic nie boleć, ale jeśli poczujesz szczypanie, to bądź dzielna.

Czy aby na pewno wziął ten lek, który powinien? Cofnął dłoń i zerknął raz jeszcze na opakowanie leku, a potem na kartkę. Nazwa się zgadzała. Znowu przystawił urządzenie do skóry dziecka.

– No dobrze, to na trzy... – mruknął do siebie. Siobhan spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem. – Raz... dwa... i trzy. Widzisz? Już po wszystkim.

Odłożył pusty dozownik i sięgnął po manierkę. Leżący na podgrzewaczu chemicznym pojemnik nie był idealnie ciepły, ale to musiało wystarczyć. Podtrzymując głowę Siobhan, wlał kilka łyków letniej wody pomiędzy spierzchnięte wargi.

– Widzisz, dostałaś lekarstwo, napiłaś się, teraz tylko czekać, aż zadziała. – Odłożył manierkę i przetarł brzegiem prześcieradła brodę córki. – Jakże by to wyglądało, gdyby pingwinek był chory przez zimę, co?

– Tata? – Spojrzenie zielonych oczu nagle stało się bardzo skupione. – Gdzie jesteśmy?

– U doktora. – Rick pogłaskał córkę.

Rude włosy ostro kontrastowały z bielą poduszki.

– Mama też tu jest?

– Nie, mama pojechała nas szukać. – Mężczyzna uciekł wzrokiem. – Czy to nie zabawne: my szukaliśmy jej, a ona szuka nas.

– Jak w bajce o kogutku? – Słaby uśmiech ożywił niemal kredowobiałą twarz. – Śmieszne.

– Właśnie, bardzo śmieszne. Wiesz co? – Rick odkaslnął kilka razy i z niepokojem spojrzał na własne drżące dłonie. Trzeba będzie się samemu zaprawić lekami... – Pomyślałem sobie, że posiedzimy tu jakiś czas i poczekamy. Całkiem tu wygodnie, prawda? A mama, jak wróci, znajdzie nas bez trudu.

– Może po prostu zadzwońmy? – Dziewczynka kaszlnęła, najpierw raz, a potem całą serią krótkich kaszlnięć, miotających drobną główką po poduszce.

Podał jej manierkę i przez chwilę piła chciwie. Potem opadła na łóżko. Cień bólu zakłócił zielony połysk oczu.

– Nie możemy. – Rick Dunham uśmiechnął się smutno. Jak wytłumaczyć dziecku, co się wydarzyło? Jak mu powiedzieć, że cały kraj, może świat, zmienił się z dnia na dzień i nigdy już nie będzie taki sam? – Rozłącza cały czas. Pewnie mamie się coś popsulo.

– Aha... To będziemy musieli poczekać, aż naprawi. – Siobhan mówiła coraz ciszej, jej głos powoli przechodził w mamrotanie.

Najwyraźniej te kilka zdań już ją zmęczyło.

– Nie martw się, poczekamy. Tata pójdzie do sklepu i zrobi kolację, a ty się prześpij, zgoda?

– Mhm.

– I siedź pod kołdrą, dobrze?

– Mhm.

Dziewczynka lekko ścisnęła dłoń ojca, przymknęła oczy i po chwili już spała.

Rick powoli wyplątał dłoń z uścisku córki i wstał. Teraz dopiero widział, że nie jest z nim dobrze. Czuł się słabo, miał zawroty głowy i dziwne wrażenie, że traci ostrość widzenia. Najeżona kolcami bólu bryła w płucach prawie całkowicie pozbawiała go możliwości oddechu. Sięgnął po kartkę z opisem leków. Rozmyślnie zignorował te, które aplikował Siobhan, i skupił się na środkach wzmacniających. Nie potrzebował teraz lekarstwa, które położy go na kilka dni – potrzebował sił, choćby krótkotrwale. Czekala go wyprawa po zapasy.

Rausz podwójnej dawki środków wzmacniających sprawił, że poczuł się praktycznie zdrowy. Ból w płucach minął, regularne odkasływanie nie powodowało już spazmów całego ciała. Wiedział, że pewnie przyjdzie mu za chwilowe polepszenie zapłacić, ale to nastąpi później. Tymczasem miał wiele do zrobienia.

* * *

Joensuu powitało go ciszą. Śnieg przestał padać, pozostawiając wygładzony, nieruchomy krajobraz. Nawet skuta lodem rzeka pokryta była białym puchem. Na czystym nocnym niebie – ołowianoszare chmury zniknęły gdzieś bez śladu – tkwiła jasna tarcza księżycy i choć blade słońce zaszło już dawno temu, zdawało się, że w Joensuu jest widno jak w dzień, że nic nie może się ukryć przed srebrnym blaskiem. Ostry księżycowy cień Irlandczyka sunął obok właściciela po śniegu, a jego kontury załamywały się na nierównościach. Rick miał wrażenie, że wędruje po obrazie, jednym z tych wielkich holograficznych dzieł, które oglądał z Siobhan w dublińskim muzeum.

Szedł wzdłuż białych, nieodśnieżonych ulic, mijał wystawy zamkniętych sklepów. Elektronika, zabawki, buty. Niestrzeżony sklep z zabawkami – kiedy był mały, stanowiło to jedno z jego najbardziej żywych marzeń. Teraz miał wrażenie, że nawet przechodząc obok, narusza w jakiś sposób prywatność tego miejsca, idealny porządek pozostawionego samemu sobie miasta. Przez ozdobiony świątecznymi dekoracjami deptak i rynek z wybudowaną tymczasową estradą w końcu dotarł do lokalnego supermarketu, wysokiego na cztery piętra czerwonego budynku, który łypał dokoła ślepymi oczyma wyłączonych projektorów holograficznych.

Na parkingu znalazł sporych rozmiarów kamień i przez jakiś czas krążył wokół supermarketu, czując się jak złodziej przygotowujący włamanie. Całkowicie irracjonalne wyrzuty sumienia sprawiały, że kilkakrotnie niemal zrezygnował i zawrócił do szpitala, ale za każdym razem nie odchodził dalej niż kilkadziesiąt kroków. Wreszcie zamachnął się i cisnął kamieniem w przezroczyste drzwi wejściowe. Nigdy wcześniej się nie włamywał, więc nie był pewien, czego oczekiwać. Czy drzwi rozprysną się na setki kawałków? Może gdzieś włączy się alarm? Pojawi się charakterystyczna pajęczyna pęknięć?

Kamień stuknął o przezroczyste tworzywo i odbił się, nie pozostawiwszy nawet rysy. Rick

skrzywił się skonsternowany, podniósł go i rzucił jeszcze raz. Ponownie bez rezultatu. Tego rodzaju problemu się nie spodziewał. Może powinien przestrzelić zamek jak na filmach? Lepiej nie, strzał pewnie będzie się niósł na całe miasto. Podszedł z kamieniem zaciśniętym w dłoni i uderzył nim kilkakrotnie. Drzwi nie pękły, ale lekko ustąpiły. Zaskoczony, popchnął mocniej i otworzył je na oścież.

No tak. Drzwi musiały wejść w tryb awaryjny, kiedy odcięto zasilanie, więc otwierały się wahadłowo. Ale dlaczego nikt ich nie zamknął? Zostawić sklep? Pełen towaru?

Nadal niezbyt wierzył we własne szczęście, ciągnąc pomiędzy ciemnymi regałami wózek na zakupy. Jedno z kółek było uszkodzone i co jakiś czas zabawnie stukało, a odgłos zdawał się nieść po całej hali. Za każdym razem Rick zatrzymywał się na moment i wyęczał słuch w oczekiwaniu na jakąkolwiek reakcję, ale kiedy tylko nieruchomiał, cisza wewnątrz rozległego pomieszczenia stawała się niemal ogłuszająca, a w srebrnym świetle wpadającym z zewnątrz każdy cień zdawał się kryć sylwetkę obcego.

Zabrał kilkanaście gotowych posiłków z chemicznym podgrzewaniem, nie patrząc za bardzo na ich zawartość, oraz kilka butelek napojów, sztywnych i rozdętych przez zamrożoną ciecz. Po krótkim namyśle do łupów dołączył sporych rozmiarów nóż, paczkę świec i kilkanaście batoników czekoladowych. A potem paczkę papierosów. Apokalipsa zdawała się doskonałym usprawiedliwieniem dla odkurzenia starego nałogu.

Kiedy wracał pustymi ulicami z wypchaną sportową torbą oraz karabinem przerzuconym przez plecy, czuł się lepiej niż w dowolnym momencie ostatnich czterech dni. Pierwszy raz sytuacja wydawała się być pod jako taką kontrolą. Poprawił chwyt na bagażu i zaczął radośnie pogwizdywać.

Nawet wpełzające na niebo chmury nie pogorszyły mu nastroju. Szedł dziarsko, a pierwsze, ciężkie płatki śniegu osiadały na jego ramionach.

Z całej następnej doby pamiętał na pewno tylko to, że podał Siobhan leki. Cała reszta zlała się w jeden ciąg bólu, niewyraźnych obrazów, koszmarów i dźwięków. Choroba zemściła się za każdą minutę ukradzioną jej przez środki wzmacniające. Szpitalne korytarze wydłużały się w niekończące tunele, wypełnione tańczącymi sylwetkami i szeptami w obcym, szeleszczącym języku. Słyszał też kroki, najpierw powolne, potem szybsze, aż w końcu przechodzące w niemal ciągłe staccato nierównego stepowania. Zgasił świece i starał się ukryć, uciec od wirującego, szeleszczącego świata, ale ten wracał do niego, krzyczał mu do ucha, oślepił kalejdoskopem barw i błysków. Rick widział Maggie, przysypywaną przez biały puch, słyszał śpiew fińskiego żołnierza, a wzdłuż linii okien na parterze paradowały kawalkady światła niczym maszerujące powoli procesje. Może umarłem, obijały mu się po głowie niepewne myśli, może umarłem, a to jest moja droga na drugą stronę.

Przesiedział niekończące się stulecia na podłodze przy łóżku córki, z dłońmi zaciśniętymi na fińskim karabinie. Dopiero dużo później odważył się doczołgać do okna, ale na zewnątrz nie było ani trochę lepiej.

Przez okno szpitala widział światła w mieście, jakby dziesiątki świetlików unosiły się pomiędzy ośnieżonymi budynkami Joensuu. Nawoływały go, a ich głos niósł się echem, zupełnie jakby dochodził z głębi metalowej rury. Gigantyczna dłoń malowała jasne linie na niebie, a w nocy był pewien, że gwiazdy się poruszają, kreśląc zawiłe wzory i tańcząc w szalonym rytmie.

Próbował nakarmić Siobhan, ale dziewczynka nie jadła, patrzyła tylko na niego pełnymi przerażenia oczami, wielkimi i ciemnymi jak studnie. Gdy spojrział w nie uważniej, zobaczył

głęboko na ich dnie odbicie samego siebie, krzyczącego i szarpiącego się za włosy. Widok był tak przerażający, że uciekł, zataczając się, w labirynt korytarzy, i tylko co jakiś czas się oglądał, sprawdzając, czy jego wrzeszczące odbicie wciąż go ściga.

Obudził się w kabinie windy, skulony i przykryty kocami. Mięśnie miał zeszywniałe od zimna i niewygodnej pozycji, płuca zdawały się wypełnione opiłkami żelaza. Każdy oddech sprawiał ból.

Zaniepokojona Siobhan kucąca nie dalej niż kilka kroków od niego, szpitalna kołdra ciągnęła się za nią po podłodze.

– Krzyczałeś. – To jedno słowo przywołało całą gamę wspomnień.

– Źle się czułem. – Głos nie działał tak, jak powinien, ale przynajmniej powiedział coś zrozumiałego. Chyba.

– Krzyczałeś i biegałeś. – Dziecko wbijało w niego spojrzenie zielonych oczu, błyszczących w słabym świetle słońca. – Mówiłeś, że nas pozabijają.

– Tak mówiłem?

– Mhm. – Siobhan powoli pokiwała głową. – Kazałeś się chować.

– Czułem się bardzo źle. Teraz już mi lepiej. Zjadłaś coś?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Zaraz... – Spróbował się podnieść, co wywołało gwałtowny protest mięśni. Niezgrabnie wstał, wspierając się o ściany kabiny, i dokończył: – Coś ci przygotuję. Weźmiemy leki i wkrótce oboje poczujemy się lepiej.

– Mhm.

– Coś jeszcze mówiłem? – To, co planował jako krótkie odkaszlnięcie, zamieniło się w długi ciąg bolesnych skurczy.

– Mówiłeś, że ręka zabija gwiazdy. – Dziecko zmarszczyło brwi. – I wołałaś mamę. Ale to potem, wcześniej byliśmy cichutko, aż sobie poszli.

Rick znieruchomiał nagle.

– Kto poszedł?

Wybiegł na szpitalny parking, zapominając o zeszywniałych mięśniach i bolących płucach. Ledwo słyszał córkę, starającą się za nim nadażyć. Wołała go, ale nie zwracał na to uwagi, zamknięty w dusznym kłębie strachu i rodzącej się rozpacz.

Były tam. Na świeżym śniegu wyraźnie odcinały się ślady kół. Nie mogły być starsze niż kilka godzin.

Rick niemal fizycznie czuł, jak traci resztki sił. Wszystko zaprzepaścił. Osunął się na kolana i ukrył twarz w dłoniach. Byli tu. Ludzie tu byli, może ich szukali, a on ukrywał się za łóżkiem. Ukrywał się. Przed pomocą.

– Tato, ale oni pojechali, już nic nam nie zrobią...

– Tak. – Słowa ledwie wydobywały się przez ściśnięte gardło. – Nic nam nie zrobią. Wracajmy do środka, nie możesz zmarznąć, kochanie.

Ludzie żyli. Żyli i byli tu wczoraj, kiedy majaczył w gorączce. Przysłani przez Passiego? Wątpliwe – oni wiedzieliby, gdzie znaleźć Ricka i Siobhan. Ale i ci, którzy tu trafili, szukali ocalałych. A on ukrył się przed nimi, zaprzepaścił być może jedyną szansę dla córki.

Upewnił się, że dziewczynka wróciła do budynku szpitala, i dopiero wtedy zaczął łkać.

Potem sprawdził magazyn leków. Lekarstwa zalecanego przez Passiego było niewiele, półki zostały wyraźnie opróżnione, i to niedawno – albo przez wczorajszych gości, albo podczas ewakuacji. Ktokolwiek to był, najwyraźniej spodziewał się problemów z zapaleniem

pluc. Z iście fińskim poczuciem porządku zostawiono jednak dwa zasobniki. Skandynawowie najwyraźniej pomyśleli o kimś, kto mógłby dotrzeć do szpitala po nich. Rick zabrał obie porcje – i tak już nie było sensu nic zostawiać. Dla Siobhan powinno starczyć – to znaczy, skrzywił się, jeśli nie wynikną komplikacje. On sam będzie się musiał obejść zamiennikami. Opuszczając magazyn, zabrał jeszcze kilka paczek środków wzmacniających. Lepiej je mieć, niż nie mieć, nawet jeśli zafundowały mu taki stan jak wczoraj.

Jeszcze tego samego wieczoru uruchomił nadajnik. Teraz przynajmniej wiedział, że ma kto go usłyszeć.

* * *

...współrzędne 62°36' N, 29°46' E. Moja córka, Siobhan, jest chora, sam również potrzebuję pomocy. Ma tylko dziewięć lat i nie wiem, czy jestem w stanie ją wyleczyć, co znajdę. Jeśli ktokolwiek to odbiera, proszę, pomóżcie nam. W zamian możemy zapewnić schronienie i zapasy żywności. Szukajcie nas w szpitalu.

Męski głos przeszedł w szum tła. Na konsolce łącznościowej pojawiła się seria alfanumerycznych znaków.

– Powtarza się co dwadzieścia cztery godziny, pani komandor. – Radiooperator przywołał jeszcze raz całe nagranie. Na moment mostek Pustułki umilkł, kiedy wachta słuchała głosu odległego o niemal czterysta tysięcy kilometrów mężczyzny. – Ta sama częstotliwość, ta sama treść. Ktokolwiek to jest, stara się oszczędzać baterie.

Eleanor Rave powoli skinęła głową.

– Jak rozumiem, żadnych komunikatów od Moersby'ego?

– Nie, ma'am.

– Skanujcie dalej. – Odwróciła się od łącznościowca i przeszła na swoje stanowisko. Dopiero wtedy zauważyła spojrzenie Huxleya. Młody porucznik niemal przestępował z nogi na nogę. – Słucham?

– To wezwanie pomocy, ma'am. Pustułka ma grupy ratunkowe... Może warto rozważyć zejście planetarne?

Komandor westchnęła ciężko i usiadła na swoim stanowisku. Obowiązkowy w trakcie stanu podwyższonej gotowości skafander sprawił, że przypominało to raczej ciężkie opadnięcie.

– Poruczniku, nadal nie mamy żadnych wieści od naszej grupy naziemnej. Żadnych. Nadal w okolicy kręcą się chińskie niszczyciele. Strefa podejścia jest gorąca jak moja siostra, nasze główne zadanie niewykonane, a pan chce sprowadzać zespoły ratunkowe po dwójkę cywili? Cholernie szlachetne, ale zbyt ryzykowne.

Huxley przygryzł wargi i przez chwilę patrzył w swoje rękawice. Wreszcie zdecydował się podjąć dyskusję.

– Ma'am, prom może przejść całą trasę stąd aż do atmosfery na zaciemnieniu, bez silników. Nikt go nie wykryje. Za dziewięćdziesiąt sześć godzin i tak wyślemy w ten sposób ludzi po porucznika Moersby'ego.

– Dwa promy, dwa razy większe zagrożenie. – Rave się skrzywiła. – Mamy własne zadanie.

– Wiem, pani komandor, ale... Z całym szacunkiem.. – Porucznik zdawał się bardzo uważnie dobierać słowa. – To jest nasza robota. Odpowiadać na wezwania. Udzielać pomocy.

– Poruczniku... – Westchnęła ciężko. Sama kiedyś taka była. Bardzo dawno temu. – Pustułka została tu przysłana z konkretnego powodu. Jako żołnierze nie jesteśmy w luksusowej sytuacji, w której możemy zmieniać parametry misji. Jak długo akcja ratunkowa będzie oznaczała ryzyko dla okrętu, a co za tym idzie, dla podstawowego zadania, nic nie mogę zrobić. Przykro mi.

– Rozumiem, pani komandor. Przepraszam, pani komandor – oficer kiwnął głową.

– Możecie odejść.

– Tak jest.

Odprowadziła podwładnego wzrokiem. Przy całym jego zwykłym profesjonalizmie czasem odnosiła wrażenie, że Huxley zasad prowadzenia wojny uczył się na eposach rycerskich. Miła cecha, ale uciążliwa. Zwłaszcza że tak dawno temu wojna stała się... cóż, nowoczesna.

Rave skrzywiła się lekko i spojrzała na ekran radaru z naniesionymi prawdopodobnymi pozycjami chińskich okrętów. W ogóle nie było mowy o walce z trzema niszczycielami, zwłaszcza Pustułką, refitowaną na okręt zwiadowczy. Z drugiej strony i tak trzeba się przygotować na ewakuację grupy naziemnej, więc jeśli są tylko patrolem...

– Łączność, zawiadomcie luki sond, żeby przygotowali boję przekaźnikową do wystrzelenia, jak tylko Księżyc znajdzie się dokładnie między nami a wrogiem. Poruczniku Huxley, proszę wyliczyć jej kurs tak, żeby mogła maksymalnie długo iść pełnym ciągiem bez ryzyka wykrycia.

– Kierunek? – porucznik był już przy stanowisku.

– Jakikolwiek, byle na zewnątrz układu.

– Tak jest.

– Według moich obliczeń na optymalną pozycję do odpalenia powinniśmy wejść w ciągu trzech godzin, skoryguj mnie w razie czego.

– Tak jest.

– Łączność, oczekuję stałego namiaru komunikacji punktowej między nami i sondą, inżynieryjne...

Pomost bojowy Pustułki ożywił się. Nie jest źle, pomyślała komandor porucznik Rave, wydając kolejne polecenia. Nawet jeśli nic nie ugrają, przynajmniej jej ludzie będą mieli zajęcie.

* * *

Sądził, że jeszcze jakiś czas pozostanie w szpitalu, ale zrezygnował z tego pomysłu już następnego dnia. Nie czuł się, jakby zdrowiał. Był słaby i obawiał się, że w ciągu następnych dni nawet prochy nie pozwolą mu wyjść po zapasy. A przecież kiedy on będzie leżał chory, Siobhan nie pójdzie do miasta za niego.

Nie, trzeba teraz, póki jeszcze się da, póki można zagłuszyć chorobę środkami chemicznymi.

Z pewnym zaskoczeniem odkrył, że sklep z przedwczoraj wcale nie stanowił wyjątku. Wiele innych było otwartych lub zamkniętych tylko na łatwo usuwalne plastikowe pętle. W supermarkecie znalazł sanki i przez cały dzień przewoził na nich jedzenie. Zajrzał też do obu odkrytych w miasteczku aptek, ale jak się okazało, akurat one zostały dosyć dokładnie opróżnione z leków przydatnych podczas wędrówki przez zimę.

Wieczorem wpadł na kolejny pomysł – pod czystym, usianym gwiazdami niebem wybrał

się ponownie do miasta i wrócił z sankami wypełnionymi pakietami opałowymi. Myślał jeszcze o przeniesieniu ich na dach szpitala, ale był już zbyt zmęczony.

Siobhan spała. Senność miała być jednym z efektów działania leków, więc Rick uznał to za dobry znak. Brak apetytu był drugim skutkiem – chodząc cały dzień po mieście, znalazł niewiele czasu, by odbyć z córką dyskusję na temat obiadu i praktycznie wmusić w nią pół porcji.

Przygotowana kolacja stała nietknięta obok łóżka. Cóż. Jutro nigdzie nie wyjdzie, zajmie się tylko opieką nad dzieckiem. Jemu samemu odpoczynek też dobrze zrobi.

Nadał wieczorną wiadomość i położył się na pościeli. Czuł, jak środki wzmacniające przestają działać, jak ogarnia go potworne zmęczenie, a ból w płucach narasta. Ale teraz już mógł sobie pozwolić na słabość. Teraz był w bezpiecznym miejscu, o ile jeszcze jakiegokolwiek miejsce pozostawało bezpieczne.

Pomimo tego, że wziął dawkę leku określanego na karcie Passiego jako „najbliższy zamiennik”, długo nie mógł zasnąć. Leżał więc tylko na pościeli i wpatrywał się w rozgwieżdżone, zaskakująco czyste niebo.

Następnego wieczora wniósł wszystkie pakiety na lądowisko transportowe na dachu szpitala, ułożył z nich pokaźny stos, podlał obficie podpałką i podpalił zdobyczną zapalniczką iskworą z logo Atomica.

Zrazu zajmowały się powoli, jakby niechętnie, lecz naraz buchnęły różnym płomieniem. Ogień wznosił się wysoko w ciemne niebo, rzucając roztańczone cienie na pokrywający lądowisko śnieg. Mężczyzna dorzucał kolejne pakiety, aż słup ognia urósł wyższy od niego.

Szpital stał na wzgórzu i sygnał musiał być widoczny z wielu kilometrów.

Może ktoś zobaczy. Może niedawni goście wrócą. Może chociaż jakaś zagubiona osoba znajdzie drogę do miasta.

Płomienie strzelały ku ciemnemu niebu, a żywy, nieregularny blask dodawał otuchy. Wyznaczał punkt istnienia ludzkiego dominium o wiele bardziej krzepiąco niż porzucone miasto. Przez kilka chwil Rick czuł się, jakby wszystko wracało do normy. Na krótki czas całkiem zapomniał o bólu, zmęczeniu i rozpacz.

Nikt nie przyszedł ani tego dnia, ani żadnego z kolejnych. Rick nagrał wiadomość i ustawił urządzenie na wysyłanie przekazu co dwadzieścia cztery godziny, więc przynajmniej nie musiał o tym pamiętać. Niemniej i tak spędzał długie godziny, wpatrując się w radio, przez większość czasu nastawione na nasłuch. Może uszkodzenie było tylko chwilowe, sprzęt tego rodzaju miewa fochy...

Urządzenie jednak uparcie milczało. A może po prostu nie było już nikogo, czyj sygnał mogłoby odebrać?

Jeszcze dwa razy rozpalał ognisko na dachu szpitala, ale ogień przestał przynosić otuchę. Patrząc na płonące pakiety, mężczyzna widział tylko ogień trawiący pozostałości po człowieku.

* * *

– Widzisz, tak się trzyma. – Rick starał się jak najdokładniej powtórzyć ruchy zademonstrowane mu przez Passiego. – Jedną rączką trzymasz za ten chwyt pod lufą, a drugą, o, tutaj.

Fiński karabin był zdecydowanie za duży dla dziecka. Z drugiej strony jakiegokolwiek karabin

jest za duży dla dziecka. Czuł, że jest coś przerażającego w tym, co robił.

Siobhan też musiała zdawać sobie z tego sprawę. Drobne rączki ostrożnie przesuwały się po czarnym tworzywie obudowy, a zielone oczy w skupieniu wpatrywały się w ojca.

– Teraz spójrz wzdłuż lufy, przez celownik. Widzisz? Tutaj możesz pokręcić, jeśli widok jest rozmazany. – Rick wymierzył karabin w odległy koniec szpitalnego korytarza. – Zrób tak, żeby dobrze widzieć klamkę w tamtych drzwiach.

– Dobrze, tato. – Dziewczynka sięgnęła do celownika, ale kiedy tylko wypuściła broń, ta wyslizgnęła się jej z drugiej rączki i upadła na podłogę z głośnym trzaskiem.

– Jest dosyć ciężki – Rick podniósł karabin, sprawdzając, czy nadal jest zabezpieczony – więc jakbyś miała strzelać, najlepiej będzie go o coś oprzeć, o tak. – Zademontrował, wykorzystując przygotowany zawczasu stolik.

– Aha. – Dziewczynka stłumiła kaszel drobną piąstką. – A jak nie będzie o co?

– Możesz się zawsze położyć na ziemi. – Uśmiechnął się. – Zresztą raczej nie będziesz go wyciągać ze szpitala, a tu jest dużo stolików, prawda?

– Prawda. – Siobhan pokiwała głową, gmerając przy celowniku. – Teraz widzę dobrze.

– Doskonale. Oprzyj dobrze kolbę, to się nazywa kolba, o ramię. – Rick pracowicie poprawiał pozycję strzelecką córki. Dziękować Bogu za kompensator odrzutu, dzięki temu Siobhan nie przyplaci pierwszego błędu wybitym barkiem. – Patrzysz na cel przez celownik...

Dziewięciolatka przygryzła wargi i wbiła wzrok w okular. Mężczyzna powoli przesunął dźwignię bezpiecznika.

– ...i teraz powoli ściągasz spust. Naciśnij moc...

Huknął wystrzał. Karabin wyleciał z nagle zeszywniałych dłoni Siobhan i zagrzecotał o podłogę. Niewielka przestrelina pojawiła się w suficie kilkanaście metrów od improwizowanego stanowiska strzeleckiego. Rick szybko podniósł broń i pstryknął bezpiecznikiem. Spojrzał na córkę. Dziewczynka siedziała na podłodze z szeroko otwartymi oczami.

– Jak się czujesz?

– Dobrze, tato. – Uśmiechnęła się bez przekonania. – Trafiłam?

– Mniej więcej. Ale musimy jeszcze poćwiczyć. – W myślach przeliczył amunicję. Dwa magazynki po sześćdziesiąt sztuk. Niewiele, ale jak nie będą umieli używać broni, to i tak żadna różnica. A przecież coś się może stać, kiedy będzie odchorowywał stymulatory. – Nie wiemy, jakie tu są zwierzęta, może jakieś drapieżniki. Kiedy przyjdą, nie musisz bardzo dobrze celować, ale musisz umieć je wystraszyć, może zranić.

Siobhan kaszlnęła sucho kilka razy i pokiwała główką.

– A jak przyjdą źli ludzie?

Rick zamarł na moment. Ludzie... Siobhan z właściwą dziecku prostotą znalazła najbardziej niepewny moment wykorzystania broni. W końcu było możliwe, że do szpitala trafią ludzie, którzy źle im życzą. I co, każe córce do nich strzelać? A jeśli jego nie będzie, a ona się kogoś przestraszy? Myśl o Siobhan zabijającej człowieka zmroziła go.

– Nie martw się – poklepał dziecko po pomponie czapki. – Wtedy tata się nimi zajmie.

Nie patrzył córce w oczy. W końcu nie był pewien, czy sam potrafi wystrzelić do człowieka. Ale kto wie – może przyjdzie mu się nauczyć.

* * *

– Tato?

Dziewczynka owinęła się szczelnie płataniną koców i śpiworem arktycznym, który Rick znalazł w sklepie z artykułami sportowymi. Pomimo opatulecia niemal od stóp do głów Siobhan nosiła narciarską czapkę i o kilka numerów za duże rękawiczki. Odkąd skończyły się chemiczne wkłady grzejnikowe, w szpitalu zrobiło się naprawdę niedobrze.

– Słucham cię, pingwinku.

Mężczyzna poskrobał szybę i w zamyśleniu spojrzął na wciskający się pod paznokcie lód. Duszności sprawiały, że z trudem mówił. Choroba postępowała szybko, karmiona wyczerpaniem i wyniszczającymi organizm stymulatorami.

– A kiedy wszyscy przyjdą? – zdanie zostało złamane pod koniec atakiem kaszlu, dając Rickowi czas na przemyślenie odpowiedzi.

– Nie wiem. Pewnie niedługo – zdobył się na uśmiech. – Dlatego codziennie wysyłam do nich wiadomości, prawda? Nie ma możliwości, żeby nikt tego nie usłyszał.

– Aha – gdy Siobhan kiwnęła główką, kolorowy pompon poruszył się zabawnie. – Zimno mi.

Koce i śpiwory działały połowicznie – były doskonałymi izolatorami, ale chora dziewięciolatka bardzo łatwo wytracała ciepło. Pewnie kwestia gorączki, choć oczywiście Rick nie miał pewności. Co prawda zdawało się, że sytuacja na froncie zapalenia płuc nieco się poprawia, ale i tak trzeba było coś szybko wymyślić.

– Wiem, pingwinku – wstał i spojrzął smutno na zachodzące chmurami wieczorne niebo. – Tatuś właśnie myśli, co z tym zrobić.

– Śniła mi się mama – dziecko uśmiechnęło się słabo. – Jak myślisz, gdzie ona jest?

– Jak wszyscy pojechali do Helsinek, to zabrali też mamę. Na pewno tam jest i stara się przysłać tu kogoś po nas, ale teraz w Helsinkach panuje straszny bałagan – Dunham miał olbrzymią nadzieję, że jego historyjka jest faktycznie bliska prawdy. – Na pewno w końcu jej się uda, zwłaszcza że wysyłałyśmy wiadomości, ale nie wiem kiedy.

– To może zadzwońmy do domu? Do wujka Colina albo do babci...

Wbił spojrzenie w podłogę. Dom wydawał się pojęciem tak abstrakcyjnym, jakby znajdował się na innej planecie. Czy w ogóle mieli jeszcze jakiś dom? Czy całkiem puste Joensuu było wszystkim, co pozostało, całą spuścizną ludzkości, jaką kiedykolwiek zobaczą? Gdzieś jeszcze istnieli zagadkowi przybysze sprzed kilku dni i może ludzie, do których odeszli żołnierze (a może to ci sami?), ale przecież oni mogli już nigdy się tu nie pojawić.

Czy Ulster wyglądał tak samo? Czy leżał w gruzach po uderzeniu... kogokolwiek? Rick jak dotąd robił wiele, żeby nie myśleć o takich sprawach, niemniej faktem pozostawało, że Irlandia była o niebo gorzej zorganizowana niż Skandynawia. Sytuacja tam prawdopodobnie bardziej przypominała to, co działo się w płonącym Kuopio, niż niemal robotyczną, uporządkowaną ewakuację Joensuu.

– Wszystkie linie były zajęte, kochanie. – Starał się zabrzmieć jak najbardziej przekonująco. – Może zepsuty telefon. Mama nam powie, jak już ją spotkamy.

– Rozumiem – dziewczynka skinęła głową i w zamyśleniu potarła drobny podbródek narciarską rękawicą.

Rick zdawał sobie sprawę, jak wiele kryje się za odpowiedzią Siobhan. Córka oczywiście nie pojmowała wszystkiego, ale spokojne słowa Ricka rozumiała jako: „tata ma sytuację pod kontrolą”. Po prostu zdawała się na ojca, zakładając, że przecież on potrafi wszystko załatwić. Mężczyzna zawsze był dumny z zaufania córki, z tego, że jest dla niej osobistym

superbohaterem. Odkąd w Kuopio zgasty światła, coraz bardziej czuł ciężar tej odpowiedzialności.

– Jak tylko czegoś się dowiem, dam ci znać. Tymczasem jednak musisz zjeść coś ciepłego. Co byś chciała?

– Mus owocowy! – po raz pierwszy uśmiech dziewczynki był szeroki i żywy. Siobhan uwielbiała owoce. – I może zrobimy ognisko?

– Nie możemy zrobić ogniska tutaj, bo spalimy szpital i gdzie będziemy mieszkać? – Rick zaśmiał się krótko, charkotliwie, walcząc z kaszlem.

Nie powinien się śmiać, to podrażniało gardło.

– No tak – dziewczynka zastanowiła się przez chwilę, przytykając palec wskazujący rękawicy do czoła. – Ale możemy się przenieść gdzieś, gdzie jest kominek, i tam zrobić ognisko, wtedy nic nie spalimy. Przecież na pewno ktoś ma kominek, prawda? I w ogóle wszystko...

Rick na chwilę znieruchomiał. Córka miała rację. Sprawdził już sklepy i nie znalazł żadnych dodatkowych wkładów chemicznych, ale przecież była spora szansa, że mieszkańcy Joensuu mieli jakieś w domach – i być może nie zabrali ich wszystkich ze sobą.

– Wiesz, pingwinku, to doskonały pomysł. Zaraz zrobimy ci mus owocowy, a potem tata pójdzie się rozejrzeć, dobrze?

– Dobrze – dziecko uśmiechnęło się szeroko, zadowolone, że mogło pomóc. – A zostawisz mi lampkę?

– Tak, pingwinku, zostawię ci lampkę – Rick uśmiechnął się do córki i sięgnął po kolejną paczkę stymulatorów.

* * *

Okradanie mieszkań było czymś zupełnie innym niż szabrowanie sklepów. Rick odnosił irracjonalne wrażenie, że dopiero teraz stawał się prawdziwym złodziejem – wchodzącym z butami w czyjąś prywatną przestrzeń.

Długo krążył po ulicach nocnego Joensuu, tłumacząc sobie, że powinien dobrze wybrać miejsce, w którym zacznie, bo od tego może zależeć jakość łupów. Oczywiście na złodziejskim rzemiośle nie znał się w ogóle, więc kiedy ponad godzinę później wszedł na klatkę schodową niewysokiego apartamentowca, jego decyzja nadal była, praktycznie rzecz biorąc, efektem losowania. Jedyne plus stanowiło to, że wcześniej zaopatrzył się w siekierę i palnik z zapasem paliwa, które miały pomóc w forsowaniu drzwi. I tu spotkało go kolejne zaskoczenie. Większość mieszkań nie została zamknięta, a jeśli nawet, to klucze znajdowały się pod wycieraczkami lub na parapecie klatki schodowej. Najwyraźniej odchodzący stąd ludzie uznali, że nie będą dodatkowo utrudniać życia ewentualnym przybyszom. Takie postępowanie faktycznie miało w sobie jakiś pragmatyzm – w końcu potencjalny złodziej zawsze mógł wyważyć drzwi – ale Rick nie sądził, żeby tę samą praktyczność wykazali mieszkańcy choćby jego rodzinnej Irlandii czy też jakiegokolwiek innego europejskiego kraju.

W wielu mieszkaniach znajdował przydatne zapasy wyłożone już w przedsionkach, jakby czekające na takich jak on szabrowników. Narzędzia, konserwy, równo złożone ubrania, czasem kilka paczek zapalek czy latarka. Trochę leków, termos.

Finowie dobrze wiedzieli, czego może potrzebować podróżnik nocną porą, w końcu zimę znali chyba najlepiej.

To wszystko potęgowało przemożne wrażenie, że tak naprawdę jest obserwowany, że uporządkowane, czyste mieszkania patrzą na niego i oceniają. W całkowicie irracjonalnym odruchu zawsze bardzo dokładnie wycierał buty przed wejściem – nie tylko na wycieracze, ale i pozostawioną przez zapobiegliwych gospodarzy szmatką – a potem poruszał się ostrożnie, starając się niczego nie zniszczyć.

Kilkgodzinne poszukiwania przyniosły mu kilkanaście na wpół zużytych wkładów grzewczych – prawdopodobnie mieszkańcy Joensuu zabrali te, które mieli w zapasie, ale pozostawili niepełne dla ludzi, którzy mogliby przyjść po nich. Zdobył też sporą liczbę pakietów opałowych i trochę narzędzi. Ale nie tylko.

Długo szukał papieru, bo miasto wcale nie było małe i przydałoby się zrobić choć trochę notatek. W końcu po długich poszukiwaniach w niewielkim mieszkaniu nieopodal rynku odkrył owiniętą kolorową wstążką szkicownik. Większość stron zajmowały narysowane ręką dziecka – zapewne jeszcze bardzo małego – obrazki. Schematyczne ludziki z cienkimi kończynami uśmiechały się szeroko kredkowymi ustami, jeździły pośród zasp tęczowymi samochodami lub siedziały pod rozradowanym żółtopomarańczowym słońcem. Czasy sprzed dwóch tygodni, teraz odległe o tysiąc lat. Przez kilka chwil Rick zastanawiał się, czy pozostawić szkicownik na miejscu, ale ostatecznie zabrał go ze sobą.

W niewielkim parterowym domku znalazł napisany odręcznie list, przyciśnięty do stołu kubkiem. Nie zrozumiał oczywiście ani słowa, ale spędził sporo czasu, zastanawiając się, co chciał mu przekazać przebywający teraz Bóg wie gdzie Fin.

Z kolei w kilkupokojowym apartamencie tuż przy moście na jednym z uprzątniętych biurk stało kilkanaście holo. Wszystkie przedstawiały tę samą czteroosobową rodzinę. Dwójka czterdziestolatek, rudoblond nastolatek i wesoły kilkulatek nieokreślonej płci. Sądząc ze stanu mieszkania, brali udział w pospiesznej ewakuacji, ale znaleźli czas, żeby pozostawić te pamiątki. Może spodziewali się, że coś może pójść nie tak, i przygotowali... Cóż, świadectwo istnienia? Może sam powinien o tym pomyśleć?

Czy chciałby, aby gdzieś pamiętano jego i Siobhan, żeby pozostał ślad ich obecności w czymś innym niż zapisy w bankach danych? Czy chciałaby tego Maggie?

Kiedy wracał z sankami pełnymi zdobyczy, zaczął padać śnieg. Nieodgarniany od dłuższego czasu sprawiał, że ulice i chodniki zlewały się w jednolitą białą płaszczyznę, i zaczynał wspinać się po ścianach budynków. Światło latarki z trudem znajdowało niknące w puchu ślady, które Rick zrobił w drodze ze szpitala do miasta. Świat człowieka, niedoglądany przez swoich panów, szybko poddawał się zimie.

* * *

Dziennik założył jeszcze tego samego wieczora. W recepcji szpitala znalazł ołówek, a częściowo wypełniony rysunkami szkicownik dawał pewne rezerwy papieru.

Rick pisał drobnymi drukowanymi literami, wykorzystując tylko strony bez obrazków – w końcu Siobhan musiała być w stanie odczytać jego pismo. Początkowo spisywał tylko rzeczy stricte użyteczne: gdzie jeszcze można znaleźć jedzenie, listę leków i ich rozłożenie w zapasach, wygrzebaną z głębin pamięci wiedzę na temat odżywiania. Jak zadbać o karabin. Jak obsługiwać radio i jak rozpalać ognisko. Wszystko, co przychodziło mu do głowy, jako przydatne do przeżycia dla Siobhan, gdyby jego zabrakło.

Potem pojawiły się też inne rzeczy. „Pamiętaj o mamie i tacie”. „Śpiewaj codziennie naszą

piosenkę”. Wspomnienie narodzin Siobhan, ich pierwszych wakacji, pierwszego dnia w szkole. Reguły zabawy w krzeselka. Przepis na ciasto babci. Długie linie pamięci wyznaczone drobnymi drukowanymi literami.

Ślad.

* * *

Wachta miała się już ku końcowi. Na pomoście bojowym Pustułki panowała cisza, z rzadka przerywana meldunkami oficerów. Co jakiś czas Eleanor Rave rzucała wyczekujące spojrzenie na stanowisko łącznościowe, ale zdążyła już stracić nadzieję, że Moersby i jego ludzie cokolwiek nadadzą. Powodów mogło być tysiąc – poczynając od czysto technicznych problemów, poprzez obecność nieprzyjaciela z zespołem namierników, aż po zagładę całej grupy naziemnej. Komandor nie wierzyła co prawda w tę ostatnią ewentualność, lecz nie zmieniało to faktu, że była ona możliwa.

W dodatku z żelazną regularnością codziennie otrzymywali nagranie z rejonu Finlandii – z początku Rave miała nadzieję, że jej kadra przywyknie, ale nie. Było coś niesamowitego w tych codziennych przekazach, coś, co sprawiało, że nie tylko aktualna obsada słuchała jak zaklęta, ale na mostku często pojawiali się oficerowie z innych wacht. Wszyscy z niemą fascynacją wpatrywali się w głośnik, z którego dobiegały słowa odległego o niemal czterysta tysięcy kilometrów rozbitka. Jak ludzie, którzy patrzają na pożar. Niezdolni czeokolwiek zmienić, ale niemogący odwrócić wzroku. Komandor początkowo zrobiła błąd i nie zabroniła przełączania sygnału na głośnik – a teraz nie chciała tego robić, bo wyglądałoby to, jakby bała się wiadomości.

Faktem było jednak, że radiowy przekaz nie działał dobrze na załogę – i to nie tylko bezpośrednio, w końcu większości nie obchodzili jacyś obcy ludzie na wymarłej Ziemi. Ale nie wszystkich.

Nie tylko Huxley miał wyrobione zdanie na temat udzielenia pomocy cywilom. Nie widział przy tym, lub nie chciał widzieć, oczywistych problemów – wszak nie wiadomo, kto naprawdę krył się za nagraniem? To mógł być wabik Chińczyków, zasadzka SI albo tysiąc innych rzeczy. Tam mogło nawet nie być ludzi, w końcu to tylko nagranie. Kto wie, może wiadomość szła w przestrzeń od Dnia? Oczywiście Rave rozmawiała o tym z oficerami. Na szczęście większość załogi zdawała się myśleć racjonalnie, ale komandor doskonale wiedziała, że młodsza, pełna ideałów część kadry traktuje zapisy o pomocy rozbitkom bardzo poważnie. Co gorsza, trudno było im to mieć za złe.

A ta grupa pociągnie morale reszty w dół. Nawet jeżeli nikogo nie przekonają, będą prowokować spory, a wreszcie sami zaczną działać gorzej. Do tego, że ludzie dawno zapomnieli o człowieczeństwie, młodych trzeba przyzwyczajać stopniowo.

Rave rzuciła okiem na ekran radaru – od kilku godzin łapali słabe echa od strony domniemanej pozycji Chińczyków. Tamci nie próbowali się jakoś szczególnie maskować, a w dodatku to, co Pustułka traciła na uzbrojeniu, nadrabiała sensorami, dlatego co kilka minut radar wypluwał nowe informacje na temat odpaleń silników trzech wrogich okrętów. Najpewniej manewry korekcyjne, choć trudno stwierdzić. Huxley sugerował, że być może tamci też mają coś do zrobienia na planecie. Może nawet sami myślą, co zrobić z sygnałem z Joensuu. To byłoby całkiem dobre rozwiązanie – kłopot z głowy.

Ale komandor, jako realistka, wiedziała, że świat raczej nie jest tak łaskawy. Mogła liczyć

najwyżej na to, że Chińczycy nie mają nic do roboty w okolicy zaginionej grupy Moersby'ego.

Tak czy inaczej niedługo się przekonają, co tamci robią na orbicie – wystrzelona ponad trzy doby temu sonda wkrótce dotrze na pozycję nadawania. Jeśli tylko chińskie niszczyciele nie dostały bardzo wyraźnych rozkazów utrzymania pozycji, istniała szansa, że zainteresują się nowym kontaktem. To dawałoby okno na bezpieczniejsze przesłanie grupy ratunkowej. A jeśli wróg się nie ruszy... Cóż, i tak trzeba będzie lecieć.

* * *

W ciągu nocy pogoda się pogorszyła. Do sypiącego śniegu dołączył silny wiatr, podrywający ciężkie płatki do opętańczego tańca za oknami szpitala. Joensuu zdawało się całkowicie przesłonięte białą kurtyną, a gwiazd nie było widać w ogóle.

Wewnątrz rozgrzanego żarem chemicznego grzejnika pokoju numer czterdzieści siedem Rick nasłuchiwał wycia wichru i cieszył się, że mury szpitala chronią go przed szalejącą na zewnątrz zawieruchą. Co jakiś czas rzucił okiem na Siobhan. W blasku jedynej w pokoju świecy jej twarz wydawała się mniej blada niż jeszcze wczoraj i choć dziecko niespokojnie przewracało się z boku na bok, to jednak poprawa była widoczna. Oby jeszcze okazała się stała... Rick od jakiegoś czasu czuł, że za ciągłe funkcjonowanie na stymulatorach słono płaci. Fakt, silne środki pewnie pozwoliłyby mu działać z połamanymi kończynami, ale długoterminowo były zabójcze, zwłaszcza dla chorego. Jednak prawdziwe lekarstwo – pomijając fakt, że całe odłożył dla córki – wymagało ograniczenia wysiłku, a on miał cały czas coś do zrobienia. Dopiero teraz sytuacja była w miarę opanowana. Dysponowali jedzeniem i ogrzewaniem, które przy rozsądnej gospodarce powinno starczyć im na dosyć długo. Mieli leki, które powinny – przy odrobinie szczęścia – wystarczyć Siobhan. Radio włączało się co dwadzieścia cztery godziny, wysyłając nagrane wezwanie. Tylko czekać na pomoc.

Nagły atak kaszlu sprawił, że mężczyzna niemal złożył się wpół. Na podłogę szpitalnego pokoju spadło kilka kropel krwi. Rick skrzywił się, ocierając usta grzbietem dłoni. Kiedy poprawi się pogoda, pójdzie poszukać leków. W Joensuu, prócz szpitala, musiały znajdować się też jakieś gabinety lekarskie. Może zostały mniej gruntownie ogołocone. Jak tylko ustanie burza. Spojrzał przez okno na szalejącą zawieruchę.

I wtedy zobaczył światło. Początkowo myślał, że to tylko złudzenie albo odbicie świecy w oknie. Jasny punkcik na przemian pojawiający się i zanikający wśród zimowej nocy sunął mozolnie gdzieś w okolicy stacji kolejowej. Przez dobrych kilka chwil mężczyzna jak zakłęty wpatrywał się w okno szeroko otwartymi oczami, bojąc się nawet mrugnąć. W końcu szczypanie zmusiło go do zamknięcia na ułamek sekundy oczu. Światło nie zniknęło.

Wybuchnął głośnym, radosnym śmiechem. Co chwila podduszany atakami kaszlu, potykając się, okrążył pokój w dzikim tańcu, a potem ucałował w oba policzki rozbudzoną, zaskoczoną Siobhan. Ludzie, obijała mu się w głowie dzika, kolorowa myśl. Żywi ludzie. Rick nigdy by nie pomyślał, że w ciągu niewielu w sumie dni tak się za nimi stęskni. Że nawet taki wątył znak, mimo iż pełen niewiadomych, doprowadzi go do podobnej euforii.

Teraz tylko nie można pozwolić im odejść. Nie tym razem. Sięgnął po stojące na stole tabletki.

Po chwili już pospiesznie przypinał do butów rakiety śnieżne. Przez chwilę nerwowo męczył się z zapięciami, raz po raz zerkając za okno. Szybko naciągnął czapkę, gogle i

dotatkowe rękawice. Po krótkim namyśle wziął też karabin. Umiejętność robienia hałasu mogła się w tym wietrze przydać.

Niecałe pięć minut później, wypełniony ogniem stymulatora, wychodził z pokoju. W świetle ustawionych na oknie świec uśmiechnięta Siobhan odprowadzała go ufnym spojrzeniem zielonych oczu.

* * *

– Pani komandor, ruch na orbicie – nadszedł meldunek ze stanowiska sensorów. – Mocno wygłuszany, najprawdopodobniej przeszli na kondensatory termiczne i idą bojowo.

Rave pozwoliła sobie na lekki uśmiech. A więc udało się, przynajmniej częściowo. Chińczyk uznał najwyraźniej, że nie zignoruje nagłego echa za orbitą Marsa. Komandor nie dziwiła się ani trochę swojemu przeciwnikowi – sama chyba by kogoś posłała, żeby to sprawdził. Wystrzelona sonda emitowała echo mocno zbliżone do śladu wyjścia z przestrzeni przystankowej ciężkiego okrętu, patrol nie mógł tego zwyczajnie zignorować. Odpalenie silników teraz dawało Chińczykom szansę na podejście do potencjalnego celu cicho. A pozostawienie nawet jednego okrętu na pozycji powinno im dać czas na reakcję, gdyby ktokolwiek szykował jakąś poważniejszą operację. Tyle że dowódca Pustułki nie planowała nic poważnego, nie w strategicznym sensie. Pojedynczy prom, jeśli odpali silniki główne jeszcze za Księżycem, powinien dotrzeć do orbity tylko na minimalnych korektach. Nic, na co mógłby zwrócić uwagę pojedynczy okręt, którego załoga w dodatku skupia się odruchowo na badających zagadkowe echo kolegach...

– Panie Huxley, proszę zawiadomić zespół ratunkowy, przygotować prom do startu i czekać na pozwolenie – rzuciła Rave, nie odrywając oczu od ekranu stanowiska radarowego. – Lecimy po grupę Moersby’ego.

– Ma’am.. – Oficer właściwie nie zadał pytania, choć dało się je wyczuć w powietrzu.

Kobieta obróciła się, Huxley wpatrywał się w nią w wyczekiwaniu. Eleanor Rave spojrzała na podkomendnego. Oczywiście nic nie musiała robić, nic nie powinna robić. Cała załoga to wiedziała. Choć oczywiście byli w niej ludzie tacy jak Huxley. I w pewnym sensie oni także mieli rację.

– Proszę skupić się na rozkazach, poruczniku – ucięła twardo.

– Rozumiem, ma’am – Huxley ledwo dostrzegalnie kiwnął głową.

– Chyba że jest pan w stanie zebrać zespół ochotników w ciągu dwóch godzin – dodała, odwracając się z powrotem do ekranu taktycznego. – Przynajmniej dwóch żołnierzy, przynajmniej jeden sanitariusz. W tym wypadku mogą startować równoległe z zespołem ratunkowym.

Rave знаła swoich ludzi. Widziała frustrację i niepokój ostatnich dni, problemy z podstawowym, bezsensownym w oczach załogi zadaniem, brak kontaktu z zespołem Moersby’ego. Jej zespół oczywiście jakoś dałby sobie z tym radę, ale komandor była świadoma znaczenia morale. Dlatego od dwóch dni przy okazji planowania zejścia grupy ratunkowej dokonała kilku dodatkowych symulacji. Nie wyglądały tragicznie. Właściwie wyglądały wystarczająco dobrze, żeby spróbować.

Nie musiała teraz patrzeć na swoich ludzi, żeby widzieć pojawiające się na ich twarzach ożywienie. Pustułka po prostu czasem potrzebowała takich momentów.

* * *

Rick Dunham z trudem brnął przez zawieję, przymykając mimowolnie oczy pod ochronnymi goglami. Rakiety pozwalały w miarę swobodnie poruszać się w głębokim śniegu, ale silny wiatr czynił marsz istną męczarnią. Tysiące drobnych igiełek uderzało w wizjer gogli, chłostało osłoniętą szalikiem twarz, jakimś cudem wciskało się pod polarną kurtkę wyniesioną ze sklepu sportowego. Na plecach niemal czuł kształt karabinu, odciskający się lodowatym ciężarem pomimo warstw tkaniny i tworzywa.

Z dużym trudem rozróżniał niewyraźne kształty przysypanych budynków, zamieć redukowałą widoczność do zaledwie kilkunastu kroków. Kiedy spojrzął za siebie, ledwo dostrzegł szpital, który niedawno opuścił. W oknie na piętrze paliły się świece – jedyny znak życia w jednolicie czarnej bryle. Kiedy Rick przyjrzał się uważniej, zdawało mu się, że w ich wąłym blasku widzi niewyraźną sylwetkę córki.

Stymulatory wypędziły chwilowo bolesną kulę lodu z jego płuc, ale czuł, że tym razem nie odeszła daleko. Opakowanie z zapasem leku niemal paliło przez kieszeń. Czy to już pora, żeby wziąć drugą porcję? Może dzięki temu będzie mu się łatwiej szło? Kto wie, gdzie kierują się tamci, mogą ominąć szpital, mogą zgubić się w zamieci, spaść z mostu, którego krawędź była niewidoczna wśród sypiącego śniegu...

Przyspieszył kroku. Rakiety wyrywały z podłoża niewielkie białe chmurki, natychmiast rozpraszane przez wiatr. Pomimo chemicznie indukowanej sprawności i nabytej w ciągu ostatnich dni wprawy Rick miał wrażenie, że ledwie posuwa się naprzód.

Pokonana już kilkanaście razy trasa, tak dobrze znana, w tych warunkach stała się całkowicie nierozpoznawalna. Czy to już domy przy skrzyżowaniu? Po kilku dniach opadów ulice zmieniły się w umowne szlaki, znaczone jedynie brakiem zabudowań. Rick rozejrzał się w poszukiwaniu na wpół przysypanych tabliczek z nazwami. Już niemal zrezygnował, kiedy nagle dotarł do niego przez zawieję odległy błysk. Jasny, migotliwy, jakby flary niesionej pomiędzy budynkami. Trwał może dwa uderzenia serca, ale mężczyzna nie miał wątpliwości, że nie był przywidzeniem.

Zrezygnował z bezowocnych prób odnalezienia innych punktów orientacyjnych i – uważając, żeby nie trafić na strome nadbrzeże rzeki – ruszył w kierunku światła.

* * *

Ludzi było czworo. Szli pochyleni, walcząc z wiatrem i zacinającym śniegiem. Prowadzący unosił wysoko flarę, rzucającą krąg światła w nocnej zamieci. On i jego towarzysze nosili karabiny, których ciemne, podłużne kształty w migotliwym blasku doskonale odcinały się od jasnych kurtek. Pozostała dwójka mozoliła się z pokaźnych rozmiarów saniami. Musieli być już potwornie zmęczeni – dla Ricka, mimo potężnej chemii stymulatorów, nawet niezbyt długi marsz ze szpitala był mocno odczuwalny. A ta grupa przyszła spoza miasta, bo inaczej czemu wybrałaby akurat taki moment na wyjście w trasę? Aż dziw, czemu nie schowali się w pierwszym lepszym budynku.

Rozejrzał się i wtedy zrozumiał. Nawet uniesiona flara pozwalała sięgnąć wzrokiem nie dalej niż na kilkanaście metrów, a niskie budynki wschodniego przedmieścia po wielu dniach opadów przypominały raczej wysokie zasy – łatwo było zwyczajnie nie zauważyć, że jest się już w mieście. Przybysze mogli po prostu nie wiedzieć, że schronienia są wszędzie dookoła.

W pewnym momencie grupa się zatrzymała, patrząc niemal dokładnie w stronę Ricka. Choć mężczyzna w świetle flary widział całą czwórkę doskonale, sam pozostawał praktycznie

niewidzialny, nie sądził więc, że to on jest powodem postoju. Obrócił się, próbując spojrzeć w tym samym kierunku, co obcy. Zobaczył je niemal od razu – ledwie widoczne światło w oknie odległego szpitala. Tamci też musieli je zauważyć, bo ten bez flary, wielki mężczyzna z obfitą rudą brodą wystającą spod szala, wskazał kierunek i ponownie ruszyli, z wysiłkiem, przygięci przez wiatr i śnieg.

Irlandczyk krzyknął, ale najwyraźniej go nie usłyszeli. Poszperał grubymi rękawicami w kieszeniach i wydobył ostatnie dwie flary. Pierwsza zaiskrzyła i zgasła natychmiast, ale druga rozbłysła jasnym czerwonym ogniem.

Odległa o niecałe trzydzieści metrów grupa zamarła.

– Tutaj! – Rick podskoczył z radości, przez co natychmiast zapadł się głębiej w śnieg.

Zaklął głośno, ale nawet to nie popsuło mu humoru. Byli tak blisko, że białe światło obcych mieszało się z czerwonym blaskiem flary Irlandczyka, tworząc różowawą strefę wśród zacinającego śniegu.

Ten, który niósł światło, ubrany w niebieską kurtkę krzyknął coś niezrozumiałego do towarzyszy. Potem obrócił się i pomachał Rickowi w odpowiedzi. Dunham odmachnął flarą i ruszył w jego kierunku.

Dokładnie w tym momencie ten z rudą brodą płynnym ruchem zdjął karabin z pleców.

Rick zdążył rzucić się w bok, ciskając flarę daleko od siebie, kiedy obcy wystrzelił.

* * *

– Dwieście sześć–osiemnaście, idziemy środkiem korytarza. – Głos pilota wahadłowca nie zdradzał emocji. – Brak wiązki namierzającej, wchodzimy w atmosferę za trzydzieści sekund.

Porucznik Huxley rozejrzał się po przedziale desantowym. Jego zmontowany naprędce zespół ochotników – podporucznik Shane z ambulatorium i trójka żołnierzy pod komendą sierżanta Kovala – nie zajmował nawet połowy miejsc w ciasnym, przeznaczonym do desantu pod ogniem clansmanie. Znalezienie wymaganej liczby ochotników nie przyszło łatwo, co oficer doskonale rozumiał, bo jedna rzecz współczuć odległym rozbitkom, a zupełnie inna na własne życzenie zaryzykować dla nich życie. Ta mała grupa powinna bez problemu dać sobie radę. Jeśli ojciec z córką faktycznie tam są – wystarczy aż nadto; jeśli to pułapka – przynajmniej wpadnie w nią mniej ludzi.

Zarówno ich maszyna, jak i ta druga, niosąca zespół ratunkowy, szły praktycznie bez ciągu – prędkość, jakiej nabrały, osłonięte przed sensorami chińskiego okrętu tarczą Księżycy, musiała wystarczyć. Przeliczenia nawigacyjne mówiły, że w atmosferę nad Europą wejdą po przeciwnej stronie Ziemi niż patrolujący okręt, jednak prognozy na kilka godzin naprzód zawsze były obciążone pewną dozą nieoznaczoności. Chińczycy mogli zmienić kurs, prędkość, pozostałe niszczyciele mogli zawrócić... Dużo niewiadomych.

Porucznik Huxley czuł jednak zaskakujący spokój. Koniec z bezradnością, wreszcie będą mieli okazje na coś się przydać. Po to tu przyleciał. Uśmiechnął się radośnie, czując dygotanie kadłuba wahadłowca. Clansman wbijał się w górne warstwy atmosfery.

Już wkrótce.

* * *

Ból był potworny. Rick bardziej stoczył się, niż zbiegł z niewielkiego wzgórką i wpadł pomiędzy budynki. Opadł na kolana, kiedy tylko wyczuł, że znajduje się za w miarę pewną

osłoną. Dopiero wtedy pozwolił sobie na chwilę postoju i sięgnął ku ranie.

Pocisk trafił go w bok. Kiedy Dunham zdjął zębami rękawicę i wsunął dłoń pod grubą kurtkę, wyczuwał wyraźnie wilgoć krwi. Z jakiegoś powodu nie stracił przytomności – może te wszystkie historie o bieganiu w szoku pomimo ran miały sens. A może to po prostu stymulator? Starając się ignorować dławiący ból, ostrożnie wyjrzał zza osłony. Migotliwe, ostre światło flary przestało się zbliżać. Napastnicy zrezygnowali z pościgu i wrócili do sań, jeden z nich właśnie podnosił porzuconą przez Irlandczyka flarę. Pomimo oświetlenia Rick niewiele mógł zobaczyć z odległości kilkudziesięciu metrów. Jeden rozglądał się z bronią w rękach, drugi podawał broń tym, którzy ciągnęli sanie. Wreszcie machnął ramieniem i kawalkada ruszyła. Ze swojej pozycji Rick nie mógł dostrzec światła w oknie szpitala, ale nie miał najmniejszych wątpliwości, że właśnie tam kierują się obcy. Pomyślał o Siobhan, zakopanej w kocach i czekającej na ojca... Zrobiło mu się zimno w sposób całkiem niepowiązany ze śnieżną zadymką.

Odetchnął ciężko kilka razy i sięgnął po opakowanie stymulatorów. Dozownik dwa razy wypadł mu z zakrwawionej dłoni, ale Dunham w końcu poczuł ciepło i sztuczną siłę mieszanki chemicznej. Ból zniknął jak ręką odjął. Rick podniósł się z klęczek i na próbę przeszedł kilka kroków. Pożyczka, jaką właśnie zaciągał od swojego organizmu, dobrze się spisывała.

Znowu wyjrzał zza osłony. Oświetlana ostrym blaskiem grupa oddalała się od niego, z każdym krokiem przybliżając się do schronienia Siobhan.

Rick nigdy nie myślał o sobie jak o mordercy i sądził, że broń przyda mu się raczej na zwierzęta albo do robienia hałasu. Tym razem jednak nie czuł wahania czy wątpliwości. Założył rękawicę i szybkim ruchem ściągnął karabin z ramienia.

* * *

Clansman szedł niskim ciągiem pod osłoną ciężkich burzowych chmur niemal do samego Joensuu. Huxley nie spodziewał się co prawda aktywności przeciwlotniczej – w końcu Dunham i jego córka nie mieli kontaktu z ludźmi – ale uznał, że lepiej nie kusić losu. Silny wiatr szarpał pancernym kadłubem wahadłowca przez cały lot, a kiedy w końcu zeszli na niski pułap nad miasto, znaleźli się w samym centrum zamieci. Porucznik Huxley z trudem mógł uwierzyć w to, co widział przez monitory zewnętrznych kamer. Fakt, że pod nimi istotnie znajduje się miasto, był w tych warunkach wyłącznie kwestią wiary. Cud, że piloci jakoś potrafili nawigować przy tak niskiej widoczności.

Włączył interkom.

– Spróbujcie znaleźć budynek szpitala... – jeszcze zanim skończył to zdanie, wiedział, że polecenie nie ma sensu. Próbując wypatrzeć jakiegokolwiek punkty orientacyjne przez wirującą śnieg, pokręcił ze zrezygnowaniem głową. – Po prostu zapalcie powierzchniówkę, znajdźcie jakiegokolwiek duży kompleks i siadajcie.

* * *

Czwórka napastników, przekonana, że Dunham już nie wróci, ruszyła po prostu w kierunku widocznego w oddali światła. Nawet nie zgasili flary i w jej ostrym blasku byli widoczni jak na dłoni. Irlandczyk nigdy nie myślał, że będzie zdolny do zabicia człowieka. Aż do dzisiaj. Wystrzelał niemal cały magazynek, dopóki nie zyskał absolutnej pewności, że żaden z obcych już się nie podniesie. Dopiero wtedy podszedł do ciał i zabrał broń. Cała reszta

poczeka, ale karabiny trzeba zanieść do Siobhan.

Po raz kolejny poślizgnął się i przewrócił. Był niemal pewien, że to, iż w ogóle się porusza, zawdzięcza tylko chemii. Ale i ona wkrótce przegra z raną. Przetoczył się na bok i spojrzał na śnieg. Czy mu się wydawało, czy widział czerwoną plamę? Nie, nie mógł przecież tak krwawić cały czas, zabrakłoby mu chyba krwi... Cholerny postrzał, gdyby zbliżył się ostrożniej do przybyszów, wyszedłby z tego bez szwanku. Rick spróbował wstać, podpierając się obiema dłońmi, ale znowu upadł. Karabiny zaklekotały jeden o drugi, kiedy zsunęły mu się z ramienia.

Odkasznął ciężko, ale ku swojemu zaskoczeniu nie poczuł ostrego bólu w płucach. Może po prostu prochy jeszcze działały albo coś mu się poprzestawiało przez tkwiący w ciele pocisk. Z wysiłkiem podniósł głowę. Kiedy wyteżył wzrok poprzez śnieg i latające przed oczami czarne plamy, zdało mu się, że światło w oknie szpitala jest już całkiem blisko. Choć mógł mieć tylko nadzieję, że to nie złudzenie. Może gdyby odpoczął...

Nie, nie mógł sobie pozwolić na takie myślenie.

Musi dotrzeć do córki. Zanieść jej broń. Powiedzieć, żeby nie bała się strzelać. Sprawdzić po raz tysięczny, czy wszystko jest na miejscu. Jeśli dobrze policzył, powinna przetrwać do wiosny, nie wychodząc ze szpitala ani razu. Z zapasami, które dla niej zgromadził, dziennikiem i bronią. Podobno fińskie wiosny są już ciepłe. Potem da sobie radę. Musi tylko zanieść jej broń.

I pożegnać się.

Podniósł karabiny za paski i zrobił kilka chwiejnych kroków naprzód. Tak, to musiał już być szpital! Widział przeszkłone drzwi pod dachem podjazdu dla karettek, widział migotliwy blask świecy w oknie pokoju numer czterdzieści siedem... Przez chwilę Rickowi zdawało się, że dostrzega nawet sylwetkę córki, ale to mogły być figle zmęczonego organizmu.

Jeszcze tylko kilkadziesiąt nieskończenie męczących sekund i przekroczył próg budynku. Dopiero wtedy upadł na podłogę izby przyjęć. Za chwilę będzie mógł zacząć mozolną wspinaczkę po schodach. Usiądzie tu tylko na kilka minut.

Powieki miał ciężkie jak z ołowiu i przyjemnie było na moment odpuścić tytaniczny wysiłek utrzymywania otwartych oczu.

Nie czuł już zimna.

* * *

Trzeba było trafu, żeby spośród trzech odpowiednio dużych budynków wyłapanych przez skaner powierzchniowy wybrali akurat szpital. Teraz grupa Huxleya brnęła poprzez parking kompleksu, a sam porucznik przeklinał brak sprzętu do poruszania się w śniegu.

– Sir – usłyszał w słuchawce. Prowadzący grupę sierżant Koval zatrzymał się i wskazał ramieniem przed siebie. – Zdaje się, że ktoś tu jest.

Huxley zmrużył oczy. W jednym z okien budynku paliło się słabe światło. Porucznik uśmiechnął się pod ochronną maską. A jednak!

– Naprzód, sierżancie – oznajmił radośnie do komunikatora. – Zdaje się, że jednak nie przybyliśmy tu tylko na wycieczkę. Nie strzelać bez rozkazu, przybyliśmy tu po...

Nie zdążył skończyć zdania, kiedy nagły trzask wystrzału przedarł się przez świst wiatru.

– Ogień, przód! – żołnierze padli w głęboki śnieg, ktoś pociągnął Huxleya na ziemię.

Usłyszał kolejny strzał, a potem jeszcze jeden.

– Status? Ktoś ranny? – pytał przez radio sierżant.
– Ogień wylotowy, wejście do budynku – meldował Jensen. – Sylwetka na termo, jest wewnątrz!

– Nie strzelać bez rozkazu! – krzyknął porucznik najgłośniejszym głosem, jak umiał, na chwilę zapominając o komunikatorze. – Tam może być dziecko!

– Jensen, prowadź cel – natychmiast podchwycił Koval. – Słyszałeś dowódcę. Reszta, kontrolować strefy, mogą tu być inni. Meldować status.

– Braun, cały.

– Shane, wszystko w porządku.

Huxley wykorzystał chwilę spokoju, żeby przemyśleć sytuację. To naturalne, że zostali ostrzelani. Szli w ciemności, z bronią, jak bandyci... Grupa ratunkowa pewnie miałaby światło. Sięgnął do kieszeni munduru.

– Sierżancie, idę rozmawiać. Flara za pięć sekund. Nie strzelać.

– Zrozumiałem.

Porucznik odtoczył się nieco dalej od reszty grupy i odpalił flarę. Migotliwe, ostre, białe światło natychmiast wycięło jasny krąg w nocy. Leżący płasko na śniegu żołnierze jakby jeszcze bardziej wcisnęli się w grunt. Huxley wstał, unosząc wysoko rękę z flarą. Zrobił kilka kroków do przodu.

– Nie trzeba się bać... – powiedział, zanim zorientował się, że rozmówca przecież nie ma radia. Zdjął osłaniającą twarz chustę i tym razem krzyknął: – Nie trzeba się bać! Przylecieliśmy na pomoc!

Kątem oka zauważył, że właśnie mija stanowisko Kowala, wysuwając się na czoło swoich ludzi.

– Można wyjść! – krzyknął ponownie w stronę, gdzie widział odczyt termiczny. – Już wszystko w porządku.

Ukryta za masywnym blatem wewnątrz budynku sylwetka podniosła się. Powoli, bez słowa. Przez wzmacniacz obrazu Huxley widział, że nadal jest uzbrojona, niemniej oddział Kowala dobrze pamiętał rozkaz.

– Już w porządku... – powtórzył bardziej do siebie niż do rozbitka, robiąc kilka kroków naprzód.

Zdjął wojskowe gogle. Chyba lepiej, gdy będzie wyglądać jak człowiek.

I wtedy cywil wkroczył w zasięg światła flary.

Pierwszą myślą porucznika Huxleya było to, że Rave miała całkowitą rację.

– Siobhan? – spytał, nawet nie próbując ukryć zaskoczenia. – Jesteś Siobhan?

Milczała.

– Twój ojciec nas wezwał. Przylecieliśmy na pomoc.

Karabin nawet nie drgnął, pewnie trzymany w szczupłych dłoniach. Wiatr rozwiewał jej krótkie, nierówno przycięte kosmyki włosów, które wystawały spod czapki. Ostre światło flary sprawiało, że zielone oczy lśniły jakby własnym blaskiem. Irlandka tak podręcznikowa, jak tylko się dało. Właściwie była dokładnie taka, jak ją sobie wyobrażał. A zarazem zupełnie inna. Przez chwilę stali w bezruchu naprzeciwko siebie: obwieszony ekwipunkiem wojskowy i młoda, może szesnastoletnia dziewczyna–rozbitka, odziana w kombinowany strój złożony z tego, co znalazła przez lata samotnego życia na rumowisku cywilizacji, jakim stała się Ziemia.

Wreszcie powoli kiwnęła głową.

Katarzyna Rupiewicz

– laureatka Olimpiady Literatury i Języka Polskiego, ukończyła studia na kierunkach: język francuski, socjologia reklamy i administracja Linuxem. Jak przystało na prawdziwego humanistę, pracuje w branży IT. Interesuje ją literatura rozrywkowa. Kiedy opowiada historię, po pierwsze chce bawić. Po drugie, patrz punkt pierwszy.

AQUARTA

– Odsuwają mnie od sprawy! – krzyknęłam, nie mogąc ukryć zdenerwowania.

– Tego nie powiedziałem – zaprzeczył komendant.

– Powiedziałeś, że przysyłają Aquartę.

– Owszem, ale chcą, żebyś była jego opiekunką.

– Opiekunką? – powtórzyłam.

W tym kontekście słowo brzmiało tak absurdalnie, że usiadłam w fotelu naprzeciwko szefa.

– Tak napisali – powiedział, wyciągając z pliku czytników służbowy komputer.

– I co to, do cholery, znaczy? Mam mu zakładać śliniaczek i karmić łyżeczką?

– Nie wiem, ale podejrzewam, że do seryjnego mordercy centrala przyśle jeden z lepszych okazów i pewnie wolą, żeby im się nie uszkodził.

W sumie dostałam odpowiedzialne zadanie. Byle komu by go nie powierzyli – a mimo to prychnęłam. Wstałam, udając obrażoną.

– Jeszcze jedno, Annabel. – Szef zatrzymał mnie, zanim wyszłam. – Rządy ładują grubą kasę w zwiększenie społecznej akceptacji Aquartów. Jeśli przyślą faceta, którego faktycznie trzeba karmić łyżeczką, przyjdź z tym do mnie. Żadnych plotek z kolegami.

Skinęłam głową. A więc zadanie było odpowiedzialne i tajne. Złość stopniowo ustępowała miejsca ciekawości. Nigdy wcześniej nie rozmawiałam z Aquartą. Nie wiedziałam, ile z tego, co o nich mówią, mogło być prawdą.

Zastanawialiście się kiedyś, jacy będą ludzie przyszłości? Szybsi? Silniejsi? Mądrzejsi od nas? Aquarci nie posiadali żadnej z tych cech. Nie byli szczególnie wytrzymali i gdyby nie postęp medycyny, ich rany goiłyby się wolniej niż nasze. Ewolucja lub – jak twierdzą niektórzy – genetyka rozwinęła w nich tylko te cechy, które uznała za najbardziej użyteczne we współczesnym świecie. Potrafili świadomie odbierać znacznie większą ilość bodźców z otoczenia. Ich pamięć była bardziej pojemna, wzrosło tempo selekcjonowania i przyswajania informacji. Rozwinęły się też umiejętności, które naukowcy nazywali elastycznością i logiką nieliniową.

Dlaczego w takim razie powiedziałam, że nie byli mądrzejsi? Podobno przypominali prawdziwych geniuszy. Bili nas na głowę w rozwiązywaniu testów, ale w zwyczajnych, życiowych sytuacjach stawali się bezradni jak dzieci. Tak głośno plotki. Na co dzień widywaliśmy ich tylko kiedy wsiadali do drogich samochodów lub pojawiali się na stronach dużych portali. Nie wyglądali wtedy na nieporadnych.

Oficjalnie urodzili się sami, jako następne stadium w procesie ewolucji. Ja zaś oficjalnie

miałam naturalne piersi i niepoprawiony nos. W obu przypadkach niektórzy w to wierzyli, a inni nie. Podejrzewam, że i ja, i rząd reagowaliśmy jednakowo obojętnie, chociaż tych, którzy wierzyli, pewnie lubiliśmy bardziej.

Jeszcze dwadzieścia lat temu utrzymywano, że Aquarci nie różnią się od nas aż tak bardzo. W szkole, a potem na studiach myślałam, że ciężką pracą mogę nadrobić to, co oni zyskali przez urodzenie. Myliłam się. Byli od nas lepsi. Tworzyli piękniejszą sztukę, dokonywali większych odkryć w nauce i szybciej rozwiązywali sprawy o morderstwo.

* * *

– Więc to prawda? Dostaniesz Aquartę? – spytała Sali dostatecznie głośno, by każdy w *open space* komisariatu ją usłyszał.

– Chyba raczej on dostanie mnie – odparłam, starając się wzruszyć obojętnie ramionami.

– Musisz koniecznie zaciągnąć go do łóżka. Podobno są świetnymi kochankami – emocjonowała się koleżanka, oczywiście nie zniżając głosu nawet o pół tonu.

– Jasne, powiem: „Cześć, mam na imię Annabel. Skoro już się znamy, to może mnie przelecisz?”.

– An, ja cię znam od pięciu lat i mam dzisiaj wolny wieczór! – krzyknął Dan z drugiego rzędu biurek.

Ponieważ kilka osób się zaśmiało, odwróciłam się i spojrzałam na niego z politowaniem. Dokładnie rzecz biorąc, było to politowanie z odrobiną pogardy, a także pewną dozą lekceważenia. Wiem, co mówię. Ćwiczyłam to latami.

Wszyscy wrócili do swoich zajęć, tylko Dan zdołał zachować głupkowaty uśmiech na twarzy. Najwyraźniej pięć lat wystarczyło, by uodpornił się na moje starannie wypracowane spojrzenie.

– A wiecie, ilu Aquartów potrzeba do wymiany żarówki? – zawołał.

Jeżeli lubicie, gdy po usłyszeniu dowcipu nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać, Dan jest spełnieniem waszych marzeń. Jeśli zaś tego nie lubicie, naszemu koledze bynajmniej to nie będzie przeszkadzało. Bycie swoim największym fanem zawsze mu wystarczyło.

– Trzech – odpowiedział sam sobie. – Jeden konstruuje superwydajną i ekologiczną żarówkę, drugi supernowoczesnego robota do jej wymiany, a trzeci pyta ludzi, o którą żarówkę właściwie chodzi.

Zgadnijcie, ile osób się śmiało.

– Ostrożnie z takimi żartami, gość może już tu być – mruknęła Stephanie.

– Bez przesady, nawet oni nie działają tak szybko – odparłam.

Macie czasem wrażenie, że ludzie stoją pod drzwiami i czekają na najmniej odpowiednią chwilę, żeby wejść? Mnie zdarza się to bez przerwy. Nie muszę chyba dodawać, że drzwi się rozsunęły, nim zamknęłam usta po wypowiedzeniu ostatniej sylaby.

Do środka wszedł młody mężczyzna w drogim garniturze z najnowszej kolekcji. Gdyby pojawił się w każdym innym momencie, pomyślałabym, że to prawnik, yuppie, któremu skonfiskowaliśmy samochód za zbyt duże zużycie energii elektrycznej, lub dziennikarz znanego portalu, przyciągnięty zapachem świeżej krwi. Ponieważ jednak wszedł właśnie teraz, nie miałam wątpliwości, że to Aquarta.

Wyglądał dosyć normalnie, był średniego wzrostu i średniej postury. Powiedziałabym, że trochę za drobny jak na moje standardy. Zadbany oczywiście bardziej niż moi koledzy, ale nie

jakiś szalenie przystojny. A może to tylko ja spodziewałam się gościa wyjątego wprost z layoutu Vistuli?

Nie wiem, czy przeglądał służbowe akta, czy profil na Glambooku, ale bez wahania podszedł do mojego biurka.

– Witaj, Annabel, jestem DiGabriel.

Wszyscy Aquarci nosili takie złożone imiona. Moda szybko się upowszechniła, bo rodzice wierzyli, że nazywając w ten sposób normalne dzieci, zapewnią im lepszy start w życiu. Czasem tylko wychodziły z tego kwiatki typu CiPaul lub liczna grupa różnych BiThomasów i BiMonik.

– Hmm, miło mi. Zaprowadzę cię do biura komendanta – powiedziałam, wstając.

Zerknął znacząco w kierunku szklanych drzwi, które w każdym komisariacie znajdowały się dokładnie w tym samym miejscu. Pewnie chciał przez to powiedzieć, że sam też by trafił. No ale nie powiedział, a ja potrafiłam być dostatecznie bezczelna, żeby zignorować spojrzenie.

Ruszyliśmy, klucząc pomiędzy biurkami, odprowadzani wzrokiem każdej mijanej osoby. Jak na tak niepozornego faceta przyciągał większą uwagę niż narciarz w aquaparku. Nic sobie z tego nie robił, więc ja też korzystałam z okazji, żeby się na niego pogapić. Miał ładne włosy. Prawdopodobnie zagęszczone, ale nie jestem pewna, czy farbowane – ciepły brąz wyglądał bardzo naturalnie. Za to zieleń oczu na pewno nie była jego, a w każdym razie nie ten odcień. Ponieważ sama nie urodziłam się niebieskooką blondynką, soczewki poznaję z każdej odległości.

Doszliśmy do drzwi i od razu zgrzyt – Aquarta przepuścił mnie pierwszą. Był ostatnią osobą, którą podejrzewałabym o takie seksistowskie zwyczaje.

Komendant musiał widzieć nas z daleka, bo siedział sztywno ze służbowym laptopem w rękę. Kinecty do gry, prywatne czytniki i niezliczona ilość ekologicznych opakowań po izotonikach zniknęły gdzieś w przepastnych szufladach.

– Nazywam się DiGabriel i miło mi będzie z tobą współpracować, Jake – powiedział Aquarta, siadając po przeciwnej stronie biurka.

Usiadłam obok. W końcu to wciąż było moje śledztwo.

– Bardzo się cieszymy z twojego przyjazdu – odparł komendant (Mów za siebie, dodałam w myślach). – Mamy tu sprawę jak z dwuwymiarowego filmu. Ofiary łączyło tylko to, że były młodymi, pięknymi kobietami. Morderca okaleczył je przed śmiercią, ale nie znaleźliśmy śladów przemocy seksualnej...

– Przepraszam, czy zamierzasz powiedzieć mi coś, czego nie mogłem dowiedzieć się z dokumentów zamieszczonych w policyjnym intranecie? – spytał DiGabriel.

A więc jednak dupek, pomyślałam z satysfakcją. Komendant umilkł na chwilę, speszony. Zająknął się kilka razy, nim znalazł odpowiedź.

– Nie, oczywiście, że nie. Zamieściliśmy na YouTube nagrania z miejsc zbrodni i sekcji poszczególnych ofiar. Mogę podać ci hasła dostępu.

Aquarta zaśmiał się szyderczo. No, może trochę przesadziłam. W zasadzie to zachichotał, ale nie lubię tego słowa i nigdy nie wiem, czy dobrze je wkleiłam.

– Mam hasła – powiedział – ale chętnie obejrzę mieszkanie i ciało ostatniej ofiary. Zawieszysz mnie, Annabel?

Co za dupek, pomyślałam, tym razem z lekkim zaskoczeniem. Robił idiotę z komendanta, i to w mojej obecności. Nie mówię, że mnie się nigdy nie zdarzyło robić z szefa idioty, ale nie

przy innych. Są jakieś zasady dobrego wychowania.

– Oczywiście, że Annabel cię zawiezie. – Szef docenił moje grzecznościowe milczenie. – Nie sądzę jednak, żebyś znalazł coś więcej, niż jest w dokumentach. Nawet detektory DNA niczego nie wykryły.

Aquarta spojrzał na komendanta z politowaniem. A dokładnej rzecz biorąc, było to politowanie zmieszane z poczuciem wyższości i odrobiną lekceważenia lub może nawet lekceważącego uśmiechu. Ciekawe, czy to efekt długich ćwiczeń, czy kolejny wrodzony dar.

* * *

– Masz kartę? – spytał, gdy podeszliśmy do drzwi mieszkalnego wieżowca.

A gdybym nie miała, to co? Wrócilibyśmy na komisariat po dwóch godzinach przedzierania się przez zakorkowane centrum miasta?

Posłusznie wyciągnęłam kartę i zbliżyłam ją do czytnika przy wejściu. I tak powinnam się cieszyć. Mój Aquarta odezwał się właśnie po raz pierwszy od czasu rozmowy w biurze komendanta.

Przeszliśmy przez korytarz, odprowadzeni bezmyślnym spojrzeniem ruchomej kamery.

– We wszystkich przypadkach monitoring nikogo nie zarejestrował. Ani ten w środku, ani na zewnątrz – przesunęłam kartę przed panelem windy. – Morderca używa wysokiej klasy podróbek kart uniwersalnych. Za każdym razem innej.

DiGabriel spojrzał na mnie niewidzącym wzrokiem, jakby zaskoczony tym, że w ogóle się odezwałam. Z ruchu jego warg mogłam odczytać bezgłośnie „wiem”. Nie byłam pewna, czy wolę wyjść na idiotkę, mówiąc mu rzeczy oczywiste, czy zwariować od ciszy.

– Mów dalej – powiedział, znowu przepuszczając mnie pierwszą przy wyjściu z windy.

Gdyby kazał mi się zamknąć, mogłabym go chociaż opieprzyć. Wiecie jednak, jak to jest, gdy ktoś wam przerywa tylko po to, żeby powiedzieć „mów dalej”. Mnie od razu staje przed oczami scena w gabinecie psychiatry: „Doktorze, wczoraj śnił mi się niebieski ptak ćwierkający w rytmie techno”. „Rozumiem, mów dalej”.

Tak więc speszyłam się i zamilkłam. To znaczy teraz, nie w gabinecie psychiatry.

Doszliśmy do drzwi z pozoru nieróżniących się od pozostałych. Kilka lat temu lobby rynku nieruchomości stoczyło prawdziwą wojnę o usunięcie taśm policyjnych z domów i mieszkań, w których popełniono morderstwa. Agenci nieruchomości udowodnili, że takie taśmy utrwalają niekorzystny wizerunek mieszkania w oczach potencjalnych nabywców i zmuszają do znacznego obniżenia ceny.

W ramach wypracowanego wtedy kompromisu policjanci zaczęli umieszczać na drzwiach dyskretne tabliczki z nazwiskiem *L. Palmer*. Oczywiście każdy mógł sprawdzić w Wikipedii, co to oznacza, ale po pierwsze, nie każdy chciał, a po drugie, i tak pozostawiało to mniejsze ślady w psychice konsumenta niż wielka wyklejanka z pomarańczowej folii.

Tuż za progiem ekipa zostawiła dystrybutor z jednorazowymi nakładkami na buty, długimi rękawiczkami i nietwarzowymi czepkami na włosy. Musieliśmy to wszystko założyć, aby ograniczyć ilość pozostawionych śladów DNA. Tak jak w przypadku dwudziestowiecznych prezerwatyw nie było to stuprocentowe zabezpieczenie, ale zawsze coś.

Minęliśmy fioletowo-żółty salon, by wejść do sypialni z trójwymiarowym widokiem na góry za oknem. Z ramy modnego w tym sezonie łóżka w stylu retro wciąż zwisały kajdanki. Analizę pościeli przeprowadzono na miejscu, więc pomijając brak ciała dziewczyny,

wszystko wyglądało zupełnie jak trzy dni temu. Tylko zaschnięta krew ściemniała i miała teraz kolor zbliżony do moich nowych zasłon.

Fuj, chyba będę musiała je wyrzucić.

DiGabriel usiadł na brzegu łóżka i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w miejsce, w którym znajdowała się wcześniej głowa ofiary. Tam krwi było najwięcej. Potem spojrzał w bok. Duża tafla lustra pokrywała ściankę oddzielającą część łazienkową od sypialni. Pajęczyna pęknięć dzieliła odbicie Aquarty na kilkadziesiąt części.

– Dlaczego morderca zbił lustro? Wcześniej tego nie robił – zauważył.

Na Google'a, facet odezwał się, nie będąc do tego absolutnie zmuszonym! A już myślałam, że adres hotelu będzie jedyną rzeczą, jaką usłyszę dzisiaj z jego aquarckich ust.

– Gość widział siebie pochylonego nad ofiarą i nie wyrobił. Widocznie jest paskudny – po raz pierwszy dostrzegłam w oczach DiGabriela przejaw zainteresowania tym, co mówię. – No wiesz, jeden z tych przerośniętych chłopców, którym mamusia od dziecka powtarzała, że są ładni i mądrzy. Potem dorastają i odkrywają, że nie wyhaczą żadnej laski na najnowszy model PlayStation.

– To dosyć barwny portret psychologiczny. Nie wiem tylko, jak często tacy ludzie popełniają perfekcyjne zbrodnie?

Myślałam, że ze mnie drwi, ale nic na to nie wskazywało. Najwyraźniej pytał zupełnie poważnie.

– A co mają innego do roboty? Jak facet siedzi sam dzień i noc, to i morderstwo może dobrze zaplanować.

Aquarta wstał. Podszedł jeszcze do lustra, by przejechać po pęknięciach dłonią uwięzioną w śliskim tworzywie rękawiczki.

– Może i tak – mruknął, wychodząc z sypialni.

Przyznał mi rację czy zrobił ze mnie kretynkę? Nie wiem, ale właśnie postanowiłam nie przyjmować jego zaproszenia do sieci znajomych.

* * *

– Chcecie zobaczyć wszystkie cztery ciała? – spytał patolog.

– Tak – odparł Aquarta.

Yeeee! Znowu zaszczycił mnie brzmieniem swego głosu. Może powinnam robić meksykańską falę za każdym razem, gdy się odezwie? Tak, wiem, mówi się „stadionową”. Choć za trojana nie wiem, dlaczego meksykańska fala jest dyskryminująca, a na przykład francuskie frytki nie są.

– Pewnie widziałeś już taki sprzęt, ale w mniejszych miastach to rzadkość – patolog otwierał po kolei kapsuły. – Trup sprzed miesiąca wygląda jak świeży.

Lekarz chyba za dużo czasu spędził, grając w symulacje 5D. Wyobrażacie sobie slogan reklamujący miasto: „Jak dać się zabić, to tylko u nas”? Chociaż przyznaję, że od czasu zainstalowania nowych szuflad czułam się w kostnicy jak na statku kosmicznym. Kapsuły wysunęły się bezgłośnie. Uwięzione w nich kosmonautki miały poranione ciała, zmasakrowane twarze i zlepione zakrzepłą krwią włosy. Zupełnie jakbyśmy grali w setnym remake'u *Obcego*.

Dopiero przy trzeciej ofierze udało nam się ustalić narzędzie zbrodni. Nikt już nie używał takich noży. Staromodne tytanowe ostrze i drewniana rączka – morderca musiał kupić go na

eBayu, w dziale staroci. Próbowaliśmy wysledzić transakcję. Bezskutecznie.

DiGabriel przeszedł pomiędzy ciałami, nie poświęcając większej uwagi żadnej z dziewcząt. Minął ostatnią szufladę, powiedział „dzięki” (meks... to znaczy stadionowa fala), odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Patolog miał minę, jakby ktoś mu zamieścił na profilu nagie zdjęcia żony. Ja już prawie się nie zdziwiłam i poszłam grzecznie za swoim ulubionym Aquartą. Znalazłam go przy samochodzie. Obserwował tłum ludzi płynący po ulicy. A może gapił się bezmyślnie przed siebie? Bez słowa (a jakżeby inaczej) wszedł do środka i dopiero gdy położyłam dłonie na panelu sterującym, podał mi adres hotelu.

Kątem oka zauważyłam, że wyciąga elegancki futerał z xanaxem. Dobrze wiedziałam, co to jest. Sama wzięłam tylko kilka razy na studiach, ale połowa moich koleżanek nie mogła przeżyć dnia bez nowej dawki. Odwróciłam głowę, lekko zażenowana. Sama nie wiem, czy tym, że tak surowo go oceniłam, czy że przytapałam na braniu leków uspokajających.

Zdażył pochwycić moje spojrzenie.

– Wiesz, mnie też jest czasem trudno – wyjąkałam. – Młode, ładne dziewczyny i tak okaleczone...

– Nie chodzi o zwłoki. Stresuje mnie twoja obecność – nie patrzył na mnie, tylko na obracany w dłoniach futerał z tabletkami. – Nienawidzisz mnie, a im bardziej się złościsz, tym trudniej mi z tobą rozmawiać. I tak nie jestem dobry w grzecznościowych pogawędkach. Wiem, że mogłem ci się wydać zbyt zarozumiały. Ironia losu: podobno potrafimy tak szybko myśleć, a ja nigdy nie zdążę się zastanowić, nim powiem coś, czego potem żałuję.

Yyy?! Teraz to ja się poczułam, jakbym znalazła na profilu swoje nagie zdjęcia, i to w towarzystwie wszystkich kolegów z pracy. Tak, Dana też.

– Przepraszam, nie chciałem cię wprawić w zakłopotanie – powiedział. – Uczono nas, żeby mówić o swoich uczuciach.

– Nie no, jasne. Spoko. To znaczy dobrze, że o tym wspominasz. Ja też nie chciałam być wredną suką i nie musimy rozmawiać o pogodzie ani o najnowszym procesorze Intela. Ciska mi nie przeszkadza – wyrzuciłam z siebie na jednym oddechu.

– Chcę, żebyś wiedziała, że bez ciebie nie rozwiążę tej sprawy.

O żeż „zasługująca na szacunek profesja” mać. Ostatnio tak się czułam po przejściu dziewiątej wersji Dragon Age.

Przez całą drogę uśmiechałam się do niego głupkowato, żeby nie pomyślał, że milczenie mi przeszkadza. To znaczy nadal przeszkadzało, ale teraz nawet nie wypadało o tym myśleć.

Podjechaliśmy pod najlepszy hotel w mieście. Aquarta spojrzał na mnie nieśmiało.

– Czy mogłabyś jutro założyć sukienkę? – wypalił.

– Że *what the fuck*, proszę?

– Przepraszam, nie chciałem, żeby to zabrzmiało tak szowinistycznie. Jutro odwiedzimy kilka miejsc, które może obserwować morderca. Nie powinniśmy wyglądać na policjantów.

Ach, no tak! Miejsca obserwowane przez mordercę. Przecież to jasne jak instrukcja składania mebli z Ikei.

– Przyślę ci VMS-em adresy i jutro opowiem o wszystkim, do czego doszedłem – powiedział, wysiadając.

– Od ilu godzin zajmujesz się tą sprawą? – spytałam.

Ja po kilku tygodniach nie miałam wiele do opowiadania.

– Jestem z tobą od pierwszego morderstwa. Cieszę się, że spotkaliśmy się osobiście –

oświadczył i zniknął za otwieranymi automatycznie drzwiami.

* * *

– Ładnie dzisiaj wyglądasz. Mam nadzieję, że nie uznasz tego za molestowanie.

– Spoko, ja też bym cię teraz chętnie przeleciała – odparłam pół żartem, pół serio.

Miał klasyczne biodrówki, krótki amarantowy golf i najbardziej zajebiste kości biodrowe, jakie kiedykolwiek widziałam u faceta. No, może żartowałam w czterech siódmych.

Jedliśmy śniadanie w wypaśnej kawiarni, gdzie nawet na ciastkach lukruje się logo firmy.

– Trochę zaskoczyła mnie twoja lista – powiedziałam, zagryzając kawę jadalnym kubkiem.

– Na przykład dlaczego właśnie tutaj spodziewasz się mordercy?

– Obejrzałem ostatni dzień każdej z ofiar. Przy pierwszej cofnąłem się nawet tydzień...

– A mógłbyś bardziej łopatologicznie? No wiesz, jak na kursie online. Jak się ogląda czyjś tydzień?

– Wystarczą pliki z monitoringu miejskiego. Pierwsze aplikacje do rozpoznawania twarzy istniały już pod koniec XX wieku. Dzisiaj za pomocą średniej jakości domowego serwera można śledzić kogoś od wyjścia z domu aż do powrotu. Wy zamiast tego sprawdziliście odczyty z kart płatniczych, wejściowych i parkingowych. Do jakich wniosków doszliście?

– Nic tych dziewczyn nie łączyło. Były w tym samym wieku, więc każda umawiała się z facetami, jadała na mieście, robiła zakupy. Nie znaleźliśmy jednak miejsca, w którym mogłyby się kiedykolwiek spotkać.

– Właśnie, dlatego na liście są lokale, w których żadna z nich nie była ostatniego dnia – powiedział, zerkając na przyczepioną do paznokcia cienką powłokę zegarka.

Wczoraj go nie założył. Takiego cacka bym nie przeoczyła.

– Skąd wiesz, że to tylko ostatni dzień? Może morderca obserwował je od lat?

– System monitoringu zarejestrowałby nietypową aktywność takiej osoby. Zabójca miał szczególnie dopracowany schemat zbrodni, ale o wyborze ofiary decydował w ostatniej chwili.

Skinęłam głową. Ciekawe, czy DiGabriel ma założone konto na portalu www.telepata.com? A jeśli taka stronka nie istnieje, to trzeba specjalnie dla niego utworzyć. Trzymałam jednak język za zębami. Skoro facet przez noc załadował sobie jakiegoś upgrade'a i zaczął mówić, to nie zamierzałam tego zaprzepaścić.

* * *

– Jak ominął kamery?

– Żadna ulica nie jest rejestrowana w stu procentach. Przeszedł tak, żeby go nie uchwyciły.

– Po prostu? I to jest rozwiązanie największej zagadki od czasu zamachu na tego, no, prezydenta na K... – muszę chyba powtórzyć historię XX wieku.

– Wcale nie powiedziałem, że to proste. W przeciwnym razie takie sztuczki byłyby na porządku dziennym. Zastanów się, kto mógłby tego dokonać?

Szliśmy przez park położony na dachu dużego centrum biznesowego połączonego z halą konferencyjno-widowiskową. Stadka i pojedyncze sztuki młodych yuppie z laptopami w rękę udawały, że pracują na świeżym powietrzu. Faceci żywcem wyjęci ze strony głównej Business Magazine posyłali mi wiele mówiące spojrzenia. Gdybym była sama, pewnie nie skończyłoby się na patrzeniu. Tak, już wiem, gdzie muszę się przejechać w czasie wolnym od pracy.

DiGabriela też niektórzy i niektóre odprawdzali wiele mówiącymi spojrzeniami. On jednak zdawał się nie zauważać ich zainteresowania. A tak, chyba o coś mnie pytał.

Kto może przejść pomiędzy kamerami? Ktoś, kto zna ich rozkład, czyli każdy. Istniały przecież Google Maps z naniesionymi sieciami monitoringu. Wszyscy wiedzą, gdzie są kamery, a mało kto wie...

– Co dokładnie filmują! – krzyknęłam. Jeśli Aquarta nie jest jednak telepatą, to moje odkrycie musiało brzmieć naprawdę głupio. – Eee, chciałam powiedzieć, że to ludzie, którzy pracują w monitoringu.

– Nieźle, ale mamy jeszcze problem kart wejściowych. Moim zdaniem morderca nie użył czterech różnych podróbek. Miał jedną kartę generującą dynamicznie zmienne kody.

– Dlaczego nigdy o czymś takim nie słyszałam?

– Bo im mniej osób o nich wie, tym mniej próbuje je kopiować.

– Czyli istnieje grupa osób zatrudnionych w monitoringu, które mają takie karty?

– Niemożliwe do zidentyfikowania klucze do wszystkich drzwi? – spojrzał na mnie znacząco. – Nie, nawet pracownicy monitoringu nie mają ich na wyposażeniu. Te karty są nielegalne. Należałoby raczej zapytać, jaka grupa ma dostęp do rejestrów kamer i do nazwisk wysokiej klasy fałszerzy?

Podeszliśmy do szyby biegnącej dookoła parku wzdłuż linii dachu. Yuppie to prawie tak wrażliwe stworzonka jak Aquarci. Od czasu do czasu miewają swoje wysoki, a przy tej wysokości raczej nie wróciliby do pracy po przerwie na lunch.

– Skończ z tym egzaminem – poprosiłam, zmęczona kolejną próbą zrobienia ze mnie blondynki. – Nie zadawaj pytań, na które znasz odpowiedź.

Obserwowałam przymgloną panoramę miasta. Bywałam w takich miejscach setki razy, a jednak ten widok zawsze miał w sobie coś *glamour*. W odbiciu szyby zauważyłam, że DiGabriel sięga po swój xanax. No to narobiłam... Zaraz wysiadzie mu zestaw głośnomówiący i będę miała kolejny odcinek serialu *Wielka cisza*.

– Sorry, ja...

– Nie twoja wina – przerwał mi natychmiast. – Stresuje mnie to śledztwo. Jeszcze nigdy nie prowadziłem tak długo sprawy. Mam każdy piksel układanki, a wciąż nie widzę całego obrazu. Najbardziej boję się tego, że nie zapobiegnę śmierci piątej dziewczyny.

Znowu przełączył się na tryb zwierzeń. To bardzo miłe, szkoda tylko, że ja nigdy nie byłam dobra w takich uczuciowych gadkach. Co mam niby teraz zrobić? Przytulić go? Powiedzieć: „Wrzuć na luz i włącz opcję ekonomiczną”?

– No więc jaka grupa ma monitoring i fałszerzy?

– To akurat powinnaś wiedzieć, przecież do niej należysz – odparł z chłopięcym uśmiechem.

Pieprzony koń trojański! Z jednej strony robi minę zbitego psiaka, a z drugiej wbija ci laser w plecy.

– Sformatuj sobie mózg! Nie pomogę ci zrzucić winy na policjanta! – krzyknęłam.

Odwróciłam się i ruszyłam szybkim krokiem do windy. DiGabriel pobiegł za mną.

– Annabel! Przecież nie powiedziałem, że to policjant. Chodziło mi tylko o to, że jest bardziej prawdopodobne, że to pracownik monitoringu niż zwykły członek wspólnoty obywatelskiej, i bardziej prawdopodobne, że to policjant niż pracownik monitoringu.

– Wybacz, IQuszu, ale ja nie dostrzegam wielkiej różnicy – warknęłam.

Niestety zdążył wsiąść ze mną do windy. Zapanowała znajoma cisza, trochę tylko bardziej

wkurwiająca niż wczoraj.

– Obiecuję, że nie będziemy udowadniaли winy żadnemu policjantowi, OK?

Założyłam ręce na piersi i zrobiłam naburmuszoną minę. W gruncie rzeczy jednak chciało mi się śmiać. Kto by pomyślał, że tak łatwo nim manipulować? No, kolego Aquarto, od tej pory będziesz tańczył, jak ci zagram.

– Możesz mi jeszcze powiedzieć, po co cały dzień dylamy po miejscach z listy? Jeśli morderca obserwuje je za pośrednictwem miejskich kamer, to i tak go nie spotkamy.

– Masz rację – westchnął zrezygnowany.

Myślicie, że przegnę, jeśli poproszę, żeby to powtórzył? Chętnie nagrałabym sobie taki sygnał powitania w mieszkaniu.

Winda zatrzymała się na „-5” i wyszliśmy na parking.

– Może liczysz, że morderca się na mnie skusi? Nie wiem tylko, jaka jest szansa, że będzie patrzył na obraz z danej kamery akurat wtedy, gdy znajdę się w jej zasięgu?

– Niewielka, poza tym on raczej nie zechce policjantki.

– A już myślałam, że twoim zdaniem nie jestem dla niego dostatecznie ładna.

– Nigdy by mi to nie przyszło do głowy – wymamrotał DiGabriel, idąc za mną posłusznie do samochodu.

Ciężka sprawa z tym równouprawnieniem. Nie wiadomo, jak wyciągnąć od faceta komplement tak, żeby nie dać mu samczej satysfakcji z jego wygłoszenia.

* * *

– Nie opowiadałeś mi jeszcze, jak ominął kamerę na korytarzu – mruknęłam zrezygnowana.

Straciłam już nadzieję, że podczas tej niby prywatnej kolacji pojawi się temat niezwiązany z pracą. W sumie nie powinnam narzekać. DiGabriel wybrał elegancką i drogą restaurację. Przyszedł w obcisłych spodniach i marynarce założonej bezpośrednio na świeżo opalony tors. Wyglądał prawie tak dobrze jak ja w krótkiej czarnej sukience z mikrodiodami imitującymi nocne niebo.

Niestety od godziny siedzieliśmy w ciszy przerywanej tylko składanymi zamówieniami.

– To względnie proste – wyraźnie się ożywił. – Morderca szedł, przesuwając przed sobą trójwymiarowy ekran. Odtwarzał na nim obraz korytarza z kamery. Taka sztuczka wymaga bardzo dużej synchronizacji. Ekran musi poruszać się dokładnie w tym samym tempie co obiektyw. Zawsze jednak na brzegach ekranu będzie różnica kilkuset nanopikseli.

– Niczego nie zauważyliśmy.

– Bo ludzkie oko nie jest w stanie tego wychwycić.

Mmm, „ludzkie” – jak to brzmi w jego ustach, jak na filmach o Obcych. Aż spojrzałam w te piękne zielone oczy. Wysokiej klasy soczewki, ale co kryło się pod spodem? Trójkątne źrenice, czerwone tęczęwki? Swoją drogą te drugie były modne trzy lata temu. No, ale ścigało się je po powrocie z imprezy. To zupełnie co innego niż mieć takie na stałe.

– Dlaczego zostałeś policjantem?

Sama nie wiem, czy miałam nadzieję, że gdzieś tam w głębi kryje się normalny człowiek, czy może właśnie niezwykle nieczłowiek.

– Z testów wynikało, że do tego mam największe predyspozycje.

Nadzieja – natrętna infekcja, na którą nie wynaleziono skutecznych przeciwciał.

– A nie chciałeś nigdy być kimś innym? – spytałam w akcie desperacji.

– Zarządzanie kapitałem wirtualnym jest bardzo ciekawe, ale nie radziłbym sobie tak dobrze jak Aquarci z wrodzonymi predyspozycjami do tej dziedziny.

OK. Ktoś wie, gdzie tu jest przycisk „zakończ grę”?

– Dlaczego detektory DNA niczego nie wykazały? – temat pracy nie wydawał mi się już taki przerażający.

– Nie wiem – zarumienił się lekko.

Ostatnie, czego się spodziewałam. Znow zapadła cisza. Mój Aquarta posmutniał. Nawet tak mało uczuciowa osoba jak ja miała ochotę go pocieszyć. Pewnie dlatego, gdy godzinę później wydukał wreszcie nieśmiało „Wejdiesz na drinka?”, heroicznie powiedziałam „Tak”. DiGabriel mało nie zapadł się pod ziemię. W holu hotelu, windzie i na korytarzu nie tylko się nie odezwał – nawet nie spojrzął w moim kierunku!

Jeśli do tej pory miałam nadzieję, że w plotkach o seksualnych umiejętnościach Aquartów jest choćby bit prawdy, to właśnie ją straciłam. Mogłam tylko po cichu liczyć na próbę alarmu przeciwpożarowego i szansę ucieczki w ostatniej chwili.

Weszliśmy do dużego salonu. Drewnopodobna podłoga, holograficzne ściany, panoramiczne okno z opcją powiększania wybranych fragmentów widoku. Niezły mają budżet. Ciekawe, jaki pokój ja bym dostała, gdybym pojechała na akcję do innego miasta?

– Czego się napijesz?

– Czerwonego wina.

Podeszłam do okna. W nocy panorama miasta była jeszcze bardziej *glamour*. Oby tylko najbliższe godziny minęły jakoś bezboleśnie.

Poczułam chłód kieliszka w ręku i ciepło oddechu na szyi.

– Nie odwracaj się – wyszeptał.

Nie wiem, co się stało później z kieliszkiem. Czy upuściłam go w filmowym geście, rozlewając wino na drewnopodobną podłogę? A może DiGabriel niepostrzeżenie wyjął szkło z mojej dłoni? Tak wiele było chwil, gdy i tak bym tego nie zauważyła?

Myślałam, że nie będę żałowała, nawet gdyby wszyscy mieli się dowiedzieć. Plotki koleżanek, krzywe spojrzenia szefa – drobiazgi; ta noc wydawała mi się warta każdej ceny. Może to i lepiej, że przynajmniej przez kilka godzin nie wiedziałam, jak drogo przyjdzie mi za nią zapłacić.

* * *

– Przepraszam, nie chciałem cię obudzić.

– I tak już nie spałam.

– Zamówiłem śniadanie na dziewiątą. Jeśli to za wcześnie...

– Nie, nie, spoko.

Zniknął za drzwiami. Myślałam, że po wspólnej nocy mój Aquarta zmieni się w neomacho albo chociaż w sympatycznego metroseksualistę. Niestety nie zmienił się, nawet odrobinę. Powoli traciłam do niego cierpliwość. Jak taka sierota może być lepszym kochankiem niż wirtualny James Bond z *Licencji na zadowalanie*? Nie żebym grała w tę symulację...

Rozejrzałam się po sypialni. Tutaj akurat spędziłyśmy najmniej czasu. Wszystko wskazywało na to, że DiGabriel nawet ze mną nie spał w dosłownym znaczeniu tego słowa.

Niechętnie zwlokłam się z łóżka. Dziewiątą. Gdzie mu się tak spieszy? Nadają powtórkę milionowego odcinka *Mody na sukces* czy jak? A może moja obecność tak go stresuje, że

zdążył już przekroczyć dopuszczalną dawkę xanaxu? Oczywiście jeśli dżentelmeni w ogóle biorą przed dziewiątą.

Weszłam do łazienki i zapanowałam nad chęcią rozłożenia się plackiem na podgrzewanej podłodze. Już to widzę, jak położę się w wannie i zdążę wstać przed śniadaniem. Zwłaszcza w takiej wannie.

Ustawiłam programator na średnio ciepłą temperaturę, dużą pianę i waniliowy zapach. Oczekałam kilka sekund i już miałam wejść do środka, gdy jakiś zabłąkany dysk w mojej głowie odnalazł połączenie z resztą mózgu. Znacie to uczucie? Zwykle zdarza się wczesnym rankiem w trakcie wykonywania rutynowej czynności, która nigdy wcześniej nie doprowadziła do genialnych wniosków.

Zawieszona nad wanną w jednej z rzadziej praktykowanych pozycji jogi zrozumiałam, że mam na sobie DNA DiGabriela, a w domu służbowy detektor, na którym będę mogła je obejrzeć. W internecie są oczywiście setki informacji na temat Aquartów, włącznie z testami online typu „Jakie jest prawdopodobieństwo, że urodzę Aquartę?” lub „Sprawdź, czy nie jesteś ukrytym Aquartą”. Jednak ich DNA nie można znaleźć nawet w Wikipedii.

Ograniczyłam się do umycia włosów, twarzy i zębów. W ciało wtarłam drogie perfumy z hotelowej jednorazówki. Miałam nadzieję, że to wystarczy, by oszukać DiGabriela. W końcu nie mogłam tego ocenić swoim ludzkim nosem.

W poszukiwaniu ciuchów wróciłam do sypialni. Moja bielizna i sukienka leżały poskładane w ekologicznych torebkach z hotelowej pralni. Ach, więc dlatego Aquarta nie mógł się obok mnie położyć. Jak każdy normalny facet poszedł do pralni, gdy tylko jego partnerka zasnęła. Zaśmiałam się z własnego żartu. Nawet świadomość tego, że zachowuję się jak Dan, nie przeszkadzała mi za bardzo.

Kiedy punkt dziewiąta wyszłam z sypialni, śniadanie już czekało. DiGabriel przywitał mnie wymuszonym uśmiechem. Nagle uznał, że całą swoją uwagę musi poświęcić jedzeniu.

– Dzisiaj możemy zacząć pracę później, jeśli masz ochotę przespać się jeszcze w domu – powiedział, starannie analizując konsystencję dżemu nakładanego na gofra.

Proszę, jaki troskliwy. Nie ma nic przeciwko temu, żebym przespała się u siebie. Może powiedziałabym coś niemiłego, gdyby nie to, że facet mógł mnie kryć przed szefem, a ja nie zamierzałam gardzić kilkoma godzinami wolnego.

– Tak, bardzo chętnie – odparłam.

Mam nadzieję, że mój głos zabrzmiał w miarę naturalnie. Przez chwilę jedliśmy, jakżeby inaczej, w całkowitej ciszy. Jedna kwestia nie dawała mi jednak spokoju. Ubiegłej nocy miałam zbyt wiele innych rzeczy na głowie, ale teraz mogłam do niej wrócić.

– Mogę zadać ci osobiste pytanie?

– Tak – wyjąkał i zmieszał się jeszcze bardziej niż dotychczas.

– Jakiej metody depilacji używasz? – wypaliłam.

Miałam najnowszy model laserowej maszynki i raz w miesiącu jeździłam na peeling ultradźwiękowy całego ciała. Mimo to moja skóra nie była nawet w połowie tak gładka jak jego.

Pytanie jak każde inne, a jednak omal nie udławił się kawą. Przez dłuższą chwilę nie mógł dojść do siebie. Potem spojrzał na mnie wymownie, jakby chciał, żebym odwołała to, co powiedziałam.

– Wolałbym, żeby to zostało między nami – mruknął. – Aquarci mają inną budowę naskórka.

– To znaczy, że wy w ogóle... – o tym też nie pisali w Wikipedii. – Zajebicie. Wiesz, co ja bym dała, żeby...

– Żeby już na pierwszy rzut oka różnić się od normalnych ludzi?

Wgniotło mnie w fotel. Ten ton głosu, to spojrzenie; przez kilka sekund przypominał wirtualnego twardziela.

– Przepraszam – wyjąkał.

No i po twardzielu.

Zaczęłam jeść szybciej. Skoro nie wiedzieliśmy tak podstawowych rzeczy, co jeszcze mogli przed nami ukrywać? Może w ogóle nie spali albo dłużej zachowywali młodość? Dopiero teraz DNA Aquarty zaczęło mnie naprawdę ciekawić.

Starłam się, jak mogłam, udawać, że nigdzie mi się nie śpieszy, ale też DiGabriel nie miał nic przeciwko temu, że bym jak najszybciej sobie poszła. Zjechał ze mną na hotelowy parking i pożegnał czułym:

– Wyślij mi VMS–a, jak się wyśpisz.

Odpowiedziałam równie wylewnym skinieniem głowy.

* * *

– Niemożliwe. Niech to nie będzie możliwe!

– *No matching* – powtarzał uparcie detektor DNA.

Półnaga siedziałam na podłodze i jeździłam czytnikiem po całym ciele. W ustawieniach wykluczyłam własne DNA, a żadnego innego maszyna nie znajdowała. Czy DNA Aquarty było tak różne od ludzkiego, że detektor go nie rejestrował? A może oni nie tracili naskórka w taki sposób jak my? Dlatego DiGabriel zdenerwował się, gdy zapytałam o jego gładką skórę. Dlatego tak źle zareagował, gdy spytałam, dlaczego nie wykryto śladów DNA na miejscu zbrodni! Wiedział, od pierwszego morderstwa.

Podpełzałam do łóżka i ściągnęłam laptopa, którego zostawiłam wczoraj na poduszce. Ręce mi drżały. Wrzuciłam w Google'a „DiGabriel Carlson”. Wcześniej tego nie robiłam, bo nie podejrzewałam go o posiadanie profilu na Glambooku. Miał taki, podobnie jak konto w YourCareer, SecondLife i ITFriends. W każdym zdjęcia znajomej twarzy i opisy zupełnie obcego człowieka, zajmującego się pośrednictwem w obrocie nieruchomościami. Prowadził nawet branżowego bloga!

Wszędzie wchodziliśmy, używając mojej karty. Przecież jako policjant powinien mieć uniwersalne kody dostępu. A jednak... A jednak nawet w ubiegłym wieku obcy człowiek nie mógłby wejść do komisariatu i udawać policjanta. Musiał figurować w naszym intranecie.

Z zakładki Ulubione wybrałam stronę główną komisariatu. Wpisałam szybko hasło, nacisnęłam Enter, a moim oczom znów ukazała się strona z rejestracją. Musiałam się pomylić. Tak to jest, gdy robi się coś w nerwach. Odetchnęłam głęboko. Powoli, literka po literce, wpisałam jeszcze raz hasło. Obraz zniknął na ułamek sekundy i znów zobaczyłam stronę z rejestracją. Jeśli trzeci raz wpiszę błędne hasło, moje konto zostanie zablokowane.

Rozejrzałam się po pokoju. Mogłam przecież użyć prywatnego komputera. Podbiegłam do fotela. Zrzuciłam z niego gogle, rękawiczki i symulatory bodźców. Do poruszania się po internecie wystarczył mi trójwymiarowy projektor. Usiadłam w fotelu i zaczęłam przesuwac palcami po touchpadach w bocznych oparciach. Po kilku uderzeniach serca znalazłam się na stronie policyjnego intranetu. Wprowadziłam swoje dane. Od razu pojawiła się informacja o

błądzie. Też sobie znalazłam moment na głupie pomyłki. Przeczytałam jeszcze raz imię, nazwisko i numer służbowy. Wszystko się zgadzało.

Wróciłam do laptopa. Komunikat, którego wcześniej nie przeczytałam, jarzył się przede mną czerwonymi literami: *Login not found*.

Co, do trojana? Zdażyli mnie wyrzucić z pracy i nawet mi o tym nie powiedzieli? Przecież nie przestałam istnieć!

Weszłam na Gmaila, czując się jak idiotka. Ręce mi się trzęsły przy wpisywaniu hasła do skrzynki internetowej. Ledwie zapanowałam nad chęcią zamknięcia oczu po naciśnięciu entera. Tym razem się udało. Wszystko było dokładnie tak, jak być powinno. Była nawet informacja od administratorów policyjnego intranetu, że w najbliższych dniach mogę mieć kłopoty z kontem.

Dlaczego moje serce nie zaczęło bić odrobinę wolniej? Dlaczego nie śmiałam się z własnej głupoty i niepotrzebnej paniki? Bo straciłam dostęp do policyjnej dokumentacji właśnie teraz. W chwili, gdy dowiedziałam się, że ktoś taki jak „policjant DiGabriel Carlson” nie istnieje w Google’u, a morderca jest Aquartą.

Pamiętacie, jak spytałam, czy zdarza wam się, że osoba, o której mówicie, właśnie w tym momencie wchodzi do pokoju? Czasem nie trzeba mówić. Wystarczy o kimś pomyśleć.

Usłyszałam szelest otwieranych drzwi. Rzuciłam się do komunikatora, ale ona była szybsza. Ukłucie naboju usypiającego i turkus bezkształtnej sukienki. Potem ciemność.

* * *

– Jak to jest być piękną kobietą? – spytał głos, którego nie nazwałabym jednoznacznie damskim.

Budzicie się czasem w snach? To było właśnie takie uczucie, jakbym śniła przebudzenie lub zaczynała grę w symulatorze. Obraz powoli nabierał ostrości. Nade mną stała gruba i nieładna kobieta w turkusowej sukience. Z dużym nożem w ręku i pistoletem wystającym z kieszeni wyglądała jak wytwór chorej wyobraźni grafika.

Spróbowałam się poruszyć i zmienić planszę. Scenariusz tej gry nie zależał jednak ode mnie.

Leżałam przykuta do łóżka cienkimi kajdankami. Chciałam krzyczeć, ale nie mogłam. Nie wiedziałam dlaczego. Dopiero po chwili połączyłam lekkie mrowienie twarzy z silnym znieczuleniem, które wstrzyknięto poprzednim ofiarom. Podobnie jak one nie będę mogła wezwać pomocy. Marna pociecha, że bólu licznych nacięć również nie poczuję.

Z całej siły szarpnęłam rękami, jakbym nie wiedziała, że to nic nie da. Zyskam w ten sposób dwie sine pręgi, które ekipa dochodzeniowa odnotuje w dokumentach.

Gdy już będzie po wszystkim.

Obraz stracił ostrość. Nawet nie poczuję, kiedy łzy spłyną po policzkach. Nie mogłam płakać. Nie ja. Przecież byłam z tych, które walczą do końca.

Spojrzałam na morderczynię. Napawała się moim strachem.

– A wiesz, jak to jest, gdy nie możesz na siebie patrzeć? – spytała.

Oczy ukryte za drogimi soczewkami chciwie łowiły moje reakcje. Miałam spojrzeć na nią z przerażeniem? Zanieść się bezgłośnym szlochem? O nie. Suka nie związała mi nóg. Niech tylko podejdzie dostatecznie blisko. Wciąż miałam szansę, choć tak niewielką, że wolałam o tym nie myśleć.

Ruszyła w moim kierunku. Jej kroki wydawały się tak strasznie wolne w czasie odmierzanym przez szaleńczy rytm serca... Zatrzymała się nagle.

Szelest drzwi.

Czy ja powiedziałam, że oni nie są szybcy? DiGabriel wszedł do sypialni i nim zdążyła zareagować, trzymał ją na muszce policyjnego paralizatora.

– Agent specjalny do spraw przestępstw Aquartów, DiGabriel Carlson. Jesteś aresztowana pod zarzutem popełnienia czterech morderstw ze szczególnym okrucieństwem i usiłowania piątego. Masz prawo do adwokata, opieki psychologicznej i wizyt kapłana swojego wyznania. Wszystko, co powiesz i powiedziałaś do tej pory, zostanie użyte przeciwko tobie.

Kobieta cofnęła się powoli od łóżka, ale nie odłożyła noża.

– Poznaję cię – powiedziała spokojnie. – Skąd wiedziałeś, że musisz tylko ubrać się jak idiota i przygruchać sobie panienkę, żeby mnie zwabić?

– To policjantka. Kilka dni temu zmieniłem jej dane w systemie tak, by pasowała do profilu twoich ofiar. Zmodyfikowaliśmy też dane innych kobiet, które mogłabyś potencjalnie wybrać. Szukałaś ładnych dziewczyn, których daty urodzenia odpowiadały premierom kolejnych edycji Windowsa. Banalne, więc pewnie sama chciałaś, byśmy cię namierzyli. Musiałem tylko dopilnować, żeby ofiara numer pięć nie pojawiła się w żadnym miejscu sugerującym jej prawdziwy zawód. Cieszę się, że uderzyłaś tak szybko, bo nie wiem, czy dałbym radę zwodzić ją przez tydzień.

To skurwiel! Zaraz włączy mój komputer i zacznie jej pokazywać dokumentację ze śledztwa. Nie mogłam krzyczeć. Szarpnęłam rękami, żeby przypomnieć o swojej obecności. Nawet na mnie nie spojrzeli.

– Wiesz, jak to będzie wyglądało w internecie? – spytała morderczyni jak w trakcie pogawędki na spacerze. – Zdjęcia ich ładnych buzi i zgrabnych ciał, a do tego ja, monstrum z gry dla dzieci. Założę się, że nie będzie życiorysów.

– Wiesz przecież, że nie będzie też twojego zdjęcia – powiedział DiGabriel ze współczuciem.

Ze współczuciem dla zabójcy, a nie dla ofiar! Czułam się, jakbym oglądała japoński serial bez Google Translate'a.

– Widzisz – powiedziała ze smutkiem. – Nawet na to nie zasługuję.

Po tych słowach wbiła sobie ostrze w serce. Mógł ją powstrzymać milion razy. Strzelić w ostatniej chwili, skoro już nie kazał jej od razu odłożyć noża. Czekał. Dopiero gdy było po wszystkim, schował paralizator do kieszeni i podszedł do nieruchomego ciała.

Ciekawe, kiedy przypomni sobie o mnie? Żałowałam, że nie jestem aż tak głupia, jak się niektórym wydaje. Wtedy miałabym choć przez chwilę nadzieję.

– Domyślam się, że ty też chcesz mi zadać kilka pytań – powiedział. – Spróbuję na nie odpowiedzieć. Tak, użyłem cię jako przynęty. Nie, nie mogłaś o tym wiedzieć, bo nie panujesz nad językiem ciała do tego stopnia, by oszukać Aquartę. Nie, seks z tobą nie był częścią mojej pracy. Takie rzeczy traktuję bardzo osobiście.

Odruchowo sięgnął po swój futerał i zażył kilka dawek xanaxu, potem założył jednorazowe rękawiczki. Wyciągnął z turkusowej kieszeni pistolet na naboje usypiające. Uśmiechnął się do mnie smutno, jakby rzeczywiście żałował.

– Wybacz, jeśli coś pominąłem. Tak, prawdopodobnie mogłaś to przewidzieć.

* * *

– Nasza morderczyni to RiMarghareth Edman. Pracowała przy administrowaniu serwerami, na których archiwizowane są dane z monitoringu. Skończyła informatykę w wieku dwunastu lat. Dwa lata temu jej nowatorski model sieci...

– Zawsze była taka tłusta? – spytał agent Bergs.

Doktor Senton nie odpowiedział. Odłożył białą teczkę na biurko i sięgnął po następną. Papier stał się w dzisiejszych czasach jedynym sposobem na hakerów. Oczywiście mieli najlepsze zabezpieczenia na świecie. Nikt tylko nie potrafił przewidzieć, czy za rok nie urodzi się dziecko, które złamie je jak grę logiczną.

– Teraz nasz oficjalny morderca – powiedział Senton. – Dan Kirbeg. Od kilku lat przeznacza wszystkie dochody na markowe symulacje erotyczne. Jako policjant miał dostęp zarówno do monitoringu, jak i do fałszerzy kart dostępu. Powiemy, że oczyścił mieszkania ze swojego DNA, używając służbowego detektora...

– Jak długo jeszcze będziemy ukrywać zbrodnie Aquartów? – przerwał znowu Bergs.

Nienawidził tej roboty. Kochał ją w czasach, gdy o podwładnych mógł mówić „moi ludzie”. Jednak jakiś fiut (albo pizda, żeby nie być szowinistą) na rządowym stołku postanowił zesać go do jednostki zajmującej się Aquartami. Oczywiście oficjalnie to był awans: tylko najlepszy, najbardziej zaufany człowiek może reprezentować stanowisko rządu w tych gównianych sprawach.

– Postęp, który dokonał się dzięki odkryciom Aquartów w samej tylko medycynie, uratuje życie tylu ludziom, że kilka ofiar nie jest zbyt wysoką ceną. Nawet dla tak etycznego lekarza, jakim staram się być. – Doktor Senton wyrecytował bez zająknięcia swoją mantrę, by powrócić do przerwanej wątku: – Powiemy, że Dana zgubiła niezdrowa fascynacja koleżanką z pracy. Ludzie uwierzą...

– A koleżance wykasujecie ostatni tydzień z pamięci?

– Chciałbym, żebyśmy umieli już przeprowadzać tak precyzyjne operacje na mózgu. – Senton westchnął. – Straci od miesiąca do pół roku. Jakoś jej to wynagrodzimy. Awans, wywiad w poczytnym portalu... Myślę, że DiGabriel powinien odwiedzić ją w szpitalu. Opowie jej o śledztwie i o tym, jak została ranna. To będzie miły gest.

– A da radę? Z raportu wynika, że coś między nimi było.

– Aquarci nie nawiązują trwałych związków emocjonalnych – odparł lekarz.

Tak się po naukowemu mówi na zimnego sukinsyna. Bergs przez chwilę bawił się teczką Annabel. Pewnych pytań nie powinien zadawać. Z drugiej strony i tak już wiedział o wszystkich, niezbyt wysokich cenach, które przemilczało oficjalne lobby aquartyzmu. W najlepszym razie obudzi się kiedyś w szpitalnej sali bez pięciu do dziesięciu lat z życia. To zresztą wcale nie była zła perspektywa.

– Tak między nami doktorze, to wy ich takich stworzyliście?

– My – powiedział Stenton, wkładając pomiędzy tecki kopię raportu DiGabriela. – My wszyscy.

Szymon Gonera

– urodził się w styczniu 1983 roku, studiował psychologię na Uniwersytecie Śląskim. Miłośnik cyberpunku, horroru i muzyki filmowej. W internetowym magazynie Esensja ukazało się jego opowiadanie *Ecce... Homo*, które opublikował pod pseudonimem Szymon Czarny.

JUGS

Zapomniały pokój w równie zapomniałym hoteliku, którego nazwy nie pamięta nawet przysypiający za kontuarem portier. Klimatyzator nie daje rady – rzezi, jakby miał zaraz wyzionąć ducha, a w pokoju i tak jest gorąco jak w piekle. Wiem, co mówię. W piekle jest cholernie gorąco.

Nie pamiętam, jak się tu znalazłem, ale to bez znaczenia, bo dziewczyna jest śliczna. Ma piękne czarne loki, które otulają moją twarz, gdy się nachyla. Siada na mnie okrakiem, a jej figlarne spojrzenie mięknie, gdy nasze ciała łączą się w jedno. Usta rozchylają się lekko, by wydać z siebie ciche westchnienie. Wyciągam ręce i jej cudowne krągłe piersi zamykam w dłoniach. Moich dłoniach.

Tak–jakby–moich.

Lewa ręka jest zdecydowanie moja. Prawa... jest protezą, zapakowaną w aluminiową obudowę. Mam nad nią całkowitą kontrolę, jej sztuczne nerwy są przedłużeniem naturalnych, ale i tak nie do końca czuję, że to moja ręka.

Przesuwam wzrokiem w dół na płaski brzuch dziewczyny i pępek, w którym dynda połyskujący kolczyk. Biodra kołyszą się rytmicznie w przód i w tył, ale gdyby ich tam nie było, zobaczyłbym dwie kolejne protezy, zastępujące mi nogi. Są ze mną połączone, codziennie przemierzam na nich kilometry, ale czy są moje...?

– Briggs, jesteś tu? – aksamitny, ciepły głos przywołuje mnie z otchłani myśli.

Odpłynąłem? W takiej chwili? Chyba mnie całkiem popaprało...

– Tak – odpowiadam przeproszającym tonem. – Coś mnie zdekoncentrowało... – chcę zabrać ręce, ale przytrzymuje je i mocniej dociska do swoich piersi.

Rany... Jakież one są wspaniałe!

– Nie martw się – mówi tym samym kojącym głosem. – Lubię twoje metalowe części. To, co najważniejsze – dodaje i unosi się, bym mógł zobaczyć, co jest najważniejsze – masz takie, jak trzeba. – Potem znów opada. Podnosi się i opada. I jeszcze raz. I znowu. I jeszcze... Jeszcze... Bez wytchnienia.

Czuję, jak serce mi galopuje. Ręce przesuwają się po ciele dziewczyny, nie mogąc się zdecydować, które fragmenty pieścić. Krew dudni w skroniach, przypominając, że mimo wszystko wciąż jeszcze żyję. Klimatyzator warczy basowym tonem niczym wielki diesel. Dłonie zaciskają się na biodrach i gdy nie wytrzymuję, w feerii kolorowych błysków eksplodujących przed oczami z mojego gardła wydobywa się przeciągły krzyk...

...przerażenia, który momentalnie ginie w potępieńczym wrzasku rozrywanych na strzępy ciał, gdy kierowany termicznie pocisk trafia w dieslowski silnik naszego transportera.

Najpierw lecę w górę, a potem spadam, waląc głową prosto w bajoro wymieszanego z krwią błota.

Jak ja się tu znalazłem? Dzwoni mi w uszach, przed oczami błyskają miliony kolorowych światełek. Coś mną szarpie, przewraca na bok. Otwieram oczy i widzę zakrwawioną twarz sierżanta Palmersona.

– Jeszcze tu, kurwa, jesteś, Briggs?! – wrzeszczy, wpychając mi w dłoń karabin. – Wycofujemy się! Pięćset metrów! – ryczy dalej. – Musimy osłonić PE, bo zostaniemy w tym gównie na zawsze! Masz nogi, więc zapierdalaj!

Przy akompaniamencie kolejnych eksplozji podnosi mnie i biegnę w kierunku, który mi wskazał.

Kolejny wybuch – na tyle blisko, że fala uderzeniowa rzuca mną o drzewo, które akurat mijam. Jestem tak nabuzowany adrenaliną, że nawet nie czuję bólu. Zbieram się z gleby i pędzę dalej. Znow eksplozja, znow blisko, ale widzę już otwartą przestrzeń, na której znajduje się punkt ewakuacyjny. Na razie pusty, ale lada moment zaroi się tu od transportowych hoverów, które litościwie zabiorą nas daleko stąd.

Dopadam do najbliższego drzewa na tyle szerokiego, by zapewnić mi osłonę. Odwracam się i widzę Crosslanda, który z wrzaskiem...

...na ustach budzę się, siadając gwałtownie na łóżku w zapyziałym pokoju w jakimś zapomnianym przez Boga hotelu. Jest gorąco i cicho. Klimatyzator najwyraźniej zupełnie zdechł. Padam na moką od potu pościel. Wciąż jeszcze mogę wyczuć delikatny zapach perfum dziewczyny, ale jej samej nigdzie nie ma. Nie ma też ciuchów, więc musiała się zmyć, gdy spałem.

Zwlekam się z pościeli i chwiejnym krokiem zmierzam do łazienki. Zimny prysznic przywraca nieco jasność umysłu. Ubieram się i prosto z butelki dopijam resztkę Jacka Danielsa, żeby ta jasność mnie nie osłepiła.

Pokój mieści się na pierwszym piętrze, więc daruję sobie windę. Przy drzwiach wejściowych znajduje się kantorek ze wzmocnioną kratą zamiast szyby. Kładę na ladzie staromodny klucz, a portier, który wygląda jak ofiara anoreksji, wylicza rachunek. Przesuwam softphona przy terminalu – kolejny dowód wysokiego standardu tego przybytku – regulując należność.

– Stary – głos portiera zdecydowanie pasuje do jego postury – aleś se panienkę wyhaczył – jego wzrok ma mnie informować, jak pełen jest podziwu dla mojego... czego właściwie? – Takie balony! Stary! Sam bym taką chętnie przeleciał.

– A wpierdol byś nie chciał? – ucinam rozmowę i wychodzę na zewnątrz.

Na ulicy wciąż zalega noc. W mokrym od deszczu asfalcie odbijają się światła latarni i sklepowe witryny. Spoglądam na wyświetlacz – dochodzi czwarta. Knajpy pozamykane, w zaułkach i na chodnikach zostały już tylko najbardziej zdesperowane dziewczyny; nawet drobni handlarze i agenci zwinęli swoje biznesy. Zapewne załapałbym się jeszcze na jakąś tancbudę, ale zupełnie nie mam ochoty. Jedyne, co mi pozostaje, to przespacerować się tych kilka przecznic do stacji maglevu i tam przeczekać.

Idę więc. Stawiam jedną nogę, potem drugą. Jeden krok, drugi, trzeci... Liczenie bardzo szybko traci sens. Stwierdzenie „nogi mnie niosą” ma w tym wypadku zupełnie nowy, chory

charakter. Zostałem posadzony na szczycie metalowych kolumn, które przemieszczają mnie z miejsca na miejsce. Wciąż do przodu. Do przodu... Znów łapię się na tym, że jestem wyobcowany we własnym ciele. Jakby mechaniczne części chciały wyprzeć organiczne ciało, przejąć nad nim kontrolę. Nogi przyspieszają. Boże, czy to wciąż jestem ja? Czy to ja stawiam kroki? Prawa... Lewa... Prawa... Spoglądam w dół, by sprawdzić, że na pewno nie jest na odwrót. A gdy podnoszę głowę...

...wbiegamy między drzewa. „My”, ale możliwe, że tak naprawdę tylko „Ja”. Choć nie, teraz żadne „Ja” już nie może istnieć, więc to musi być „My”, ale równie dobrze może być „Oni”.

Przemieszczają się, pokonując kolejne kilometry leśnej gęstwiny. Cel jest niejasny, nieistniejący. Ważny jest tylko kierunek. Gdy po stromym zboczku zbiegamy na otwartą drogę prowadzącą do miasta, wiemy tylko tyle, że jesteśmy we właściwym miejscu. Uruchamiamy maskowanie, cisza radiowa aż do kontaktu z celem. Bezszelestnie wbiegamy między pierwsze zabudowania. Ulicą przejeżdża patrol żandarmerii. Nie nawiązywać kontaktu. Pozostać w ukryciu. Najważniejszy jest cel. Zagrożenie znika za zakrętem i mogą kontynuować misję. W nagłym przebłysku w naszych głowach pojawia się obraz kompleksu budynków. Tak, teraz już wiemy, gdzie mamy się udać. Wybiegają na ulicę...

...prosto pod koła przejeżdżającego samochodu. Ze wszystkich sił wybijam się do przodu i w ostatniej chwili udaje mi się odskoczyć. Czuję, jak opona ociera się o podeszwę mojego buta, a potem uderzam o asfalt. Przetaczam się i zatrzymuję dopiero, gdy głową rąbię o krawężnik.

Jak przez mgłę słyszę rzucane przez kierowcę inwektywy dotyczące stanu mojego umysłu i mojej ogólnej kondycji. Cóż... Jedno i drugie nie jest chyba dziś w najlepszej formie. Przed odjazdem kierowca wspomina jeszcze chyba coś o mojej matce, ale nie jestem pewien, bo ból rozsadza mi czaszkę. Naprawdę mocno przywaliłem.

Obracam się na plecy i spoglądam w zasnute chmurami niebo. Nogawki spodni robią się wilgotne. Leżenie na ulicy z pewnością nie wyjdzie mi na dobre, więc wspierając się na krawężniku, łapię pion. Obraz przed oczami traci ostrość. Zataczając się przez całą szerokość chodnika, w końcu docieram do ściany budynku. Przykładam czoło do chłodnej, szorstkiej powierzchni i ból staje się nieco bardziej znośny. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że twarz mam lepką od krwi, która przesłania mi widoczność. Sprawdzam kieszenie, ale nie mam niczego, czym mógłbym się wytrzeć. Na razie rękaw musi wystarczyć.

Rozglądam się. Ulica znów jest pusta. Trzeba mieć naprawdę cholerne szczęście, żeby prawie dać się potrącić na takim pustkowiu. Ból głowy znów narasta. Zaciskam zęby, ale nie jest łatwo go ignorować.

Dobrze, że chociaż mogę ustać na nogach. Robię kilka kroków. Docieram do zaułka i na wszelki wypadek ostrożnie wyglądam za róg. Jak się okazuje, szanse, że coś stamtąd wypadnie, by mnie rozjechać, są nikłe, bo uliczka prowadzi ledwo kilkanaście metrów w głąb. Uważnie lustruję zajmujące jej przestrzeń graty. Może uda się znaleźć coś, czym będę mógł zatamować krwawienie. Stosy rozmiękłych od deszczu kartonów, śmietnik, o którym służby miejskie najwyraźniej zapomniały, bo ponad blaszaną krawędzią zbierał się całkiem spory pagórek. Gdzieś wśród tego wszystkiego dostrzegam wystający spomiędzy popękanych płyt chodnikowych kwiatek. Fioletowy. Na łądyżce tak wątlej, że zachodzę w głowę, jakim

cudem się na niej utrzymuje. Podchodzę, by przyjrzeć się lepiej temu dziwu. Nie mam bladego pojęcia, co to za roślina, nie znam się, ale w brudnym zaułku wygląda nad wyraz zjawiskowo.

W chwili, gdy nachylam się nad kwiatkiem, ponad budynkami z hukiem silników przelatuje hover i moje nogi w niekontrolowanym odruchu uginają się, by powalić mnie na ziemię. Lewa ręka automatycznie zakrywa głowę, a prawa próbuje odszukać upuszczoną broń. Twarzą prawie dotykam teraz fioletowych płatków, ale ich obecność zdaje się umykać mojej uwadze. Uparcie wbijam wzrok w zamykający zaułek ceglany mur, zupełnie jakbym wiedział, że za chwilę...

...eksplozja rozerwie rzeczywistość kilkanaście metrów przede mną. Wokół spadają wióry, fragmenty gałęzi, kory i mokrej, lepkiej ziemi. W uszach mi dzwoni tak, że nie sędzę, bym jeszcze kiedyś mógł usłyszeć jakikolwiek inny dźwięk, ale szybko zostaję wyprowadzony z błędu.

– Rusz dupę, Briggs! – Sierżant Palmerson jest najwyraźniej nie do zdarcia. Nawet dzwonięcie w uszach musi wypełniać jego polecenia, nie wspominając o mnie. – Dalej, kurwa! Na nogi, żołnierzu! – Szarpie mnie za uprząż pancerza i, chcąc nie chcąc, wstaję.

Jednak zaraz moje nogi uginają się, bo z prawego uda sterczy całkiem pokaźny badył i mięśnie za nic w świecie nie chcą zignorować tej okoliczności. Palmersona najwyraźniej jednak nie zrażają takie drobiazgi. Bierze mnie pod ramię i pomaga, gdy podskakując na lewej nodze, próbuję wydostać się na otwartą przestrzeń.

Dopiero teraz zauważam, że większość transportowych hoverów jest załadowana, a część zdążyła się już wznieść w powietrze. Sierżant ciągnie mnie w kierunku najbliższej maszyny.

Słyszę jednostajny warkot erkaemów grupy ubezpieczającej, przez który przedziera się świst pocisku raketowego. Przez ułamek sekundy widzę prostą białą smugę, a zaraz potem transporter zmienia się w kulę ognia, która rozrasta się w zastraszającym tempie. Czuję, jak ogarnia mnie gorący podmuch, a wraz z nim ciemność...

...z której wyciągają mnie głosy.

– Narąbany? – pyta pierwszy głos.

– Pił, ale z taką głową nie przyjmą go na dołek – odpowiada drugi głos przy wtórze cichego popiskiwanego. – Wygląda na to, że ma lekkie wstrząśnienie mózgu. Lepiej będzie, jeśli odstawimy go do szpitala.

Z wysiłkiem unoszę jedną powiekę na tyle, by zobaczyć dwóch sanitariuszy pakujących mnie do białej karetki.

Gdzie ja jestem?

– Facet jest zadrutowany – znowu pierwszy głos. – Miał szczęście, że nie trafił na hieny. Skubnęliby części i zostawili, by się wykrwawił.

– Pieprzony altruista się z ciebie ostatnio zrobił, wiesz?

Odpływam... Słyszę jeszcze silniki podrywające hovera, a potem zapadam w błogą nieświadomość, z której budzę się...

...dopiero w szpitalu. Słoneczny dzień. Jestem tu od kilku tygodni, a ci sadyści w białych kitlach dzień w dzień maltretują moje ciało i mózg. Ale dziś mam przerwę. Kumple dostali przepustkę i wpadają z wizytą, zanim ruszą w miasto się uchlać. Pierwszy raz widzą mnie w takim stanie i miny mają nietęgie.

– To jeszcze nie koniec świata, chłopaki – po takim praniu mózgu, jakie mi tu serwują,

każdy by w to uwierzył. – Już zamówili dla mnie cyberkulasy. Jeszcze kilka tygodni i będę śmigał lepiej od was.

– Taa, a w razie czego zawsze możesz złapać jakieś jugsy – mówi Crossland, chwytając za wymaginowane cycki, a my wybuchamy śmiechem, bo...

...wiemy, o co chodzi... Nie wiemy dlaczego, nie wiemy jeszcze nawet dokładnie gdzie, ale wiemy, o co chodzi... Jest cel, który muszą zlikwidować. Jeszcze nie wiedzą kto, ale wiedzą, o co chodzi.

Nagle rozlega się alarm.

Wykrycie!

Zostaliśmy dostrzeżeni i kolejne serie z karabinu maszynowego próbują nas unieszkodliwić.

Oznaczenie. Namierzenie. Kontratak.

Pocisk przeciwczołgowy to aż nadto, ale nie możemy tracić czasu. Kilka sekund i stanowisko karabinu wraz z obsadą zmienia się w płonące zgliszcza.

Strat własnych: zero, chociaż oberwaliśmy. Nasz kamuflaż... Jeden z kamuflaży jednego z nas... Nie. „My” czy „Oni”? Czyj kamuflaż został uszkodzony?

Nie ma czasu się zastanawiać, bo tuż obok ściana budynku eksploduje kulą ognia. Jesteśmy pod ostrzałem. Na szczęście...

...Crossland potrząsa mną i odzyskuje przytomność. Chłopaki spoglądają na mnie z mieszaniną niepokoju i rozbawienia na twarzach.

– Odpłynąłeś, stary – Levander jest najwyraźniej bardziej rozbawiony niż zaniepokojony. – Nie mogliśmy się zdecydować, kto ma ci zrobić usta–usta, i w końcu padło na Crossa. Jak widać, poradził sobie świetnie.

– Z twoją starą też poszło nieźle.

– Chyba nie wymalowaliście mi żadnych wacków na gębie? – pytam podejrzliwie.

– Nigdy nie wiesz, co się może stać z człowiekiem, jak odpłynie – Levander zupełnie ignoruje Crosslanda. – Mieliśmy dla ciebie przygotowaną jeszcze jedną niespodziankę, ale jak nie jesteś na siłach, to chyba lepiej sobie odpuścić.

Patrzę na nich niepewnie.

– Nie mówcie, że przemyciliście tu wódę.

– A co ja ci będę opowiadał – macha ręką.

Wywożą mnie z sali na łóżku i pchają przez cały oddział. Pacjenci i lekarze usuwają się z drogi, a ich oglupiałe miny są już wystarczającym prezentem. Wycieczka kończy się dopiero w izolatce, gdzie czeka na mnie pielęgniarka. Tak jakby pielęgniarka. Krótka blond czupryna, kitel ze trzy numery za ciasny, tak że piersi wręcz wylewają się z dekoltu. Czerwone obcasy i kabaretki.

– To ty jesteś Briggs? – pyta z lubieżnym uśmiechem, a potem spogląda na resztę. – Myślę, że możecie nas już zostawić. Pacjenta czeka teraz poważne badanie.

Chłopaki wybuchają śmiechem, który niesie się z korytarza jeszcze długo po tym, jak zamykają za sobą drzwi.

Dziewczyna podchodzi do mnie i koc, pod którym leżę, łąduje na podłodze. Potem zabiera się za guziki mojej koszuli.

– Czekaj, ja... – Powstrzymuję ją jedyną pozostałą mi ręką. Spogląda na mnie pytająco. –

Nie przeszkadza ci, że... No wiesz... – Wskazuję głową w kierunku tego, co zostało z moich nóg.

– W ogóle – odpowiada, przesuwając palcami po moim torsie w dół, by ostatecznie położyć dłoń na przyrodzeniu. – Poza tym widzę, że to, co najważniejsze, masz takie jak trzeba. – Opuszcza mi spodnie i...

...gdy dochodzę, wentylator ostatecznie oddaje ducha. Dziewczyna trwa na mnie w bezruchu przez dłuższą chwilę, a potem schodzi i kładzie się obok. Uspokajam oddech i odwracam się do niej. Odgarniam z twarzy falę jej czarnych włosów i spoglądam w szare oczy.

– Musimy iść – mówi, zanim ja zdążę powiedzieć cokolwiek, i ospałym ruchem podnosi się z łóżka.

Tak, jak stoi, bez ubrania, podchodzi do drzwi i wychodzi na korytarz. Idę za nią, również nie przejmując się odzieniem. Wsiadamy do windy. Smukłym palcem dotyka przycisku ostatniego piętra. Jej paznokcie mają delikatnie błękitny odcień.

Gdy wysiadamy, prowadzi mnie do końca korytarza, do drabinki, po której wchodzi się na dach.

Wdrapuje się po kolejnych szczeblach, a ja stoję na brudnej wykładzinie, nie mogąc oderwać wzroku od jej pośladków, dopóki nie znikną w kwadratowym otworze, przez który widać usiane gwiazdami niebo. Dopiero wtedy sam wchodzę na górę.

Rozglądam się w poszukiwaniu mojej towarzyszki. Dostrzegam ją stojącą na gzymsie, tuż nad dziesięciopiętrową przepaścią. Podchodzę i staję obok. Nachylam się. Ulica w dole naprawdę nie wygląda zachęcająco, a jednak wiem, że za chwilę skoczę. Jej dłoń delikatnie muska moje ramię. Elektryczne wyładowanie przebiega dreszczem przez całe ciało.

– Złap mnie za rękę – mówi łagodnym głosem. – Wszystko będzie dobrze.

Jak mógłbym jej nie wierzyć?

Stawiam stopy na krawędzi...

...uginam kolana i skaczę, choć transporter wciąż unosi się kilka metrów nad ziemią. W chwili, gdy ląduję na miękkiej trawie, w jakimś chorym przebłysku dociera do mnie, że nie jestem już sobą. Nie ma mnie. Zmysły, współdzielone i tak czułe, że pozwalają usłyszeć każdy oddech Ziemi, każde westchnienie lasu. Dzięki nim widzę innych, ale tak, jakbym patrzył w lustro, bo nie ma „innych”. Jestem nimi. Rozglądamy się. Co tu robimy? Skąd się wziął transporter, którego niknącą sylwetkę widzimy na tle czarnego nieba?

Tabula rasa. Jesteśmy jak nowo narodzeni, ale jakieś niejasne przecucie podpowiada nam, w którą stronę ruszać. Pędzimy, bo nie ma nic oprócz biegu. Nic innego nie istnieje, tylko kierunek, tylko bieg. Dokąd? Nie wiemy, to nieważne – byle przed siebie. Poruszamy się i jedynie to się liczy. Bez ruchu...

...jest cholernie zimno. Próbuję skulić się pod cienkim kocem, ale to nic nie daje. Otwieram oczy. Izolatka. Znowu wylądowałem w szpitalu? Nie mogę sobie przypomnieć... Chyba znowu zostałem ranny.

Ta nagła myśl sprawia, że zaczynam sprawdzać swoje ciało w poszukiwaniu nowych ubytków bądź oznak rekonstrukcji. Oddycham z ulgą – wszystko jest na swoim miejscu, a w każdym razie nic się nie zmieniło. Wciąż mam tylko jedną swoją rękę, a trzy protezy wciąż tkwią w miejscach, gdzie powinna znajdować się reszta kończyn. Ale przynajmniej niczego

więcej nie straciłem.

Moim ciałem wstrząsa potężny dreszcz. Rany! Ale zimno! Dopiero teraz zwracam uwagę, że każdy oddech wysyła w powietrze kłębek pary. Trzeba się przejść do dyżurki, pogadać z siostrzyczką. Ja rozumiem – krioterapia i w ogóle, ale bez przesady! Kolejny wstrząs dreszczu, któremu tym razem towarzyszą trzy szybkie kichnięcia. No nie, w ten sposób raczej się nie wykuruję. Cokolwiek by mi nie było, bo jakoś nie czuję się chory. Jeszcze.

Staję pod drzwiami tylko po to, bo zorientować się, że nie zostały zaopatrzone w kłamekę. Siłowe próby sforsowania przeszkody również nie przynoszą zamierzonego efektu.

Siadam na pościeli, ale kolejny dreszcz daje mi do zrozumienia, że rezygnacja nie jest dobrym pomysłem. Jeśli nie będę się ruszał, z pewnością zamarznię.

Zdejmuję prześcieradło z łóżka, a z poduszki poszwę. Pierwsze razem z kocem zakładam na grzbiet, drugie owijam ciasno wokół stóp, ale nie na wiele się to zdaje. Ziąb przeszywa mnie do szpiku. Jeśli zaraz czegoś nie wymyślę, zamarznię tu jak nic!

Przyglądam się swoim stopom. Po jaką cholere ja je tak opatuliłem? Przecież nie mogą mi zmarznąć!

Nagle drzwi się otwierają, a do pomieszczenia niespiesznym krokiem wchodzi młoda kobieta. Odruchowo zeskakuję z łóżka i o mało nie ląduję na podłodze, zaplątany w poszewkę poduszki. Z trudem udaje mi się utrzymać równowagę. Kobieta spogląda uważnie, jak walczę z grawitacją, i odzywa się, dopiero gdy udaje mi się złapać pion.

– Proszę spocząć, panie Briggs – mówi, a z jej ust wypływa biały kłębek pary. Jej krok, gdy przechodzi przez pomieszczenie, przywodzi na myśl modelkę poruszającą się po wybiegu, a zmysłowe, sensne ruchy nie pozwalają oderwać od niej oczu. – Jestem doktor Pearson. Jestem pana lekarzem prowadzącym. – Łapie w palce kosmyk czarnych kręconych włosów i zakłada sobie za ucho. Na stoliku ląduje plik dokumentów, a potem stawia przed łóżkiem krzesło i wskazuje ręką, bym usiadł na pościeli. Dopiero gdy sprężyny zgrzytają cicho pod moim ciężarem, sama zajmuje miejsce, wciąż tym samym powolnym ruchem zakładając nogę na nogę. – Czy wie pan, gdzie się znajduje, panie Briggs?

– Zgaduję, że w szpitalu – odpowiadam odruchowo. – Tylko że chyba na Antarktydzie.

W odpowiedzi pani doktor kiwa głową. Najwyraźniej aluzja dotycząca temperatury do niej nie dotarła. Z drugiej strony, sądząc po jej ubiorze, nie ma się co dziwić. Skoro bez problemu siedzi tu w samej spódnicy, wydekolтовanej bluzce i kitlu, takie mrozy nie mogą robić na niej wrażenia.

– Pańskie położenie jest dwojakiego rodzaju – oznajmia.

– Rozumiem: diagnoza jest dobra, ale zła, tak?

Patrzy na mnie jak na dziecko, które właśnie wykazało się wyjątkowo kiepskim zrozumieniem prawideł życia. Najwyraźniej kobiecie chirurgicznie usunięto poczucie humoru.

– Pański umysł znajduje się w konstrukcie wirtualnym – wyjaśnia. – Dzięki temu możemy teraz rozmawiać. Pańskie ciało natomiast, a przynajmniej to, co z niego zostało, znajduje się cztery piętra pod nami, w szpitalnej kostnicy.

Nagle lodowaty ziąb przestaje mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie, a dreszcz, który mnie przeszywa, nie ma z nim nic wspólnego.

– Jeśli to żart – łapię się brzytwy – to raczej kiepski.

– Obawiam się, że nie. – Kamienna twarz nie daje szans na żadne złudzenia.

Jakaś niespokojna, niedająca się sprecyzować myśl... przecucie... podpowiada mi, bym nie drażył tematu. Że każde kolejne pytanie, które zadam, źle się dla mnie skończy.

- W takim razie co ja tu robię? – pytam mimo to.
- Doskonale pan wie.
- Nie wydaje mi się – podrywam się z łóżka. – Skoro właściwie jestem trupem, dlaczego nie zapakujecie mnie do skrzynki i nie puścicie z dymem?!
- Zna pan odpowiedź, panie Briggs.
- Nie, nie znam! – krzyczę, ale wiem, że okłamuję sam siebie. Nie do końca zdaję sobie jeszcze z tego sprawę, ale odpowiedź majaczy już gdzieś na krańcach świadomości. – Dlaczego mnie tu trzymacie?!
- Ponieważ pańska służba jeszcze się nie zakończyła, panie Briggs – odpowiada, a ja...

...zaczynam strzelać. Huk karabinowych serii całkowicie zagłusza wszystkie dźwięki, swąd prochu drażni nozdrza, ale staram się o tym nie myśleć. Strzelam, odnajduję kolejny cel, mierzę i znów strzelam, ale tych skubańców wcale nie ubywa.

Gdzieś przez ten rozrywający uszy ryk śmiertelnych maszynek przedziera się krzyk sierżanta. Na moment przestaję strzelać, by móc choć mniej więcej zrozumieć, o co mu chodzi.

– Oszczędzać amunicję, do cholery! – wrzeszczy swoim zwyczajem. – Mamy wytrzymać tu jak najdłużej, a nie zdechnąć jak najszybciej!

– Pamiętajcie! – ryczy Levander, a jego twarz wykrzywia szaleńczy uśmiech. – Jak będziecie grzeczni, na pewno złapiecie jakieś śliczne jugsy!

Przez całą tworzoną przez nas linię przetacza się wybuch nerwowego śmiechu. Nawet sierżant Palmerson uśmiecha się półgębkiem, co w jego przypadku można uznać za wyjątkowo wylewną reakcję. Zazwyczaj ogranicza się do krzyku.

Nagle dostrzegam ruch. Odwracam się, unosząc jednocześnie karabin, i biorę na cel..

...wartowników przy wejściu do kompleksu. Strzelamy. Współdzielony wzrok pokazuje nam pozostałych, robiących dywersję przy frontowej bramie. Rozlega się wycie alarmowych syren, a my znowu biegniemy. Odwrócenie uwagi przyniosło zamierzony skutek – natykamy się tylko na jedną grupę zaalarmowanych żołnierzy, którzy na nasz widok nagle tracą wolę walki. Bez litości wykorzystujemy moment wahania, by zetrzeć ich z powierzchni ziemi.

Dostrzegam budynek, do którego mamy się dostać, i nagle uświadamiam sobie, że wiem znacznie więcej: drugie piętro, wewnętrzna część budynku. Tam jest cel, a my mamy...

...do wyboru dwie możliwości – mówi pani doktor, a ja jestem święcie przekonany, że nie mam ochoty ich poznać. – Możemy pozostawić pana ciało w stanie śmierci klinicznej i pozwolić panu umrzeć albo...

Zawiesza głos, a ja – zupełnie jakby tu był – słyszę Levandera wrzeszczącego: „Albo możecie złapać jakieś śliczne jugsy!”

Jugsy... Co jest grane? To słowo za mną łązi. Nie chcę wiedzieć, o co chodzi, ale ono ciągle siedzi w mojej głowie, jest natrętne niczym brzęcząca przy uchu komar. To odpowiedź na wszystko, czego nie chcę wiedzieć. Boję się jego dźwięku i gdy nadchodzi...

...zamieniamy hall budynku w kontener posiekanych pociskami ciał. Nie przestając strzelać, torujemy sobie drogę schodami na górę. Opór jest silny, pociski siekają stal naszych ciał, ale przemy naprzód.

Docieramy na drugie piętro. Zupełnie nie mam pojęcia skąd, ale dokładnie wiem, dokąd teraz. Sala laboratoryjna. Koniec korytarza. Wejście po prawej. Zresztą... trudno nie zgadnąć,

skoro strażnicy robią wszystko, żeby nas do tamtej części budynku nie dopuścić. Eksplozja. Tracę ramię. Nie, tracimy ramię... Ktoś z nas traci ramię, ale to nic. Liczy się cel.

Wysadzamy drzwi i wpadamy do środka. Poprzez dym likwidujemy ostatnich strażników, stanowiących bezpośrednią ochronę celu. Gdy wszystko nagle cichnie, naszym oczom ukazuje się przerażona kobieta w białym laboratoryjnym kitlu, z czupryną krótkich blond włosów. Skan potwierdza tożsamość. Mimo że szczegóły wyglądu się nie zgadzają, mamy przed sobą doktor Cassandrę Pearson. Zdrajcę. Cybertechnologicznego geniusza, który uczynił z nas to, czym jesteśmy. To wszystko jej wina. Gdyby nie ona, wszystko byłoby inaczej. To przez nią...

...wszystko mnie boli. Otwieram oczy, by zdać sobie sprawę, że jestem pod wodą, w jakimś zatopionym pomieszczeniu. Odruchowo wstrzymuję oddech i zaczynam machać rękami i nogami, by wydostać się na powierzchnię. Nic z tego. Coś trzyma mnie w miejscu, nie pozwalając wypłynąć. Jakieś macki... przewody... Coś przywarło mi do twarzy i nie chce zejść!

Szarpiąc się i szamocząc, próbuję uwolnić twarz, póki jeszcze mam w płucach dość tlenu. Udaje mi się zerwać z piersi trzymające mnie przewody i wtedy nagle ściany zmieniają położenie, a woda z szumem umyka przez otwory w podłodze. Z zaskoczeniem pojmuję, że jestem w jakimś zbiorniku.

Komora hibernacyjna?

Opadam na miękką piankę, którą wyłożono wewnątrz. Gdy tylko tworząca przednią powierzchnię szklana tafla rozwiera się, jak spod ziemi wyrastają przede mną dwaj technicy w białych kombinezonach i pomagają mi wyjść. Zdejmują z mojej twarzy potwora, który okazuje się być maską tlenową. Gdy próbuję ustać na własnych nogach, mięśnie wyją w dzikim proteście – a ja wraz z nimi – więc szybko podstawiają fotel transportowy.

Wszyscy uwijają się wokół tak szybko, że tracę orientację. Co tu się w ogóle dzieje? Gdzie ja jestem?

Nagły krótki błysk oślepia mnie tak niespodziewanie, że dostaję mdłości.

– Jak się nazywasz? – słyszę łagodny kobiecy głos, który zdaje się zupełnie nie pasować do tego miejsca.

Gdy odzyskuję zdolność widzenia, moim oczom ukazuje się uśmiechnięta twarz otoczona lokami czarnych włosów.

– Briggs... – wykrztuszam z siebie. Rozglądam się, ale nie potrafię sobie przypomnieć, co to za miejsce. – Gdzie ja jestem?

– Na okręcie Alexandria – odpowiada kobieta. – Został pan poddany rekonstrukcji tkankowej po tym, jak został pan poważnie ranny podczas obrony stacji Foxtrot-7.

– Czyli... ja... – Słowa nie mogą się przedostać przez ściśnięte gardło. – Ja... żyję...?

Dwaj technicy spoglądają po sobie na równi zmieszani i zaskoczeni.

– Tak, oczywiście – kobieta oznajmia z uśmiechem. – Nic panu nie jest.

– Myślałem, że... – Co ja właściwie myślałem? – Wydawało mi się...

A więc jednak mnie nie zostawili. Ktoś po nas wrócił. Co za ulga! Tylko że nic z tego nie pamiętam. Zaraz... Byłem ranny. Musiałem stracić przytomność, zanim po nas przylecieli.

– Jeśli czuje się pan skołowany, panie Briggs – głos kobiety wyrywa mnie z zamyślenia – to najprawdopodobniej dlatego, że podczas rekonstrukcji śniły się panu koszmary.

– Koszmary?

– Owszem – znów raczy mnie swoim urokliwym uśmiechem. – Jest to rzadkie zjawisko,

ale jednak się zdarza.

Sen... A więc to wszystko był tylko sen. Jasna cholera! Myślałem, że oszalałem. Oddycham głęboko i rozglądam się, a umysł powoli zaczyna akceptować fakt, że otacza go rzeczywistość.

– Mogę wiedzieć, co się panu śniło?

No właśnie, co? Za nic nie mogę sobie przypomnieć. Jakieś słowo kołacze mi się w głowie, ale nie potrafię go sprecyzować.

– Jeśli nie może pan sobie przypomnieć – mówi – to nic na siłę. Zresztą i tak nie będzie to miało znaczenia, gdy trafi pan do...

– NIE!!! – Desperacki krzyk wrywa mi się z gardła i niemal widzę, jak moja nadzieja rozpada się niczym dziecięca konstrukcja z klocków. Nie chcę słyszeć tego słowa! Ono nie należy do tego świata. To słowo z koszmarów, a ja przecież nie śnię! – Tego nie ma! – wrzeszczę. – Tego słowa nie ma w rzeczywistości.

– Wręcz przeciwnie, panie Briggs – słyszę odpowiedź. – To pana jedyna rzeczywistość.

Myśli więzną mi w głowie niczym słowa w gardle. Mam wrażenie, że zaraz się uduszę, choć znacznie chętniej udusiłbym ją.

Walcząc z bólem mięśni, podnoszę się z fotela i rzucam na kobietę. Teraz sobie przypominam: Pearson. Tak się nazywa.

Powalam ją na stalową kratownicę podłogi, zaciskając palce na szyi. Sekundę po tym, jak rozlega się alarm, do pomieszczenia wpadają uzbrojeni strażnicy. Wiem, że nie mam żadnych szans, ale nic mnie to już teraz nie obchodzi. Spoglądam na doktor Pearson, z której gardła wydobywa się jedno koszarne słowo...

– ...Jugs – mówię cicho i wszystkie wspomnienia zaczynają się układać w pasującą całość.

– Owszem, choć nie jest to oficjalna nazwa, większość z was tak to właśnie nazywa...

Prawie nie słyszę, co do mnie mówi. Pamiętam wszystko. Zostawili nas na wysuniętym punkcie, byśmy opóźniali atak wroga na naszą stację przeładunkową. Samobójcza misja. Zostawili nas tam, choć wiedzieli, że nie mamy szans. Naszym życiem chcieli kupić czas. Mam nadzieję, że całą tę pieprzoną stację trafił szlag.

– Musi pan podjąć decyzję, panie Briggs.

Spoglądam na nią z taką niechęcią, że pani doktor aż się odsuwa, jakby moje uczucie było namacalne.

– Wy to robicie specjalnie? – cedzę przez zęby. – Wysyłacie ludzi na pewną śmierć, a tych, których da się pozbierać do kupy, pakujecie w puszki?

– Nie bardzo rozumiem, o czym pan mówi. – Jej zdziwienie jest bardzo przekonujące. – Nie mam pojęcia, na jakiej zasadzie odbywa się rekrutacja do projektu.

– „Rekrutacja”, dobre sobie – warczę.

– Poza tym nie zostawiamy pana bez wyboru.

– Ta, jasne. Taki to wybór, że człowiek...

...staje obok łóżka.

– Musimy iść – mówi, nachylając się nade mną z wyciągniętą dłonią.

Spoglądam w stronę martwego klimatyzatora i pozwalam jej podnieść się z łóżka, ale z pewnością nigdzie się nie wybieram. Sięgam do sterty ubrań, które dziewczyna zdjęła ze mnie, gdy tu przyszliśmy, i od paska spodni odczepiam starego colta.

– Nigdzie się nie wybieram – powtarzam na głos, odciągając kurek.

Początkowe zmieszanie dziewczyny z każdą chwilą przemienia się w strach.

– Dlaczego? – zaczyna niepewnie.

Jej zmysłowy głos robi się nagle piskliwy.

Dlaczego? Bo to wszystko jej wina. To przez nią znalazłem się w tym bagnie i teraz nie wiem, co się ze mną dzieje. Ona mnie w to wpakowała.

– Chyba nie zamierzasz...

– Owszem – odpowiadam z sadystyczną satysfakcją. – Zdecydowanie...

...nie zostało już chyba nic do powiedzenia. Choć mi się to nie podoba, wiem, na czym stoję.

– Wybieram pierwszą opcję – mówię twardo.

Doktor Pearson, zanim odpowie, kiwa głową ze zrozumieniem.

– W takim wypadku wyjdę tak, jak tu weszłam – wskazuje ręką drzwi. – Pan poczuje się zmęczony i zaśnie. W realu zaczekamy po prostu na śmierć mózgową. I tyle – wstaje. – Dziękuję za poświęcony mi czas, panie Briggs – zbiera ze stolika plik dokumentów. – Choć muszę przyznać, że trochę szkoda, bo – zerka w papiery – pan Levander i pan Palmerson już się zgodzili.

Informacja wali mnie w łeb niczym saperka. Zatem oni też przeżyli?! Ha! Nie tylko przeżyli. Cholerny Levander sam zdecydował się złapać jugsy.

Nie czekając na moją reakcję, doktor Pearson podchodzi do drzwi.

– Chwileczkę... – zaczynam niepewnie. – Czy jeśli się zgodzę... – To nie jest dobry pomysł. To nie jest dobry pomysł! – ...może pani obiecać, że będę razem z sierżantem Palmersonem i Levanderem?

Pani doktor wolno kiwa głową.

– Myślę, że nie powinno to stanowić problemu. – Podchodzi do mnie tym swoim powolnym, kocim krokiem. – Jeśli się pan zgadza, proszę mnie złapać za rękę. – Wyciąga dłoń jak do powitania. Podaję jej swoją. Jej skóra jest ciepła, żywa. – Wszystko będzie dobrze, panie Briggs.

Przyglądam się...

...naszym dłoniom i mamy wrażenie, jakbyśmy wypłynęli z oceanu ciemności. Są umazane krwią, ale to na pewno nie jest nasza krew. Rozglądamy się, a w głowie kołacze się myśl: Co my tu robimy?

Pod ścianą leży ciało kobiety. Obie jej nogi i prawa ręka zostały wyrwane, w brzuchu zaje krwawa dziura. Otwarte martwe oczy wpatrują się w nas i możemy zgadywać, że ostatnim uczuciem, którego doświadczyła, było niedowierzanie. Nie mamy pojęcia, kim była. Nie wiemy nawet, czy to my odpowiadamy za jej los. Coś nam jednak podpowiada, że suka zasłużyła sobie.

Uświadamiamy sobie, że pozostawanie tutaj wiąże się z niepotrzebnym ryzykiem. Gdzieś na krańcach świadomości pojawia się kierunek. Tam powinniśmy się udać. Czas na nas.

Ruszamy. Przez zaskaki, przez próbujących nas zniszczyć żołnierzy wroga, do miejsca, które w naszej głowie jawi się jako Punkt Ewakuacyjny.

Jesteśmy elitarną jednostką żywych pancerzy. Jesteśmy Juggernauts. Jesteśmy Jugs i nic nie jest w stanie nas powstrzymać.

* * *

Doktor Cassandra Pearson podeszła do zbiornika, w którym w odżywczo–konserwującej cieczy spoczywał Juggernaut. Olbrzymi, choć teraz zupełnie nieszkodliwy. Systemy uzbrojenia nie zostały jeszcze zamontowane, a nawet gdyby były, nie miał kto ich użyć. W stalowej skorupie nie istniała jeszcze żadna świadomość.

Przyjrzała się wykresom na panelu kontrolnym. Wszystko w normie.

Dźwięk rytmicznych kroków na stalowej kratownicy podłogi poinformował ją, że ma gościa.

– Jak to wygląda, pani doktor? – ubrany w połowy mundur barczysty mężczyzna podszedł i nachylił się nad panelem, nie przejmując się grzecznościowymi formułkami powitalnymi.

– Tego będzie mógł pan zabrać w przyszłym tygodniu, panie pułkowniku.

– Dlaczego to trwa tak długo?

– Proces usuwania pamięci jest bardzo złożony – wyjaśniła doktor Pearson cierpliwie, zakładając za ucho kosmyk kręconych włosów. – Zwłaszcza te oparte o silne emocje bywają trudne do wymazania. Czasem musimy się uciec do fortelu.

– To znaczy?

– Pacjent sam musi uznać, że dane wspomnienie jest zamkniętym rozdziałem, niewartym pamiętania. Nie zawsze jest to proste. Umysł broni się, próbując kamufłować wspomnienia pod postacią innych, byleby tylko udało się je zachować. Musimy je potem wyszukiwać, a to trwa.

– Nie można wywalić wszystkiego za jednym zamachem? Hmm... Sformatować mózg? – Jak większość wojskowych, z którymi doktor Pearson miała do czynienia, był zwolennikiem prostych, szybkich rozwiązań. Jednak nie zawsze pozwalających uzyskać właściwe efekty.

– A chciałby pan uczyć go chodzić? – pułkownik wstrzymał się od odpowiedzi. – To skomplikowany proces. Lepiej żeby trwał dłużej i żeby w efekcie miał pan w pełni funkcjonalne jednostki. Bez ryzyka, że jakiś przeciek wspomnieniowy rozbije panu operację – mężczyzna bez słowa skinął głową i słuchał dalej. – W tym przypadku – doktor Pearson poklepała przezroczystą osłonę zbiornika – obraz mojej osoby nałożył się pacjentowi na wspomnienie jego byłej partnerki.

– I co zrobiliście?

– Sprawiliśmy, by uwierzył, że najlepszym dla niego wyjściem będzie zabić oba te wspomnienia.

– To znaczy: zabić panią?

– Tak. Można tak powiedzieć – skinęła głową. – Dla niego nie żyję.

– Skąd mu się wzięło wspomnienie o pani?

– Nie mam pojęcia. Niewykluczone, że był już kiedyś moim pacjentem.

– Ale teraz wszystko zostało wymazane? – pułkownik wolał mieć pewność.

– Owszem. Co więcej, żeby łatwiej mu było oswoić się z nową sytuacją, zaimplementowaliśmy mu wspomnienie odbycia jednej misji jako Juggernaut.

– Doskonale – pułkownik uśmiechnął się wyraźnie ukontentowany i spojrział na zegarek. – Czas na mnie, pani doktor. Proszę mi go przysłać, jak tylko będzie gotowy.

– Dopilnuję, żeby nie było żadnych opóźnień – wyciągnęła dłoń i mężczyzna uściśnął ją na pożegnanie. – Wszystko będzie dobrze, panie pułkowniku.

Wojskowy skinął głową i nie mówiąc nic więcej, oddalił się korytarzem.

Anna Głomb

– mieszka na Śląsku, ale sercem pochodzi z lasów Beskidu Niskiego, dokąd stara się co roku wracać. Z wykształcenia psycholog, ciągle szukający swojego miejsca na ziemi. Właścicielka dwóch kotów, miłośniczka wszystkich żywych stworzeń. Gra w RPG, fascynuje się ukrytymi znaczeniami mitów i legend. Uzależniona od książek i zielonej herbaty. Podziwia prozę Angeli Carter, Salmana Rushdiego i Susanny Clarke. Píše dla przyjaciół i własnej przyjemności. W 2005 roku debiutowała w internetowym magazynie Fahrenheit opowiadaniem Motyl na szkle, a w 2012 roku w Esensji ukazało się opowiadanie Zjedz mnie. Jesienią 2012 r. wydawnictwo Videograf opublikowało jej pierwszą powieść zatytułowaną Śmierciowisko.

Z POPIOŁÓW

To chyba naturalny odruch: zakładamy, że jesteśmy tacy jak inni. I nawet jeżeli coś jest nie tak, jak być powinno, spychamy niepokój tam, gdzie nie trzeba o nim myśleć. Wszystko można jakoś wytłumaczyć.

Zawsze towarzyszyło mi przeświadczenie, że coś jest nie tak. Że wszyscy oprócz mnie o czymś wiedzą, żyją z jakąś straszną tajemnicą. Z czasem niepokój stawał się coraz silniejszy. Rozpocząłem wtedy poszukiwania, ale bardzo długo nie udawało mi się połączyć faktów. Jakbym patrzył na kawałki układanki i nie potrafił ułożyć z nich całości. Myślę, że po prostu nie chciałem jej zobaczyć.

Zrozumiałem jak sprawy się mają dopiero w ponurym listopadowym przedświcie, kiedy włączając się bez celu, stanąłem przed zakurzoną witryną sklepu z zabawkami. Ale zostawmy na chwilę tamto dziwne miejsce i zacznijmy od początku. Albo lepiej – od dnia, w którym zawaliło się całe moje życie.

Mój ojciec, ciągle jeszcze młody, nigdy poważnie nie chorował, więc jego nagła śmierć była dla wszystkich zaskoczeniem. Agnes, nasza służąca, znalazła go w gabinecie, leżącego z szeroko otwartymi oczami, w gorące wtorkowe popołudnie osiemnastego maja. Tego samego dnia, kiedy pochowano marszałka Piłsudskiego. Lekarz stwierdził zawał serca. Pamiętam, że na twarzy ojca malowało się nieludzkie przerażenie, jakie musiał w godzinie śmierci czuć sam Faust. Jakby zobaczył diabła. Kiedy lekarz i policja opuścili nasz dom, a służki przeniosły ciało ojca na łóżko, zauważyłem, że w zaciśniętych palcach zmarły coś trzyma. Z trudem udało mi się rozprostować jego dłoń i zobaczyć, że był to srebrny kluczyk, jakim zamyka się skrytki i sejfy. Ponieważ nie wiedziałem o istnieniu żadnego schowka, odłożyłem go do szuflady. Później chciałem mu się przyjrzeć, ale okazało się, że zniknął bez śladu.

* * *

Nasz dom stał się od tego czasu jeszcze bardziej pusty i cichy. Sąsiedzi, członkowie zarządu kopalń i bogate mieszczańskie snoby, będące nową elitą Katowic, rzadko nas

odwiedzali. Stary ceglany budynek stał trochę na uboczu tej pięknej dzielnicy, otoczony wysokim murem, po którym piał się bluszcz. Dom od dawna wymagał remontu, ale ponieważ ojciec nie znosił obcych na terenie naszej posesji, nie można było nawet naprawić przeciekającego dachu.

Na pogrzebie nie zjawił się żaden sąsiad. Nie przyszedł też nikt z Towarzystwa Alchemicznego, choć to mnie akurat nie zdziwiło. Wiedziałem, że ojciec lata temu zerwał kontakt z Alchemikami i wszystkie badania prowadził na własną rękę. Nad trumną stałem tylko ja i doktor Erwin Rau, jedyny przyjaciel i powiernik ojca. I jeszcze ksiądz Wacławczyk, który mimo profesji ojca zgodził się go pochować po chrześcijańsku. Kiedy obserwowałem, jak zmawia pośpieszną modlitwę, a krople święconej wody mieszają się z padającym deszczem, miałem wrażenie, że zgodził się uczestniczyć w pogrzebie tylko po to, żeby upewnić się, że ojciec na zawsze zniknął ze świata żywych. Wyszedłszy z cmentarza, szybko wsiadłem w dorożkę i bez pożegnania z Erwinem wróciłem do domu, gdzie czekały na mnie pytania, na które nie umiałem znaleźć odpowiedzi.

Pamięć to dziwny mechanizm. Nie potrafię sobie przypomnieć niczego, co działo się przed moimi szóstymi urodzinami. Od dawna szukałem jakichś przedmiotów z tego okresu, ukrytych na strychu zabawek lub wózka – czegokolwiek, co przywróciłoby mi chociaż część wspomnień. Kiedy sięgam pamięcią do tamtych czasów, mam przed oczami tylko ciemność, tak jakbym posiadał w głowie jakąś zamkniętą szufladę, w której schowano wszystkie obrazy z tamtych lat.

Pierwsza rzecz, jaką pamiętam, to biała wykrochmalona pościel i bukiet bzów stojący w wazonie obok łóżka. Służąca, starająca się wchodzić do pokoju jak najciszej, i pochyłona nade mną zmartwiona twarz ojca. Siedział blisko przez cały czas, trzymał moją rękę i czytał baśnie Andersena. W dzieciństwie dużo chorowałem, a on był przez to w stosunku do mnie nadzwyczajnie pobłażliwy i cierpliwy. Słyszałem, jak mówił cicho, kiedy myślał, że śpię:

– Adam, mój syn. Mój syn.

Choroba była najwierniejszym towarzyszem moich dziecięcych lat. Nawroty następowały regularnie – co kilka miesięcy – i przez długi czas sądziłem, że są one częścią życia każdego dziecka. Bóle stawów, zawroty głowy, omdlenia, wszystko to znosiłem z cierpliwością chorego zwierzęcia. Ojciec nie ufał lekarzom. Jako alchemik opanował również sztukę leczenia i za każdym razem sam aplikował mi terapię. Zaczynał od kąpieli w wannie pełnej jakiegoś żółtawego płynu.

– Pamiętasz historię Achillesa? – mówił, oblewając moją głowę wodą. – Zanurzając się w Styksie, nie można zapomnieć o najmniejszym kawałku ciała.

Było mi zimno, drżałem, ale nie chciałem swoimi protestami sprawiać ojcu przykrości. Potem długo masował moją skórę, wcierając w nią szarą maść. Zwykle wtedy zasypiałem i budziłem się w swoim łóżku, ciągle słaby, ale już zdrowszy. Okresom mojej choroby towarzyszyły też częstsze wizyty Erwina. Dyskutował o czymś z ojcem, ale kiedy wchodziłem do pokoju, rozmowy się urywały. Przyjaciel ojca patrzył tylko na mnie przenikliwie swoimi wąskimi, czarnymi oczami. Z biegiem lat jego spojrzenie się nie zmieniło. Postarzał się, ale ciągle patrzył na mnie w ten sam sposób.

Dzień po pogrzebie ojca zszedłem na śniadanie i zobaczyłem Erwina, siedzącego przy stole i najspokojniej w świecie smarującego chleb masłem. Agnes spoglądała na mnie nerwowo, jakby chciała się wytłumaczyć, dlaczego nie kazała gościowi poczekać w salonie.

– Czy coś się stało? – zapytałem, nie przyłączając się do posiłku.

Uśmiechnął się do mnie.

– Nic, Adamie. Przyszedłem zobaczyć, czy wszystko w porządku. Nie powinieneś być sam w tej sytuacji.

Bez słowa odwróciłem się do okna. Zawsze byłem sam, przywykłem do tego. W dzieciństwie ojciec uznał, że chodzenie do szkoły wiąże się dla mnie ze zbyt dużym ryzykiem. Atak choroby mógł nastąpić w każdej chwili, nie powinienem biegać ani w żaden sposób się męczyć, a co najważniejsze – musiałem zawsze mieć w pobliżu kogoś, kto potrafiłby mi pomóc. Zatrudniono prywatnych nauczycieli, którzy codziennie przychodzili do naszego domu. Szczerze mówiąc, nawet mi to odpowiadało; w szkole zazwyczaj się nudziłem, a tak nauczyciel poświęcał cały swój czas dla mnie, odpowiadając na wszystkie pytania. Raz w tygodniu, popołudniami, przyjeżdżał pod nasz dom samochód, z którego wysiadał jakiś chłopiec mniej więcej w moim wieku. Ojciec organizował te spotkania, zależało mu, żebym miał jakieś towarzystwo. Poza tym prawie nie opuszczałem murów naszej posiadłości.

Tylko raz uciekłem. Paweł, jeden z tych, którzy mnie odwiedzali, wyjawiał w sekrecie, że w niedzielne przedpołudnie chłopcy wybierali się bez rodziców rowerami nad pobliski Staw Małgorzaty. Plan był prosty. Pożyczyłem od niego rower i rankiem, o umówionej porze, czekali na rogu ulicy. Udało mi się wspiać po murze i już po chwili stałem po drugiej stronie. Pamiętam każdą minutę tamtego dnia. Gnaliśmy przed siebie, pedałując po pylistych drózkach za miastem, mokre od potu koszule lepiły nam się do ramion. Krzyczeliśmy i śmialiśmy się, zachęcając nawzajem do szybkiego skoku do wody. Byłem w euforii, chciałem pokazać, że niczego się nie boję, że nie jestem jakimś zamkniętym w domu chorowitym dziwakiem. Dlatego zrzuciłem ubranie, wspiałem się na gałąź drzewa i skoczyłem do wody. Nie pomyślałem, że przecież nie umiem pływać.

Pod wodą zdawało mi się, że czas biegnie jakoś inaczej. Widziałem wszystko wyraźnie w jasnozielonej poświacie mulistego stawu. Płynąłem coraz głębiej i głębiej, z każdą chwilą zapominając o kolegach czekających na brzegu, tak jakby jakieś niewidoczne syreny, a może utopce, którymi nas straszili, wyciągały w moim kierunku ręce. Nie wiem, jak to się skończyło, bo w pewnym momencie obudziłem się w swoim łóżku. Podobno ktoś wyłowił mnie ze stawu i jakoś udało mi się przeżyć. Kiedy się ocknąłem, ojciec stał obok mojego łóżka. Spodziewałem się, że będzie wściekły, ale on tylko milczał i to było jeszcze gorsze do zniesienia. Nigdy więcej już nie uciekłem. Coraz mniej chętnie spotykałem się też z kolegami, bo zrozumiałem, że ich świat nigdy nie będzie moim. Poczucie, że jestem w jakiś sposób inny, było obezwładniające, jakby pod moją skórą mieszkał ktoś obcy. Nie ja.

Agnes sprzątnęła ze stołu. Erwin Rau wziął gazetę i usiadł na tarasie, czując się widocznie jak u siebie w domu. Nie potrafiłem mu powiedzieć, żeby się wyniósł, więc wziąłem pierwszą z brzegu książkę i zająłem miejsce obok niego. Skoro nie potrafiłem go przepędzić, wolałem nie ustępować mu pola. Później okazało się, że był to błąd, bo dawny przyjaciel ojca prawie się do nas wprowadził. Podejrzewam, że miał swój własny klucz, bo wchodził i wychodził, nie pytając mnie o zgodę. Zamknąłem gabinet ojca, ale obawiałem się, że jeżeli potrafi wejść do domu, to również ten zamek nie będzie stanowił dla niego problemu.

Na tyłach naszego ogrodu stał jeszcze jeden budynek. Myślę, że miał być oranżerią, bo jego większą część zbudowano za szkła. Z zewnątrz widać było wysokie rośliny, jednak szyby stały się tak brudne, że nigdy nie udawało mi się zobaczyć niczego więcej. To był teren zakazany. Prawdziwa pracownia ojca, do której nie pozwalał się zbliżać ani mnie, ani nikomu ze służby. Nawet po jego śmierci czułem, że zakaz dalej obowiązuje, i nie odważyłem się zajrzeć do

środku. Stara oranżeria była czymś w rodzaju świątyni – z początku sama myśl, że mógłbym tam wejść, wydawała mi się profanacją.

W końcu po kilku tygodniach, spacerując po ogrodzie, prawie nieświadomie skręcałem do zarośniętej jego części, gdzie wśród drzew stał szklany budynek. Zakazany teren przyciągał.

Drzwi były zamknięte. Uświadomiłem sobie, że być może klucz, który znalazłem w zaciśniętej dłoni ojca, mógłby je otworzyć. Próbowałem go odszukać, ale przepadł.

Przez brudne szkło widziałem, że rośliny usychały bez wody. Mogłem wprowadzić stłuc jedną z szyb albo wymienić zamek, ale odkładałem tę decyzję, jakbym bał się tam wejść.

Wracając, spotkałem w ogrodzie Erwina.

– Byłeś tam? – zapytał bez zbędnych wstępów.

– Tam? – Udałem, że nie rozumiem.

– Przecież wiesz. W jego pracowni.

Wzruszyłem ramionami, udając obojętność.

– Kwiaty usychają. Nie byłem w środku, drzwi są zamknięte.

– Niech uschną, Adamie. Tak będzie lepiej. Twój ojciec nie chciałby, żebyś tam wchodził.

Skinałem głową i z zaciśniętymi zębami wróciłem do domu. Jak on śmiał mówić mi, czego mógł pragnąć ojciec? Kim dla niego był? Nazywałem go przyjacielem ojca i faktycznie przez całe życie w jakiś sposób nam towarzyszył. Jego wizyty nie przynosiły jednak spokoju. Zawsze chciałem podsłuchać, o czym rozmawiają on i ojciec, o co zawzięcie się kłóca, i zrozumieć, czemu potem ojciec zamykał się w gabinecie z butelką koniaku.

W nocy patrzyłem przez okno na ogród. Wydawało mi się, że w schowanej między drzewami oranżerii pali się migotliwe światło, tak jak wtedy, kiedy pracował tam ojciec. Pora dorosnąć – pomyślałem sobie. Cokolwiek tam jest, teraz należy do mnie. Postanowiłem, że następnego dnia, zaraz po śniadaniu, pójdę tam i przez stłuczoną szybę wejdę do środka.

Nad ranem obudziło mnie bicie dzwonu i krzyki Agnes. Kiedy otworzyłem oczy i zobaczyłem czerwoną lunę nad ogrodem, domyśliłem się, co się stało. W szlafroku wybiegłem przed dom. Strażacy kręcili korbą i polewali strumieniami wody mały budynek. Szyby pękały z trzaskiem, a w środku raz po raz coś wybuchało. Ktoś musiał podłożyć ogień, mówił potem jeden z policjantów. Nie, nie wiem, co znajdowało się w środku; nie, ojciec nie miał wrogów; nie, od ponad piętnastu lat nie należał już do Śląskiego Towarzystwa Alchemicznego – odpowiadałem mechanicznie, ciągle ubrany w szlafrok. Nie wierzyłem, że policjanci mogą cokolwiek wyjaśnić. Chciałem, żeby ten człowiek jak najszybciej sobie poszedł, żebym mógł pobiec i w pierwszych promieniach słońca obejrzeć dopalające się zgliszcza mojej spuścizny.

Metalowa konstrukcja wykrzywiła się i przełamała, a potłuczone kawałki szkła sterczały jak sople lodu. Rośliny, które nie uschły zupełnie w czasie ostatnich tygodni, teraz poczerniały od ognia i dymu. W środku, w miejscu niewidocznym z zewnątrz, stał metalowy stół, jakiego używa się do przesadzania kwiatów. To tutaj musiano podłożyć ogień, bo wybuch wygiął go i doszczętnie zniszczył zawartość skrzynek znajdujących się obok. Schyliłem się, żeby obejrzeć resztki: odłamki metalu i szkła, nadpalone strzępy papieru i coś, co początkowo wydawało się kawałkiem szmaty. Wziąłem go do ręki. Ciągle jeszcze był ciepły, jak żywe stworzenie, i dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że dotykam pozostałości po kocie. Pod rudobrazowym futerkiem – uchem i częścią policzka – sterczała kość, a w niej coś gąbczastego, co jednak nie przypominało mięsa zabitego zwierzęcia. Z przerażeniem upuściłem znalezisko i pobiegłem do domu. Samo wspomnienie o tamtym kocie napełniało mnie obrzydzeniem, jednak nie potrafiłem przestać o nim myśleć. Co to było za stworzenie?

Co robiło w szklarni? Kolor futra przypominał mi kotkę, którą kiedyś mieliśmy, ale ona musiała być starsza ode mnie i nie żyła od dobrych pięciu lat. Pod koniec życia ciągle spała, najczęściej na kolanach ojca albo w jego fotelu. Czy to możliwe, żeby miała młode, a ojciec trzymał je zamknięte w swojej pracowni? Nie mogłem uwierzyć, że trzymałby zwierzę uwięzione – pamiętam, jak bardzo kochał naszą Mitzi.

W nocy poszedłem tam jeszcze raz. Teraz wszystko wyglądało jak z koszmarnego snu; odbite od szkła światło latarki błyskało wśród spalonych kwiatów i powyginanych części konstrukcji. W ciszy słyszałem swój własny oddech i każde skrzypnięcie potłuczonych kawałków szyby. W pewnej chwili wydało mi się, że rozbrzmiało coś innego, jakby westchnienie. Obróciłem się gwałtownie i zobaczyłem metalowy regał, na którym stał duży pęknięty słoje. Odskokczyłem przerażony, bo ze środka patrzyła na mnie zanurzona w przezroczystym płynie para błękitnych oczu. Krzyknąłem i w tym samym momencie poczułem na ramieniu czyjś dotyk.

– Adamie! Uspokój się!

Obok mnie stał Erwin z latarką w ręku. Nawet nie próbowałem pytać, co robił w moim domu w środku nocy.

– Ja... ja widziałem..

– Uspokój się! Nic nie widziałeś, tu niczego nie ma. Wiesz, że nie wolno ci się denerwować! Spójrz na mnie. Teraz musisz się uspokoić, chodź ze mną do domu.

Jak dziecko pozwoliłem się zaprowadzić z powrotem do swojej sypialni. Musiałem w końcu zasnąć, bo obudził mnie przeszywający ból. Instynktownie wyciągnąłem rękę w kierunku fotela, w którym zawsze siedział ojciec, ale w moim pokoju nie było nikogo. Tak zaczął się mój pierwszy atak bez niego i musiałem stawić mu czoła. Ból sprawiał, że nie mogłem ani spokojnie myśleć, ani się poruszać. Leżałem jak sparaliżowany, ledwie zdając sobie sprawę z obecności w pokoju innych osób.

Słyszałem, że Agnes chce wezwać lekarza, a Erwin jej tego zabrania i, tak jak kiedyś ojciec, siada obok łóżka. Zaciśnąłem pięść. Chciałem, żeby sobie poszedł, ale nie potrafiłem wydobyć z siebie słowa. Oczy mnie piekły, czułem się, jakby ktoś rozciągał moje ciało niewidocznymi linami; nie poruszałem się, a jednak ból stawów i kręgosłupa był nie do zniesienia.

Pomocy, niech ktoś wezwie lekarza! – chciałem krzyczeć, ale z moich ust wydobywało się tylko słabe charczenie. Próbowałem podnieść rękę, ale nie potrafiłem. Moje ciało było sparaliżowane. W głowie jak w fotoplastikonie pojawiały się dziesiątki obrazów. Twarze i głosy tych, których kiedyś widziałem i wyśniłem, mieszały się ze sobą. Widziałem śliczną dziewczynę o niebieskich oczach, która machała do mnie ręką, płynąc pod wodą. Dopiero po chwili zauważyłem, że znajdowała się w ogromnym słoju. Pomachała do mnie jeszcze raz i zniknęła, a chwilę później uśmiechały się do mnie tylko jej pozbawione powiek oczu. Zdawało mi się, że to właśnie jest umieranie. Chociaż nie, podobno umarłem już kilka lat wcześniej. Tak przynajmniej powiedziała mi ta Cyganka pod Astorią.

* * *

Był maj. Całą edukację ze względów zdrowotnych odbywałem eksternistycznie, ale końcowy egzamin maturalny zdawałem w Liceum św. Kazimierza. Po egzaminie z łaciny poszliśmy całą grupą na Mariacką, żeby napić się piwa. Miałem od razu wracać do domu, ale

dałem się przekonać, żebym jeszcze został. Myślałem, że ojciec nie zauważy, jeżeli wrócę godzinę później. Było gorąco, więc usiedliśmy przy stolikach na zewnątrz lokalu. Zapaliliśmy papierosy i przyglądając się przechodzącym dziewczynom, komentowaliśmy egzaminacyjny *subiunctivus*. Siedziałem zaraz obok barierki i w pewnym momencie poczułem, jak ktoś szarpie mnie za ramię.

– Panie śliczny, daj pieniążka, powróżyć potrafię. – Na ulicy stała stara, zgarbiona Cyganka i trzymała mnie za marynarkę.

– Ej, ty! – krzyknął Oskar. – Wynoś się stąd, ale już!

Stara nie puszczała mnie.

– Dobry panie, przynajmniej papierosa byście dali... Coś wam za to powiem.

Babsko śmierdziało. Odruchowo wyjąłem z kieszeni jakieś drobne i rzuciłem jej.

– Masz. I puszczaj mnie!

Starucha błyskawicznym ruchem złapała pieniądze, ale ciągle trzymała moją rękę.

– A teraz wróżba.

– Nie trzeba.

– Zapłaciłeś, to ci powiem. – Zachichotała.

Potem silnym ruchem rozprostowała mi palce i spojrzała na wewnętrzną stronę dłoni. Zapanowała cisza. Spodziewałem się jakichś głupot o tej, która mnie kocha, ale Cyganka tylko milczała. W końcu, przerażona, puściła moją rękę, wyjęła z kieszeni pieniądze, które jej dałem, rzuciła je na stolik i zaczęła uciekać. Pod wpływem impulsu przeskoczyłem barierkę dzielącą stoliki od ulicy i zacząłem ją gonić. Dlaczego stara wyrzuciła pieniądze? – myślałem, biegnąc.

Złapałem ją dopiero za kościołem Mariackim.

– Ej, ty, zapłaciłem za wróżbę. Gadaj, coś tam widziała.

Spojrzała na mnie spode łba.

– Ja nie chcę twojego pieniądza. Ja ci oddała.

Wyjąłem portfel i wcisnąłem jej kilka banknotów, ale i tym razem ich nie przyjęła. Wycodziła w swoim języku coś, co brzmiało jak przekleństwo.

– Zabierz to ode mnie. Nie bierzemy od martwych. A ty nie żyjesz.

A potem odwróciła się i spokojnie odeszła w kierunku dworca.

* * *

Przypomniałem sobie tamtą rozmowę, leżąc w łóżku, sam na sam z bólem. Chciałem nie żyć. Nic nie czuć, nie myśleć, nie pamiętać. Ból rozrywał moje ciało na tysiące kawałków, szarpał i kasał. Nie mogłem zasnąć. Po ciemnościach, które panowały w pokoju, mogłem się zorientować, że minęła już druga doba, od kiedy nie spałem. Ktoś podawał mi coś do picia, chyba Erwin, zresztą było mi to obojętne. Jeżeli zamierzał mnie zabić, mógł przynajmniej zrobić to szybciej.

W końcu poczułem się lepiej na tyle, żeby usiąść na łóżku bez zawrotów głowy. Ból był ciągle silny, ale albo zelżał, albo nauczyłem się jakoś sobie z nim radzić. Mężczyzna siedział na fotelu, jadł ciepłe bułeczki i patrzył na mnie z ciekawością.

– Czujesz się lepiej. – To nie było pytanie. – To zdumiewające.

– Ciągle mnie boli. Dlaczego nie wezwałeś lekarza?

Wzruszył ramionami.

– Lekarze nic by tu nie pomogli, Adamie. Wręcz przeciwnie. Wiesz, że twój ojciec zawsze starał się ich unikać. Co do bólu, to myślę, że musisz się do niego przyzwyczaić.

Byłem zbyt słaby, żeby kazać mu się wynosić, ale kiedy już sobie poszedł, a ja odzyskałem siły, postanowiłem działać. Jeszcze tego samego dnia kazałem wymienić wszystkie zamki i surowo przykazałem Agnes, żeby więcej nie wpuszczała do domu Erwina Rau. Podejrzywałem, że może mnie nie posłuchać – nie była zbyt rozzębiona, a jego siła przekonywania i autorytet mogły z łatwością otworzyć mu drzwi do mojego domu.

Próbowałem silnych środków przeciwbólowych, ale z jakichś powodów w ogóle na mnie nie działały. Musiałem zatem wytrzymywać to palące uczucie pod skórą i nauczyć się z nim żyć. Kiedy nie miałem już sił, siadałem w fotelu z półprzymkniętymi oczami, a kolejne sekundy odmierzało mi równomierne pulsowanie bólu.

Drugiego dnia przeszukałem cały dom. Szukałem notatek ojca, czegoś, co dostarczyłoby jakichś informacji o mojej chorobie i sposobach jej leczenia. W ciągu dwóch tygodni metodycznie przeszukałem wszystko, od strychu po piwnice. Zajrzałem do każdej szafki, szuflady i skrzynki, ale nie znalazłem niczego, co mogłoby mi pomóc. Jedyne, co mnie zaciekało, to dokument stwierdzający, że dom został kupiony w 1905 roku, a więc kilka lat przed moim urodzeniem. Nie pamiętałem matki, ale skoro kiedyś tu mieszkała, musiał zostać jakiś ślad jej istnienia: zdjęcia, stare ubrania, zapodzione części biżuterii. Nawet jeżeli po jej śmierci ojciec kazał wszystko usunąć, musiało coś pozostać. Odpruty guzik, haftowana chusteczka, naparstek. Tymczasem nie było niczego, tak jakby ona nigdy nie istniała. Nawet w dokumentach napisano: *Adam Riegner, syn Teofila Riegnera, urodzony w Katowicach 2 października 1910 roku.* Tylko syn i ojciec.

* * *

Poznawałem miasto. Zakątki, od których dotąd oddzielały mnie mur naszego ogrodu i zakaz ojca, stały przede mną otworem. Robotnicze dzielnice Katowic, okoliczne lasy i wioski, niemieckie Gleiwitz, nocne kluby i kawiarnie. Większość moich znajomych z czasów szkolnych wyjechała na studia bądź zaczęła pracę, ale spory spadek po ojcu sprawił, że wkrótce zaczęły pojawiać się w moim otoczeniu nowe osoby. Nie przywiązywałem się jednak do nikogo; świat za murami domu i ból pod skórą były moimi prywatnymi sprawami.

Nikomu nie dawałem swojego adresu, dlatego zaniepokoiła mnie dorożka, która od kilku dni stała w pobliżu domu. Kiedy oglądałem się za siebie w ciemnych zaułkach miasta, miałem wrażenie, że ktoś za mną chodzi, niewidoczny jak cień, bo chociaż prawie czułem na sobie jego oddech, to nigdy nie udało mi się dostrzec żadnej twarzy. Podejrzywałem, że to Erwin. Jego również wiązałem z podpaleniem, ale nie miałem odwagi podzielić się swoimi spostrzeżeniami z policją. Sprawców nie znaleziono, a posądzenie szanowanego obywatela, jednego z członków kapituły Śląskiego Towarzystwa Alchemicznego, człowieka, którego zapraszali na odczyty alchemicy ze Lwowa, Pragi, a nawet Wiednia, oskarżenie kogoś takiego bez dowodów o podpalenie ogrodowej oranżerii było po prostu śmieszne. A jednak uważałem, że to musiał być on, a teraz właśnie on siedział w dorożce pod domem.

Któregoś wieczoru, mając dość tej maskarady, poprosiłem Agnes, żeby wyszła do niego i zaprosiła do środka. Kobieta wróciła po kilku minutach.

– Proszę pana, ale to nie jest pan Rau.

– Nie? A kto tam siedzi, do cholery?

– A bo ja wiem. Jakiś pan. Taki dość no, przy sobie taki. Jakżech go zobaczyła, to żem przeprosioła, że pomyłka, i poszła żech. Co byda do obcych godoć, a ja go niżej nie widziołach.

Wzruszyłem ramionami, ale ta informacja bardzo mnie zaintrygowała. Od tej pory jeszcze pilniej starałem się zwracać uwagę, czy ktoś mnie nie obserwuje, i byłem już pewien, że mam rację.

Tylko raz prawie udało mi się zobaczyć mój cień. Kupiłem bilet kolejowy do Krakowa i w ostatniej chwili wyskoczyłem na stacji Chrzanów. Kiedy pociąg odjeżdżał, kątem oka zauważyłem postać zwalistego mężczyzny w kapeluszu, który obracał się w kierunku drzwi. To musiał być on. Ale ciągle nie wiedziałem, czego ode mnie chciał.

* * *

Pod koniec lata, po kilku rozmowach z dawnymi przyjaciółmi ojca i nieudanych próbach skontaktowania się z dalszą rodziną, przyjąłem założenie, że jestem adoptowany. To było jedyne sensowne wytłumaczenie, jakie przychodziło mi do głowy. Może dlatego straciłem pamięć o tym, co działo się wcześniej, może stało się coś tak strasznego, że po prostu nie chciałem pamiętać, ale to ciągle siedziało w najgłębszych pokładach mojej podświadomości. Prawdopodobnie ojcu udało się zdobyć fałszywy akt urodzenia. To wyjaśniałoby, kim jestem. Nikt nie słyszał o mojej matce, w żadnym z okolicznych kościołów nie znalazłem aktu ślubu Teofila Riegnera, nie było też żadnej wzmianki na ten temat w starych gazetach. Nie odnalazłem nigdzie dokumentu potwierdzającego mój chrzest. Być może ojciec chciał przede mną zataić moje pochodzenie, żebym czuł, że jestem jego pełnowartościowym synem. Ale co z chorobą? Czy wiedział o niej, kiedy mnie przysposabiał? Ile lat lub miesięcy mi jeszcze zostało?

Pod niektórymi względami moja przypadłość podobna była do epilepsji. Następowaly ataki, z tą tylko różnicą, że ciało, zamiast rzucić się w konwulsjach, stawało się bezwładne i targały nim trudne do opisu spazmy bólu. W tym czasie miałem też wizje, albo raczej serie bezsensownych obrazów, które pojawiały się w mojej głowie z częstotliwością migającego światła. Większość z nich stanowiły wspomnienia – mój mózg wypluwał z siebie obrazy konkretnych chwil z mojego dzieciństwa, część z nich potrafiłem rozpoznać, ale były też takie, których nie umiałem z niczym połączyć. Te mniej wyraźne, ale chaotyczne i bolesne. Wykrzywione, migające zbyt szybko, a wszystkie jak słowa na końcu języka, których nie można sobie przypomnieć. Może pochodziły z czasów, zanim trafiłem do domu Teofila Riegnera, a może po prostu stanowiły wytwór mojej wyobraźni. Wiedziałem, że jeżeli się o tym nie przekonam, to zwariuję.

Pomysł był bardzo prosty i chociaż nie dawał gwarancji sukcesu, to pozwalał wierzyć, że wyjaśnię zagadkę mojego pochodzenia. W czasie poszukiwań w domu znalazłem najstarsze zdjęcie, na którym byłem razem z ojcem. Jest rok 1917, mam siedem lat i siedzimy na naszym ogrodowym tarasie. Obok ojca – Erwin i jeszcze dwie osoby z Towarzystwa Alchemicznego, których imion nie kojarzyłem. Na kolanach ojca śpi kotka, a za nami kwitnie wielki krzak berberysu. Patrząc na to zdjęcie, przypominałem sobie jego słodko-mdlący zapach. Fotografia była dość duża i uwidaczniała wyraźnie całą moją sylwetkę. Postanowiłem opublikować ją w lokalnej gazecie z prośbą o kontakt, skierowaną do kogoś, kto może znać chłopca ze zdjęcia. Podałem adres skrzynki pocztowej i czekałem.

Przez pierwsze dwa tygodnie nie otrzymałem żadnej odpowiedzi i jedyną osobą, na której mój pomysł wywarł wrażenie, był Erwin. Spotkałem go w Astorii, sprawiał wrażenie zdenerwowanego i bardzo chciał wiedzieć, jak się czuję i co nowego u mnie. Nie wspominał o zdjęciu, ale odnosiłem wrażenie, że wiedział o nim i bardzo mu się to nie podobało. Nie miałem mu nic do powiedzenia.

Dopiero po ponad dwóch tygodniach dostałem list, adresowany z poczty w Katowicach. Przez dłuższą chwilę trzymałem w ręku kopertę, zanim odważyłem się ją otworzyć.

Szanowny Panie Riegner – tak się ów list zaczynał. Staranne, pochyłe pismo, drobne litery, stawiane przez kogoś skrupulatnego i dokładnego. Przeleciałem wzrokiem kurtuazyjny początek listu. Ten, kto go pisał, nie był chyba pewien, czy powinien to robić.

Nie wiem, na ile moje informacje mogą okazać się przydatne, na ile osoba, którą mam na myśli, może być osobą z fotografii. Czas zaciera wspomnienia, a podobieństwo twarzy bywa zwodnicze. Postanowiłem jednak napisać, bo akurat to wspomnienie dobrze wbiło mi się w pamięć. Był luty 1917 roku i właśnie rozpocząłem pracę w szpitalu dziecięcym w Katowicach. Studiowałem w Wiedniu, ale przeniósłem się na Śląsk ze względu na żonę, której rodzina miała polskie korzenie. Podczas mojej praktyki widywałem niejednokrotnie śmierć i cierpienie, ale cały czas patrzyłem na nie oczami studenta, a zatem ucznia i obserwatora. Teraz musiałem mierzyć się ze śmiercią niejako twarzą w twarz. Pamiętam tego chłopca, bo umarł tego dnia, kiedy rozpocząłem pracę. Długo wpatrywałem się w jego jasną twarz, zastanawiając się, czy gdybym zaczął leczyć go wcześniej, żyłby nadal. Nie pamiętam jego nazwiska, tylko zamknięte powieki i wyraz twarzy, tak spokojny, jakby spał.

Tym, co budzi moje wątpliwości, jest otoczenie ze zdjęcia. W szpitalu leżały głównie dzieci z najbiedniejszych robotniczych rodzin osiedla Giesche, tymczasem chłopiec z pana zdjęcia mógłby być synem kogoś o znacznie wyższym statusie społecznym. Długo wahałem się, czy powinienem napisać ten list. Ostatecznie czas sprawia, że nasza pamięć błędnie i często widzimy to, co chcemy zobaczyć. Rozsądek każe mi milczeć, ale wspomnienie bladej twarzy tamtego chłopca nie daje mi spokoju i każe przekazać te informacje.

Spojrzałem na zdjęcie. Na odwrocie napisano: *Adaś, Katowice, 24 kwietnia 1917 roku.* Przeszło dwa miesiące po śmierci chłopca ze szpitala. A może miał brata albo wcale nie umarł? Chwyciłem się tej myśli jak ostatniej deski ratunku. Chciałem od razu pobiec do wspomnianego w liście szpitala, dowiedzieć się, kim był tamten chłopak, ale sparaliżowały mnie ból i jasne światło, jakby opadło na mnie białe szpitalne prześcieradło. Leżałem na podłodze, nie mogąc się poruszyć, czas płynął wolniej, trwała tylko jasność i nieznośna tortura, która szarpała moim ciałem.

* * *

Nawet później, przeszło tydzień od otrzymania listu, kiedy wsiadałem do dorożki, ciągle musiałem mieć na nosie okulary z przyciemnionymi szklami, które sprawiały, że światło dnia nie raziło mnie tak bardzo. W szpitalu udało mi się dowiedzieć, kim był chłopiec, o którym pisał doktor Rauer. Siedmioletni Albert Korczek, zmarły na gruźlicę. Ciało wydano matce. Jedna linijka w szpitalnych statystykach. Zupełnie bez znaczenia.

Przed domem z czerwonej cegły zdjąłem okulary. Chciałem dokładnie się wszystkiemu przyjrzeć w nadziei, że coś przykuje moją uwagę i obudzi dawne wspomnienia. Ramy okienne

pomalowane na zielono, pelargonie, dym z komina i smród z wychodków za domem. Na nieutwardzonej ziemi bawiły się umorusane dzieci. Wszedłem do ciemnej klatki schodowej i odszukałem mieszkanie na drugim piętrze. Miałem nadzieję, że matka chłopca się nie wyprowadziła.

Otworzyła mi starsza, wysuszona kobieta. W głębi mieszkania krzątała się młodsza, z małym dzieckiem na rękach. Czuć było zapach gotowanej kapusty i smażonego boczku.

– Dzień dobry. Pani Gertruda Korczek?

Kiwnęła głową i wpuściła mnie do środka. Staliśmy w obszernej kuchni z białym kredensem i wypolerowanymi miedzianymi garnkami wiszącymi nad piecem.

Patrzyła na mnie podejrzliwie i na chwilę otworzyła usta, jakby coś chciała powiedzieć, ale zmieniła zdanie. Też się jej przypatrywałem; liczyłem, że coś poczuję na jej widok, coś sobie przypomnę, ale była mi zupełnie obca.

– Przepraszam za to najście. Nie zajmę dużo czasu. Chciałem panią tylko o coś zapytać. – Podałem jej zdjęcie. – Czy poznaje pani kogoś na tej fotografii?

Kobieta długo patrzyła na zdjęcie. Widziałem, jak zwięziły jej się oczy, a przez twarz przemknął skurcz bólu.

– Niy znom nikogo – powiedziała oschle, oddając mi fotografię.

– A pani syn, Albert? Czy to mógłby być on?

– Łon niy żyje. A tukej to niy może być łon.

– Może miał brata? Albo kogoś z rodziny, podobnego?

Była zła. A może tylko próbowała ukryć przede mną zapomniany żal.

– Miała żech jednego synka. I łon niy żyje. Niy wiym, czegoście chcieli, niy byda z wami o niczym godać. Won mi z doma.

* * *

Moje poszukiwania stanęły w martwym punkcie. Tamto zdjęcie położyłem sobie obok łóżka. Przez kolejne dni padały ulewne deszcze, kwiaty uginały łodygi, a cały ogród tonął w błocie. Słuchałem requiem Mozarta. Muzyka dodatkowo potęgowała mój ponury nastrój, ale nie potrafiłem przestać jej słuchać.

Lacrimosa dies illa, qua resurget ex favilla.

Resurget ex favilla. Zmartwychwstanę z popiołów.

Poczułem, jak przenika mnie dreszcz i wracają słowa Cyganki. Jesteś martwy. Myślałem, że zwariuję. Musiałem sobie udowodnić, teraz, zaraz, że jestem żywy. Że tamten zmarły chłopiec to nie ja. Miałem pieniądze i byłem zdesperowany na tyle, żeby nie zważać na to, co się mogło stać, jeżeli złapałaby mnie policja. Zapłaciłem grabarzowi tyle, że pomyślał pewnie, iż muszę być szalony, ale zgodził się na moje żądania.

– Tylko kopiemy, otwieramy i zakopujemy, tak? – upewnił się, przeliczając banknoty.

Skinąłem głową i jeszcze tej samej nocy stałem pod parasolem nad grobem małego Alberta.

* * *

Nie pamiętam, jak potem znalazłem się w domu, czy ktoś wsadził mnie do dorożki, czy

wróciłem sam, wlokąc się jak duch mokrymi ulicami. Rano obudziłem się w swoim łóżku, w mokrym płaszczu i ubłoconych butach. W głowie kołatała mi się jedna myśl. Grób był pusty. *Lacrimosa dies illa, qua resurget ex favilla.*

Musiałem się przekonać, że to jakieś bzdury. Musiałem przestać o tym myśleć, inaczej zacząłbym wariować. To wszystko musiał być przypadek. Nie miałem z tantym chłopcem nic wspólnego. Spotkałem się z Oskarem, z którym kiedyś chodziłem do klasy. Piliśmy piwo w Astorii i wspominaliśmy dawne czasy. Większość zajęć odbyłem eksternistycznie, ale udało mi się nawiązać kilka znajomości, które potem kontynuowaliśmy.

– A pamiętasz tę Cygankę, która mnie zaczepiła?

– Tak. Cyganka, która nie chce pieniędzy. Dziw nad dziwy. Co ci właściwie wtedy powiedziała?

– Że jestem martwy – odpowiedziałem, starając się, żeby to zabrzmiało jak żart.

Oskar parsknął śmiechem.

– Słuchaj, a może ty jesteś wampirem? Bładoskóry, mroczny i martwy. Puść taką plotkę, to się nie opędzisz od panienek.

Roześmiałem się. Prawdę mówiąc, też mi ta myśl przyszła do głowy. Wampiry istniały, często się o nich słyszało, ale były niezwykle rzadkie. Otaczał je nimb tajemnicy, ale z racji powiązań ojca w naszym domu mówiło się o nich więcej. Z tego, co wiedziałem, w całych Niemczech mieszkało ich kilkanaście, a po jednym we Lwowie, Gdańsku i Bóg wie, gdzie jeszcze. To były dziwne, potężne istoty, które z biegiem czasu dziwaczały, czując coraz mniejszy związek z gatunkiem ludzkim. W końcu odbijało im na tyle, że zaczynały polować na ludzi i trzeba było się ich pozbyć, albo same miały dość tego życia po życiu i czekały pokornie na wschód słońca. Ja tymczasem siedziałem w słońcu, oddychałem, a mój głód krwi ograniczał się do średnio wypieczonego steku. Z wampirami nie miałem zatem nic wspólnego.

Kiedy wracałem do domu, zauważyłem, że ktoś za mną idzie. Zniknął mi z oczu pod domem, ale w nocy widziałem zarys dorożki, czekającej kilka domów dalej. Czyżby to znowu był ów tajemniczy mężczyzna, o którym mówiła Agnes? Może działał na polecenie Erwina? Od naszego spotkania w Astorii po publikacji zdjęcia nie spotkałem nigdzie dawnego przyjaciela ojca, a jednak miałem wrażenie, że ciągle się mną interesuje. Zwłaszcza w chwilach nawrotów choroby, kiedy leżałem między życiem a śmiercią, mając z bólu. Wtedy wydawało mi się, że wchodzi do mojego pokoju, mierzy mi puls i obserwuje. Nie było sensu pytać służby, czy go widzieli – jeżeli wszedł, musieli być z nim w zмовie. Może to były tylko urojenia, a jednak wydawało mi się, że czasami wyczuwam w domu zapach papierosów, które palił.

* * *

Siedziba Śląskiego Towarzystwa Alchemicznego mieściła się w jednej z kamienic przy placu Andrzeja. Udało mi się umówić na spotkanie z Peterem Wache, zastępcą Głównego Magistra Towarzystwa i przyjacielem naszej miejscowej sławy, malarza i różokrzyżowca Teofila Ociepki. Chciałem się dowiedzieć, czym dokładnie zajmował się ojciec, z kim współpracował, może któryś z jego znajomych mógłby powiedzieć mi coś więcej o moim pochodzeniu.

Gabinet Petera był jasnym, przestronnym pomieszczeniem z kryształowym żyrandolem u sufitu i olbrzymim lustrem na ścianie. Sam pan Wache był starszym, otyłym mężczyzną o

dobrodusznym wyrazie twarzy i siwych bokobrodach. Ojciec go nie lubił. Mówił, że jest człowiekiem starej epoki, traktującym magię jak coś, czym można zajmować się jedynie teoretycznie, co trzeba obserwować jak rzadki gatunek owada, a nie jak nowoczesną naukę, która może służyć ludzkości.

– Siadaj, Adasiu, siadaj – powiedział, zdejmując okulary. – Dawno cię nie widziałem. Przykro mi z powodu twojego ojca.

Pomyślałem, że ciągle traktuje mnie jak dziecko. Prawie spodziewałem się, że wyjmie z kieszeni marynarki cukierki.

– Otrzymałem twój list i zdecydowałem, że ci pomogę. Chciałem sporządzić wykaz publikacji twojego ojca. Pamięć już nie ta – zdjął rogowe okulary i w zamyśleniu przygryzł końcówkę – więc zajrzałem do archiwów. Powinny tam być nazwiska wszystkich osób, z którymi współpracował, konferencje, w których uczestniczył, oraz wygłoszone przez niego referaty.

– Powinny być? – zaniepokoiłem się.

– Powinny. Jak wiesz, dokładne gromadzenie wiedzy jest jednym z naszych zadań. Sprawdziłem kilkakrotnie, wszystkie dane dotyczące twojego ojca zniknęły z archiwum. Jest tylko data jego przystąpienia do Towarzystwa Alchemicznego, a potem zupełnie nic. Trudno mi powiedzieć, jak to się mogło stać, nikt obcy nie miał dostępu do akt. Ktoś musiał je zabrać, zniszczyć. Nie rozumiem tylko dlaczego.

– A nie pamięta pan czegoś? Co ojciec robił podczas wojny?

Alchemik wzruszył ramionami.

– Dużo się wtedy działo. Nie pamiętam. Z tego, co sobie przypominam, nie bywał tutaj częstym gościem w tamtym okresie. Zdaje się, że podróżował do Berlina. To były straszne czasy. Staraliśmy się zachować neutralność, aby przetrwała dla potomności nasza wiedza, ale... Wojna. Nie chcę do tego wracać.

* * *

Alchemik obiecał, że przeprowadzi śledztwo, by odkryć, dlaczego dokumenty zniknęły, ale miałem wrażenie, że w jakiś sposób czuje ulgę, że ich nie ma. Zwłaszcza tych z okresu wojny. Zniknął kolejny ślad złych czasów.

Kiedy wychodziłem z budynku, było już prawie ciemno. Ciężkie listopadowe chmury zasłoniły słabe, wieczorne światło księżyca. W powietrzu unosił się miejski smog. Kątem oka zauważyłem dorożkę, stojącą w jednej z bocznych ulic. Może nie zwróciłbym na nią uwagi, ale jeden z koni miał dziwaczne, srokaty umaszczenie. Jadąc do domu, wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że dorożka podąża za mną. Niewiele myśląc, krzyknąłem na fiakra, żeby się zatrzymał, wcisnąłem mu w rękę należność i wyskoczyłem na ulicę.

Stałem przed bramą cmentarza koło kościoła Najświętszej Maryi Panny. Ktoś zostawił uchyloną bramę, więc wbiegłem na teren nekropolii. Pomiędzy nagrobkami i drzewami mogłem przykucnąć i obserwować teren, samemu pozostając w ukryciu. Wyjąłem schowaną pod marynarką broń i ukryłem się za posągami kamiennego anioła. Było cicho i bezwietrznie. W chłodnym powietrzu mój oddech tworzył parę, łączącą się z listopadową mgłą. Chciałem już wstać, kiedy usłyszałem, że niedaleko zatrzymuje się dorożka, a potem jakaś postać przekracza bramę cmentarza. Widziałem tylko, że była dość wysoka; w słabym świetle jej przysłonięta kapeluszem twarz pozostawała prawie niewidoczna. Teraz miałem już niezbity

dowód, że ktoś mnie śledzi.

Mężczyzna rozglądał się. W chwili, kiedy mnie mijał, zobaczyłem drugą postać, która wbiegła na teren cmentarza. Spojrzałem w jej stronę. Ten mężczyzna był bardziej krępy i przygarbiony, wydawało mi się, że w rękę trzyma broń. Nie zdążyłem się nad tym dokładniej zastanowić, bo usłyszałem wystrzał. Człowiek, który jako drugi wszedł przez bramę, strzelił – ten pierwszy zachwiał się i chwycił za udo. Stał blisko mnie, więc widziałem, że strzał tylko go drasnął, ale napastnik zbliżał się, żeby go dobić.

Czas się zatrzymał. Nie zastanawiając się, co właściwie robię – bo strzelałem, prawdę mówiąc, dość słabo i nigdy nikogo nie zraniłem – błyskawicznie wyskoczyłem zza posągu, stanąłem między mężczyznami i dwukrotnie wystrzeliłem w kierunku człowieka z bronią. Huk odbił się echem po pustym cmentarzu. Mężczyzna spojrział jeszcze na mnie wściekły i zaskoczony, po czym zgiał się wpół i trzymając za brzuch, upadł na ziemię. Podeszedłem do niego. Leżał na boku, ciągle ściskając w dłoni pistolet, a spod niego wypływała krew. Był martwy.

Odwróciłem się i podeszedłem do rannego mężczyzny. Teraz dopiero zauważyłem, że przypominał postać, którą Agnes zastała w dorożce obok mojego domu.

– Nic panu nie jest? Trzeba wezwać lekarza.

Pokręcił przecząco głową i skrzywił się z bólu. Rozumiał równie dobrze jak ja, że teraz trzeba przede wszystkim uciec z tego przeklętego cmentarza.

– To nic – jęknął. – Miałem szczęście. Chyba mnie pan uratował. Jeżeli pomoże mi pan wstać, to spróbuję jakoś dostać się do domu.

* * *

Mieszkał na pierwszym piętrze, w oficynie na ulicy Dyrekcyjnej. Dojechaliśmy tam dorożką, a potem pomogłem mu wejść po schodach. Mieszkanie składało się z dwóch ciasnych pokoi i kuchni – ot, bałaganiarskie mieszkanie starego kawalera. Wszędzie wały się stare gazety, a wśród nich zapisane kartki: odręczne notatki, adresy. W powietrzu unosił się stęchły zapach kurzu, potu i papierosów.

Położyłem mężczyznę na łóżku i po jakiejś półgodzinie wróciłem ze wskazanym przez rannego lekarzem. Rana nie była głęboka ani niebezpieczna, założono kilka szwów, nieznanomy wypił łyk alkoholu i usiadł na łóżku.

– Jeszcze raz dziękuję. – Wyciągnął do mnie rękę. – Chyba uratował mi pan życie.

Patrzyłem na niego przez chwilę w milczeniu.

– Śledził mnie pan – powiedziałem w końcu. – Tam na cmentarzu i nie tylko. Moja służąca pana widziała. Dlaczego?

Mężczyzna skrzywił się, jakby rozważał, co ma powiedzieć, a potem wyjął z kieszeni papierosy i zapalił jednego. Wyciągnął w moim kierunku paczkę, ale odmówiłem ruchem głowy.

– To nie chodzi o pana. Znał pan Teofila Riegnera?

– To był mój ojciec.

Mężczyzna rzucił mi ostre spojrzenie, ale po chwili znowu się rozluźnił.

– Nie wiedziałem, że miał syna. W maju przeczytałem nekrolog pańskiego ojca – Zrobił przerwę, zaciągając się papierosem. – Chyba jestem panu winny wyjaśnienie. Nazywam się Oskar Losse, pracuję jako prywatny detektyw. Przedtem pracowałem jako komisarz policji w

Katowicach. Biuro kryminalne, wydział wykroczeń nadnaturalnych. Tamto śledztwo prowadziłem z przerwami od 1912 roku, ale wtedy, w czasie wojny, wpadł mi w ręce nowy trop. Niestety dostałem z góry ostrzeżenie, że nie jest to sprawa, w którą powinienem się mieszać. Komuś zależało, żeby została w szufladach. Udałem, że odpuszczam, ale na własną rękę starałem się dociec prawdy.

– A co to ma ze mną wspólnego?

– Czy pan wie, czym zajmował się pański ojciec?

Wzruszyłem ramionami. Przypomniały mi się zaginione archiwa Śląskiego Towarzystwa Alchemicznego i przeszył mnie nieprzyjemny dreszcz.

– Był alchemikiem. Naukowcem. Człowiekiem szanowanym – powiedziałem w końcu, starając się, żeby zabrzmiało to zwyczajnie.

– A pan nie zajmuje się rzeczami nadnaturalnymi? – zapytał detektyw.

– Nie. Zawsze bardziej interesowały mnie architektura i rysunek.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Pan nie pamięta, jakie to były czasy, prawda? Rok 1916, wykrwawialiśmy się w tych cholernych dołach. Verdun, Somma, gazy bojowe, szczury... Pan tego nie rozumie, prawda?

– Do czego pan zmierza?

– Niektórzy z alchemików jeszcze przed wojną zaczęli badać sprawy, które z dzisiejszej perspektywy można by określić jako naganne moralnie. Ale wtedy, w czasie wojny, kiedy ludzie ginęli tysiącami, ich projekt mógł okazać się przydatny. Chciano stworzyć nową broń. Człowieka doskonałego, odpornego na chlor, głód, mogącego obyć się bez snu i gotowego zabijać bez wahania. Nie wiem, czy zna pan tego Żyda, Jehudę Löwa ben Becalela. Również był alchemikiem, tyle że przeszło trzysta lat temu. Chciał stworzyć golema. Podobno ulepił z gliny postać człowieka i ożywił ją, aby mogła go bronić. Oczywiście eksperyment nie był zbyt udany, ale idea pozostała. Inaczej nazywali go Adam, na pamiątkę pierwszego człowieka. Stworzony z ziemi i taki, jakim był, zanim Bóg ożywił go swoim tchnieniem. To tchnienie miało pochodzić od alchemików. Nie planowano stworzyć glinianych kolosów, a raczej coś w rodzaju maszyn podobnych do człowieka. Nakręcanych zabawek w rękach ludzkiego demiurga.

Słuchałem w przerażeniu, modląc się, żeby w słabym świetle moja bladość nie wydała się podejrzana.

– Nie chcę wchodzić w szczegóły. Proszę mi wierzyć, ta historia wiąże się z niewyobrażalną ohydą. Do eksperymentów wykorzystywano ludzkie zwłoki. Tak czy inaczej, Teofil Riegner był jednym z podejrzanych. W czasie wojny usunięto mnie z policji, a mój partner zniknął bez śladu. Wiem, że eksperymenty nigdy nie wyszły poza fazę testów, a tajna klauzula Traktatu Wersalskiego surowo zabraniała podobnych projektów oraz nakazywała zniszczyć całą dokumentację i wszystkie prototypy. Zresztą podobno tak się stało. Całą sprawę wyciszono. A teraz, kiedy zmarł jeden z podejrzanych, chciałem mieć pewność, że nikt nie będzie próbował przejąć jego notatek.

– Ojciec nie zostawił żadnych dokumentów. Zresztą w miejscu, w którym pracował, wybuchł pożar. To pana sprawka?

– Nie – odpowiedział Losse ponuro. – I to mnie martwi. Ktokolwiek podpalił tamten budynek, mógł chcieć ukryć nie tyle to, co tam było, ale to, czego już tam nie ma.

– Czy sędzi pan, że on... Tamten człowiek na cmentarzu...

– Tak sędzę. Wtedy, podczas wojny, kiedy zajmowałem się tą sprawą, też ktoś próbował

mnie zabić.

Miałem ochotę zapytać o więcej szczegółów, ale to, co usłyszałem, odebrało mi mowę. Nie chciałem, żeby moje zdenerwowanie stało się zbyt widoczne. Na szczęście zmęczenie, upływ krwi i wolno sączony alkohol zaczęły robić swoje. Oskar Losse stawał się coraz mniej rozmowny. Obiecałem, że wkrótce znowu go odwiedzę, i jak najszybciej opuściłem mieszkanie na Dyrekcyjnej.

* * *

Myślę, że już wtedy wiedziałem. Zrozumiałem wszystko, ale jeszcze przez chwilę broniłem się przed przyjęciem prawdy. Kiedy wyszedłem na ulicę, zaczął padać deszcz. Trzymałem w ręce pistolet i myślałem o tym, jak łatwo przyszło mi zabić człowieka. Bez chwili wahania i wyrzutów sumienia.

Włączyłem się po drodze do kopalni Giesche jak duch, błakając się bez celu wśród robotników spieszących na poranną zmianę. Maszyny trzaskały, a w powietrzu czuć było mieszankę dymu, smarów i gnijących liści. Miałem wrażenie, że to dudnienie ożywa, słyszę bicie tysięcy mechanicznych serc, śmierzące smogiem oddechy wielkich żelaznych potworów, nieświadomych swojego istnienia, a jednak żywych.

Kręciło mi się w głowie. Przymykałem oczy i widziałem obrazy, zmieniające się szybko jak krajobraz za oknem rozpędzonego pociągu. Serce łomotało mi jak oszalałe. Szedłem z powrotem w kierunku centrum. Trwał chłodny, listopadowy przedświt. W pewnej chwili ból stał się tak nieznośny, że musiałem oprzeć się o ścianę, żeby nie upaść. Z trudem podnosząc powieki, przyglądałem się witrynie sklepu, obok którego stałem.

Gdzie ja byłem? Zdaje się, że przed chwilą szedłem Pocztową, a potem skręciłem w jedną z wąskich uliczek. Tak, chyba poznawałem ten sklep. To dziwne, ale nigdy nie widziałem, żeby był otwarty. Przez zakurzone okno patrzyły na mnie porcelanowe twarze lalek i manekiny o czerwonych wąskich ustach i chłodnym spojrzeniu Poli Negri. Były też nakręcane małpki w idiotycznych czapeczkach, ruszające łapkami w takt muzyki. I zastygłe w bezruchu pozytywki – baletnice w tiulowych sukienkach, w których chowają uniesioną w tańcu nogę. Patrzyły na mnie zza poszarzałej szyby spojrzeniami bez życia, a ja śmiałem się jak pijany, całując szybę wystawową jak wariat.

Bo już rozumiałem.

Ta wiedza dała mi ukojenie. Nie było sensu się przed nią bronić.

Pod dworcem udało mi się znaleźć dorożkę i wrócić do domu. Musiałem wyglądać jak żywy trup, bo Agnes otworzyła szeroko oczy z przerażenia i kiedy wydawało jej się, że nie patrzyłem, zrobiła ręką znak krzyża. Zamknąłem się w pokoju, nie chcąc nikogo widzieć.

* * *

Myślałem o Mitzi, naszej kotce. Teraz wiem, że żyła o wiele dłużej niż zwykłe koty. Dużo spała i było w niej coś, co sprawiało, że inne zwierzęta przychodzące do naszego ogrodu uciekały, prychając i sycząc. Myślę, że musiała być tym, czym ja.

Jakaś część mnie broniła się jeszcze przed zaakceptowaniem faktów. Potrzebowałem dowodu. Wziąłem z kuchni duży tasak, którym Agnes kroїła zwykle wołowinę na niedzielny obiad, i jednym mocnym ruchem odciąłem sobie mały palec. Powinienem poczuć ból, a na stół powinna trysnąć krew. Było tylko kilka kropel półprzezroczystego płynu i lekkie mrowienie.

Zatem mój ból był tylko sygnałem, że coś się psuło i wyłączało. Wszystkie te ataki świadczyły raczej o wadliwej maszynierii niż o reakcji na bodźce. Przyjrzałem się odciętemu kawałkowi dłoni. Było tam coś przypominającego metalowy szkielec, lekki, ale wytrzymały, gęsta substancja, trochę jak miękki kauczuk, a wszystko to zanurzone w czymś kleistym i pokryte ludzką skórą. Wrzuciłem odcięty kawałek palca do pieca, przetarłem dłoń i założyłem rękawiczki.

* * *

Spadł pierwszy śnieg. Od tygodni nie wstawałem z łóżka, czując, że mój stan z każdym dniem się pogarsza. Agnes przynosiła mi jedzenie, ale potajemnie się go pozbywałem. Tak jak podejrzewałem, mój przewód pokarmowy był tylko dekoracją, która miała mnie uczynić bardziej podobnym do gatunku ludzkiego. Nie wiem, ile to jeszcze potrwa, ale mam już pewność, że umieram. Gasnę. Bez zabiegów ojca moje ciało nie może dłużej istnieć.

Myślałem o tym, kim byłem dla Teofila Riegnera. Mojego ojca i stwórcy. Pamiętam, jak po którymś z ataków choroby leżałem w łóżku, a on siedział obok i czytał mi książkę. Za oknem padał śnieg, a ja myślałem, czy jeśli poczuję się dobrze, to ojciec pozwoli mi ubierać choinkę. Czytał wtedy baśń o Pinokiu, którą lubiłem, chociaż on niechętnie po nią sięgał.

– Tato – zapytałem go wtedy – a co z duszą? Myślisz, że Pinokio naprawdę ją dostał? Myślisz, że wróżka naprawdę mogła go przemienić w chłopca?

– Nie. Sądzę, że nie. Takie wróżki nie istnieją. Ale to nie ma znaczenia. Ważne, że wrócił do domu. Dla ojca zawsze był prawdziwym chłopcem.

– A dlaczego Dżepetto go stworzył?

Zamyślił się przez chwilę.

– Myślę, że zrobił to z miłości. Inaczej takie czary się nie udają.

Przypomniałem to sobie teraz i przyszło mi do głowy, że takie czary nie udają się tak czy inaczej.

* * *

To miał być dzień mojej śmierci. Agnes otworzyła okno i w cieplejszym powietrzu czuć było nadchodzącą wiosnę. Jeżeli czegoś żałowałem, to tego, że nie posiadam duszy, żeby móc umrzeć jak inni ludzie. Leżąc w łóżku, mechanicznie przeglądałem gazety. I wtedy znalazłem małą wzmiankę z kroniki policyjnej: *Oskar Losse, lat 47, zamordowany w swoim mieszkaniu...* Było mi go żal. Samotny człowiek w mieszkaniu pełnym starych gazet i wspomnień. Zanim przeczytałem o jego śmierci, wszystko mi już zobojętniało. A teraz poczułem złość, gniew, który dodał mi siłę, i mogłem po raz ostatni wstać z łóżka, żeby zakończyć tamtą sprawę.

Dom Erwina Rau mieścił się w otoczonym wysokim murem parku, kilka kilometrów za Katowicami. Byłem tam po raz pierwszy i od razu uderzyło mnie, jak zwykły śląski alchemik mógł sobie pozwolić na taką rezydencję. W marynarce miałem schowany pistolet. Nie planowałem niczego, ale coś we mnie chciało sprawiedliwości. Za Oskara Losse, za tamtego chłopczyka wywleczonego z grobu, żeby go przerobić i ożywić, i za to nowe życie bez duszy. Odbezpieczyłem pistolet i zapukałem do drzwi.

Otworzyła mi młoda dziewczyna. Od razu poznałem, że nie była służącą. Nosiała ciemnozieloną sukienkę, a kasztanowe włosy opadały jej na ramiona.

– Taty nie ma – odpowiedziała z uśmiechem. – Ale proszę wejść, on zaraz wróci.

Cofnąłem się. Nie powinienem tam zostawać.

– Ależ naprawdę, proszę wejść. Tak rzadko ktoś nas odwiedza.

W końcu zgodziłem się i siedząc w salonie, patrzyłem jak zahipnotyzowany na piękną Martę Rau. W jakiś sposób wyczuwałem, że była żywa. Prawdziwa. Inna niż ja. Przyszło mi do głowy, że nie mógłbym dokonać większej zemsty niż zabicie jej, ale ta myśl wydała mi się wstrętna. Stała przede mną tak czysta i dokonała. Jak błękitna wróżka z Pinokia. Tak mi się wtedy skojarzyło.

Naszą rozmowę przerwało wejście Erwina. Widziałem, że był zdenerwowany, prawie na granicy paniki.

– Marto! – rzucił ostro od wejścia. – Zostaw nas samych.

– Ależ tato, pan Adam i ja...

– Ani słowa! – Alchemik rzucił córce kluczyki do samochodu. – Jedź teraz do miasta, zrób zakupy albo idź do koleżanki. W tej chwili!

Dziewczyna w pośpiechu założyła płaszczyk i rzuciła mi ostatnie, jakby przeprasające spojrzenie. W końcu zostaliśmy z Erwinem sami.

– Przeszedłeś – powiedział wreszcie, kiedy usłyszeliśmy za oknem warkot silnika. – Więc już wiesz.

– Wiem. Umieram.

Alchemik uśmiechnął się słabo.

– Nie umierasz. Wyłączasz się. I nawet gdybym chciał, a nie chcę, nie mógłbym nic na to poradzić. I tak trwa to o wiele dłużej, niż się spodziewałem. Od początku byłem przeciwny temu, żeby twój ojciec cię... zachował. Przeszedłeś mnie zabić? – spytał obojętnie.

– Tak. Chyba tak. To bez znaczenia.

Czułem, że zabicie go nie ma już żadnego sensu. Nie powinienem był tam przychodzić. I tak wiedziałem już wszystko.

– A dusza? – zapytałem po chwili. – Co z duszą?

Alchemik zaśmiał się cicho i zapalił cygaro.

– Masz dziwne pytania jak na maszynę. Spodziewałem się, że będziesz za wszelką cenę chciał przedłużyć swoją egzystencję. A ty mnie pytasz o duszę.

– Wolałbym... – powiedziałem cicho. – Wolałbym umrzeć jako człowiek.

– A jeżeli dusza nie istnieje? Wiesz, ile razy starano się ją zbadać, wydestylować z żywego organizmu to rzekome boskie technienie? Jeżeli wszyscy jesteśmy golemami, dziećmi Adama stworzonego z ziemi, którym nie pozostaje nic innego, jak tylko obrócić się w proch?

Erwin podszedł do mnie i objął ramieniem.

– Nie chciałem, żebyś się dowiedział. Tak byłoby ci łatwiej. A teraz już idź. Idź i nie wracaj tutaj. To nie potrwa długo.

Odwróciłem się i bez słowa wyszedłem z jego domu. Przez park prowadziła aleja, wzdłuż której rosły wysokie klony. Pomyślałem, że latem, kiedy drzewa są zielone, Marta Rau idzie tędy, a pod jej obcasami chrzęści delikatnie żwir, musi tu być pięknie. Przyspieszyłem kroku, żeby jak najszybciej znaleźć się we własnym domu. Jeżeli miałem się wyłączyć, to gdzieś, gdzie mnie nie znajdą. Skąd na pewno nie zostanę po raz kolejny wywleczony z zaświatów i położony na chłodnym chirurgicznym stole. Muszę zagrzebać się głęboko, jak gliniany golem pod magicznymi uliczkami Pragi, zamknąć oczy i wyłączyć się, bez duszy i strachu przed sądem ostatecznym. Bez swojej dobrej wróżki.

Małgorzata Binkowska

– urodzona w 1987 roku w Katowicach. Ukończyła studia na makrokierunku wydziału AEI Politechniki Śląskiej, pracuje jako automatyk. Od dziecka zafascynowana prozą fantastyczną; wychowana na pożywnych dziełach Tolkiena i Lema. Pisarsko niestabilna – zarówno w tematyce, jak i w częstotliwości tworzenia.

KOPALNIA WODY

48. sol zesłania

19:00

Dzień jak co dzień. Wszystko idzie jak po maśle.

Pod warunkiem oczywiście, że masło jest konsystencji granitowej skały.

Jesteśmy tak do tyłu, że chyba nikt tego nie przewidział. Ale z drugiej strony – hej, przecież żyjemy!

Inna rzecz, że co to, kurde, za życie... Po wczorajszym nasz ogródek został oficjalnie zawieszony (do odwołania). To znaczy: dopóki nie uruchomimy wreszcie tej chrzanionej kopalni. Co prawda naprawiliśmy filtry i taka wtopa nie powinna się już zdarzyć, ale bez stabilnego źródła wody tylko ryzykowalibyśmy zmarnowanie kolejnych nasion.

Niestety oznacza to dalszy ciąg jedzenia z drukarki. Naśmiewałem się kiedyś z Japońców i ich hamburgerów z proszku, to teraz mam.

Z dobrych wiadomości: chyba zaczynam przyzwyczajać się do niskich temperatur.

19:10

Chyba jednak nigdy się nie przyzwyczaję.

49. sol zesłania

10:00

Śnił mi się dziś wieczór w filharmonii. Nie pamiętam muzyki, tylko wrażenia. Był to jeden z tych wyraźnych, hiperrealistycznych snów, po których muszę przypomnieć sobie, gdzie jestem, choć w kilka sekund zapominam wszystkie szczegóły. Zostaje jedynie męczące wrażenie, że było to coś istotnego.

Pierwszy tak wyraźny sen na miejscu, który nie był koszmarem. Całkiem dobry znak.

Nic, zabieram się za robotę.

50. sol zesłania

11:50

Mam ochotę kogoś udusić. Poważnie. Tak najnormalniej w świecie, rękami, ze skutkiem śmiertelnym. A Jake praktycznie zgłasza się na ochotnika. Serio, czy ten gość nie może się na moment zamknąć? Nie on jeden ma dzisiaj zły dzień.

Swoją drogą, gdyby ktoś powiedział mi, dajmy na to, dziesięć lat temu, że piątka dorosłych ludzi wpadnie w taki dół z powodu braku internetu, pewnie bym go wyśmiał.

Zresztą dół to złe określenie. Zaczyna się od niepokoju i drażliwości. Nerwowo zerka się na monitor, odświeża dialogi co pięć sekund, łudząc się, że połączenie wróciło, tylko w jakiś tajemniczy sposób chowa się przed naszym wzrokiem. Złośliwe bydlę. Po jakimś czasie w przebłysku zdrowego rozsądku przychodzi decyzja o zaniechaniu tych bezsensownych działań. Dla higieny psychicznej usiłujemy zająć czymś myśli i powoli osiągamy względną stabilizację. I wtedy znowu się zaczyna, zazwyczaj od jakiejś niewinnej na pozór myśli. Te niewinne są najgorsze.

Można by pomyśleć, że się przyzwyczajamy (jak by na to nie patrzeć, nie jest to najgorsza niedogodność, z jaką musimy się mierzyć), ale – jak widać – to nie takie proste. Ostatecznie jakoś sobie radzimy, więc nie jest źle. Zwykle. Dzisiaj mam wrażenie, że wszyscy jesteśmy tak podminowani, jakby od wybuchu dzieliła nas byle drobnostka.

Normalnie, kiedy zdarzają nam się „te” dni, staramy się schodzić sobie nawzajem z drogi. Przynajmniej ja tak robię, dziewczyny różnie – mają chyba więcej odcieni chandry i więcej lekarstw na nią. Ivanovicha i tak prawie nie zauważamy (niesamowicie jak ten człowiek potrafi nam zniknąć z oczu w tak klaustrofobicznych warunkach); zakładam, że w czarnym przypiływie te samotnicze skłonności jeszcze się pogłębiają, ale naprawdę nie wiem, co dzieje się w jego głowie. A Jake... Jake robi się jeszcze bardziej irytujący (o ile to w ogóle możliwe), głośniejszy i jeszcze mocniej niż zwykle dąży do konfrontacji. W takie dni naprawdę trudno mi sobie przypomnieć, za co go właściwie lubimy.

Tak, wiem, konflikty są integralną częścią naszego życia. Nieistotne, ile razem przeszliśmy i jak silne są nasze więzi, najłatwiej jest wyładować napięcie na drugim człowieku. Szczególnie tym najbliższym. Choćbyśmy nie wiem jak byli skupieni na tym, co robimy, przychodzą w końcu dni, kiedy racjonalne myślenie najzwyczajniej w świecie idzie się paść. Wychodzą z nas dzikusy. Niby nic niezwykłego: jesteśmy ludźmi, rzeczywistość jest, jaka jest, i musimy sobie z nią jakoś radzić i tak dalej. I przynajmniej postarać się nie pozabijać przy okazji. Dlatego ciągle próbujemy nowych sposobów na siebie samych. Nierzadko zaskakujących.

Żeby daleko nie szukać, jeszcze niedawno nie potrafiłem zmusić się do obowiązkowych wpisów w oficjalnym dzienniku. Wydawało mi się to śmieszne i przychodziło z trudem, a teraz? Zwierzam się pamiętniczce niczym jakaś cikliwa nastolatka. Nie wiem ciągle, czy to bardziej pomaga, czy wręcz przeciwnie – wpędza w obsesję rozpamiętywania każdego wydarzenia. Doktorek twierdził, że pisanie pomoże nam pozbyć się negatywnych myśli i trochę rozjaśni we łbach, ale kto by mu wierzył tak na słowo?

Irina wcześniej radziła sobie z tęsknotą, gadając do kwiatków, a teraz nie wiem, co robi. Ze złością natomiast walczy, wyżywając się twórczo. Siedzi w kuchni i eksperymentuje z różnymi proszkami, a potem przenosi projekt na drukarkę. Coraz lepiej jej idzie, choć przyznaję, że kotlet o smaku i wyglądzie starej podeszwy nie jest moim ulubionym daniem. Ale jestem jej wdzięczny, że próbuje. Czasem zastanawiam się, czy nie zacząć jej specjalnie denerwować w tym celu.

Niewiele rzeczy mnie rusza, ale na myśl o jedzeniu mam napady takiej nostalgii, że Mickiewicz ze Słowackim mogliby mi buty czyścić. Powoli zaczynam zapominać smaki. A może kubki smakowe przestały mi działać? Boję się czasem, że kiedy zaczniemy żywić się normalniej, po prostu nic nie poczujemy. Choć łudzenie się, że cokolwiek, co wyszłoby z naszej

kuchni, mogłoby równać się z oryginałami, byłoby wyrazem poważnego szaleństwa.

Byłem przekonany, że się z tym pogodziłem, ale jednak ciągle czuję żal. Takie są fakty: nigdy już nie poczuję zapachu świeżego chleba, takiego prawdziwego, polskiego. Nigdy nie skosztuję uzależniającej Tom Kha Gai z tej obskurnej tajskiej budki niedaleko kampusu. Nie napiję się czerwonego wina. Dziś oddałbym nerkę za sikacza za dziesięć złotych, ale nawet tego nie dostanę. A schabowy mojej mamy? O Boże...Tak, wiem, są gorsze tragedie na świecie, a ja jestem dziwny.

Ale co tam ja, najdziwniejsza z nas wszystkich jest Lakshmi. Naprawdę nie wiem, co o niej myśleć. Znamy się tak długo, a jest dla mnie jeszcze większą tajemnicą niż Ivo, może dlatego, że – po kobiecemu – bardziej nieprzewidywalną. Ma hinduską urodę, najlepsze angielskie wykształcenie i usposobienie piły mechanicznej. Tak, jest bardzo ludzka i uczuciowa. Mniej więcej jak kamień. Albo jak Królowa Śniegu, ta, co to chodzi i wbija lodowe sople w oczy, serca i inne organy. Naprawdę czasem się jej boję, a jednocześnie fascynuje mnie. Szczególnie jej słabość, która jest tak cholernie dziwna, niezrozumiała, idiotyczna wręcz w połączeniu z powyższym, że ciągle jeszcze nie potrafię w nią uwierzyć. Ale wiem jedno – nie należy z niej żartować.

Tak... sposobem na chandrę albo relaks (sto litrów wody dla tego, kto mi to wytłumaczy) jest dla Lakshmi czytanie romansów. Właściwie podejrzewam, że jest to już poważne uzależnienie i może powinniśmy przeprowadzić jakąś interwencję czy coś, ale nie zamierzam zgłaszać się na ochotnika.

51. sol zesłania

14:05

Świetnie, nawet Ivanovichowi dziś puściły nerwy. Co gorsza, zabrał rovera i zniknął, czyli praktycznie zostawił mnie samego w oku cyklonu. W zasadzie mógłbym pójść w jego ślady, gdyby nie to cholerne poczucie odpowiedzialności. Teraz siedzę z tymi psychopatami w komunikacyjnym i próbuję ocalić nasz bezcenny sprzęt przed zniszczeniem. Tylko to mogę zrobić, bawić się w mediatora w tej sytuacji to jak próbować dyskutować z nawałnicą. Jake miota się po pomieszczeniu niczym napastnik amerykańskiej drużyny futbolowej, któremu ktoś pomylił zamówienie w McDonalddie, Irina, nie mogąc wytrzymać jego pyskówek, na zmianę wrzeszczy i rzuca przedmiotami (słowo daję, zamieniamy się wszyscy w przedszkolaków), a Lakshmi metodycznie wali w klawisze, jakby chciała wydusić z nich połączenie, bit po bicie. To jest dopiero ciekawy przypadek dla psychologa: jak izolacja i życie na obcej planecie potrafią sprowadzić superhiperprogramistę z NASA do poziomu intelektualnego pierwszej lepszej małpy w zoo. Wygląda to nawet zabawnie, póki nie próbuje się stawać żadnemu z nich na drodze. Sam się o tym boleśnie przekonałem, kiedy w odpowiedzi na jakąś niewinną uwagę Irina rzuciła we mnie butem. Postanowiłem więc ograniczyć się do roli obserwatora. Wyszedłem z założenia, że gdyby robiło się niebezpiecznie, zawsze mogę ich wszystkich spacyfikować. Jakoś.

Dyskusja wygląda mniej więcej tak:

- Zamknij się wreszcie, ty głupia babo! – Jake cedzi słowa z morderczym błyskiem w oku.
- Bębenki mi pękają od tego wrzasku!
- Dobrze ci tak. Żebyś ogłuchł, pieprzony idioto! AAA!!! – Tu następuje naprawdę głośny wrzask, który trwa, dopóki Irina nie straci tchu.

Lakshmi krzywi się i wygląda, jakby chciała coś powiedzieć, ale zmienia zdanie. Jake

rzuca się na Irinę, obezwładnia ją i knebluje potężną dłonią. Irina szamocze się wściekle, gryzie i ślini się, ale jest jednak za słaba i w zbyt niekorzystnej pozycji do wyswobodzenia. Jake zaczyna znowu o tym, jak bardzo go denerwujemy, my i nasza małostkowość, nasze potrzeby i w ogóle, czy wspominał, że my? Po czym następuje przemowa o tym, że bez niego byśmy tutaj zgnili i że jego fani nie przeżyją kolejnego dnia bez wieści, jak fantastycznie radzi sobie w kryzysowej sytuacji, i na sam koniec rewelacja – że to on tutaj najbardziej cierpi. Po co nam to mówi, nie wiem. Mam niejasne wrażenie, że wysłano mnie na misję do wariatkowa. Gdybym był psychiatrą, może miałoby to jeszcze jakiś sens. Dalej następuje seria pretensji racjonalnych inaczej i wyjątkowo „logiczny” wywód, który sprowadza się mniej więcej do takiej puenty:

– Do cholery! Gdyby nie ty i te cholerne harlequiny, dawno byśmy odzyskali kontakt ze światem. To twoja wina!

Jake jest wyjątkowo przekonany o swojej racji, nie wzrusza go nawet obślinione ramię, którym wskazuje oskarżycielsko obróconą do niego tyłem dziewczynę. Odpowiada mu jedynie gardłowe „hrrr”. Zaraz, skądś znam takie powarkiwanie. Już wiem, z kim mi się to kojarzy! Toż to czysty agent Casey z *Chucka*! Uwielbiałem ten serial jako nastolatek.

– Po cholere ci te szmatławce, tak swoją drogą? – Teraz czas na filozofię. – Skoro tak bardzo pragniesz romansu, to wystarczy poprosić. Dobrze wiesz, że żaden z tych papierowych kochanków nie dorasta mi do pięt. – Prawdę mówiąc, Jake mógłby się czasem powstrzymać od takich komentarzy, tylko podsyca naszą frustrację, ale skłamałbym, twierdząc, że sam o tym nie pomyślałem.

To znaczy nie o tym, jakim kochankiem jest Jake, ale że też bym wolał, żeby tajemnicze życie uczuciowe Lakshmi (skoro już takie istnieje) skupiło się raczej na kimś prawdziwym, zamiast wisieć w przestrzeni czysto teoretycznej. Bardzo chętnie zgłosiłbym się na ochotnika, gdybyśmy oczywiście zdecydowali się zmienić zdanie w kwestii naszych relacji. Tymczasem trzeba Jake’owi znów coś przyznać. Jedno osiągnął – Lakshmi przestała walić w klawiaturę i odwróciła się od monitora. Na jej twarzy malował się wyraz zimnej furii.

– Swoją drogą, nie możesz przeczytać czegoś po raz drugi? – Irina złapała wreszcie trochę oddechu i ponownie wtrąciła się do „rozmowy”.

– Czytałam.

– Wszystkie?

– Mhm.

– Chryste, przecież masz tych powieści kilkaset co najmniej.

– Mhm.

– Przecież to wszystko i tak sprowadza się do jednej i tej samej historii. To tak, jakbyś czytała kilkaset razy tę samą książkę, nie? – Hmm... Irina potrafi czasem zaskoczyć.

Nie spodziewałem się po niej tak racjonalnego myślenia... w tak nieracjonalnej kwestii.

– No i?

– No i?! No i?! – Jake wkurzył się na nowo. – No i mogłabyś dać se siana i nie zapychać nam transferu czymś, co nie jest ci do niczego potrzebne. Co za idiotyzm w ogóle? Jak możesz marnować czas na czytanie jednej i tej samej książki?

– A wy możecie oglądać w kółko tego samego pornola? – Punkt dla niej.

Faktycznie, moglibyśmy z pamięci narysować wszystkie pieprzyki na ciele niejakiej Sary Beige, zaczynamy ją nawet traktować jak kolejnego członka załogi. Ale to przecież nie nasza wina, że całą resztę archiwum potrzeb priorytetowych szlag trafił tuż przed startem.

– Nie musimy, wystarczy, że powiesz słówko. – Jake czasem nie potrafi przestać przeciągać struny.

Irina aż się zagotowała, Lakshmi natomiast nie zmieniła wyrazu twarzy nawet na sekundę.

– Widzisz, JJ, ja nie zabraniam ci marzyć – odparła zimno.

Niemal widziałem te iskry, przebiegające między nimi. Napięcie zapierające dech w piersiach.

Dalszy ciąg tej dyskusji był banalnie łatwy do przewidzenia. Nie jestem w stanie zliczyć, ile razy wałkowaliśmy ten temat. To chyba najczęstszy wątek naszych rozmów. Nieistotne, od jakiego problemu wyjdziemy, prędzej czy później zawsze kończy się na seksie. I w dalszym ciągu są to jałowe dyskusje, raczej sposób na częściowe spuszczenie pary niż nadzieja na rozwiązanie problemu. Bo problem jest realny, a perspektywy mało radosne. Decyzję podjęliśmy sami, nikt nam tego nie sugerował; zresztą z punktu widzenia dramaturgii reality show był to potencjalny strzał w stopę. Choć teraz fani na Ziemi gubią się w domysłach i tworzą swoje teorie na temat tego, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami. Na razie nie dzieje się wiele, ale prawdę mówiąc, nie wiem, jak długo uda nam się utrzymać status quo.

Żeby wypełnić jakoś tę żrącą pustkę – rozmawiamy, choć najczęściej wymaga to czasu na ochłonięcie. Za każdym razem dochodzimy też do tych samych wniosków i póki strach będzie większy niż pokusa, raczej się to nie zmieni. Nie da się zaprzeczyć, część zasług za to, jakim jesteśmy solidnym tworem, spoczywa również na chemii, jaka między nami zaistniała praktycznie w momencie, w którym się poznaliśmy. To jest jak klej, który im mocniej spaja, tym bardziej grozi uszkodzeniem materiału. Żadne z nas nie chce ryzykować, że spieprzymy tę misję z powodu jakiejś szalonej dramy rodem z argentyńskiej telenoweli.

Kiedy jestem w stanie myśleć o konsekwencjach, kiedy rozważam różne scenariusze, faktycznie czuję strach. I choć czasem cholernie trudno przypomnieć sobie, dlaczego tak zdecydowaliśmy, i chce się pieprzyć te wszystkie racjonalne argumenty, to koniec końców mam nadzieję, że to był dobry wybór. Poza tym, choć frustracja to potężna siła, póki wszyscy cierpimy po równo, w pewnym sensie potrafi też łączyć. Muszę to sobie powtarzać do znudzenia.

Jest też w końcu i nadzieja. Za jakiś rok przylecą nowi, sytuacja będzie stabilniejsza, będziemy mieli okazję do integracji. Kolejny krok ku normalności. Kto wie, może przylecą te śliczne Rosjanki, o których nasłuchaliśmy się tylu niewiarygodnych opowieści?

Póki co pozostaje Sara B. i coraz bardziej sentymentalne fantazje na temat długonogich astronautek w obcisłych kombinezonach, niosących dary z Ziemi i wyzwolenie od celibatu.

52. sol zesłania

16:00

Połączenie ciągle leży.

19:00

Ivo znowu sam poza bazą. Normalnie nie powinniśmy wybywać w pojedynkę, ale to postanowienie dość szybko wzięło w łeb. Rozumiem Ivanovicha, czasem zwyczajnie trzeba pojechać i spojrzeć pustce w oczy. To taka ucieczka z samotności w jeszcze większą samotność. Większy potwór zjada mniejszego. Wydawać by się mogło, że nie można zwalczyć zła złem, przecież w rezultacie znów lądujemy w czarnej dupie. Jednak można – wystarczy znaleźć naprawdę dużą pustkę. Tak wielką, że w mgnieniu oka sama zapełnia się obrazami i

dźwiękami. Można się w nich zatracić, oszaleć. Ale czasem nie ma innego lekarstwa na własne szaleństwo.

Niemniej trochę za długo już go nie ma. Zaczynam się martwić. Wywoływałem go przez radio chyba trzy razy. Za trzecim odpowiedział, że wraca, ale od tego czasu milczy, a jego komunikator pulsuje wciąż w tym samym miejscu.

Nie chce mi się dzisiaj nic robić. Normalnie zawaliłbym się robotą, żeby tylko nie myśleć o takich pierdołach, ale dzisiaj... Dzisiaj chciałbym po prostu uciec. Może to wszystko zaczyna mnie przytłaczać, wysysać siły? A przecież jest zdecydowanie za wcześnie, żeby czuć się wypalonym. Chociaż skąd ktokolwiek mógłby to wiedzieć?

20:50

W końcu Ivo sam się odezwał. Szkoda, że przy okazji przyniósł złe wieści.

– Słuchaj, czy któreś robale nie powinny jakoś teraz wracać? – zaczął ni stąd, ni zowąd.

Spojrzałem na grafik. Faktycznie, jedna z grup powinna była właśnie przecinać sąsiedztwo rovera, ale według telemetrii ciągle kręciły się daleko poza jego zasięgiem.

– Hm... Masz rację, wygląda na to, że mamy kilka godzin opóźnienia na grupie czwartej. Przez to całe zamieszanie nikt nie zauważył. Zaraz sprawdzę. Wracasz?

– Wracam.

Lakshmi weszła do komunikacyjnego jakieś dziesięć minut później.

– Miałam się myć – burknęła z wyrzutem.

No tak, jeszcze przed chwilą widziała kilka wolnych litrów, a teraz zero, null, nada. Jedyne konieczne wydatki. Co ja poradzę? Musiałem je zablokować, na wypadek gdyby grupa robali spóźniła się jeszcze bardziej.

– Poczekaj jeszcze dwadzieścia minut, powinny wrócić.

– Co jest?

– Nic takiego, grupa czwarta się spóźnia, ale za godzinę powinna wracać piąta, więc jak tylko wejdą w bezpośredni zasięg, odblokuję nadwyżki.

– OK. Skąd takie opóźnienie? Ponad cztery godziny w plecy? – zerknęła mi przez ramię, żeby sprawdzić, czy ma rację, po czym odchyliła się, czekając na moją odpowiedź.

Starłem się nie zwracać na nią uwagi, ale do dzisiaj nie lubię, kiedy ktoś się gapi, jak pracuję. Jakby nie wystarczało, że sama jej osoba działała na mnie wyjątkowo rozpraszająco.

– Poczekaj sekundę...

Wysłałem ostatni rozkaz i teraz czekałem na następne pakiety danych. Gdybym mógł siłą woli przyspieszyć czas, z chęcią bym to zrobił, żeby tylko nie czuć tego niemiłego napięcia. A może mi się tylko wydawało i Lakshmi wcale nie była zniecierpliwiona, ale spokojnie czekała, aż kropki na ekranie odłączą się od grupy, a ja upewnię się, że wszystko idzie zgodnie z planem?

– OK – westchnąłem, kiedy tylko sprawy przybrały przewidywany obrót. – Wygląda na to, że jeden z robali oberwał jakimś głazem czy czymś. Przynajmniej tak wnioskuję po uszkodzeniach. Ma wyłamane zęby, więc nie może za bardzo nurkować, trochę oślepl i zdechl mu GPS. Zresztą stąd te opóźnienia. Reszta grupy próbowała go nawigować, ale kiedy tylko włączyły pod ziemię, rwał się kontakt i pechowiec się gubił, więc po niego wracały i tak w kółko. Gdyby się zupełnie zgubił, nie trwałoby to tak długo.

– Więc po prostu odłączyłeś go od grupy, tak? – znowu zerkała na ekran. – To dlaczego dwa robale zostały w tyle?

– Doszedłem do wniosku, że jeden dodatkowy nie robi różnicy. Puściłem resztę grupy normalnie, a pechowiec ma teraz przewodnika. Będą się tu włokły w trybie awaryjnym chyba z kilka dni, ale w końcu dotrą, nie? Albo zgarniemy je przy okazji..

– Mhm. Nie wiem, czy było warto. Ale z drugiej strony zrobienie nowego aktualnie nie trwałoby dużo krócej.

– No właśnie. Poza tym chcę go obejrzeć.

– Jak chcesz. Wątpię, żebyś coś tam znalazł.

Wzruszyłem ramionami, choć nie oszukujmy się – oczywiście, że miałem nadzieję.

53. sol zesłania

10:04

Lista rzeczy, które przydałoby się zamówić z Ziemi, rośnie. W komunikacyjnym mamy ten wielki zegar, odliczający dni do kolejnej ekspedycji. To miał być motywator – chcemy dokonać tu niesamowitych rzeczy, żeby ci, którzy przyjdą po nas, zesrali się z zazdrości. No i czekamy na paczki z domu. Coraz częściej jednak zastanawiam się, czy w ogóle dotrwamy do końca odliczania. Do połowy? Bardziej denerwuje mnie myśl o porażce jako takiej niż o jej konsekwencjach, no cóż, tych bardziej personalnych. Całe życie chciałem zrobić coś zajebistego, być częścią czegoś naprawdę wielkiego. Nie chodzi o sławę, w sumie żadnemu z nas (no, może poza Jankesem, ale to jest chyba jednak bardziej jego sposób na radzenie sobie z sytuacją, a nie główny cel). Wszyscy ci, którzy po prostu chcieli zabłysnąć, najzwyczajniej zapisać się na kartach historii, bardzo szybko poodpadali z programu. Zostali ci, którzy tę historię chcą pisać własnoręcznie, jaka by nie była. Gdybyśmy nie wierzyli, gdyby ktoś inny wcześniej nie uwierzył, że to wszystko będzie możliwe nie za pięćdziesiąt, nie za sto lat, ale już dzisiaj, nie byłoby nas tutaj. Chyba za to najbardziej lubię ludzkość. Mamy jaja i pasujące mózgi. Choć czasem chciałbym, żeby mój własny zachowywał się trochę inaczej. Jestem tu przecież, ale wcale nie czuję się specjalnie. Nie czuję dumy. Podniecenie? Już mniejsze, ale ciągle. Spełnienie? Jeszcze nie i zaczynam wątpić, że kiedykolwiek je osiągnę. Podejrzewam, że nadal większość ludzi na Ziemi uważa nas za idiotów, nie za bohaterów. A ja tęsknię za gęstym ciemnym piwem. Widzę ten zimny, oszroniony od wilgoci kufel, w którym przelewa się gorzkawy płyn. Na samą myśl o kroplach wody spływających po grubym szkle czuję ciarki. Chyba zaczynam halucynować.

55. sol zesłania

16:03

Lakshmi oczywiście miała rację. Nie jestem bardzo zawiedziony, choć przez chwilę faktycznie miałem nadzieję, że powrót uszkodzonej dżdżownicy zaszkutkuje jakimś ciekawym odkryciem. Wszystko wskazuje jednak na zwykły wypadek. Zgrałem dane z robala i podłączyłem go do dojarki.

Podczas czekania spojrzałem na nasze stadko, zastanawiając się, które z pozostałych osobników także potrzebowałyby przeglądu. Zerknąłem do bazy, ale nic nie zwróciło mojej uwagi. Koło pechowca gnieździły się ostatnie tłuste dżdżownice z grupy A, pracowicie oddające urobek ze swojej wyprawy. Te, które czekały na swoją kolej, legły na piachu, wystawiwszy baterie do słońca. Wyglądały, jakby ich metaliczne, członowate cielska obsiadły chmary ciem albo jakby jakiś rodzaj czarnej pajęczyny zaczął wyrastać spomiędzy szczelin ich pancerzy.

Czasem, kiedy na nie patrzę, mam wrażenie, że są żywymi istotami. Pożytecznymi, ale też po prostu bliskimi. Lubię obserwować, jak wgryzają się w zmarzniętą, nieprzyjazną glebę i zostawiają po sobie swojski ślad spulchnionej ziemi. Wyglądają wtedy, jakby były wściekle głodne. To, co zjedzą, jest natychmiast mielone i filtrowane. Odparowane drobinki wody skwapliwie odkładają się w przeznaczonych dla nich pęcherzach, podczas gdy niepotrzebne już porcje piachu, odsianego z interesujących minerałów, wydostają się niepostrzeżenie po drugiej stronie cielska. Gdzieś w głębi metalowego brzucha próbki gleby wędrują wąskimi kapilarami żył, odkładając po drodze związki chemiczne, a sieć sensorów nieustannie przesyła informacje do mózgu. Kiedy dotrą do domu, garną się jak ślepe młode do mlecznej samicy, dla odmiany nie po to, żeby ssać, ale żeby oddać swojej mamie to, co zebrały po drodze. Może to nie ssaki, tylko pszczoły albo mrówki?

A jednak, mimo całego ich piękna i wartości, coraz częściej patrzę na robale z niechęcią. Przypominają mi, że ciągle zależy tylko od nich, a to z kolei budzi głęboko zakopany lęk i frustrację. Dopiero kiedy uruchomimy kopalnię, będziemy mogli poczuć się jak prawdziwi koloniści. To tak, jakby przeskoczyć wreszcie od niepewnego zbieractwa do stabilnego rolnictwa. Choć na tej ziemi to doprawdy beznadziejna metafora.

58. sol zesłania

11:14

Skończyłem opracowywać dane z robali i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że nie mogę ich wysłać. Zaczynam działać jak maszyna, według z góry zaprogramowanego cyklu. Zabawne, choć może nie w kontekście zmarnowanego przedpołudnia.

Swoją drogą mija już ponad tydzień, odkąd ostatnio mieliśmy jakikolwiek kontakt z Ziemią. Po pierwszych odruchach buntu w końcu przystosowaliśmy się do sytuacji (jakżeby inaczej) i nawet wynikło z tego kilka dobrych rzeczy. Choćby nowe danie Iriny. Nie wiem, jak to nazwać, bo każdemu kojarzy się z czymś innym. Mnie osobiście z plackiem po węgiersku – przynajmniej z wyglądu, smaku nie próbuję nawet analizować. Umówmy się, że w tej chwili wszystko jest lepsze od drukowanej pizzy i hamburgerów, nawet drukowany placek wielkiej niewiadomej. Przynajmniej zioła mamy świeże. Słowo daję, jeśli nie uruchomimy tej kopalni, zacznę rozważać kanibalizm jako sposób na życie.

Najgorsze jest to czekanie. Gdybyśmy mieli jakiś wpływ na cykl produkcyjny, pracowalibyśmy jak szaleni, żeby to popchnąć wreszcie do przodu, ale pewnych rzeczy nie da się przyspieszyć. Przynajmniej w naszej sytuacji. Wszystko, co mogliśmy zrobić na tym etapie, zostało zrobione. Instalacja właściwie gotowa, czekamy na ostatnie fragmenty głowicy, potem składamy ją do kupy i jazda.

59. sol zesłania

7:14

Znów śniła mi się filharmonia. Tym razem sen mocno wrył mi się w pamięć. Może dlatego, że miesza się z konkretnymi wspomnieniami? Zupełnie jakbym był tam znowu. Młody dzieciak, poirytowany jak diabli przymusowym ukulturalnianiem, wpadający w histerię na ledwie wspomnienie o dwóch godzinach bez gry komputerowej, mający spędzić cały ten czas na słuchaniu jakiejś nudnej muzyki... błagam. Jeszcze gdyby muzyce miał towarzyszyć jakiś show, choćby efektowna wizualizacja, ale nie – orkiestra składa się z samych nudnych ludzi w jeszcze nudniejszych czarnych strojach. Zupełnie jak na stypie, myślałem. A potem przyszła

ona, gwiazda wieczoru, skłoniła się i siadła przy fortepianie. Wystarczyło, że musnęła klawiaturę, a byłem kupiony.

Teraz myślę o tym wieczorze i nie mogę oprzeć się dziwnemu wrażeniu sprzeczności. Był to chyba ostatni z koncertów fortepianowych Mozarta, a ja zamiast odczuwać smutek przemijania, myślałem o przyszłości – i nigdy nie wydawała mi się ona radośniejsza. Czułem się niemal wzruszony na myśl, że rasa, która potrafiła stworzyć coś takiego, która jeszcze dziś potrafi wydawać na świat nowe wcielenia piękna, nie może tak po prostu się stoczyć w nicość.

Nie mogłem oderwać wzroku od sceny, niemal zwiśłem z balustrady łoża. Poniżej wcielona doskonałość tonęła w blasku uroczystego światła starych reflektorów. Z mojej podniebnej perspektywy widziałem tylko smukłą linię ramion, wyprostowane gładkie plecy, niknące gdzieś na skraju głęboko wyciętej sukni, ale przede wszystkim – parę przepięknie wykrojonych dłoni i ich subtelne ruchy, które rozgrzewały moją młodą krew.

Aż do intermisji nie dane mi było zobaczyć twarzy pianistki, a mimo to mógłbym przysiąc, że ją znałem od urodzenia, tak jak zna się chłód poranka, uczucie głodu i nostalgię letniego popołudnia.

Piszę z lekkim zażenowaniem, bo i notka na plakatach epatowała takimi banałami, a mnie to wtedy najzwyczajniej śmieszyło, ale daję słowo, jeśli ktokolwiek miałby dotknąć mojej duszy, to właśnie ona. Choć z początku tego nie wiedziałem. Myślę, że winna była nonszalancja przepełniająca jej ruchy. Ledwo dotykała klawiszy, zdawała się samą delikatnością budzić muzykę w wielkim instrumencie, tak jak słońce budzi poranne kwiaty. Była czarodziejką.

Zakochałem się w tych dłoniach, czułem fizyczny dreszcz, kiedy wyobraźnia podpowiadała mi, jak jej doskonałe palce przebiegają po mojej skórze. Nawet sposób, w jaki składała dłonie na kolanach, ruch nadgarstków, zawieszających czas nad czarno-białą wstęgą, lekkie skrzywienie głowy – to wszystko było czystym pięknem. Palce niemal w magiczny sposób nurzała w muzyce; przebierając nimi po klawiszach, wyglądała, jakby głąskała łagodny strumień wody.

Chyba zawsze miałem słabość do fortepianów. Skrzypce przemawiały do mnie o tyle, o ile może przemówić wiatr do przyziemnego człowieka. Ich śpiewny, rzewny ton mroził mnie. Fortepian natomiast zawsze kojarzy mi się z wodnym żywiołem. Koi głęboką tonią, rozśmiesza perlistymi fontannami, najgorsze myśli zagłusza hukami wodospadu.

Palce mojej pianistki roniły krystaliczne krople rosy.

Inne instrumenty próbowały naśladować jej grę, były jednak ledwie echem. Pozwalała im czasem współgrać ze sobą, bawiła się z nimi, raz gubiąc, innym razem czekając, aż ją dogonią.

Chyba nigdy nie odkryłbym Mozarta, gdyby nie ona.

Teraz siedzę tutaj i próbuję przypomnieć sobie melodie i dźwięki, ale nie słyszę nic. To jest kraina zimnej suszy.

60. sol zesłania

19:40

Jestem wymęczony i wściekły. Pierdolę to wszystko.

Naprawdę, czy tak trudno sprawdzić sprzęt przed wysłaniem? *Plug and play my ass...*

Fakt, sami daliśmy znowu ciała, bo mogliśmy sprawdzić wcześniej na sucho, ale nikomu nie przyszło to do głowy. Składamy stanowisko wiertnicze, Jake kończy mechanikę i daje mi

znak, żebym uruchomił tryb testowy. Wiatr sypie rudym piachem po osłonie; zastanawiam się, czy nie powinniśmy przeczyścić jeszcze raz głowicy przed startem, ale to próżne dywagacje. Włączam zasilanie, wybieram tryb testowy – kalibracja – i nic. Jeszcze do tego od pół godziny swędzi mnie pod kolanem i powoli dostaję szału. Sprawdzam diody po kolei, według manuala. Krok po kroku. Trzy razy. Wszystko się zgadza. Nic się nie dzieje. Daję Jake’owi instrukcję, żeby sprawdził, czy nie jestem ślepy, bo za cholerę nie widzę, co mogłem przeoczyć. Jake zaczyna sam sprawdzać, dokładnie i po kolei. Wiem, że sam go o to prosiłem, ale odruchowo zaczynam się irytować i niecierpliwić, przecież przed chwilą to zrobiłem. Dalej nic, wszystko niby OK, ale nic się nie dzieje. Trzeba zajrzeć do bebechów.

Otwieram klapę (niewiele brakowało, a wyrwałbym ją z zawiasów przez nieuwagę), a tam totalny sajgon. Część wtyczek wisi w powietrzu, jakieś kabelki bez końcówek powiązane w pęczki, jakby ktoś nie potrafił się zdecydować, czy są do czegoś potrzebne. Oczywiście nieopisane. Moduł I/O mruga na czerwono, jakby był równie niezadowolony jak ja, falownik przynajmniej wyświetla jakiś konkretny kod błędu, zaraz się go sprawdzi. Jake szuka dokumentacji elektrycznej, podczas gdy ja zaczynam metodycznie przeklikiwać się przez konfigurację sterownika. W końcu słyszę soczyste przekleństwo, a właściwie całą wiązanekę, pod adresem firmy, która nam to dostarczyła. Jake pokazuje mi dokument. Już na pierwszy rzut oka widzę, że dokumentacja dotyczy układu innego typu. No i co teraz? Sprawdzić według tych schematów, licząc na to, że ktoś zapomniał zmienić oznaczenia? Strata czasu, ale przecież nie mamy innego wyjścia. Gdybyśmy mieli łączność, moglibyśmy poprosić o potwierdzenie albo nową wersję, a tak? Po prostu zajebicie.

Cały pieprzony dzień babrania się po omacku i gubienia w domysłach, sprawdzania empirycznie, co do czego może służyć. Cały chrzaniący dzień w tym szaropomarańczowym mleku. Widoczność taka, że ciągle miałem wrażenie, że coś nagle wylezie na mnie zza osłony i dziabnie w kark. Nie wiem, skąd nagle taka paranoja, może ze stresu. Jake przynajmniej zachował zimną krew, dzięki temu jakoś przetrwałem ten dzień. Najbardziej wkurza mnie, że to jeszcze nie koniec. Niby dużo naprawiliśmy, ale testówka ciągle nie zaskoczyła. Gdzie jest pieprzona pomoc techniczna, kiedy jej potrzebujemy?!

61. sol zesłania

14:45

No. Udało się. Wreszcie. Skalibrowaliśmy głowicę. Pierwsze odwierty mamy za sobą. Teraz powinno iść już z górki, choć może lepiej nie zapeszać...

Swoją drogą, niezła fuszerka. Ludzie, którzy przygotowali ten sprzęt, byli albo leniwymi durniami, albo musieli bardzo się spieszyć. Nie widzę innego wytłumaczenia tego bajzlu, a to przecież nie pierwszy taki syf, na jaki się natykamy. Z drugiej strony to olbrzymi projekt, przedsięwzięcie stulecia, rzesze ludzi w niego zaangażowanych, ale i mnóstwo podwykonawców, nie zawsze tak rzetelnych, jakbyśmy chcieli, a wszystko to wkręczone mocno w tryby showbiznesowej maszynki. Jeśli spojrzeć na to z tej perspektywy – to cud, że tu w ogóle dotarliśmy.

62. sol zesłania

22:37

Po południu przyszedł do mnie Ivanovich. Okazuje się, że – podczas gdy zwyczajnie, po męsku starałem się nie myśleć o problemie – inni nie mieli tak szczytnych postanowień. Gdyby

jeszcze te słowa padły z ust Jake'a albo Iriny, pewnie bym ich olał, ale kiedy przychodzi do ciebie Ivo i chce porozmawiać, zaczynasz się niepokoić. Nawet jeśli rozmowa miałaby dotyczyć wczorajszego śniadania albo wyniku jakiegoś głupiego meczu.

– Mija dwunasty sol – zaczął bez ogródek, a mnie ciarki przebiegły po plecach. – Nie wiem, jak ty, ale ja zaczynam odnosić wrażenie, że sytuacja robi się poważna.

Co miałem mu powiedzieć? Że owszem, nie wygląda to jak wakacje i gdybym tylko sobie na to pozwolił, byłbym przerażony jak nigdy w życiu?

– Masz coś konkretnego na myśli czy tylko się tak zastanawiasz? – Nawet nie próbowałem ukryć mojej niechęci do konfrontacji z tak pieczołowicie unikany przez mnie problemem.

– Gdybym miał jakieś racjonalne wytłumaczenie, nie byłoby tej rozmowy. Po prostu nie mogę znieść myśli, że rozwiązanie gdzieś tam jest, coś zupełnie prostego, a my to przeoczyliśmy.

– Dobrze wiesz, że w tym czasie sprawdziliśmy każdy możliwy centymetr kabla, każdy bit i przeprowadziliśmy każdy najdziwniejszy test diagnostyczny, jaki mógł przyjść nam do głowy. Nawet po kilka razy, jakbyśmy sobie nawzajem nie dowierzali. Do cholery, sam siedziałeś w komunikacyjnym dwa dni, a komu jak komu, ale tobie żaden drobiazg nie umyka.

– W tym rzecz. Może za bardzo skupiamy się na drobiazgach?

– Może. Słuchaj, zawsze kiedy coś mi umykało, zajmowałem się czymś innym i po jakimś czasie odpowiedź sama przychodziła. Albo i nie. Ale nie sądzę, żeby obsesyjne myślenie dawało lepsze rezultaty.

– Naprawdę chciałbym przestać o tym myśleć, uwierz mi. Dlatego zresztą przyszedłem do ciebie. Liczyłem, że coś wyniknie z twojego niemyślenia na ten temat.

– Dzięki. – Prawie poczułem się urażony. – Niestety wszystkie moje teorie już usłyszałeś. Są dwie opcje: albo nie mogą się z nami skomunikować, albo nie chcą. Na ich widzimisię nie mamy wpływu, na przyczyny zewnętrzne – to zależy. Jeśli problem jest po naszej stronie, jak sugerujesz, wygląda na to, że nie potrafimy go ani zidentyfikować, ani tym bardziej rozwiązać. Naprawdę mam wrażenie, że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Nawet zostawiliśmy tę laurkę z wyrazami szacunku. Swoją drogą, strasznie się namęczyłem, rysując tego chuja na piasku. Co jeszcze chcesz zrobić? Serio. Bo ja widzę tylko jedno wyjście: czekać.

– Wiesz, że brzmisz bardzo optymistycznie?

– To znaczy jak ignorant?

A może jak tchórz? Czy to właśnie chciał zasugerować? Jeśli zamierzał zmusić mnie do myślenia, to muszę mu przyznać – rozwalił mi skupienie na resztę dnia. Choć wnioski, jakie raz po raz wyciągam, raczej nie zaspokoją jego ciekawości.

A jeśli miał rację? Może tak naprawdę wcale nie chodzi mi o to, że nie powinniśmy zajmować myśli problemem, którego nie mamy szansy rozwiązać. W zasadzie ciągle myślę że to bez sensu, ale póki nie udowodniliśmy jeszcze bezsprzecznie, że się nie da...

Albo, albo... Albo zachowuję się racjonalnie, albo kieruje mną strach. Może unikam myślenia na ten temat nie dlatego, że nie wierzę, iż rozwiązanie istnieje (i do tego znajduje się w zasięgu naszych możliwości), ale dlatego, że inne możliwości, które przychodzą do głowy, budzą lęk? Czy optymizm z wyboru to oznaka tchórzostwa? Albo bierności?

Kiedy ostatnio rozmawialiśmy na ten temat, na przemian padały żarty i pomysły rodem z najdziwniejszych teorii spiskowych. Najprostsze i zarazem najśmieszniejsze rozwiązanie? Lakshmi: pewnie ktoś nie zapłacił rachunku za internet. Najgłupsze? Nie wiem, czy sobie przypomnę, ale kiedy ktoś na wszelki wypadek sprawdził, czy Ziemia wciąż stoi na swoim

miejszu, zaczęło się robić naprawdę irracjonalnie. Choć przyznaję, że to całkiem zabawna myśl: ci, których uznano dla straceńców, mieliby się okazać ostatnimi ocalałymi z ludzkiej rasy.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że padły wszystkie trzy nadajniki? I nasz, i amerykańskie? Czy istnieje w ogóle możliwość, że padła cała sieć? – pyta z powątpiewaniem Irina.

– Fizycznie? Niemożliwe. Ale jeśli ktoś obrał ją sobie za cel ataku terrorystycznego i zainfekował jakimś megawykopanym w kosmos wirusem... – zastanawia się na głos Lakshmi.

– Ale czy wtedy my też nie oberwalibyśmy tym samym? Jeśli tak, to cholernie sprytny wirus. Nie zostawia śladów. – Jake próbuje chyba zabrzmieć ironicznie, ale jedyne, co udaje mu się osiągnąć to pogłębienie wystarczająco już grobowego nastroju.

– A jeśli wybuchła wojna? Wyobrażacie sobie: siedzimy tutaj, niczego nieświadomi, podczas gdy na Ziemi trwa apokalipsa? – Oczy Iriny robią się okrągłe jak spodki, przełyka ślinę, jakby nagle zaschło jej w gardle.

– A co, jeśli po prostu robią sobie z nas jaja? Może to jakiś test? – sugeruję w końcu.

– Dlaczego mieliby to robić? – Lakshmi odbija piłeczkę.

– Skąd mam wiedzieć? Może chcą sprawdzić, jak zareagujemy w sytuacji ekstremalnej.

– Sprawdzali. Nie pamiętasz? Może za duża trauma i teraz wypierasz? – kpi, a ja czuję się znowu jak w szkole.

Nie znoszę, kiedy to robi.

– Spadaj. – Mistrz ciętej riposty to ja.

I tak w kółko. Jaki jest sens o tym rozmyślać? Ostatecznie Ivo ma w jednym rację – jeśli to jest coś, co potrafilibyśmy naprawić, byłaby to nasza spora porażka. Tylko ciągle nie przychodzi mi do głowy, czego jeszcze moglibyśmy spróbować.

63. sol zesłania

23:40

Ha! Kolejny pracowity dzień, kolejny sukces! Proszę państwa, wiertła poszły w ruch, kompresory buczą aż miło. Jak tak dalej pójdzie, pojutrze czeka nas święto narodowe – dla każdego dwie minuty gorącego prysznica!

Uwielbiam takie momenty, zdycham ze zmęczenia, ale jestem zadowolony, jakbym opił się śmietanki. Mmm... Napiłbym się mleka.

64. sol zesłania

14:21

Kopalnia w pełni sprawna, zaczynamy powiększać zasoby wody, jak tak dalej pójdzie, możemy po cichu marzyć o normalniejszym życiu. Więc skąd ten niepokój?

Zakładałem, że te wszystkie dziwne sny i myśli o wodzie były bezpośrednio związane z budową. Takie wizualizacje stresu i pragnienia. A jednak mam wrażenie, że czegoś mi brakuje. Coś mi umyka. Zaczynam myśleć, że nie tylko Ivo ma skłonności do obsesji.

65. sol zesłania

12:10

Skorzystałem z wolnego okienka i właśnie trzymam w dłoniach flet poprzeczny. Świeżo spod igły. Nie wiem, co mi przyszło do głowy, ale właśnie ten instrument wydawał mi się

najsłuszniejszy.

13:00

Nie wiem, co mi strzeliło do głowy. Zapomniałem, że czego jak czego, ale akurat prywatności tu nie mamy pod dostatkiem. Teraz wszyscy mówią do mnie per fujara. Nawet Irina, którą zawsze uważałem za symbol matczynego ciepła. No ale czego się spodziewałem?

66. sol zesłania

10:07

Wieczór przy wirtualnym kominku, na zewnątrz zapada błękitny zmierzch.

Siedzimy w kręgu jak za pradawnych czasów. Wymieniamy opowieści. Część z nich znamy już na pamięć, ale uśmiechamy się, zasłuchani, jakby to był pierwszy raz.

W końcu przełamuję się i wyciągam flet. Zaczynam grać. Staram się nie słuchać, jak Jake się ze mnie nabija, nie patrzeć, kiedy dziewczyny się krzywią, jak próbuję wydobyć z tego ustrojstwa pierwsze dźwięki. Serce dudni mi w piersiach, jakby na widowni siedział cały świat. Ale nie zrażam się – ta potrzeba jest silniejsza od strachu, a oni w końcu milkną. Zabieram ich w podróż tam, gdzie nie sięga nasz rover, gdzie nie pozwala nam dojść system podtrzymywania życia w kombinezonie. Tam, gdzie wiatry rozbijają się o szczyty gór, gdzie mróz trzyma w żelaznych okowach wodę życia. Opowiadam o grawitacji, która miesza nam w głowach, o pyłe, który filtruje każdy promień dalekiego słońca. Tak innego, choć przecież tego samego – oznacza ono dom. Opowiadam dalej o rdzawoszarej poświacie i chłodzie, który przypomina zimę w mieście, choć nie pachnie jak zima, ale jak metal i pot. I o samotności. Nie brzmię tak czysto, tak kojąco jak instrumenty, które znałem, ale tu nic nie jest i nie będzie czyste i kojące. Woda nie tryska strumieniami, nie rozlewa się w oceany, ale trzeba ją zdobywać z trudem i poświęceniem. Życie nie przychodzi łatwo i od niechcenia. Skrzypi.

– To jest to, prawda? – pyta po dłuższej chwili Irina. – To naprawdę jest nasz dom.

67. sol zesłania

12:00

Od rana chodzę jak na kacu. Nie wiem, skąd taka reakcja. Może postresowa? W zasadzie atmosfera przejaśniła się, poza mną i Ivem (ale to nic nowego) wszyscy chodzą z uśmiechami na twarzach. Patrzą na nich, jak jedzą śniadanie i przerzucają się pomysłami na nowe jedzenie, i mam niejasne wrażenie oderwania. Przecież powinienem robić to samo. Kto jak kto, ale ja?

Całe przedpołudnie spędziłem z Iriną w ogródku, dłubiąc przy instalacji. Słowo daję, dziewczyna promieniała. Od dawna jej takiej nie widziałem. Można się zakochać.

Podłączyłem ekran diagnostyczny; chyba z pięć razy sprawdzałem nastawy i odczyty i przez cały ten czas nie mogłem pozbyć się wrażenia, że coś mi umyka. Boże, jak tego nie cierpię!

14:00

Ivo znowu siedzi w komunikacyjnym. Zaczyna mnie to denerwować. Właściwie i tak czekam na Lakshmi i Jake'a, więc równie dobrze mogę trochę pomyśleć. Jakie były nasze najgłupsze, najbardziej nieprawdopodobne teorie? Które założenia odrzuciliśmy z góry?

14:20

Cholera, gdzie ta Lakshmi, kiedy jej potrzebuje?

69. sol zesłania

21:18

Chyba trzeci raz kasuję ten wpis i zaczynam od nowa. Może najlepiej napisać wszystko od początku?

Założyłem z jakiegoś durnego powodu, że nie mamy szans skomunikować się z siecią, jeśli ktoś tam tak sobie właśnie postanowił. Zupełnie jakbym zapomniał, jak się jeździło na rowerku. Abstrahując od powodów, dla których ktoś miałby nas odcinać od informacji (ciągle wydawało mi się to idiotyczne, ale postanowiłem w końcu sprawdzić każdą, nawet najgłupszą możliwość), jeśli tylko istniała szansa, musieliśmy ją wykorzystać. Wiem, że pójście do Lakshmi z takim pytaniem mogło skończyć się dla mnie tragicznie, ale cóż, byłem tak nakręcony, że nie zastanawiałem się nad tym długo. Dopadłem ją, jak tylko odszczelniła kombinezon.

– Lakshmi, czy próbowałaś kiedyś zhackować NASA?

– Jasne! Czekać... co?

Była tak zaskoczona, że nawet nie zdążyła się zirytować, a ja kułem dalej to żelazo.

– Sama mówiłaś o atakach terrorystycznych. Dlaczego mielibyśmy być ofiarami, a nie na przykład, hmm... wziąć sprawę we własne ręce?

– OK... – zaczęła ostrożnie, albo walcząc ze zmęczeniem, albo najzwyczajniej zakładając, że rozmawia z wariatem – tylko że nie wiemy, czy komunikacja działa chociaż w jedną stronę. To dość grube założenie. I prawdę mówiąc, ciągle wydaje mi się nieprawdopodobne.

– Właśnie w tym sęk. To jedyna albo przynajmniej jedna z niewielu rzeczy, których nie sprawdziliśmy.

– Przecież próbowaliśmy wysłać wiadomości. Chyba z milion razy – wtrącił się równie skołowany Jake.

– Ale nie dostaliśmy ani bitu potwierdzenia.

– A to faktycznie niczego nie dowodzi – przyznała Lakshmi.

Sam nie wiem, czego oczekiwałem. Byłem podekscytowany nową możliwością i wtedy liczyło się tylko to, no i w tym konkretnym momencie byłem oczywiście święcie przekonany, że to musi być to. Tak jest zawsze, a potem nic z tego nie wychodzi. Pewnie gdyby nie wyszło, poczułbym zawód, ale też rodzaj ulgi – ostatecznie w końcu miałem rację, prawda? Ale wyszło. Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu. Zupełnie jak w amerykańskim filmie.

Na początku nie dawaliśmy Lakshmi spokoju, każdy miał swój pomysł na to, jak najlepiej zrealizować mój plan. To była naprawdę świetna burza mózgów. Po czym nasza bogini przewróciła oczami, kazała nam się zamknąć i zrobiła wszystko po swojemu. No cóż, w końcu to jej broszka. Gdyby nie fakt, że miała swego czasu niezły wgląd w to, jak tam się wszystko odbywa, pewnie nawet ona nie dałaby rady tego pociągnąć. Pomyśleć, że się z jej kariery w NASA nabijaliśmy!

Pomysł był prosty: puścić robala, który otworzyłby furtkę dla naszego downloadera, jeśli faktycznie ktoś nas blokował. Potencjalnych problemów – mnóstwo. Począwszy od próby przemycenia programu, po sam fakt, że działaliśmy zupełnie na ślepo. Mieliśmy jednak szansę i zamierzaliśmy ją wykorzystać, nawet jeśli była jedną na tysiąc.

Tak czy inaczej, pierwszym celem programu Lakshmi miała być próba puszczenia potwierdzenia. W zasadzie gdyby tylko się udało, przynajmniej mielibyśmy dowód, że ktoś

celowo utrzymuje nas w ciszy radiowej.

Musieliśmy działać w miarę ostrożnie i raczej szybko. Wyczyściliśmy wszelkie zalegające filtry z downladera i staraliśmy się zawęzić zakres poszukiwań do maksimum. Kilka największych newsfeedów, hasła związane z naszą misją, od najbardziej aktualnych, przez ostatnie dwa tygodnie, z wyszczególnieniem daty, kiedy padła łączność. Ostatecznie ktoś chyba musiał zwrócić uwagę mediów na tę przerwę w komunikacji?

Czekaliśmy na sygnał i nakręcaliśmy się wzajemnie, choć Lakshmi z góry uprzedzała, że to może potrwać.

Kiedy wreszcie pojawił się na ekranie, musieliśmy się uszczypnąć. Nagle zrobiło mi się gorąco.

Czekaliśmy dalej w nieziemskim napięciu. Czy zablokują nas znowu, czy zdążymy jeszcze coś zdziałać? Kiedy wreszcie downloader się odświeżył i zobaczyliśmy, że zasysa, zaczęliśmy mu najnormalniej w świecie kibicować. Myśleliśmy, że pasek postępu nigdy nie dojdzie do tych 100%. Nie wiem, ile czasu minęło, to musiały być jakieś wieki. W końcu zaczęły spływać do nas pierwsze nagłówki. *Inicjatywa Mars One wielkim przekrętem?*, *MO: Kto ponosi odpowiedzialność?*, *Sledztwo w toku. Rodziny astronautów żądają wyjaśnień*. Z każdym tytułem byliśmy w coraz większym szoku. Udało się zassać cały jeden artykuł. Niewiele się z niego dowiedzieliśmy, dziennikarstwo schodzi na psy, nikt już nie potrafi sformułować normalnie wiadomości. Ewidentnie zrobiła się jakaś afera. W notce wspomiano nazwę spółki Hay–Lea, ale wszystko było bardzo niejasne. Czy to był powód, żeby nas odcinać?

– I co, jesteś zadowolony? – Niepotrzebnie skierowałem swoje zdenerwowanie na Ivanovicha, jakby to była jego wina.

Przynajmniej teraz wiedzieliśmy, na czym stoimy. Nie rozumieliśmy, ale wiedzieliśmy. Tak minęła nam reszta dnia – na analizowaniu zdobytych informacji i popadaniu w coraz większą paranoję. HL to podwykonawca Space X Red. Z tego, co pamiętam, byli odpowiedzialni za shieldy, czyli za gwarancję naszego bezpieczeństwa podczas podróży. Bez odpowiedniej ochrony przed promieniowaniem nie byłoby po co lecieć. Ale jak ze wszystkim, rozwiązania pojawiły się w odpowiednim czasie, wszystko było cacy, a teraz okazuje się, że może niekoniecznie.

Zmienialiśmy się na wartach w komunikacyjnym. Tym razem byliśmy przekonani, że prędzej czy później ktoś się z nami spróbuje skomunikować.

Kiedy wreszcie nadszedł ten moment, zebraliśmy się przed monitorami, niepewni, czego oczekiwać.

Na ekranie zobaczyliśmy najpierw dobrze znaną nam twarz naszej capcomki Leny, ale nie usłyszeliśmy od niej za wiele. Uświadomiłem sobie, jak dobrze było choćby usłyszeć jej głos. Wyjaśnień miał nam udzielić ktoś z NASA, widocznie sprawa wymagała zaangażowania grubej ryby. Znaliśmy gościa, przynajmniej z widzenia, bo nie pamiętam jego nazwiska, nie miał za wiele wspólnego z naszym projektem. Spodziewaliśmy się kogoś od nas – byliśmy co najmniej zawiedzeni, ale też coraz bardziej zdenerwowani. Czy zdarzył się jakiś wypadek? Co jest, u licha, grane?

– Ekhm... Czy już? – Po kilku minutach dotarły do niego nasze pełne wyczekiwania, ponure facjaty.

Gość przedstawił się jako George Hines i wyglądał na lekko spiętego. Nie dziwię mu się.

– Proszę państwa, jesteśmy świadomi, że należą się państwu słowa wyjaśnienia. W zaistniałej sytuacji... Chciałem jedynie powiedzieć, że rozumiem państwa zachowanie.

Częściowo ponosimy winę... w pewien sposób sami skłoniliśmy państwa do podjęcia niestosownych kroków... Z tego powodu, no cóż, po prostu puśćmy ten incydent w niepamięć. Mam państwu do przekazania wiele ważnych informacji, niestety, dość trudnych w odbiorze, jak sobie wyobrażam. Proszę zrozumieć, że dokonując zawieszenia komunikacji pomiędzy Ziemią a państwa placówką, mieliśmy na uwadze jedynie państwa dobro. Chcieliśmy państwa chronić przed szkodliwym wpływem szerzącej się dezinformacji.

– No pewnie – mruknęła Irina.

– Po pierwsze, dlaczego rozmawiamy z panem, a nie z naszym łącznikiem z MO? – Jake w końcu zadał wiszące w powietrzu pytanie.

– Kolejnym powodem, dla którego tak długo zajęło nam podjęcie na nowo komunikacji, był, no cóż, ciągle niejasny status państwa misji. Nie ukrywam, że w dużym stopniu chodziło o kłopoty prawne i finansowe waszej firmy, w tym nieuregulowane dotąd dość spore długi, które mogliśmy przez jakiś czas tolerować, ale przede wszystkim, jak państwo mogli się zorientować, w świetle ostatnio odkrytych faktów Mars One przestało być dla nas wiarygodnym partnerem do rozmów...

– Heh, patrz, Lakshmi, miałaś rację! – zachichotała Irina.

To wszystko zaczynało się robić coraz bardziej absurdalne, w ten charakterystycznie ponury sposób.

– No cóż, myślę, że dziś mogę rozwiązać przynajmniej tę wątpliwość. Od wczoraj oficjalnie projekt MO znajduje się pod kuratelą NASA.

Odruchowo pojawił się sprzeciw, coś na kształt paniki. Irracjonalna reakcja. Przecież nic do nich nie mieliśmy. O rany, zmienił się nam właściciel, tyle. W sumie można było się spodziewać, do czego to zmierza. Ale co, do cholery, z naszym poprzednim szefem? I jak mamy zaufać nowemu, skoro poprzedni z dnia na dzień „przestał być wiarygodny”? Nagle poczułem się jak latawiec na wietrze: czy ktoś jeszcze trzyma nasz sznurek?

– Tak, panie Lantes, właśnie dlatego... Przykro mi, że dowiadują się państwo tego wszystkiego od obcej osoby, ale to kwestia bezpieczeństwa, proszę zrozumieć. Z mojej strony pragnę wyrazić nadzieję na owocną współpracę. Jak mogą państwo się domyślić, będę od tej pory waszym bezpośrednim przełożonym. Oczywiście pani Lena nadal pozostaje odpowiedzialna za kontakt z państwem. Z mojej strony... Chciałbym... Jeśli mogę dodać, to prawdziwy zaszczyt móc pracować z państwem.

– Czy może nam pan wreszcie wyjaśnić dokładnie, co się stało z naszą pieprzoną firmą? – Jake nie silił się na grzeczności.

– No cóż... – George zdawał się być lekko zbity z tropu. Nie wiem, może on serio się spodziewał, że przyjmemy jego opiekę pełnymi entuzjazmu wiwatami, spodziewał się wdzięczności czy co? Z drugiej strony może właśnie powinniśmy być wdzięczni? Jeszcze nie teraz. – Rozumiem, że zdążyli państwo się zorientować, iż od jakiegoś czasu prowadzone jest śledztwo w sprawie spółki Hay-Lea. Jak państwo wiedzą, jest to podwykonawca odpowiedzialny za konstrukcję ekranów przeciwradiacyjnych dla waszej misji. Mamy podstawy sądzić, że sprzęt, który dostarczono, nie spełniał założeń. Dokumentacja, którą dopiero teraz odtajniono, wykazała szereg zaniedbań i przekłamań, wszystko wskazuje na świadome działanie, ale sprawę tę bada aktualnie prokuratura. Naprawdę nie chcę wydawać tutaj żadnych sądów, ale coraz bardziej prawdopodobna staje się wersja, że firma od początku wiedziała, iż nie jest w stanie dostarczyć wymaganego produktu. Nie wiadomo natomiast, czy taką samą wiedzą dysponował pan Lansdorp lub ktokolwiek z zarządu. Tuż przed wyciekami

wrażliwych informacji do mediów założyciel oficjalnie zrzekł się patronatu nad całym przedsięwzięciem. W międzyczasie wyszły na jaw poważne problemy finansowe fundacji Mars One. Działalność firmy została zawieszona. Obecnie ważą się jej losy, ale nie sądzę, żebym miał dla państwa jakieś dobre nowiny w tej kwestii.

To wszystko brzmiało jak jakiś wyjątkowo ponury żart.

– Niestety, jak się państwo już domyślają, nie mam też zbyt dobrych wieści w innej, myślę, że dalece ważniejszej dla państwa sprawie. To chyba najtrudniejsze z tego, co muszę państwu przekazać, więc może po prostu przejdę do rzeczy.

To może przejdź, pomyślałem. Miejmy to już za sobą.

– Dawka promieniowania, jakiej poddane zostały wasze ciała w czasie całej podróży, według naszych aktualnych obliczeń mogła wynosić od 50% do 65% więcej niż wartość wskazana i zarejestrowana w trakcie lotu.

– Jak to możliwe? – zapytałem głupio.

– Wygląda na to, że partia detektorów, w które was zaopatrzone, została również poddana manipulacji. To także jest przedmiotem śledztwa. Bardzo mi przykro. Na szczęście wszystko wskazuje na to, że pawilony mieszkalne spełniają swoje zadanie. Obawiam się jednak, że, no cóż... na razie będziecie musieli ograniczyć czas spędzany poza bazą do minimum. Wskazane jest też zwiększenie częstotliwości badań medycznych. Jeśli coś możemy dla państwa zrobić, proszę się nie wahać...

Tak, no więc na razie jedyne, co mogłem im zaproponować, nie było zbyt miłe. Nikt się nie odezwał. Chyba wszyscy potrzebowaliśmy czasu, żeby przetrwać informacje.

– Następną kwestia, jak państwo rozumieją, wynikająca z powyższych kłopotów: dopóki nie uporządkujemy spraw związanych z waszą misją i nie rozwiążemy szeregu problemów natury technicznej i finansowej, przyszłe misje załogowe na Marsa zostają zawieszane.

Moje Rosjanki... Wiem, że to głupio brzmi, ale to była moja pierwsza myśl, kiedy uświadomiłem sobie, o czym mówimy. Byłem zdruzgotany. Chyba wszyscy byliśmy.

– Czy mają państwo jakieś pytania? – zapytał, zapewne z przyzwyczajenia. Kiedy znów odpowiedziała mu cisza, dodał: – Oczywiście dostaną państwo oficjalny raport do wglądu i całą niezbędną dokumentację. Postaramy się informować też państwa o postępach śledztwa, jeśli takie jest państwa życzenie.

– Tak, oczywiście w formie jedynie słusznej – burknął Ivo.

Nie dziwię mu się specjalnie. To „chronienie nas” przed dezinformacją nie nastawiło nas do nowego pracodawcy zbyt pozytywnie. Chociaż tak naprawdę nie jest tak źle.

Nie, nie mieliśmy więcej pytań. Przynajmniej chwilowo i przynajmniej do pana „no cóż” Hinesa.

Za to chyba każdemu z nas huczało w głowie od nadmiaru myśli. Chyba byliśmy w czymś w rodzaju szoku. Czytając raport, miałem wrażenie, że czytam scenariusz amerykańskiego thrillera. Także teraz wydaje mi się, że ciągle śnię.

Do tej pory nie odczuwaliśmy żadnych dolegliwości (choć czy na pewno?), ciężko jednak przewidzieć, jakie będą skutki długofalowe naszej wyprawy, albo raczej: kiedy nastąpią i jaka będzie ich skala. Na pewno nie będzie różowo. Zawsze fantazjowałem, że kiedy przyjdzie mój czas, chciałbym wyjść na zewnątrz bez skafandra. Może spełnię tę fantazję wcześniej, niż planowałem? Chociaż może i to nie będzie mi dane. Nieistotne. Wszyscy godziliśmy się na ryzyko. To, że ryzyko przybrało aktualnie trochę konkretniejszy kształt... Nieistotne. Ale jak teraz będzie wyglądała nasza praca? Co z przyszłością misji?

Nie powiem, że nie jestem przerażony, na jakimś głębszym poziomie na pewno, ale zaczynam jakoś to sobie układać w głowie. Nie może być tak źle, jak na to wygląda.

Tylko cały czas rozbrzmiewają mi w głowie te cholerne pasaże z koncertu w Kopenhadze. Plusk wody, już nie taki kojący, raczej niepokojąca głębia. Chyba w końcu zaczynam słyszeć w niej nuty przemijania.

Może faktycznie wyszliśmy wszyscy na głupców. Albo na męczenników. Kto wie, jak teraz się o nas mówi na Ziemi. Po tym całym burdelu... Jesteśmy w pewnym sensie uszkodzonym towarem, nie za bardzo wiadomo, co z nami zrobić. Jak oderwana od stada dżdżownica. Różnica jest taka, że nas nikt nie sprowadzi bezpiecznie do domu. Śmieszne, ale w tym wszystkim zupełnie zapomnieliśmy o naszych fanach. Cóż, show is over... Nie spodziewam się, żeby wielu z ich pozostało, kiedy ostatecznie opadnie kurtyna naszego małego widowiska.

Cały czas zastanawiam się, czy osoby, które wyprawiły nas w tę podróż, zataiły przed nami ten jeden istotny szczegół? Czas deptał im po piętach, prasa była coraz gorsza, potrzebowali szybkiego sukcesu. Czy to możliwe, że zaryzykowali? Czy sami zostali oszukani? Z drugiej strony, czy wiedząc o tym, mając wybór, postanowiłbym zostać w domu?

Czy żałuję? Nie.

Co do przyszłości... Ostatecznie nic się przecież nie zmienia w naszym planie.

Dzień jak co dzień – cel: przeżyć kolejny.

Marcin Pawełczyk

– rocznik 1974. Studiował na Uniwersytecie Śląskim. Kiedyś wielbiciel Poula Andersona, dziś woli George'a R. R. Martina. Pisze głównie twarde fantasy, ale tylko w jednym uniwersum, które sam stworzył – Bargla.

MEFERT

MEFERT

Z daleka nadpływa ból. Fala za falą, coraz silniejszy, tępy, uporczywy ból. Obejmuje całą prawą stronę ciała. Pewnie i lewa boli, ale intensywność bólu z prawej pozwala całkowicie ignorować sygnały napływające z drugiej strony. Do tego dudnienie w głowie i ostre klucie przy oddychaniu. Najpewniej pęknięte żebra. Z trudem otwieram oczy.

Mrok. Niewielka przestrzeń. Coś jakby chata. Światło z boku i skrzypnięcie. Zamykam oczy. Ktoś wchodzi do pomieszczenia. W uszach mi dzwoni i jeszcze to przekłute dudnienie. Leżę nieruchomo. Staram się ignorować swój stan i nadal wyglądać na martwego.

Jak tutaj trafiłem? Nie pamiętam tego miejsca.

Zaczynam porządkować myśli.

Wspomnienia.

* * *

Dom to góry. Miejsce twarde i okrutne, zwłaszcza dla słabych. Silni też nie mają tam łatwo.

Nadeszła zima, dużo wcześniej niż zwykle. Trwała i trwała, a zapasy się kończyły. Nasz zбір zgodnie z prastarą tradycją umówił się z sąsiadami na bitwę o mięso. Zasady były jasne: koniec walki po czterech trupach. Przy remisie każdy bierze swoich, przy przewadze zwycięzca bierze wszystkich.

Przegraliśmy. Tylko nasi padli.

Powrót w ośmiu. W domu czekało nas jedynie losowanie. Bez mięsa umrą wszyscy. Na każdego przypada jeden głos. Byłoby osiem, ale ranni dostają dwa. A ja byłem ranny, lekkie obtarcie, ale dostałbym dwa. Na dziewięć losów to sporo.

Dobrze wybrałem moment, żeby odłączyć się od swoich. Widziałem głód w ich oczach, ale byli zmęczeni walką, a ja wszedłem na grań.

Stałem się przez to odszczepieńcem. Lepsze to, niż stać się posiłkiem.

Ruszyłem na północ. Kiedyś słyszałem, że tam nie ma gór i jest krótsza zima.

Pierwszego dnia miałem szczęście. Trafiłem na uczującego śnieżnego rysia. Był już najedzony. Prychał, ale odpuścił. Resztki mięsa – nadzieja.

Szedłem dalej. Na noc rozpalałem mały ogień. Gorzej było z jedzeniem.

Po kilku dniach zrobiło się... nisko. Nawet najwyższe wzniesienia były porośnięte

drzewami. Śniegu jakby mniej i cieplej. Coraz niżej i niżej.

Czułem, że słabnę. Jadłem jedynie korę, korzenie i pędy młodej trawy, wędrując całymi dniami i marznąc przy małym ogniu nocami. Długo nie mogłem tak pociągnąć.

Wtedy zobaczyłem wielkie rogate zwierzę. Pierwszy raz widziałem takiego olbrzyma. Jadł trawę i wydawał się niczego nie bać.

Wiedziałem, że jest za duży, bym próbował go upolować w pojedynkę. Był jednak moją jedyną szansą. Miałem ciężki oszczep. Doskoczyłem i wbiłem tak głęboko, jak dałem radę. Nie padł od tego. Nie liczyłem na coś takiego. Ale nie zaczął też uciekać, do czego przywykłem, atakując roślinożerców. Naparł na mnie. Nie sięgnął rogami, gdyż byłem za blisko. Nadal trzymałem oszczep. Ruszył w przód. Najwyraźniej chciał mnie stratować.

Instynktownie skoczyłem ku niemu, aby skrócić dystans. Uwiesiłem mu się na szyi, chroniło mnie to przed porożem. Olbrzym próbował kopać, ale podciągnąłem nogi, dociskając się jak najmocniej potrafiłem do masywnego karku. Ruszył. Biegł szybko i swobodnie, zupełnie jakby nie był ranny i nic nie wisiało u jego boku. Smagały mnie gałęzie. Wiedziałem, że długo się nie utrzymam. Jeśli teraz przegram, to już nie będę miał siły na kolejną walkę.

Nie chciałem puścić. On ciężko galopował, kopyta biły w ziemię. Krew płynęła po sierści, a rogacz wściekłym rykiem okazywał swą złość. Miałem nadzieję, że jemu szybciej ubywa sił. Zacisnąłem mocniej ramiona i nogi wokół jego szyi. Wściekł się, rzucał głową i biegł na oślep.

Już czułem ciepłą krew i świeże mięso w ustach, gdy nagle...

Najpierw nie wiedziałem, co się stało. Ucichł łomot kopyt. Dziwna bezwładność. Lecieliśmy.

Ciemność.

* * *

Gdy sobie to wszystko przypomniałem, poczułem głód, który ledwie, ledwie przebijał się przez fale bóleści. Słaby i niemal nieodczuwalny, przytłumiony przez cierpienie. Jednak ból to jest coś, co trzeba przetrzymać. Głód i osłabienie mogą zabrać życie.

Czyli ja i rogacz. Spadliśmy. Co stało się później?

Ktoś mnie znalazł i zabrał ze sobą. Ale po co? I gdzie byłem?

Doszły mnie jakieś głosy, jeden mocniejszy i agresywny. Odgłos uderzenia, jęk – raczej samicy; upadła. Pomału uchylałem powieki. Tyle tylko, by dało się cokolwiek dostrzec przez rzęsy. Jaśniej niż ostatnio. Najpewniej wejście do chaty pozostało otwarte. Niestety głowę miałem tak ułożoną, że widziałem jedynie sufit.

Czekałem.

Okazało się, że na nizinach też nie jest łatwo żyć.

CZŁOWIEK (Nie lubię zmian)

Wracałem ze wsi trapiiony niepokojem.

Lubiłem spokój i stały rytm życia: świt, dzień, noc, lato, jesień, zima i znowu wiosna. Nie za długie, nie za krótkie. Żyłem już trochę i miałem swoją mądrość. Mówiła ona jasno: niespodzianki to kłopoty.

Pewnego lata zza każdego krzaka wyłaził szarak. Zabijałem, ile chciałem, a chciałem dużo,

tyle tego było. Leniwa żona i córki nie nadażały wyprawiać skór. Musiałem je bić, by nie marnowały mojego łupu, a i tak część trzeba było wyrzucić.

Pomimo tego na jesienny targ zabrałem prawie dwa razy tyle futerek co zwykle. Handlarz miał taki piękny nóż – z błyszczącego żelaza, które nazywał błękitną stalą. Bardzo mi się podobał. Był ładny, zgrabny i bardzo ostry.

Okazało się, że wszyscy leśni ludzie przynieśli dużo króliczych skór. Bardzo dużo. Nikt nie chciał kupować. Ledwie dostałem tyle soli i mąki, ile trzeba na zwykłą zimę.

Tak było zawsze. Nawet jak coś wydawało się dobre, to później okazywało się, że jest złe. Na ten wiosenny targ zabrałem kamienny miód, który czasami znajdowałem w lesie. Na jesieni kupiec bardzo się ucieszył, gdy zobaczył u mnie jeden taki kamyk. No to wziąłem ze sobą kilka zaschniętych kawałków żywicy, choć byłem pewien, że znów coś się nie powiedzie.

Zamieniliśmy się, ale coś mnie gryzło. Powodzenie potrafiło być niebezpieczne.

Szedłem czujnie, jednak droga powrotna okazała się spokojna. Gdy zobaczyłem dom, najpierw przyszył ciepło i spokój. Potem nagle ścisnęło mnie w gardle i ukłuło w piersi.

Dym unoszący się z wędzarni i ślady włóków na placu. To nie mogło znaczyć niczego dobrego.

Pomału łapałem oddech, uspokajając się z trudem. Włóki dało się wytłumaczyć. Kobiety mogły pójść po chrust. Nie, ślady od drągów są za głębokie! I jeszcze ten dym? Całe mięso było uwędzone, wszystkie pułapki sprawdzone. Nie miały czego wędzić!

Czułem, że drżą mi ręce. Szedłem jak pijany, wzrokiem omiatając teren przed sobą. Na placu widziałem tylko ślady moich kobiet: szerokie stopy żony i drobniejsze córek. Dwie ciągnęły włóki.

Bezmyślnie wszedłem do środka i stanąłem oniemiały. Były tu wszystkie, cała czwórka. Żona z najstarszą garbowała duże płyty skóry, średnia coś gotowała, a najmłodsza bawiła się lalką, którą jej sprawiłem jesienią.

Niby zwyczajnie, ale coś było nie tak. Fragmenty skóry pochodziły z jednego zwierza. Sporo mięsa. Wiedziałem, co to za stworzenie!

– Rogacz – wychrypiałem.

– Rogacz – odpyskowała najstarsza, stając naprzeciw mnie.

Zawsze była krnąbrna i zła. Zbrojny, który dziesięćcinę pobiera, na każdym targu wykrzykuje, że Rogacz to książęcy zwierz – kimkolwiek ten książę jest – i dłoń odjęta będzie każdemu, kto Rogacza ubije. Nie chciałem mieć odjętej dłoni!

Zawrzało we mnie. I wtedy zobaczyłem w kącie chaty włóki. Co gorsza, ktoś na nich leżał. Obcy, chory lub ranny, po co go tutaj przywłokły?!

Uderzam córkę w twarz. Upada, kopię, i jeszcze raz. Dyszę z nerwów, powstrzymuję się. Niepotrzebnie kopałem, może się pochorować. Za późno jednak przyszło opamiętanie.

Leży i jęczy. Potrafi stłumić wycie – nic jej nie będzie.

Podchodzę do kąta. Od razu widać, że z leżącym na włókach ciężko – sporo zaschniętej krwi na ramieniu i w ogóle. Dziwny jakiś, krótki, a szeroki.

Przyglądam się i przyglądam. Trochę ciemno, ale znać, że nie człowiek, tylko jakieś nie wiadomo co. Na głowie i na ryju ma raczej sierść niż włosy. Pysk jakiś taki ni to ludzki, ni zwierzęcy? Myśl mnie naszła, że jakbym spółkował z borsukiem, to taka gadzina mogłaby się ulać.

Spółkowanie z borsuczycą – obrzydliwe. Odłożyłem na później takie bzdury.

Patrzę dalej. Paluchy też porośnięte i jakby przycięte... Poczuvszy zagrożenie, ująłem w

dłoń mój nowy nóż. Wzrok skupiłem na pazurach, niedługich, za to silnych i drapieźnych. Tyle dobrze baby zrobiły, że stwora do włóków przywiązały.

Leży nieruchomo. Zły byłem na los. Wyhandlowałem nóż, bo mi się podobał, nie żebym od razu musiał używać. Może obcy już zdechł?

Zły omen, przelewać krew we własnym domostwie. Zwłaszcza że jedno z rodziców tego tu mogło być człowiekiem. Ludzka krew na klepisko, nieszczęście.

– Brać mi to tam, skądście wzięły – zdecydowałem.

Późno już było.

– Rano.

DZIEWCZYNA

Doczołgałam się z trudem na swoje posłanie. Znowu mnie zbił. Jaka byłam głupia! Myślałam – nie, miałam nadzieję – że pochwali, ale on mnie zbił! I za co? Za własne tchórzostwo!

Należało mi się. Zacisnęłam zęby i wyszeptałam do ziemi:

– Należało mi się.

Nigdy nie będę jego synem. Zawsze zostanę najstarszą córką, największym rozczarowaniem. I zawsze będzie mnie bił. Tyle mięsa i skóra na chłody. Rogacz jeszcze nie wyleniał po śniegach. Skóra będzie sztywna. Nie taka jak baranie, które zabrał dwie zimy temu zbój, ale gruba. Jak się nad nią popracuje i podszyje futrem szaraków, da ciepło.

Szkoda tych baranich skór. Zbója ponoć złapali i powiesili we wsi, jednak skór nie oddali. Ojciec miał zamienić miodowe kamienie na ciepłe skóry lub derki, ale nie, wziął nóż. Po co mu ten nóż?

Zasnęłam.

Śniło mi się, że zbój, ten sprzed dwóch zim, zabrał mnie ze sobą. Zobaczyłam świat poza lasem. Wieś i targ. Jego powiesili, ale ja już nie wróciłam. We śnie oddychałam pełną piersią, jakbym zrzuciła jakiś wielki ciężar. Nie garbiłam się, włosy miałam uczesane i błyszczące. Krok lekki, prawie frunęłam. Nie, nie było łatwo. Musiałam ciężko pracować. Ale ten swobodny oddech i piękne włosy...

Obudziłam się, gdyż... Ciche łkanie. Moja młodsza siostra próbowała się we mnie wtulić. Kiedy zorientowała się, że nie śpię, cofnęła się zawstydzona.

Domyśliłam się. Ojciec od dawna już nie kładł się na matce. Wolał iść do nas. Zadowolony, szedł po pieśczoły do młodej; zły, rozładowywał napięcie u mnie. Młoda była miękka i uległa, ja zawsze się opierałam, ale ból nauczył mnie, że nie wolno za bardzo.

Dziś poszedł do młodej, pomimo że był na pewno zły i agresywny. Tchórz i słabeusz. Wiedział, że po tym jak mnie zbił, walczyłabym naprawdę. Gardziłam nim.

* * *

Rano kazał młodszej, by mi pomogła. Pewnie nie zadowolili go w nocy, pomyślałam zgryźliwie.

Kiedyś potrafiłam znajdować dobro w jego postępowaniu. Parę zim temu uznałabym, że ocenił ciężar pracy i zdał sobie sprawę z rozmiaru trudu, jaki nam zlecił. Wierzyłam, że choć nie potrafi okazywać ciepła, to nie jest okrutny, może zły duch każe ojcu nas krzywdzić. Teraz,

nawet gdy pojawiała się we mnie taka myśl, tłumiałam ją i pielęgnowałam nienawiść.

Napiłam się tylko wody i spakowałam sobie jedzenie. Młoda zjadła, pochlipując. Wytaszczyłyśmy nosze na dwór w milczeniu. Za to ojciec co chwilę sarkał: że skóra poszarpana, że półborsuka do domu ściągnęłyśmy, że mięso nieczyste, bo popsute przez skrzepy krwi. Nie mogłam go już słuchać. Krytykowanie wszystkiego, co zrobiłyśmy, potrafiło boleć bardziej niż uderzenia.

Na dworze mocno ujęłyśmy nosze i w drogę. Jeszcze przez dłuższą chwilę dało się słyszeć marudzenie ojca, było już jednak niezrozumiałe.

Opornie nam szło. Po pierwsze, wczoraj byłyśmy we trójkę, po drugie, już wtedy narobiłyśmy się jak głupie, a po trzecie, teraz nam się nie chciało.

Stwór, którego taszczyłyśmy, zaczął wydawać dziwne pomruki. Z rzadka to robił, jednak go słyszałam. Młodsza pewnie też, ale udawała, że nie. Wiem, że udawała. Widać było, jak za każdym razem, gdy coś zacharkotało półborsukowi w krtani, przechodził ją dreszcz. Zaciskała usta. Taką miałam młodszą siostrzyczkę – chciała być twarda, ale była miękka i słaba jak matka.

W połowie drogi poczułam, że młoda odpuszcza, może ze zmęczenia. Raczej jednak z lenistwa. Nawet nie byłam zła. Zawsze tak robiła.

– Wciągniemy pod tę górkę i możesz wracać. Poradzę już sobie.

Spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Wysil się. Później sobie pójdziesz. Nic ojcu nie powiem.

Uśmiechnęła się nieśmiało. Nie kochałyśmy się, ale wiedziała, że dotrzymuję słowa. Wyteżyła siły i szybko weszłyśmy na skalny grzbiet. Potem pobiegła w dół – jak ją znam, to na polanę kwiatów. Gdy tam siedziała, pewnie wydawało jej się, że jest jednym z nich, ubranym w cudne płatki i roztaczającym przyjemną, słodkawą woń. Będę wracała, to zajrzę po nią. Żle by było, gdyby się za bardzo rozmarzyła i przyszła do domu później niż ja.

Założyłam sobie uprząż i pociągnęłam. Po kamieniach łatwiej się szło. Kije nie zagłębiały się w ziemi, ale i pewnie bardziej trzęsło na noszach.

Półborsuk coś warczał, a może mówił. Skąd miałam wiedzieć, jak brzmi jego język? Zatrzymałam się przy Zgniłym Strumieniu, który miał zapach starego, zbutwiałego jaja. Usiadłam, żeby odpocząć, i z braku lepszego zajęcia zaczęłam przyglądać się stworowi.

Półborsuk, też coś. Miał dzikość wypisaną na twarzy, a spomiędzy bardzo wąskich warg wyglądały bardzo silne zęby. Wydawał się jednak ludzki.

Kiedy byłam dzieckiem, zatrzymał się u nas znajomy ojca z chłopczykiem mniej więcej w moim wieku. Mały był garbaty i miał pokrzywioną twarz z jednym okiem. W ogóle cały był jakiś pokrzywiony. To miał krótsze, a tamto dłuższe. Pamiętam, jak usłyszałam w nocy – bo przy gościach spać z emocji nie mogłam – że znajomy ojca idzie do wsi sprzedać dziwoląga kuglarzom.

Chłopczyk mniej przypominał człowieka niż ten półborsuk, ale żałość brała od patrzenia na niego. Miał w oczach taki smutek i głód miłości...

Czasami mi się śnił. Wtedy się uśmiechał i tulił do piersi jakąś kobietę. Wydawało mi się, że ją znam, ale nie mogłam jej rozpoznać. Swoją wielką lewą ręką całkowicie ją zakrywał, a ona czuła się bezpieczna. Czasami wydawało mi się, że to ja, a on jest już dużym kuglarzem. Kuglarz, puste słowo.

Ten tutaj nie był nieproporcjonalny. Był po prostu inny i wyglądał na silnego. Suchym językiem błędził po zębach. Śmieszny miał ten język, jak kot.

Cierpiał z pragnienia, pochyliłam się więc i zaczerpnęłam wody w dłonie. Pijąc, przysssał się do moich rąk. Jego język łaskotał, gdy próbował zlizywać resztki wilgoci. Zaśmiałam się.

Woda była śmierzcząca, ale widać jemu to nie przeszkadzało. Dałam mu znowu i znowu. Śmiałam się, kiedy drapał mnie językiem.

Gdy się nasycił, pomyślałam, że nie muszę go ciągnąć aż tam, gdzie znalazłam. Tuż obok były jaskinie z ciepłą wodą, w nocy nie będzie mu zimno.

Jak pomyślałam, tak zrobiłam. Trochę się natrudziłam, ale teraz jakoś chętnie znosiłam wysiłek.

U wejścia do jaskini ściągnęłam uprząż. Poić się stwora dało, ale teraz trzeba było go jakoś zrzucić na ziemię. Pomału odwiązałam obcego od noszy. Nagle zdałam sobie sprawę, że patrzy na mnie. Miał takie dziwnie okrągłe oczy. Chyba domyślił się, co chcę zrobić, i pomagał, na ile potrafił. Był bardzo osłabiony. Gdy już leżał na skale, nagle chwycił moją dłoń i mocno ścisnął. Przestraszyłam się, czując, jak pazury wbijają się w skórę. Puścił równie niespodziewanie, jak chwycił. Spoglądał, jakby czegoś ode mnie chciał. Coś wycharczał. Cofnęłam się, ale nie mogłam oderwać od niego wzroku. Patrzył z taką siłą i w ogóle nie mrugał.

Jakoś tak nieświadomie, zupełnie bez namysłu, wyciągnęłam swoje śniadanie i położyłam przy nim. Potem szybko chwyciłam za uprząż i pociągnęłam nosze.

Nie oglądając się za siebie, ruszyłam do domu.

MEFERT

Dobrze zrobiłem, nie próbując niczego głupiego. Byłem za słaby i – jak się okazało – przywiązany.

Nie zabił mnie. Nie wiem czemu. Mam nadzieję, że nie planuje mnie utrzymywać przy życiu, by mieć świeże mięso. Jest silny, to widać po tym, jak traktuje swoich. Jest również głupi – to też widać po tym, jak traktuje swoich.

* * *

Gdzieś mnie wywlekli. Ból, do którego już przywykłem, jest co chwilę podsycany nowymi falami. Dzieje się to za każdym podskokiem łoża, na którym mnie ciągną.

Została jedna samica, która dała mi pić. Cieszyło ją to.

Samice boją się samca, mają jednak swoje radości i decyzje. Strach nie zastąpi szacunku. Głupiec. Dobrze go oceniłem.

Dociągnęła mnie do jakiejś jaskini i rozwiązała.

Bez jedzenia umrę. Jestem za słaby, by cokolwiek upolować. Prędzej sam stanę się żerem.

Chwyciłem samicę za rękę, siły starczyło mi jedynie na to. Potem puściłem i patrzyłem na nią. Była smukła, długa i chuda. W zimie nie miałyby dość naturalnej ochrony przez chłodem, góry by ją zabiły. Słyszałem, że na płaskich ziemiach jest cieplej. Musiało tak być, skoro żyli tu tacy ludzie. To koniec. Trzeba było iść na losowanie we własnym zborze. Mogłem mieć szczęście lub dać życie innym. Teraz po prostu zdechnę – smutna myśl. Ale nie zaboląa zbyttnio. Podejmowałem decyzje i ponosiłem za nie odpowiedzialność. To wszystko.

Nagle samica pośpiesznie położyła coś na ziemi i odeszła, wlokąc za sobą łożo, na którym mnie tu przyciągnęła.

Poczułem zapach jedzenia. Czegoś ode mnie chciała. Nie wiedziałem jeszcze czego, ale na razie nie było to ważne. Powoli podpełzłem, ignorując ból prawej strony ciała. Zacząłem żuć małe kawałki. Później następny, powoli i systematycznie. Wiedziałem, czym są torsje głodowe. Nie zamierzałem zmarnować szansy, jaką dostałem od losu. Zjadłem połowę, nim nadeszło południe. Resztę schowałem pod sobą i zasnąłem.

Obudził mnie wieczorny chłód. Jedząc resztę, teraz już normalnie, wpełzłem głębiej do jaskini. Czułem bijące z niej ciepło.

Gorące źródła. Woda życia, ciepło i pokarm. Pamiętałem takie z gór. Na ich brzegach mieszkaly chore ślimaki. Można się nimi zatruć, jeśli zjadłes całe, ale wystarczyło odrzucić zatrutą część i zjadać się resztą. Były małe i nie widziałem ich wiele, ale były.

Zacząłem dostrzegać szanse na przeżycie.

Żułem pokarm, piłem i spałem.

Następny dzień. Łapałem ślimaki, jadłem i popijałem ciepłą, śmierdzącą wodą. Potem krótki sen i znowu to samo.

Płynął czas, a ja nabierałem sił.

Gdy obudziłem się ponownie, otaczała mnie ciemność. Tym razem nie zbudził mnie głód, ani ból. Coś było nie w porządku. W jaskini prócz mnie znajdował się ktoś jeszcze. Powoli, starając się nie hałasować, rozejrzałem się po grocie.

U wejścia kucała jakaś postać. Nie miałem wątpliwości, wiedziała, że tu jestem. Powoli, nie chcąc okazywać słabości, wstałem. Sporo samokontroli kosztowało mnie, by nie jęczeć. Usłyszałem słowa:

– Jesteś tu? Pewnie jesteś.

Nie rozumiałem ich, ale rozpoznałem głos. To ta chuda kobieta, która mnie tu przytąszczyła.

– Przyniosłam ci mięso. Ojciec powiedział, że do niczego się nie nadaje. Pełno w nim skrzepów krwi i odłamków kości. Przesadzał. Co najmniej połowę można by jeszcze wykorzystać. Pomyślałam, że ci się przyda.

Dużo mówiła. Musiała czegoś ode mnie chcieć.

Słyszałem żal. O co? To akurat teraz nie było ważne. Ważne było, że mnie uratowała i coś jej byłem winien.

Zacząłem pomału iść w stronę wejścia. Spojrzała w moją stronę, dopiero gdy zaszurałem i drobne kamyczki pod stopą zgrzytnęły o skalne podłoże. Ludzie kiepsko widzą w mroku. Warto zapamiętać.

– Muszę iść. Więcej nie przyjdę. – W tych słowach była jakaś determinacja.

Więcej nie przyjdę – obracałem je w głowie i postanowiłem zapamiętać. To musiało być ważne.

Odwróciła się i zaczęła odchodzić.

Węch mnie nie mylił, a po chwili oczy i dotyk potwierdziły. Przyniosła mi dużo jedzenia, nie całkiem świeżego, ale jadałem gorsze rzeczy.

Teraz to już nie była szansa. Będę żył. Spojrzałem za znikającą w mroku sylwetką.

Zatrzymała się i odwróciła. Patrzyła przez chwilę w stronę wejścia do jaskini, a może nawet na mnie. Ponownie usłyszałem: *Więcej nie przyjdę*. Głos jej drżał i był pełen emocji. Ruszyła, ale drugi raz przystanąła i obróciła się. Nic nie powiedziała i znów szła przed siebie, tylko znacznie szybciej.

Więcej nie przyjdę – co mogły znaczyć te świszczące słowa? Obracała się i... Nawoływała. Mnie.

Ruszyłem. Nie przejmowałem się, słysząc własne niekontrolowane ciche jęki. Szedłem. Lewą ręką przytrzymałem prawą, by nie kołysała się bezwładnie, zadając mi dodatkowy ból. Nie umiałem utrzymać odpowiedniego dystansu i kobieta zniknęła mi między nierównościami terenu.

Usłyszałem hałasy, jakby słowa, w dole poniżej skarpy. Chropowaty, gniewny głos i krótka, nieśmiała odpowiedź. To dziewczyna. Głosy dochodziły zza skałki. Od mojej strony podejście wydawało się możliwe do sforsowania bez pomocy rąk, spróbowałem więc podbiec. Parę kamieni wyleciało mi spod stóp, ale udało się.

Męski głos, który pamiętałem z chaty, nabierał coraz twardszego brzmienia. Doszedłem na skraj skarpy. Nie usłyszeli mnie, tak byli zajęci sobą. Mężczyzna górował nad dziewczyną wzrostem i masą. Wzniósł rękę i uderzył, a ona się zatoczyła. Kolejny cios i upadła. Już wiedziałem, co znaczy *Więcej nie przyjdę*. Byłem słaby i ranny, ale ta samica dała mi szansę na życie.

Skoczyłem w dół i spadłem człowiekowi na plecy.

Ból sparaliżował mnie całkowicie. Słyszałem, jak wyję, ale jednocześnie wiedziałem, że nie wydaję głosu ze ściśniętego gardła. Dostałem drgawek i cierpiałem tak, że nie potrafiłem wytrzymać. Czemu nie straciłem przytomności, tego nie wiem. Wszystkie moje rany udowodniły, że granice bólu są dalej, niż kiedykolwiek podejrzewałem. Miałem tylko nadzieję, że człowiek też leży. Jeśli nie, to pragnąłem, by mnie szybko dobił.

Wróg. Opanować ból. Działać! Siłą woli zacząłem się dźwigać na cztery, a raczej trzy kończyny. Zobaczyłem go w świetle gwiazd – leżał obok, przewracając się z brzucha na plecy i jęcząc. Zacząłem się wlec w jego stronę. Choćbym miał go zagryźć, teraz to byłem ja lub on. Nagły cios w głowę, drugi. Nic nie rozumiem?! Upadłem.

– Ty ssradliwa suko! – wycharczał.

Następny cios nie nadszedł. Zacząłem się czołgać ku wrogowi. Kręciło mi się w głowie i większość mego ciała płonęła żywym ogniem. Jednak to nie było ważne. Na myślenie o ranach przyjdzie czas później, jeśli będę żył.

– Już cię nie Kocham – usłyszałem rozedrgany, pełen emocji głos. – Już cię nie Kocham... tato!

Ostatnie słowo brzmiało jak przekleństwo. Dudniło mi w głowie, mimo że ciosy były słabe. Pełzłem dalej. Doczołgałem się do człowieka, a wręcz wczołgałem na niego. Leżałem mu na brzuchu i dyszałem. Czułem, jak tracę resztki sił. Próbował mnie zepchnąć, a miał silny chwyt. Ugryzłem go w dłoń. Cofnął łapę, jednak zdawał się dochodzić do siebie. Pewnie był w szoku po uderzeniu i upadku, musiał walnąć się w łeb. Nie miałem wiele czasu, a jeszcze mniej sił. Za mało, by rozwalić mu głowę o skałę, na której leżeliśmy.

Przypadkiem namacałem coś przy jego pasie. Wyciągnąłem nóż z pochwy i ostatnim zrywem dźwignąłem się trochę, korzystając także z prawej ręki. Przekroczyłem w ten sposób kolejną granicę bólu. Opadłem, mdlejąc. Czy zdążyłem podłożyć nóż? Człowiek wyrwał się spode mnie. To już koniec. Słyszałem jego gniewne wrzaski jak przez mgłę. Zapadła ciemność. Poczułem jeszcze uderzenie w bok. Dziwne... W ogóle nie bolało, a przynajmniej nie bardziej niż wcześniej.

DZIEWCZYNA

Dlaczego?! Żal i niezrozumienie. Jak bardzo bym się nie starała, i tak zawsze wychodziło źle. Źle, ale nigdy tak parszywie!

Umrzeć. Tak, chciałabym umrzeć! Łzy płynęły mi po twarzy i cicho łkałam, idąc coraz szybciej przez mrok. Potykałam się co chwilę i aż dziw, że nie upadłam.

Szłam krok za krokiem. Byle dalej od... od tego wszystkiego. Zostawić za sobą, dać się objąć nocy. Iść po srebrzystych nitkach księżycy aż do gwiazd.

– Dlaczego? – Ciche, nieproszone pytanie wyrwało się z mych ust. Co robiłam źle? Zawsze, gdy coś wymyśliłam czy zrobiłam, krytyka. Zawsze potępienie. Zawsze.

Tak bardzo chciałam być dobrą córką. Najpierw, jako małe dziecko, uwierzyłam mu, że jestem do niczego. Później zauważyłam, że gdy podsuwam jakąś myśl młodszej, to młodszą chwali. Mnie by zganił, wiem to. Najpierw okłamywał mnie ojc... a później sama się okłamywałam. Zgłupiałam.

Chciałam być dobra. Naprawdę.

A dziś? Kazał mi wyrzucić część mięsa do Cienistego Parowu. Poszłam do... potwora i jemu dałam. Ojc... śledził mnie. Uderzył, bił za nieposłuszeństwo. I wtedy spadł na niego ze skały potwór. Widziałam, jak upadają, jak wzniesiona do ciosu pięść szuka podparcia. Usłyszałam trzask i głucho uderzenie. Złe ułożona ręka. Trupie światło księżycy oświetliło dziwnie wygiętą dłoń. Złamała się o mnie niż łokieć ode mnie. Widziałam jego twarz. Potrzebował mojej pomocy, mój ojc... Poderwałam się i sięgnęłam po kamień. Dосkoczyłam do bestii i uderzyłam. Raz i drugi, a wtedy on krzyknął.

On nie jest moim ojcem – myśl ta uderzyła mnie. Uderzyła mnie prawdą.

Odkoczyłam i widziałam, jak ledwie pełznący półborsuk walczy, a ten tchórz leży i jęczy. Co mu się niby stało? Może i miał złamany nadgarstek, i uderzył się w głowę. Opatrywałam rany półborsuka, który był w gorszym stanie.

Nie, ten łzeojciec nie miał woli walki. Poddał się, zupełnie jak wtedy, gdy odwiedził nas zbój. Słabość. Nie miał w sobie woli i odwagi. Młodsza nie odziedziczyła uległości po matce. Matka nie należała do uległych, jej po prostu było wszystko jedno. Młodsza uległość dostała po nim. On mnie nienawidził nie dlatego, że nie byłam synem, tylko dlatego, że nie byłam jego!

Uczepiłam się tego i szłam dalej. Nowa myśl dawała mi siłę i odwagę. Bałam się, że jak zacznę się zastanawiać, to... Lepiej nie. Nie! Nie oglądam się za siebie.

MEFERT – EPILOG

Odzyskałem świadomość, gdy jakieś ptaszyska starały się mną pożywić. Z trudem je przepłoszyłem. Z dala dochodziły jęki. Wiedziałem, gdzie jest jaskinia, i tam pełzłem. Trwało to długo, ale dałem radę. Cały czas towarzyszyły mi te jęki. Mięso już rozkradli nocni padlinożercy.

Nie zdziwiło mnie to.

W grocie były woda i ślimaki.

Sen.

Jakiś czas leżałem prawie bez siły. Nowe i stare rany, utrata krwi – omal mnie to nie zabiło. Po dłuższym czasie, gdy ponownie byłem w stanie sam się przemieszczać, ruszyłem na zewnątrz. Ból? Był, i to cholerny, ale już przywykłem. Wygnał mnie głód i miałem już dość tego wycia. Zataczając się, odnalazłem mężczyznę. Leżał między skałami w kałuży własnej

krwi i odchodów i charczał. Ubraniem zatamował krwawienie, jednak najwyraźniej czuł się zbyt osłabiony, by zrobić coś więcej. Według mnie był w lepszej formie niż ja, ale chyba pękł. W oczach miał oczekiwanie na śmierć.

Patrzyłem na niego, nabierając sił. Zacząłem się zastanawiać, co stało się w nocy. Dziewczyna najwyraźniej pomyliła mnie z nim i dostałem w czaszkę. Dobrze, że jest taka słaba. Ranny wróg musiał uciec; i nie odnalazł mnie potem, by zabić. Ludzie bardzo kiepsko widzą w nocy i słabo znoszą ból. Warto zapamiętać.

* * *

Dobiłem go kamieniem. Miał wspaniały nóż. Podzieliłem ciało na porcje i odganiając ptaki, znosiłem do jaskini.

To mięso jest świeże i nie pozwolę żadnym nocnym złodziejom go zabrać.

Andrzej Trybuła

– rocznik 1970. Z wykształcenia prawnik, zawodowo zajmujący się zarządzaniem. Mieszka z rodziną na przedmieściach Opola. Zwolennik kotów, kawy, świętego spokoju i dobrej literatury SF, czytanej na kanapie przy kominku. Pisarz amator, lubiący łamać schematy. Recenzent na portalu literackim Herbatka u Heleny, gdzie można znaleźć większość jego prac. Ostatnio zajęty tworzeniem nowej powieści sensacyjno–kryminalnej pod wdzięcznym tytułem Majowa pora sucha. Nie spocznie, dopóki nie zobaczy jej w wersji książkowej.

LUDZKI DEMON

Muzyka, jeszcze niedawno przesączająca się nieśmiało przez zamknięte drzwi gabinetu, teraz wylewała się już całymi falami, wywołując wrażenie unoszenia dźwięków wysoko w powietrzu. Wyraźne i głośne tony co chwilę to podnosiły się, to opadały, w górę i w dół, zwalniając i przyspieszając, z każdą kolejną nutą wypełniając coraz bardziej przestrzeń obszernego salonu, korytarza, schodów, a w końcu całej powierzchni dużego podmiejskiego domu w starym stylu.

– Pięknie gra. – Pani Matylda bardzo ostrożnie odłożyła filiżankę z kawą na stolik, żeby przypadkiem jakimś nierozważnym dźwiękiem nie zakłócić harmonii muzyki, po czym kolejny raz poprawiła elegancki kapelusz, niesfornie przechylając się na prawą stronę.

– A jaki jest ułożony – dodała cicho ciocia Jadwiga. – No, mówię ci, cud, nie chłopak. Przy tym przystojny i zawsze taki elegancko ubrany. A elokwentny, czytany, no i jak opowiada o swojej pasji, można słuchać godzinami. Na uczelni też zawsze pierwszy, najlepsze stopnie i nagrody, a teraz jeszcze ten konkurs. Uwierz mi, moja droga, jeszcze trochę i będzie to najlepsza partia w Warszawie. Zapamiętaj moje słowa! Dobrze, że w odpowiednim czasie wzięłam go pod swoje skrzydła, inaczej moja szalona siostra na pewno zmarnowałaby chłopaka i do niczego by nie doszedł. Taki talent, taki talent!

Jadwiga popatrzyła na Matyldę, z zadowoleniem przyjmując aprobujące kiwanie głowy koleżanki.

– Tak, tak, kochana. Masz świętą rację. Pamiętam, jak pokazałaś mi go pierwszy raz. Był taki nieporadny, a te jego maniery, po prostu okropne, no i te sterczące włosy! A teraz popatrz: elegancki młody człowiek, grzeczny i uczynny, i ten talent do gry. Naprawdę dobrze się nim zajęłaś. Jestem przekonana, że przy twoich koneksjach już niedługo wszystkie salony staną przed nim otworem.

Eleganckie starsze panie uśmiechnęły się do siebie, podnosząc filiżanki do ust.

Tymczasem muzyka zmieniła nieznacznie swą barwę, bez wyraźnej przyczyny stała się jakby odrobinę zbyt głośna i zbyt mocna. Palce pianisty uderzały w klawisze bardziej impulsywnie, z wyraźną irytacją, a płynny dotychczas rytm melodii stopniowo zaczął się załamywać. Z początku prawie niezauważalnie, przynajmniej dla laika, jednak wyczulone ucho wyrobionego słuchacza wyłapałoby tę swoistą dysfunkcję niemal od razu. Rozpoznanie

kolejnych, coraz bardziej wyraźnych zgrzytów i załamania rytmu nie sprawiłoby już kłopotu nawet średnio zaawansowanemu muzycznie pracownikowi stalowni. Ostatnie trzy krótkie, energiczne, prawie wściekłe uderzenia w klawiaturę zakończyły koncert i ewidentne męki wykonawcy. Kłapa fortepianu opadła z hukiem i w całym domu zapadła głucha cisza.

– Teraz wyjdzie i powie, że musi się przejść, by trochę pomyśleć.

Ciocia Jadwiga, rozbawiona, uniosła brwi, dając tym samym znać koleżance, że nic się nie stało, że takie momenty są czymś normalnym i zdarzają się tutaj dosyć często. I faktycznie, miała rację. Już po chwili drzwi gabinetu otworzyły się na oścież, a z pokoju wybiegł – sadząc olbrzymie susy – wyraźnie podenerwowany chłopak, który jednak szybko się zatrzymał, dostrzegając dwie siedzące w salonie panie.

Pani Matylda spojrzała na niego przenikliwym wzrokiem, dziwiąc się, jak można tak szybko dorastać. Jeszcze niedawno dzieciak pałętający się pod nogami, a teraz proszę, mężczyzna prawie. Słuszny wzrost. Może odrobinę za chudy, ale w wieku dziewiętnastu lat to przecież nie wada, z czasem nabierze ciała. Ubrany skromnie, ale gustownie, w gładką niebieską koszulę, wełniane spodnie zaprasowane w kant i narzucony na ramiona sweter, wyglądał na bardzo przystojnego, a elegancka fryzura z krótko przyciętych, kruczoczarnych, połyskujących żelam włosów dodawała mu tylko powagi.

– Nie przywitasz się, Janku? – Ciocia Jadwiga wyraźnie przywoływała go do stolika.

Westchnął tylko, wyraźnie zakłopotany.

– Przepraszam, nie wiedziałem, że mamy gości. – Chłopak podszedł do pań, szarmancko ucałował ich dłonie. – Panie pozwolą, że je teraz opuszczę – dodał zaraz. – Muszę się przejść, by ochłonać po próbie... i przemyśleć kilka spraw.

– Tak, tak, oczywiście, nie zatrzymujemy pana artysty. Spokój ducha i ćwiczenia przede wszystkim – odpowiedziała ze zrozumieniem pani Matylda.

– A nie mówiłam? – Ciocia Jadwiga z wyrazem triumfu w oczach patrzyła na plecy odchodzącego szybko siostrzeńca. – Wróci późno, ale to nic, to nic, należy mu się.

* * *

W mieście zrobiło się już całkiem ciemno. Janek od kilku godzin krążył po ulicach, nie mogąc dojść do siebie. Profesor Sowiński ma rację, pomyślał. Nigdy nie będę tak dobry, by zaistnieć w konkursie. Jestem zbyt sztywny i brakuje mi pasji. Chwila, chwila, jak on to określił? Że jak, że muszę odnaleźć w sobie wewnętrzne dziecko?

– To głupie! – wykrzyknął z furią na głos. – Muzyka Chopina jest przecież trudna. Jest dla dorosłych, a głupi profesor wymyśla sobie, że aby ją dobrze zagrać, to trzeba być dzieckiem. To nawet nie głupie, to i–dio–ty–czne! – Aż przysiadł na chodniku ze złości.

– Jaaasiu! Hop, hop! Janeecki! – W tym samym momencie jakiś znajomy, słodko brzmiący głos przywołał go z oddali, używając przy tym form znanych tylko nielicznym kolegom z uczelni.

Janek rozejrzał się na wszystkie strony, szukając źródła okrzyku. Gdy zobaczył, kto woła, poczuł nagłe ciepło w piersi. Na jego twarz wstąpiły rumieńce i w krótkim czasie stała się cała czerwona. Z zażenowania zakrył ją szybko rękami, wyglądając teraz jak mały speszony chłopiec. Jakies dwadzieścia metrów od niego na pobliskim parkingu stała w swoim kabriolecie, machając do niego z pasją, Joasia, jego Joasia, to znaczy nie jego, ale... Jedyna przyczyna Jankowych uniesień, skrytych westchnień i nieprzespanych nocy pełnych

najśmielszych romantycznych fantazji. Najpiękniejsza dziewczyna na roku, która, niestety, podobnie jak i wszystkie pozostałe, traktowała go jak kumpla – i nic więcej.

– Cześć, Janecki, co robisz? – zapytała z uśmiechem, gdy już ochłonął i podszedł bliżej.

– Nic specjalnego, tak sobie chodzę po mieście.

– Chciałeś powiedzieć: chodzę i wrzeszczę. Słysząc cię chyba w całej dzielnicy.

Jej słowa były zabawne, nie złośliwe. Janek poczuł się bardziej swobodnie, odwzajemnił uśmiech.

– Musiałem sobie powrzeszczeć, żeby odreagować. Za dużo dzisiaj ćwiczyłem.

– No tak, cały Jasio. Praca, praca i tylko praca. Chcesz odreagować, to jedź z nami. – Wskazała głową na samochody stojące obok. – Właśnie wybieramy się całą paczką zaszaleć. Mam jedno wolne miejsce, jak chcesz, możesz jechać ze mną.

Janek wahał się tylko chwilę, a w zasadzie to w ogóle się nie wahał. Zapatrzony jak dyrygent w partyturę w piękną, subtelną twarz Joasi, jej krótką blond fryzurkę, delikatne piegi na policzkach, zmysłowe, pełne czerwieni wargi i proszące oczy koloru dobrze spalonego cukru, stopniał nagle jak krótką, wąską świeca, używana przez pianistów podczas nocnych koncertów w Łazienkach. Obszedł szybko samochód, otworzył drzwi i usiadł obok niej.

– Słuchajcie, ludziska! – Joasia odwróciła głowę do tyłu w stronę siedzącej tam pary, której jakoś wcześniej nie zauważył. – Przedstawiam wam Janka, mojego kumpla z roku, jednego z najlepszych młodych pianistów. Uczestnika tegorocznego Konkursu Chopinowskiego, o którym już niedługo będzie się dużo mówić w mieście.

– Witamy, witamy w towarzystwie – odpowiedzieli, podając mu rękę.

– Dzięki – szepnął nieśmiało Janek.

Joasia zaśmiała się dziko, uruchomiła silnik i – z okrzykiem „ impreza!” na ustach – ostro ruszyła do przodu.

– Gdzie jedziemy?! – zapytał głośno, przy okazji zbliżając nos do szyi koleżanki. Joasia pachniała malinami.

– Jedziemy do wróżki! Na seans, uuuuuu!

* * *

Pierwszy raz był zadowolony z zabawy. Impreza nie przypominała niczym rozwrzeszczanych i zagłuszających wszystko dziką muzyką prywatek, suto zakrapianych tanim alkoholem, którymi pogardzał. Tu było inaczej – niezbyt głośno, choć poziom emocji dorównywał temu ze zwykłych zabaw, a nawet go przewyższał. Siedzieli w komfortowo urządzonej salonie, zgromadzeni wokół dużego, kilkunastoosobowego dębowego stołu, trzymając się za ręce i udając skupienie. Wszyscy wsłuchani w słowa gospodyni, ubranej jak Cyganka wróżki o egzotycznym pseudonimie „Morena”, odgrywającej rolę medium łączącego świat doczesny z zaświatami. Zabawa polegała na tym, że każdy z nich po kolei podawał nazwę jakiegoś znanego zmarłego, kilka dodatkowych danych o osobie, a Morena już dalej robiła swoje. Jak dotąd każda kolejna próba kontaktu kończyła się powodzeniem i choć wszyscy wiedzieli, że cały ten seans jest najprawdopodobniej jedną wielką lipą, to jednak poziom pokazu w wykonaniu wróżki był tak sugestywny, że kontakt z „drugą stroną” sprawiał wrażenie jak najbardziej realnego. Każdy z uczestników próbował przebić poprzedniego, wymyślając coraz to barwniejsze postacie do wywołania. I tak rozmawiali już z Piłsudskim, z królem Janem Sobieskim, Sienkiewiczem, Mickiewiczem, a nawet z Wernyhorą, jednak

największy jak do tej pory ubaw mieli, kiedy wywołali Hitlera, a ten – ustami Moreny – zaczął na nich wrzeszczeć niezrozumiale i szybko po niemiecku. Przez cały czas zabawy Janek rozkoszował się miękkim dotykiem palców Joasi, którą zaborczo trzymał za rękę, a kontakt ten sprawiał, że zapominał o całym świecie.

– Teraz ty, teraz twoja kolej! – Patrząc mu w oczy, Joasia wskazała w stronę wróżki.

– Proszę podać nazwisko kontaktu – usłyszał, gdy odwrócił głowę w jej stronę.

Nie zastanawiał się zbyt długo; od dawna miał w głowie tylko jedno nazwisko, które było dla niego jak najbardziej oczywiste.

– Fryderyk Chopin! – rzucił krótko przez stół.

– Nieźle! No tak! Z grubej rury! – Na całej sali rozległy się szepty uznania dla dobrego wyboru.

Wróżka zrobiła kwaśną minę.

– Proszę podać datę i miejsce zgonu kontaktu.

– Paryż, 17 października 1849 roku – wtrąciła szybko Joasia.

Wróżka zapisała dane na kartce i – ponownie robiąc zmęczoną minę – zwróciła się do zebranych.

– Musicie wiedzieć, że w tym wypadku nie daję gwarancji udanego połączenia. Nie wiadomo dlaczego, ale akurat Chopin należy do tak zwanych trudnych duchów, nie bardzo skorych do kontaktów. Mogłabym co prawda wzmóc przekaz, ale do tego potrzeba jakiejś rzeczy należącej do kontaktu, a takiej nie mam.

– Ja mam! – Janek złapał za portfel, wyciągając drżącą ręką ze specjalnej przegródki mały medalik ze śmieszną małąką na awersie. Prezent od ciotki i jego największy skarb, który stale nosił przy sobie jak amulet. – Ten medalik zdobył z wielkim trudem mój pradziadek. Podobno należał do samego mistrza, proszę obchodzić się z nim delikatnie – powiedział, podając go Morenie.

Wróżka wyglądała na zrezygnowaną.

– Dobrze więc, to nam powinno pomóc. A teraz, moi mili, złapcie się ponownie za ręce, zaczynamy. Wszystkich proszę o wyczyszczenie umysłów, a pan, młody człowieku – zwróciła się do Janka – niech intensywnie myśli o wybranej przez siebie osobie. Aby się udało, muszę poczuć, że naprawdę panu zależy.

Po tych słowach światła w salonie pogasty, pozostawiając całe pomieszczenie w półmroku, rozświetlonym jedynie przez płomień palących się tam licznych świec. Zapanowała głucha cisza, przerywana szeptanymi przez wróżkę magicznymi formułami. Janek zaczął intensywnie myśleć o mistrzu. Gdyby ten cały seans był prawdziwy! Gdyby mógł z nim porozmawiać choć przez chwilę, na pewno pomogłoby mu to lepiej przygotować się do konkursu. Miał już nawet przygotowane pytania. Pamiętał je doskonale – gdyby tylko poznał odpowiedzi, byłby o wiele lepszym pianistą, a profesor z całym tym swoim dzieckiem mógłby się schować. Wewnętrzne dziecko, też sobie wymyślił, staruch jeden.

Zła i natrętna treść wypełniła w całości jego umysł, przesłaniając wszystko, o czym myślał do tej pory. W tym samym momencie stała się rzecz dziwna, jakiej nie było jeszcze tego wieczoru. Szepcząca coś cały czas pod nosem Morena wrzasnęła nagle z przerażenia, po czym szarpnęła się gwałtownie do tyłu, próbując bezskutecznie wyrwać się z uścisku dłoni uczestników seansu. Jej głowa opadła na pierś, a po chwili uniosła się znowu. Wszyscy zgromadzeni wstrzymali oddech, czując, jak ogarnia ich nagła fala strachu. Wróżka wodziła po nich wzrokiem, ale to już nie była jej twarz. Teraz patrzyła na nich jakaś złośliwa, wstrętna,

wyrzywna w upiornym grymasie maska pełna jadu i nienawiści, wzrokiem szydząca sobie z wszystkich dookoła. Jej oczy były straszne: okrągłe, nieludzkie, pełne czerwonego blasku odbitych płomieni świec. Medium zatrzymało ruch głowy, wpatrując się intensywnie w Janka. Między nimi coś wyraźnie zaczęło się dziać, nie mogli oderwać od siebie wzroku. Wszyscy pozostali odsunęli się mimowolnie na bok, oczekując, nie bez powodu, że zaraz stanie się coś straszego.

I stało się.

Najpierw Morena – albo to, czym teraz była – mocno odchyliła głowę w tył w bardzo nienaturalny sposób, wydając przy tym z siebie przeraźliwy odgłos, przypominający zgrzyt nieoliwionych zawiasów. Na sali rozbrzmiał śmiech, złośliwy niczym diabelski chichot. Potem wróżka ponownie wyprostowała się, cały czas patrząc hipnotycznym wzrokiem na Janka. Jej usta ułożyły się na krótki moment w jedno proste słowo: „ty”, które wysyczała ze wstrętem. W jednej chwili wszystkie świece przygasły, natomiast liczne okiennice, ukryte do tej pory za ciężką zasłoną grubych kotar, eksplodowały nagle, otwierając się z hukiem i wpuszczając do wnętrza pomieszczenia szalejącą na dworze zawieruchę. Wyjący w pomieszczeniu wiatr zdmuchnął do reszty świece, pograżając salon w absolutnych ciemnościach. Siedzący do tej pory cicho w fotelach młodzi ludzie teraz zaczęli wrzeszczeć ze strachu, potęgując atmosferę grozy i zamętu. Janek poczuł się tak, jakby coś ciężkiego i oślizgłego spadło mu na głowę, przesłaniając wszystko i wywołując bolesną duszność. Jego fizyczny kontakt z Joasią, jedyna łączność ze światem, zerwał się ostatecznie, pozostawiając go w osamotnieniu. Przerażony skoczył na równe nogi, przewracając krzesło. Próbował uciec jak najdalej od tego straszego miejsca, biegnąc co sił w stronę, gdzie powinno być wyjście. Kilka kroków dalej z całym impetem uderzył w ścianę, po czym upadł bez ducha na podłogę.

* * *

Obudził go odgłosy w pełni rozbudzonego miasta, dochodzące w niebezpiecznym nadmiarze zza uchylonego na oścież okna jego własnej sypialni. Janek próbował podnieść głowę z poduszki, lecz nie był w stanie. Stęknął jedynie, opadając ponownie w przytulną i ciepłą miękkość pościeli. Druga próba była już bardziej udana. Siedział teraz na skraju łóżka, podtrzymując rękami wielką i ciężką jak kontrabas głowę, próbując usilnie przypomnieć sobie, czemu to właściwie zawdzięcza taki poranny stan ciała. Fragmenty układanki wspomnień wirowały mu w głowie jak wolne nuty, nie chcąc ułożyć się w porządną zapis na mentalnej pięciolinii. Jedyne, co pamiętał, to Joasia, seans u wróżki, potem swój bieg, a następnie pustka. Nie wiedział nawet, jak trafił z powrotem do domu. Zrezygnowany wobec braku wspomnień, powlókł się zgarbiony do umywalki.

Boże, jak ja wyglądam, pomyślał, patrząc w lustro na swoją zmarnowaną twarz, okraszoną dodatkowo wielkim sinym guzem, zdobiącym czoło nad lewym okiem. Jak kilo nieszczęścia.

– Gorzej! Powiedziałbym nawet, że jak dupa ruskiego żołdaka po całonocnej grze w klepaka, ale i to porównanie nie byłoby zbyt trafne – odpowiedział mu jakiś głos.

Janek obrócił się błyskawicznie na pięcie, przestraszony obecnością kogoś obcego w swojej sypialni. Momentalnie zapomniał o bólu głowy.

– Kto tu jest?! – wrzasnął przed siebie.

– Jak to kto? Ja jestem, a kto ma być, do cholery? – Głos dochodził gdzieś z przestrzeni wokół, ale dokładnie nie było wiadomo skąd.

– Jaki ja, co to za wygłupy? Pokaż się i gadaj szybko, kim jesteś?

– Jestem, kim jestem! – Tubalny, wyraźnie imitujący słowa samego Boga baryton zabrzmiał wprost przed chłopakiem, a potem nagły szyderczy śmiech wypełnił całą przestrzeń sypialni. – Jejku, czym ja zawiniłem, że mi się taki imbecyl trafił? – dodał głos.

Przerażony Janek złapał za szczotkę do czyszczenia toalet i tak uzbrojony wymachiwał nią na oślep, w lewo i w prawo.

– Jeśli zaraz się nie pokażesz, zawołam policję! – krzyknął przed siebie.

– Nie mogę ci się pokazać i nic na to nie poradzisz, nawet jeśli wezwiesz tuzin policmajstrów.

– Jak to nie możesz, dlaczego nie możesz? Co to za bzdury?!

– Nie mogę, a jeśli jeszcze nie zrozumiałeś, ty durny, zakuty łbie, to powiem bardziej dosadnie, jak do wiejskiego głupka, z którym, jak widzę, mam tutaj do czynienia. Nie mogę ci się pokazać, bo nie mam czego pokazać. Nie mam ciała. Jestem duchem, do cholery! Zjawą, ciałem spirytualnym, upiorem, eterią czy jak tam zwał. Teraz dotarło do tej głupiej łepetyny?

Janek stał nieruchomo, nie mogąc wykrztusić słowa.

– Dobra. Jeszcze raz. Nie zaczęliśmy zbyt fortunnie i trzeba to zmienić. Nie wierzysz, że jestem duchem, ale na szczęście łatwo to sprawdzić. Jest prosty test. Nie musisz ze mną rozmawiać, otwierając gębę i drąc się wniebogłosey jak zarzynany artysta operowy. Możemy rozmawiać inaczej, bez mowy, rozumiesz? Wystarczy, że coś pomyślisz, a ja odpowiem na twoją myśl. To co, sprawdzamy?

Co to za głupoty, pomyślał Janek.

– Ale to nie było pytanie – odpowiedział głos.

– Że co?

– Nie gadaj, tylko myśl, konkretne pytanie! – Głos był wyraźnie poirytowany.

– Dobra – Janek powoli zaczął wracać do równowagi – już myślę. Kim... Ty... Jesteś?

– Co ty, durnowaty jakiś? Dlaczego mówisz do mnie jak do pensjonariusza psychuszki, chcesz mnie obrazić czy co?

– Dobra, dobra, przepraszam. Zacznę jeszcze raz. Więc kim jesteś?

Przez chwilę panowała niezręczna cisza.

– Jestem Fryderyk Franciszek Chopin. Martwy Fryderyk Franciszek Chopin, od dość dawna, jak mniemam. Moje kości rozpadły się w pył i dzisiaj są już tylko wspomnieniem, jak rzymskie orgie za Kaliguli. Byłem sobie spokojnym duchem, latałem z chmurki na chmurkę, aż tu nagle ktoś mnie wezwał, nie wiem po co – i spokój diabli wzięli. Zapewniam, że wcale nie miałem ochoty wracać na Ziemię, ale skoro już tu jestem, to czy moglibyśmy wyjść na miasto?

– Jak to wyjść? – Janek nie za bardzo zdołał ochłonać po tym, co przed chwilą usłyszał.

– Normalnie, wyjść, na nogach. Z tego, co zdażyłem wczoraj zauważyć, jesteście chyba w Warszawie. A skoro już tu zawitałem, to jestem ciekaw, jak wygląda moje miasto po tylu latach, za dnia. Wczoraj nie za wiele mogłem zobaczyć, bo było ciemno. A propos, zabawa była całkiem przednia i udana, a dziewczyna ho, ho, pierwszy sort, no, lepiej chyba nie mogłem trafić. Obudzony pocałunkiem, jak jakiś księżę z bajki.

Janek poczuł, jak zalewa go fala bezsilnej złości.

– Od dziewczyny wara, rozumiesz!

– Oooo! Widzę, że cię trafiłem, bratku. Ale nie martw się, usta miała słodkie jak maliny, ale na nic więcej nie starczyło czasu, a szkoda, wielka szkoda.

– Całowałaś ją?! – Krew odpłynęła mu z głowy.

– Nie ja ją, ale ona mnie. Niezłego jej napędziłeś stracha, waląc głową w ścianę i tracąc przytomność. Ale tak po prawdzie, to i ty ją całowałeś. Tak się złożyło, bratku, że mamy teraz jedno ciało. Jak ja coś zrobię, to tak, jakbyś i ty to robił – i odwrotnie. Taka mała diabelska sztuczka. Jesteśmy razem, czy tego chcesz, czy nie. Uważaj zatem, co robisz w nocy pod kołderką, bo nie lubię tego typu zabaw.

– Boże, za coś mnie tak pokarał? – stęknął żałośnie Janek, łapiąc się za głowę.

– Nie wymawiaj lepiej imienia Pana nadaremno, bo z naszą sprawą ma on niewiele wspólnego. Trzeba było wpieryw pomyśleć, zanim zaczęło się bawić w ucznia czarnoksiężnika. Swoją drogą, to była niezła moc. Musiałeś użyć, bracie, mocnego artefaktu. Sam miałem kiedyś taki jeden. Wygrałem go w salonie hrabiego Tęczyńskiego od jednego Anglika, marynarza Kompanii Wschodnioindyjskiej. Postawił fant, jak już przegrał żołąd, majątek rodzinny i wiano przyszłej żony. To były czasy! Pamiętam jak dziś, przez pół roku mieliśmy niezłe używanie, organizując pokazy spirytualne dla całej bohemy. Gram haszyszu służył za bilet. Kto nie miał – won z salonu, a jak miał, to dawaj w pokłony. W życiu nie wypaliłem tego tyle, co wtedy. Dymu było tak dużo, że duchy też wychodziły jakieś takie rozmemłane. I pomyśleć, że wszystko to przez taką małą szajbkę. Nic wielkiego, mały bibelocik z wygrawerowaną główką małpki. Niby nic, a moc ogromna. Szkoda, że ktoś mi go później ukradł, ale tak to już jest. Jak jesteś przez cały czas w odurzeniu, to długo przy sobie niczego nie utrzymasz.

– Zaraz, zaraz! – zawołał Janek na głos w nagłym przypiływie nadziei. – Bibelocik, powiadasz, w kształcie małpki?

– Nie inaczej.

– Ubieramy się i wychodzimy na miasto.

– No, wreszcie jakieś rozsądne słowa. Słuchaj, młody, a jak już będziemy na mieście, to za moich czasów był na Pradze taki salonik, u pani Polańskiej. Niezbyt duży, ale dziewczuszki prima. Jedna w drugą same artystki, tancerki zaczy się, a używanie z takimi, że ho, ho! Wino, zabawa, śpiew i figle do samego rana. To co, moglibyśmy?

– Nie przeciągaj struny, Chopin!

– Dobra, dobra.

* * *

Wróżka znana jako Morena siedziała na krześle, wysłuchując uważnie tego, co miał do powiedzenia. Z każdym wypowiedzianym przez Janka słowem jej oczy stawały się coraz większe. Teraz, kiedy była normalnie ubrana, nie przypominała już Cyganki. Gdyby nie samo miejsce, w ogóle by jej nie poznał. Normalna kobieta pod pięćdziesiątkę, o kruczoczarnych, błyszczących farbą włosach i zielonych oczach. Kiedyś pewnie ładna, dzisiaj już tylko elegancka i zadbana. Janek skończył opowiadać. Czekał na odpowiedź, wiercił się niecierpliwie na krześle, raz za razem zerkając przy tym na czarnego kota, siedzącego wysoko na komodzie. Zwierzę, najeżone jak kolczatka w pozycji obronnej, cały czas syczało na niego z góry, pokazując upiornie białe, ostre zęby.

– To pani namieszła, ja tego wcale nie chciałem – wycedził wreszcie pianista, przerywając ciszę. – Ja jestem normalnym klientem i – tak jak każdy oszukany usługobiorca – przychodzę do pani z reklamacją. Chciałbym.. Nie, nie chciałbym. Ja żądam, aby pani natychmiast usunęła tego ducha z mojej głowy, bo zwariuję!

Kobieta spojrzała na niego tępym, bezrozumnym wzrokiem, jakby dopiero teraz otrząsnęła się z wczorajszego letargu.

– No tak, ale... ja... ja nie umiem. Nie wiem, nie znam się na odwoływaniu duchów.

– Jak to nie?! – Janek się wściekł. – Ale jest pani przecież wróżką?

– No tak.

– Zawodowo zajmuje się pani wywoływaniem duchów?

– Tak, ale...

– No to odwołać ducha też chyba pani potrafi. To niech pani odwołuje, do cholery, czekam!

– Posłuchaj uważnie, chłopcze. Ja nie param się tutaj czarami. Bycie wróżką to rodzaj sztuki, teatr bardziej. Więcej w tym gry niż magii. W zasadzie dziwię się, że w ogóle wywołałam jakiegoś ducha, ale w moim fachu widocznie trzeba się liczyć i z takimi niespodziankami. Nie przeczę, kilka razy w życiu mi się naprawdę udało, inaczej nigdy bym się tym nie zajmowała, ale do tego potrzeba skupienia, specjalnej oprawy, nie takiej, jak na pokazach multi dla młodzieży. Przyznaję, że nic z tego nie rozumiem.

– Fryderyk, to znaczy Chopin, no, ten duch twierdzi, że to wina wisiorka, który pani dałam. Że to jest jakiś potężny, obdarzony mocą przedmiot. To może on mógłby pomóc? Czy może mi go pani oddać?

– Niestety, już go nie mam. Zabrała go twoja dziewczyna zaraz przed waszym wyjściem. Ta mała blondynka, z którą przyszedłeś.

– A, Joasia!

– Chyba tak, chyba tak miała na imię... Słuchaj, chłopcze, wierzę w to, co mówisz, a ponieważ zależy mi na reputacji salonu, postaram się pomóc. Ja co prawda się na tym nie znam, ale znam kogoś, kto będzie wiedział, co robić. Jeśli mógłbyś poczekać chwilę, to zaraz go sprowadzę.

– Ja się stąd nigdzie nie ruszam – burknął Janek.

* * *

Karłowaty mężczyzna o twarzy gнома, jakby żywcem wyciągnięty ze starych irlandzkich podań ludowych, truchtał po pokoju wte i wewte, wystukując obcasami rytm z siłą i precyzją kamertonu.

– To mówisz, że to Chopin? – zapytał znieczeka, nie przestając truchtać.

– Przynajmniej on tak twierdzi.

– I mówisz – *trep, trep, trep, trep* – że ten Chopin wszedł ci do głowy wczoraj, podczas seansu, i cały czas do ciebie mówi?

– Mówi to za mało powiedziane. On gada jak nakręcony, przez cały czas, nawet teraz. Głowa już mi puchnie od tego jego gadania, a przy tym jest niemożliwy: grubiański, złośliwy i opryskliwy, klnie niczym szewc i tylko mu baby w głowie. Dłużej tego nie wytrzymam.

– To ludzki demon!

Karzełek zatrzymał się nagle jak zepsuty zegar ścienny, celując wskazówkową ręką prosto w głowę Janka.

– Aaa, demon? To chyba dobrze?

– Wręcz przeciwnie. – *Trep, trep, trep*, kamerton znowu rozpoczął swoje tykanie. – To źle, a nawet bardzo źle. Jak powiedziałem, to ludzki demon, zwany też „demonem Yang”, a z nimi nigdy nic nie wiadomo. Przychodzą i odchodzą, kiedy chcą, niewiele tu można zrobić.

– Ale chyba coś można? – Janek był zdruzgotany. – A może to jednak nie jest demon, może to coś innego?

– Nie, nie, to na pewno ludzki demon. Nic innego. Uwierz mi, na demonach to ja się dobrze znam.

– A można wiedzieć, co to właściwie jest ten „demon Yang”?

Karzełek popatrzył na Janka, robiąc przy tym minę zdziwionego dziecka, któremu właśnie zabrano ulubioną trąbkę. Nie przerwał jednak swojego truchtania.

– Widzisz, młody człowieku – zaczął po chwili – normalnie demony to istoty obce. Nie pochodzą z naszego wymiaru. Nie rozumiemy ich, wywołują w nas paniczny strach. I słusznie, spotkanie z takim stworem zazwyczaj kończy się szybką i bolesną śmiercią. – Janek zamarł. – Ale są też demony ludzkie – kontynuował karzeł – nasze własne, nie wiem, czy nie bardziej złośliwe od tych pierwszych, jednak przynajmniej podlegające znanym prawom natury. W naszym wymiarze, tym materialnym, wszystko ma swoją dobrą i złą stronę. Jak chińskie Ying i Yang. U większości ludzi dominuje albo jedna, albo druga strona natury, dlatego po śmierci ich dusze idą albo do tak zwanego nieba, albo do piekła, mówiąc oczywiście w największym skrócie. Taka jest reguła, od której, jak to zwykle bywa, są też wyjątki. Niektórzy ludzie są dwoiści, idealnie zrównoważeni, tyle samo w nich dobra, ile zła. Po śmierci dusza takiego idealnego człowieka rozdziela się na dwoje: na ducha pozostającego w zawieszeniu czyśćca i złego demona, blakającego się gdzieś w międzyświecie i czasami, niestety, wracającego na ziemię, aby kogoś opętać. Ponieważ duchy raczej nie przeklinają, nie myślą też o babach, jak to obrazowo określiłeś, i na pewno nie zasiedlają ludzkiego ciała na dłużej niż kilka minut, wnioskuję więc, że w tym przypadku mamy do czynienia z ludzkim demonem – i to nie byle jakim. Z kwintesencją złej strony natury samego Fryderyka Chopina, ho, ho, to nie byle co.

– Zatem nie da się już nic zrobić? – jęknął Janek. – Demon zostanie ze mną do końca życia!

– Tego nie powiedziałem. Nie słyszałem jeszcze, żeby jakiś demon siedział w nosicielu dłużej niż kilka lat, chociaż to żadne pocieszenie. Po tak długim czasie i tak nosiciel niechybnie skończy w szpitalu jako roślina. Im szybciej demon odejdzie, tym lepiej, i są na to pewne sprawdzone metody. – Karzeł znowu zatrzymał się, celując palcem prosto w Janka. – Po pierwsze, zdobądź i zawsze miej przy sobie ten przedmiot, który go sprowadził. Nawet we śnie. Z doświadczenia wiem, że to pomaga przyspieszyć odejście. A po drugie... Ta metoda jest trudniejsza, ale bardziej skuteczna. Każdy demon czegoś od nas chce, przybywa na ziemię w jakimś konkretnym celu. Dowiedz się, czego chce ten twój, a pozbędziesz się go raz na zawsze.

* * *

– Czego ty ode mnie chcesz?

Janek, siedząc w taksówce, zdecydował się zagadnąć Chopina, licząc po cichu na to, że ten wyjawia mu swój sekret i zniknie.

– W zasadzie to sam nie wiem. Może na początek butelkę wina i jakąś miłą dziewczuszkę pod pierzynę.

– Boże – jęknął Janek żałośnie.

Czujny taksówkarz natychmiast zaczął zerkać w lusterko, badając, czy przypadkiem znowu nie trafił mu się niezrównoważony pasażer desperat, z którym będą kłopoty.

– Słuchaj, a czym ty się w ogóle zajmujesz, bo jakoś nie zdążyłem się zorientować? – Tym

razem to demon rozpoczął nowy temat.

– Jestem muzykiem, pianistą. A w zasadzie to dopiero będę, jak skończę uniwersytet.

– Dobra nasza! – Demon zakrzyknął bardzo głośno w jego głowie. Janek skulił się w sobie z bólu, czym kolejny raz zwrócił uwagę taksówkarza. – Artysta, bohema, nocne życie, fety i rauty. Jednak będzie zabawa!

– Nie, nie będzie, teraz tak się nie żyje. Ludzie są bardziej poważni. Zajmują ich inne sprawy – zgasił jego zapal Janek.

– Eee tam! Takie tam gadanie, jakbym nie znał ludzi. Ludzie są zawsze tacy sami, lubią się bawić i tyle. A co było wczoraj, co?

– Wczoraj to był wyjątek.

– Wyjątek, srątek, wrzątek, a może to z tobą, młody, jest coś nie tak? Jesteś taki spięty i zasadniczy jak, nie przymierzając, francuski żandarm w wychodku. Nie lubisz się bawić, co? A może po prostu nie umiesz? Nikt cię nie nauczył albo coś się stało, co? Byłeś z dziewczyną i szpada nie zadziałała? Opowiedz, jak to było?

– Nie, nie, nic z tych rzeczy. Ja po prostu nie mam teraz czasu. Jestem bardzo zajęty.

– A co też takiego robi młody człowiek, że mu życia na nic innego nie staje?

– Przygotowuję się do koncertu.

– Do koncertu, mówisz, ha! Zaufaj zatem komuś z większą ekspierencją niż twoja. Do koncertu fortepianowego trzeba podejść z głową lekką i giętkimi palcami. Podczas grania nie możesz być sztywny jak laska jaśnie wielmożnego pana Potockiego, bo koncert też wyjdzie sztywno i więcej na salony nie zaproszą. Nic tak nie przygotowuje głowy do występu jak regularne biby co wieczór, suto zakrapiane winem. A palce? Palce najlepiej ćwiczyć na dwa sposoby: albo ugniatając z pasją kobiece piersi, albo ciasto na chleb, choć ja osobiście wolę tę pierwszą metodę. Wierz mi, co jak co, ale na koncertach i tych innych sprawach to ja się akurat znam jak mało kto i mógłbym cię wiele nauczyć.

– Naprawdę?

– Naprawdę, a co grasz?

– Chopina.

– O! To nawet powinienem znać.

* * *

Taksówka odjechała z piskiem opon, jak tylko wysiadł przed białą willą, w której mieszkała Joasia. Zamiast pożegnalnego „do widzenia” w szybko oddalającym się lusterku mignął mu uśmiech kierowcy, zadowolonego z faktu pozbycia się z wozu świra o dziwnie błyszczących oczach.

– Słuchaj, Fryderyk... Mogę chyba tak do ciebie mówić?

– Zezwalam. Tym bardziej że tatko faktycznie dali mi na chrzcie Fryderyk.

– Słuchaj i nie wyglupiaj się. Prosiłbym, żebyś przez chwilę był poważny. Idziemy teraz do Joasi, a ja nie chciałbym przed nią wyjść na idiotę.

– Aaaa! Joasia, dziewczyna o jasnych włosach i ustach smakujących malinami. Twoja słabość, co? – drwił sobie Chopin. – Używasz jej?

– Cooo?!

– Powiedziałem coś niezrozumiałego? Pytam tylko, czy jej używasz. No wiesz, chędożysz, miętosisz czy jak tam się teraz mówi? Chodzi mi o te normalne sprawy, ułatwiające kontakty

chłopa z babą. Moja kochana George to nawet nie chciała rozmawiać, jak jej wcześniej nie použíwałem. Dopiero jak była już zadowolona, to jej się usta otwierały, i to jak! Gadała i gadała, bez przerwy, a kiedy już przestała, to znowu wiedziałem, że czas na używanie.

– Mógłbyś się już zamknąć? Słuchać tego nie można! To–nie–tak! Ja ją kocham!

– Kogo kochasz?

Janek uniósł gwałtownie głowę, speszony niespodziewanym pytaniem zadany gdzieś z góry. Tuż przed nim, na samym szczycie schodów, w świetle padającym z szeroko otwartych drzwi stała Joasia. Niesamowicie piękna, z tym pytającym uśmiechem na twarzy. Janek ponownie poczuł, jak w jednej chwili jego policzki zmieniają się w dwa wypełnione wrzątkiem czajniczki z ujściem pary gdzieś w okolicach uszu.

– Eeeeeee... jaaa... bo... To nieeee – zaczął dukać.

– Zaczynj gadać, małpia gębo, bo ptaszek ci ucieknie i nici z ćwierkania – zadrwił złośliwie Chopin.

– Przepraszam. – Janek wreszcie spał się w sobie, pohamowując zażenowanie. – Myślałem na głos, wczoraj miałem ciężką noc.

– Wiem, jakby co, to też tam byłem. – Dziewczyna uśmiechnęła się tak, że zmiękły mu kolana. – A swoją drogą, nieźle się bawiłam. Nie wiedziałam, że jesteś taki fajny.

– Na–naprawdę? – Policzkowe czajniczki zwiększyły swoją wydajność, obejmując działaniem gorącej pary całą głowę.

– Jasne: zabawny, dowcipny, nie znałam cię takiego. Zawsze myślałam, że jesteś sztywny i nadęty, a tu, proszę, zupełnie inny facet. Miło mi, że poznałam cię z tej lepszej strony. Miło też, że mnie odwiedziłeś, chociaż mogłeś wcześniej zadzwonić.

– Wiesz... nie mam twojego telefonu.

– Przecież dałam ci wczoraj?

– Zabiję cię, Chopin – zasyczał w myślach Janek, robiąc przy tym minę niewiniątka.

Odpowiedział mu tylko złośliwy chichot.

– Musiałem gdzieś go zapodziać w domu. Przepraszam, wiesz, jak to jest. Aha, dowiedziałem się, że wróżka oddała ci mój medalik. To pamiątka rodzinna, muszę go odzyskać. Możesz mi oddać?

Joasia zrobiła tajemniczą minę.

– Oddam ci go jutro, na imprezie.

– Na jakiej imprezie?

– Nie pamiętasz? Przecież się umówiliśmy. Jedziemy jutro wieczorem do chaty Michała za miasto.

– A tak, oczywiście, jak mógłbym zapomnieć, tylko...

– Będę po ciebie o ósmej.

– Ale...

– Żadnego ale, jutro o ósmej.

– Ale ty nawet nie wiesz, gdzie ja mieszkam! – krzyknął, zanim zdążyła zamknąć za sobą drzwi.

– A ty wiedziałeś? – Wyszła jeszcze raz, pokazując śliczne ząbki w szerokim uśmiechu. – Przecież nie dawałam ci swojego adresu.

Drzwi zatrzasnęły się, pozostawiając go pod schodami z głupią miną listonosza, który nie potrafi odnaleźć skrzynki na listy.

– Dobra nasza, będzie kasza! – ożywił się Chopin. – Trzymaj się tej dziewczyny, a daleko

zajdziesz. To co, jutro balujemy?

– Dobra, Fryderyk! – Janek zareagował w sposób bardziej zdecydowany. – Ale robimy tak: za dwa tygodnie zaczyna się konkurs. Możemy balować, ale ćwiczeń nie odpuścę, a ty mi w nich pomożesz, czy tego chcesz, czy nie. Pracujemy po dziesięć godzin dziennie. To co, układ?

– Układ! – odpowiedział równie stanowczo demon.

* * *

Ręce już nie grały, jednak ostatni ton jeszcze zawisł gdzieś nieruchomo w powietrzu, przedłużając odrobinę moment zakończenia, jakby zatrzymanego w czasie. To była ta chwila, w której koncert nie kończy się jeszcze w głowie artysty, jednak w publice już narasta gwałtowna potrzeba upustu nagromadzonych w sercach i ciałach emocji, uwalniających się później w gwałtownej erupcji braw i spazmatycznych okrzyków. Gdy dźwięk przebrzmiał do końca, Janek odetchnął głębiej i delikatnie spuścił klawisz na klawiaturę.

– I jak? – zapytał z niepewnością i nadzieją w głosie.

– Całkiem nieźle, całkiem nieźle... jak na szewca, krawca, dekarza, murarza albo innego rzemieślnika–pijaczynę, walącego swojimi brudnymi łapskami w dupę gospodyni przy obiedzie, po dobrze wykonanej robocie. – Sarkazm wylewający się ze słów Fryderyka Chopina ranił bardziej niż krzyki kipiącego złością dyrygenta na próbie generalnej przed koncertem. – Jak na pianistę... fatalnie, chociaż i tak było o niebo lepiej niż poprzednim razem. Głowę masz już spokojną, jeszcze beczka wina i będzie całkiem dobrze. Czujesz muzykę, unosi cię, chłoniesz ją, poddajesz się jej urokowi, żyjesz nią przy graniu. Ale palce? Palce masz sztywne jak kołki osikowe, wbijane w dupę wampira na pokazie dla uciechy jaśnie państwa. Grabić ci nimi jesienne łąki, a nie grać koncerty. Ty masz pieścić, muskać, tulić klawiaturę jak najlepszą kochankę. Ale do kogo ja mówię, w końcu co ty wiesz o kochaniu? Jak tak dalej pójdzie, przyjdzie nam zarywać noce, ugniatając ciasto u jakiegoś piekarza z przedmieścia, a nie spokojnie balować, wysypiając się do południa. Przypomnij mi, kiedy masz ostatnie przesłuchanie u profesora Sowińskiego?

– Za tydzień – odparł wstydliwie Janek.

– To kiedy masz zamiar dobrać się do swojej dziewczuszki? Za miesiąc? Kiedy już przegrasz wszystko, a ona cię porzuci, nie mogąc znieść twojego rozgoryczenia?

– To nie tak! Ja chcę! Bardzo chcę, ale jakoś nie było okazji.

– Złej kurewnicy przeszkadza rąbek spódnicy – parsknął po swojemu Chopin. – Miałeś tysiąc okazji. Dziewka klei się do ciebie jak mała muszka do zdradziecko pachnącego miodem kwiatka–żarłacza, tylko cap i używać. A ty co? Zachowujesz się jak pobożny drwal w lesie, co modli się do drzewa zamiast rąbać. Nie może tak być! Dzisiaj masz ostatnią szansę. Skrewisz, to zrywam układ.

– Jak to zrywasz?

– Normalnie, zrywam i już. Nie będę cię więcej szkolić. Zresztą i tak nie ma po co. Kto nie zna miłości ciała, nigdy nie będzie dobrym pianistą. Co najwyżej chałturzystą, grającym do kotleta jaśnie wielmożnym matronom z wielkimi dupskami, a i to bez używania rzecz niepewna, w końcu matrony też mają swoje potrzeby.

– Słuchaj, Fryderyk! Dla ciebie wszystko jest takie proste. Ty już przeżyłeś swoje życie, a dla mnie wszystko jest... takie nowe. Jako człowiek, o, przepraszam, jako demon z

doświadczeniem mógłbyś mi udzielić kilku rad i wspomóc, zamiast tak gadać i gadać!

– Nareszcie słowa godne wchodzącego pełną piersią w życie młodzieńca z fantazją, a nie gryzidupka, co chwilę pędzącego ze strachu do wychodka. Słuchaj, młody: z amatorami jest jak z polowaniem u zwierząt. Co robi głodny świeżego mięska wilk, buzujący krwią ognistą, jak już upatrzy sobie młodą, piersiastą sarnę z wielkimi oczami, hę?

– Nie wiem.

– Odciąga ją od stada, ot co. Żeby nic nie przeszkadzało, żeby była mu całkowicie powolna. A od tego już tylko krok do konsumpcji.

– Ale jak to, odciągnąć od stada? – Janek zrobił głupią minę.

– Widzisz, panie pianista, w stosunkach damsko-męskich, jeden na jeden, obowiązują jednak pewne zasady. Gdyby to był kabaret Madame Fufare, gdzie grupowe harce każdy z każdym, na goło, w pionie, poziomie, na skos to normalka, to co innego. Ale tu nie kabaret, zaś Warszawa to nie Paryż, a szkoda. Czasy się zmieniły, ale tu dalej zadupie i panna nie rzuci się na ciebie w obecności innych. Nie pozwolą jej na to przyjaciółki i konwenanse. Dlatego musisz ją odciągnąć jak łanię od stada. Najpierw się zakręcić, zabawić, dać pannie trochę wina, samemu pić z umiarem, śmiać się i prawić komplementy, po czym odciągnąć gdzieś na bok, w ciemność, i całować namiętnie. Na to jest u panny pozwolenie, ale więcej to już gdzie indziej. Na kwaterze, we dwoje, w porządnym łóżu, jak na pierwszy raz przystało. Bo potem to już, wierz mi, gdzie i bądź: w pralni, na stole w jadalni, za drzewem przy drodze, na biurku dziadka, potem to już pannie nie przeszkadza, ale ten pierwszy raz musi być w łóżu. Diengi, znaczy pieniądze jakieś, masz?

– Co? – Janek, chłonący każde słowo demona jak pergamin nuty, dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że jest o coś pytany.

– Pytam, czy masz jakiś pieniądz, bo jak nie, to kiszka. Wiadomo, gołodupcom zawsze zawierucha w dupę piachu nadmucha.

– Mam stypendium, i to duże, stać mnie na wiele rzeczy.

– To dobrze, weź ze sobą, będą ci potrzebne na wóz i kwaterę, a może i na śniadanie dla ukochanej.

– Myślisz, że to jest takie proste?

– To zawsze jest proste. Proste jak świeca przy trumnie świętej pamięci Angeli Purgo, największej burdelmamy w Weronie, ufundowana przez wiernych klientów na pamiątkę tejże mamy możliwości. Inaczej nie byłoby przyrostu wśród ludzi, a jak widać jest i basta. Nie martw się, wystarczy, że przejdziesz ten pierwszy raz, a potem to już z górki.

– Słuchaj, Fryderyk!

– Co znowu?

– Ale jak już będę sam z Joasią, no wiesz, wtedy... To zostawisz nas samych? Wolałbym, żeby to był mój pierwszy raz, mój i tylko mój.

– Czy zostawię?! Czy zostawię?! Oczywiście, że zostawię. A co ty sobie myślałeś, że będę tam razem z tobą?! Że szkolę cię na jakiegoś belfra biegłego w trójkątach, wielokątach i inszej damsko-męskiej geometrii stosowanej? Co to, to nie, zależy mi tylko na twoich palcach i tyle. Nie mam zamiaru zarywać nocy u piekarza przy cieście.

– Dziękuję – szepnął Janek.

Gdyby Fryderyk Franciszek Chopin miał ciało albo chociaż ręce, albo nawet tylko dwa palce, zapewne byłyby teraz skrzyżowane w znanym geście kłamcy. Ale demon nie miał ciała, dlatego pozostało mu jedynie dokręcić jeszcze, i tak już znacznie pokręcone, myśli i w ten

sposób powstrzymać wciskający się do mózgu nosiciela złośliwy chichot.

* * *

To była najlepsza impreza, na jakiej był do tej pory, na dodatek idealnie przycięta do jego zamiarów. Kameralna atmosfera, towarzystwo nieliczne, lecz na poziomie, z żarliwością i znanstwem dyskutujące odważnie na najbardziej aktualne tematy z dziedziny kultury, sztuki i ostatnich warszawskich wydarzeń, a wszystko to zakrapiane dobrej jakości winem, fundowanym bez umiaru i cienia skrupowania przez bogatszych członków towarzystwa – zupełnie tak, jakby ten swoisty kieszeniowo–żołądkowy transfer majątku był dla nich rzeczą jak najbardziej naturalną. Im więcej wypitego alkoholu, tym rozmowy stawały się żywsze, pikantniejsze i jakimś dziwnym trafem, mimo różnorodności tematów, cały czas schodziły na zawiłą problematykę spraw damsko–męskich. Po kilku butelkach nie omawiano już wydarzeń najważniejszych artystycznie, ale tylko te, które szokowały swym zbyt swobodnym podejściem do erotyki, a nawet ekscesami i wyuzdaniem. Nie rozmawiano o książkach i powieściach najlepszych, ale tylko o tych, których stronice ociekały wręcz seksem. W miarę upływu czasu twarze rozmówców stawały się coraz bardziej czerwone i nabrzmięte, oczy coraz bardziej zamglone, a oddechy szybsze i płytsze. Pary coraz częściej schodziły na parkiet, przyciskając i tuląc się do siebie w rytm świetnie zagranej przez klubową kapelę, lekko jazzującej muzyki, jakby stworzonej do łączenia ludzi.

Janek i Joasia nie odstawali od reszty. Uczestniczyli w dyskusjach, śmiali się i pili wino jak inni. I tak jak inni, powoli tracili zainteresowanie resztą towarzystwa, stopniowo skupiając się wyłącznie na sobie. Zaczęło się niewinnie, od nagłego pragnienia bliskości pchającego ciało do przodu i zmuszającego wręcz do fizycznego kontaktu. Do delikatnego dotyku dłoni gdzieś pod stołem, do muśnięcia włosów policzkiem, niby przypadkiem. Do kumplowskiego uścisku, wywołanego niby spontanicznie przez dobry dowcip, a zakończonego znaczącym, głębokim spojrzeniem w oczy. W miarę postępu imprezy potrzeba bliskości stawała się coraz bardziej świadoma i pałająca. Nie było już przypadkowych muśnięć. Teraz dotknięcia były celowe, nakierowane na wywołanie reakcji w postaci mocnego uścisku, już nie kumplowskiego, lecz innego rodzaju, aktu oddania całego siebie drugiej osobie, ale zarazem jej całkowitego zawłaszczenia. Przyszły pierwsze pocałunki, w ramię, policzek, głowę, byle bliżej do ust. A potem był taniec. W jednej chwili cały świat przestał się liczyć, więcej – przestał istnieć. Byli tylko we dwoje, maleńka wyspa na morzu nicości. Wtuleni w siebie niczym dwa pieski na mrozie, chłonna i zarazem przekazujące całe swoje ciepło drugiemu. Ich ręce błędziły delikatnie po plecach partnera, poznając, palec za palcem, jego ciało i odruchy. Oczy płonęły dzikim ogniem, usta drżały, a kochankami wstrząsały nieustanne dreszcze podniecenia. Wreszcie znaleźli kąt dla siebie, niewielki kawałek wolnej przestrzeni za kotarą, niewystarczający nawet do tego, żeby zasłonić okno, jednak dla nich wręcz idealny. Oddzieleni od świata, zbliżyli się do siebie jeszcze bardziej. Ich usta zlały się w jedno w gorącym i namiętym pocałunku trwającym całą wieczność i...

– Teraz! – Słowa Chopina zadudniły mu w głowie niczym echo w głębokiej studni bez dna.

Janek zareagował na nie z lekkim opóźnieniem. Z żalem oderwał wargi od ust Joasi, patrząc w jej oczy z prawie nabożnym uwielbieniem. Na tę chwilę czekał od dawna. Jeszcze przed imprezą znał na pamięć każde słowo, każde zdanie, które powinien wypowiedzieć, jednak teraz nie pamiętał ani jednego z nich. Głowa była pusta. Przez chwilę stał tak z

rozdziawionymi ustami, nie wiedząc, co począć. Z rozpaczy jeszcze raz zwarł się ustami z ukochaną.

– Pomocy – szepnął w myślach.

– Przestań się całować, durniu! – poradził mu Chopin. – Gruchanie jest miłe, ale nie może trwać całą noc, dziewczka wreszcie się zniechęci. Rozumiem cię, jesteś jeszcze młody. W takich chwilach zawodzą zimne kalkulacje. Krew gorąca nie daje myślom zbić się w całość, ale na szczęście jest i na to sposób. Skorzystamy ze starej rady Cyrana. Ja będę mówił do ciebie, a ty rób wszystko, co mówię, i powtarzaj za mną słowo w słowo, tylko tak, żeby Joasia się nie zorientowała. Jakby co, znowu mocno całuj, z dwojga złego lepiej wyjść na chama niż na pensjonariusza. A teraz kończ już. Poluzuj trochę i zjedź ustami w okolicę szyi.

Podniecony i przerażony zarazem Janek szybko zrobił to, co radził mistrz.

– Dobrze. A teraz zacznij jej szeptać do ucha coś miłego. Powiedz, że ci się podoba, że nigdy nie spotkałeś kogoś takiego jak ona. Kobiety to lubią.

– Kobiety to lubią – szepnął bezmyślnie za nim Janek.

– Co mówisz? – zapytała cicho Joasia na wydechu.

– Idiota! – wrzasnął gniewnie Fryderyk Chopin.

– Strasznie mi się podobasz – zreflektował się szybko Janek.

– Ty też zawsze mi się podobałeś. Od pierwszego spotkania, nawet nie wiesz, jak bardzo.

Janek ze zdziwieniem spojrział głęboko w jej maślane oczy. Ich usta ponownie się złączyły.

– Dobra nasza – zapał dziwnie podniecony Chopin. – Teraz jest już moja, hmmm, to znaczy twoja. Kuj cycuszki póki ciepłe, a nagrodę zyskasz w piekle, jak mawiał Franc List, gdy wychodziliśmy w miasto na bal. Teraz, mości pianista, przestań ją całować i powtarzaj za mną. Powiedz jej, że zawsze marzyłeś o takiej dziewczynie jak ona, że bardzo jej pożadasz, że chciałbyś z nią być, że bardzo chciałbyś z nią być sam na sam, a potem po prostu zaproponuj wyjście z lokalu. Uwierz mi, wyjdzie jak nic, nawet nie piśnie, widzę to w jej oczach. Będzie używanie, oj, będzie! Zaraz, zaraz, a co ty, młody, robisz?

Tym razem Janek nie posłuchał swego mistrza. Ściskając cały czas Joasię, odprowadził ją do stolika, a potem przeprosił grzecznie i udał się w stronę toalet.

– Co ty wyprawiasz? – pieklił się demon. – Rozum ci odjęło? Nie teraz, nie w tym momencie! Dziewka sama ci się nadstawia, a ty będziesz ptaka teraz ścisnął w kłozecie? Co to za jakieś nowe zwyczaje à la Varsovie?!

– Nie, ja po prostu nie mogę – odparł Janek, wchodząc do kabiny z miną cierpiętnika.

– Jak to nie możesz?! – Fryderyk Chopin grzmiał niczym orkiestra symfoniczna w finale piątej symfonii Beethovena. – Co to jest?! Obcięło ci nagle przyrodzenie? Pan Guillotin zadziałał z za grobu? Bo nie rozumiem!

– To nie to. – Janek siedział żałośnie na sedesie. – Ja po prostu nie potrafię tak z marszu. Ja... ja ją kocham i nie umiem tak od razu. Potrzebuję czasu.

– Czasu! Czasu ci potrzeba! A na co ci czas?! Poczekasz, aż dziewczka sama ci wskoczy do łóżnicy? To trzeba było od razu iść do porządnego burdelu, jak mówiłem, i trzask-prask, załatwione. Tylko tam dziewczuszki same do łóżka wchodzą. I to jak, z fasonem, w butach, w podwiązkach i pończoszках, a czasami i ze sznurem do rąk wiązania, zależy od fantazji i zasobności kieszeni. Ale Joasia to co innego – porządna panna. Inicjatywa musi być po twojej stronie, tylko tyle. Idź do niej, ona przecież gotowa jest i czeka!

Janek milczał tylko, siedząc bez ruchu z twarzą skrytą w dłoniach.

– Wiesz co, pianisto? Ja tu widzę, że o co innego chodzi. Ja tu widzę, że cię po prostu

strach obleciał i rejterujesz. Ale nie dam się tak po prostu zepchnąć w kąt, nie po tym wszystkim, co przeszliśmy. Tyle dni zalotów i wszystko na nic... Zaczynać od początku? O nie, mój drogi! Takie sprawy to nie z wujkiem Chopinem.

– I co zamierzasz zrobić? – Janek poczuł niepokój w sercu, przypominając sobie nagle słowa Karła.

– Zrobię to, co konieczne – odpowiedział zaciętym głosem demon.

Przez jedną magiczną chwilę coś między nimi zaiskrzyło. W powietrzu nieomal czuć było zapach siarki, powstałej po nagłym starciu dwóch osobowości.

– O nie! – wrzasnął z całych sił Janek, wstając nagle w próbie ucieczki na korytarz.

Żegnaj, frajerze. Stosowny do sytuacji napis, wymalowany grubymi, stylizowanymi literami na drzwiach toalety, był ostatnią rzeczą, którą zobaczył, zanim zapadł się w ciemność.

* * *

– Ni–gdy... ci... te–go... nie... za–pom–nę... Chopin!

– Co ty tam dukasz?

– Mówię, że nigdy ci tego nie zapomnę!

Janek przystanął na chwilę, chwytając się kurczowo poręczy w próbie złapania oddechu po szaleńczym biegu, pięć pięter w dół wysokich schodów Uniwersytetu Muzycznego. Jego twarz wykrzywił grymas: ni to radości, ni bólu, po którym w żaden sposób nie można było poznać stanu ducha.

– Słyszałeś, co powiedział profesor? Nareszcie mam szansę! Nareszcie gram tak, jak potrzeba, z uczuciem, pasją. Odnalazłem to coś. Tak powiedział. Słyszysz?!

– Kto by nie słyszał takich wrzasków? Demona byś obudził.

– Jeszcze nie mogę w to uwierzyć... Wszystko ułożyło się, jak należy. Słuchaj, Fryderyk, przecież ja ci jeszcze nie podziękowałem za to, co dla mnie zrobiłeś, wtedy, w nocy. Wpadłem w panikę i spieprzyłem sprawę. Gdyby nie ty, nie wiem, jak by to się skończyło! Zachowałeś się jak prawdziwy przyjaciel.

– No, no, młody, bo się zaraz rozplaczę. Mówiłem ci, że teraz jesteśmy razem. Musiałem dbać o swoją reputację.

– Ale wtedy... w hotelu. Odszedłeś? Zostawiłeś nas samych?

– Pewnie, że tak. Ile razy będziesz mnie jeszcze o to pytał? To staje się nudne – zirytował się Chopin.

Janek uśmiechnął się szeroko.

– Wiesz co, Fryderyk? Niech sobie karzeł mówi, co chce. Dla mnie to ty nie jesteś żadnym demonem, raczej dobrym duchem. Spełniającym marzenia dobrym duszkiem!

– Coś ty powiedział?

– Powiedziałem, że gdyby nie ty, nie miałbym tego, co mam. Spełniłeś moje największe marzenia. Dla mnie jesteś najlepszym z dobrych duchów.

Wiszący na jego piersi amulet z małpką rozgrzał się nagłym ciepłem, parząc mu skórę.

– Auu! – krzyknął Janek, szarpiąc za koszulę. – Co to znowu, żartów ci się zachciewa?

Odpowiedziała mu głucha cisza. Nagły zawrót głowy posadził go wprost na schodach. Przez chwilę poczuł się nieswojo: zagubiony jak stary muzyk po utracie słuchu, nie potrafiący nic na to poradzić.

– Jesteś tam, Chopin? – zapytał nieśmiało, z niepokojem.

Zalegająca w głowie cisza przez krótki moment była prawie nie do wytrzymania, jednak zaraz potem zawrót głowy minął, pozwalając mu z powrotem stanąć twardo na nogach.

A więc tak to miało być... Nigdy cię nie zapomnę, przyjacielu, pomyślał Janek, schodząc już spokojnie po schodach.

Po drugiej stronie ulicy, na chodniku, tuż przy przystanku autobusowym stała, czekając na niego, najpiękniejsza dziewczyna, jaką znał. Joasia, jego Joasia. Teraz już naprawdę jego i tylko jego.

Iwona Surmik

– urodzona w Sosnowcu, autorka trytomowego cyklu fantasy (Talizman złotego smoka, Smoczy pakt, Ostatni smok), a także wielu opowiadań publikowanych w antologiach, Feniksie, Science Fiction, Ultramarynie i fanzinach. Debiutowała w 2000 roku humoreską Klient. Powieść Ostatni smok otrzymała w 2006 roku nominację do Nagrody im. Janusza A. Zajdla.

ZARAZA

Za pomoc w redakcji dziękujemy Dorocie Kołodziejak

Nikt do końca nie był pewny, skąd L'Isle d'Escargot wzięła swą nazwę. Może zawdzięczała ją kształtowi jakby zwiniętej skorupki z zapadniętym środkiem albo odciskom ślimaków znajdujących w wapiennych skałach? Nikt na nią nie zaglądał, bo poza drzewami i kamieniami nie było tam nic ciekawego. Jednak któregoś dnia znalazła lokatora – mężczyznę w średnim wieku, ubranego w szatę przypominającą mnisi habit. Fagobert, bo tak się nazwał, zapłacił przewoźnikowi za kurs w jedną stronę i więcej się nie pokazał.

Życie w nadmorskiej wiosce było monotonne, wypełnione ciężką pracą i modlitwą, i brakowało w nim jakiejś ekscytacji, nowin czy najmniejszej odmiany, więc tajemniczy przybysz budził ciekawość i stał się tematem rozmów. Dlatego po miesiącu w odwiedzinach do nowego sąsiada popłynęła nie jedna, ale trzy łodzie.

Na pierwszy rzut oka trudno było zgadnąć, że wyspa nie jest już bezludnym kawałkiem lądu. Na piasku w zatoczce, w której wylądowali ciekawscy rybacy, brakowało śladów stóp, nie znaleźli też wydeptanych ścieżek, ściętych drzew, nawet połamanych gałęzi. Dopiero przy źródelku, które tryskało ze skały, zauważyli szalasa.

Sklecono go z drewna wyrzuconego przez morze, bo na ciemnej powierzchni zachowały się ślady soli. Przed nieforemną budowlą pozostały ślady ogniska obłożonego kamieniami. W resztkach popiołu odcisnęły się ślady ptasich łap, obok leżał zawalony trójnóg. Kociołek ustawiono pod źródelkiem, tak że woda przelewała się przez brzegi, tworząc błotnistą kałużę.

Obozowisko wyglądało na dawno opuszczone i ludzi ogarnęło złe przeczucie. Najodważniejszy przeżegnał się, nim zajrzał do szalasu.

Na postaniu leżał płaszcz, obok rozrzucono drobiazgi potwierdzające domysł, że nieznamy był mnichem, a przynajmniej pątnikiem – mały krucyfiks z drzewa różanego, sękaty kij i muszla, jaką przypinali sobie do odzienia pielgrzymi. Brakowało tylko Fagoberta – żywego lub martwego.

Rybacy najpierw obeszlą całą wyspę, potem strudzeni napili się wody, pomedytowali chwilę, bo według nich Fagobert nie mógł odplłynąć niezauważony przez wioskowych, wreszcie, niczego nie wymyśliwszy, wsiedli do kryp i wrócili do domu. A następnego poranka czyraki Jacquesa zniknęły.

Wieść rozeszła się błyskawicznie i na L'Isle d'Escargot wyprawiła się cała pielgrzymka – kulejący Jean, Marie z bledziutkim, kaszlącym krwią synkiem, bezdzietni Pierre i Arletta, stary Antoine, którego łamało w kościach, i zasmarkany Paul. Chorzy i zdrowi pili źródlaną wodę z kociołka i odmawiali modlitwę za nieobecnego mnicha. Opowiadali potem, że źródło i szłaś otacza niezwykła jasność, jakby aniołowie zabrali Fagoberta wprost do nieba. Może naprawdę Fagobert cieszył się szczególną łaską Pana, bo katar Paula ustąpił, Antoine poczuł się raźniej, a Jean odrzucił kostur.

To wystarczyło, by ogłosić światu, że dzieją się cuda. Z okolicznych wiosek i miasteczek zaczęli tłumnie ścierać proszący o zdrowie i pomoc w ciężkich terminach.

* * *

Hrabiemu Tuluzy, Rajmundowi VI, nie sprzyjało szczęście. Od dawna był świadom, że baronowie z północy z zawiścią patrzą na bogate ziemie i miasta Południa. Szukali pretekstu do zbrojnej interwencji i pretekst się znalazł, kiedy 14 stycznia 1208 roku zamordowano papieskiego legata, Piotra de Castelnau. O mord oskarżono katarów, którym sprzyjali biedni i bogaci, wieśniacy i szlachetnie urodzeni, pojawiły się nawet głosy, że hrabia osobiście przyczynił się do jego śmierci. Rajmund chciał wierzyć, że jeśli pojedna się z Kościołem Rzymskim i poprze ogłoszoną przez papieża Innocentego III krucjatę, nie dopuści do mordów i grabieży. Zgłosił się nawet na wodza, ale wkrótce zrozumiał, że jego nadzieje były płonne.

Znaczny nadzór nad wojskowymi działaniami powierzono Szymonowi de Montfort, a duchową opiekę sprawował Armand Amalric, opat z Cîteaux, który bez wahania rozkazał wymordować tysiące winnych i niewinnych katarskiej herezji w Béziers. Zabito szukających schronienia w kościele św. Marii Magdaleny i tych na ulicach miasta, nie bacząc na wiek, płeć czy pozycję, wierząc, że Bóg i tak rozpozna swoich.

Kiedy do Tuluzy dotarła wiadomość o cudach na L'Isle d'Escargot, hrabia Rajmund pomyślał, że oto nadarza się okazja, by zakończyć to szaleństwo. Wysłał listy do papieża oraz biskupa Narbonne, przedstawiając zaszłe na wyspie wypadki i prosząc o ich dogłębne zbadanie, a w razie gdyby znalazły potwierdzenie, przedstawił projekt budowy opactwa przewyższającego niezwykłością La Merveille na Mont-Saint-Michel. I choć wskazywał argumenty natury teologicznej, tak naprawdę miał nadzieję, że papież doceni jego starania, ostatecznie odrzuci podejrzenia, że hrabia sprzyja heretykom, i położy kres rzezi.

Aby zmanifestować szczerą intencję, nie czekał na odpowiedź, lecz wyłożył środki i rozkazał rozpoczęcie prac budowlanych. Wyspa obfitowała w wapień, więc sprowadzono kamieniarzy, murarzy i cieśli, którzy zbudowali niewielki kościółek, wierząc, że wokół niego powstanie monumentalna budowla. Tym bardziej że nieoczekiwanie zdarzył się następny cud – pewnego poranka na plaży znaleziono wyrzucone przez morze ciało. Musiało długo leżeć w wodzie, lecz rybacy bez wahania orzekli, że to Fagobert. Wokół nie było śladów stóp, tylko odbite na piachu ptasie łapki, piórka i porozbijane muszle.

Mimo tego niezwykłego wydarzenia poświadczającego, że Fagobert cieszy się niezwykłymi łaskami Boga Najwyższego, wypadki nie potoczyły się zgodnie z oczekiwaniami hrabiego Tuluzy. Biskup Narbonne zwlekał z odpowiedzią, papież nie odwołał krucjaty, a rycerze obracali w perzynę miasta i równali z ziemią wsie, bezlitośnie mordując mieszkańców. Wszak nagrodą za udział w krucjacie były odpust zupełny, miejsce w raju oraz wszystkie łupy, jakie uda się wziąć. Dodatkowo rosło ryzyko zarazy, bo zmarłych nikt nie

chowal, a za udzielenie im ostatniej posługi groziła ekskomunika.

Lata mijały, padło Perpignan, padły Narbonne i Carcassonne, a Szymon de Montfort w bitwie pod Muret pokonał wojska hrabiego Rajmunda VI. To zwycięstwo przyniosło mu w nagrodę przejęcie wszystkich ziem Rajmunda oraz tytuł hrabiego Tuluzy, wicehrabiego Béziers i Carcassonne oraz diuka Narbonne. Hrabia Rajmund VI wraz ze swym synem Rajmundem VII powrócili do domu. W 1222 roku odszedł do Pana także Rajmund VI, a jego następcą zapomniał albo nie wiedział o wydarzeniach na L'Isle d'Escargot.

Jednak okoliczna ludność pamiętała Fagoberta i nieustannie odwiedzała wysepkę. Pielgrzymujący do Compostelli pod ochroną templariuszy także chętnie nadkładali drogi, by pomodlić się w małym kościółku zwieńczonym żelaznym krzyżem. Było ich tak wielu, że na wyspę sprowadził się kapłan, bo podróż kolebiącą się łódką źle wpływała na jego żołądek, i garbaty kościelny z żoną i piątką dzieci, potem ściągnęli handlarze odpustów i świętych relikwii, aż wreszcie między chatami stanął szynk z gościnnymi pokojami dla zamożniejszych pielgrzymów.

L'Isle d'Escargot powoli zmieniała swoje oblicze. Drzewa wykarczowano, a ich miejsce zajęły pastwiska, na których pasły się krowy, owce i kozy, zaorano niewielkie poletka, w warzywnikach rosły marchew, kapusta i rzepa. Na błotnistych podwórkach małuchy taplały się w błocie wespół ze świniami, starsze dzieci pasły kozy na wzgórzach albo pomagały rodzicom.

A potem nagle, bez ostrzeżenia, bez znaków zapowiadających nieszczęście, przecuć czy proroczych snów, w ciągu jednej nocy z wyspy zniknęli wszyscy mieszkańcy – dzieci, dorośli, starcy, kobiety i mężczyźni.

Pielgrzymi, którzy nocowali w zajeździe, roznieśli wieść, że wyspę nawiedziła zaraza, inni bełkotali o klątwie albo czarach.

* * *

Barnard de Nevers, choć przekroczył już trzy dziesiątki lat, wciąż pędził beztrioskie życie kawalera na dworze księcia Burgundii Hugona IV. Jego poezje zdobyły pewien rozgłos, kochały go damy, a książę cenił jego towarzystwo, bo Barnard był dobrze urodzony, liźnął nieco wykształcenia i miał otwarty umysł oraz cięty język.

Ten czas zabawy, miłości i filozoficznych dysput skończył się katastrofą, kiedy okazało się, że gorące rymy opiewające urodę i przymioty baronowej Henrietty nie są jedynie fantazją. Przylapany w alkwie swej ukochanej Barnard wolał nie czekać na reakcję zdradzonego małżonka, bo baron Guillaume słynął z rycerskich umiejętności i krewkiego charakteru, i salwował się ucieczką, porzuciwszy damę swego serca.

To niefortunne zdarzenie sprawiło, że szczęście opuściło poetę. Baron okazał się mściwy i Barnard stracił przychylność swego protektora. Od tamtej pory pukał do różnych drzwi i prezentował swoje utwory w coraz podlegszych miejscach. W dodatku wena go opuściła i od dawna nie ułożył żadnej pieśni czy poematu. Może dlatego, że częściej był głodny niż syty, a myśl o następnym noclegu zajmowała go bardziej niż szukanie rymów. Mimo mizernej kondycji wciąż marzył o stworzeniu nowego, doskonalszego od *Roman de l'Estoire dou Saint Graal* czy *Parzivala* utworu i zyskaniu większej sławy niż Chrétien, Robert de Boron i Wolfram von Eschembach razem wzięci. Wreszcie uznał, że w Burgundii nie czeka go już nic dobrego, i ruszył na południe, bo niedawno zakończona krucjata przeciwko katarskim

heretykom wydała mu się wymarzoną tematem na rycerską opowieść.

Barnard błąkał się między Tulużą, Carcassonne, Béziers i Narbonne, szukając natchnienia. Zamiast niego znajdował zgliszcza, śmierć i głęboko skrytą, ale wyzierającą czasem z oczu rozmówców nienawiść do rycerzy z krzyżem na piersiach, którzy w imię Boga mordowali, palili i rabowali dobra niewinnych.

Jednak wędrówka nie okazała się zupełnie bezowocna, bo właśnie w Narbonne poeta usłyszał o cudach na L'Isle d'Escargot i zapragnął odwiedzić to święte miejsce. Po okropnościach, których był świadkiem, wyspa jawiła mu się jako oaza spokoju i szczęśliwości.

* * *

Trwający prawie czterdzieści lat konflikt zakończyło zdobycie twierdzy Montségur. Powszechnie uważano, że wraz ze śmiercią jej obrońców ostatecznie wyteplono heretyków, a niedobitkami i tymi, którzy mogli w skrytości im sprzyjać, zajęła się Inkwizycja. Życie powoli wracało do normalności, zaczęto uprawiać pola i winnice, odbudowano miasta, a szlaki handlowe stały się bezpieczne. Wraz z kupcami i pielgrzymami do biskupa Narbonne znów zaczęły docierać wieści o cudach dokonywanych na L'Isle d'Escargot za wstawiennictwem Fagoberta.

Zdawało się, że nie ma nic prostszego niż oficjalne uznanie przez Kościół świętości skromnego mnicha z wyspy, jednak sytuacja okazała się bardziej skomplikowana, niż wydawało się wiernym.

Hrabia Rajmund VI, nie czekając na decyzję papieża i biskupa, pochował Fagoberta w ufundowanym przez siebie kościele, a na ołtarzu złożył relikwie – płaszcz, krzyżyk z drzewa różanego i muszlę. Przez wieki to wystarczało, aby uznać kogoś za świętego lub przynajmniej błogosławionego. Gdyby takiego czynu dokonał kto inny, nie ekskomunikowany hrabia heretyk, papież po zasięgnięciu opinii biskupa zapewne uznałby kanonizację. Jednak tak się nie stało, a Sobór Laterański IV oficjalnie wyłączył kanonizację spod kompetencji biskupiej i rezerwował takie prawo wyłącznie papieżom.

Biskup ciągle się wahał, czy powinien na nowo podnosić sprawę Fagoberta, kiedy z L'Isle d'Escargot nadeszły niepokojące wieści o zarazie czy też klątwie, jaka dotknęła jej mieszkańców. Należało zbadać, co tam się wydarzyło, więc zwrócił się do dominikanów.

Mnisi w czarno-białych habitach uwierali biskupa niczym cierń w nodze. Byli wykształceni, zdyscyplinowani, doskonale zorganizowani i niezależni od miejscowych układów, co wielokrotnie udowodnili podczas inkwizycyjnych postępowań. Innych sędziów można było okpić, przekupić lub zastraszyć, lecz dominikanie byli niewzruszeni wobec gróźb, zamachów i nacisków. Na podlegających bezpośrednio papieżowi inkwizytorów wybierano zakonników, którzy przekroczyli czterdzieści lat, więc nie kierowali się młodzieńczymi porywami, lecz życiowym doświadczeniem, a jako cel stawiali sobie nawrócenie heretyków, nie ich karanie. Cokolwiek odkryją na wyspie, nikt nie podważy ich świadectwa, co uwolni hierarchę Narbonne od odpowiedzialności.

Zgodnie z przewidywaniami dominikanie nie odmówili prośbie i wskazali na brata Claudio, który podczas licznych procesów wykazał się jako utalentowany poszukiwacz prawdy. Biskup, który koniecznie chciał wykazać dobrą wolę, dodał mu do kompanii zaprawionego w bojach rycerza Amilio i zbrojną eskortę, a także hojnie wyposażył. I choć

Bratu Kaznodziei nie uchodziło podróżować konno, Claudio wraz z innymi dosiadł wierzchowca i ruszył do zagubionej pośród wydm wioski, by stamtąd przeprowić się na L'Isle d'Escargot.

* * *

Atmosfera we wsi była senna. Mżyło, niebo zasłaniały ciężkie chmury, nad morzem unosiła się mgła, która zasłaniała horyzont, a woda miała siną barwę. Wiatr szarpiący rozwieszonymi na tyczkach sieciami sprawiał, że dym z wędzarni zamiast unosić się do góry, rozchodził się między chatami i kłuł w oczy, a platformy, zwykle wypełnione suszącymi się rybami, były puste.

Wzdłuż zasypanej piachem ścieżki stały kramy. Kilka niedziel wcześniej targ tętnił życiem, przekupnie głośno zachwalali swoje towary – świeże i wędzone ryby, chleb, garnuszki miodu. Pielgrzymi przybywali z daleka i niemal u kresu podróży nie żalowali pieniędzy na pachnący świeżością chlebuś czy słodki miód.

Przez kilka pierwszych dni po zniknięciu wyspiarzy pątnicy wciąż koczowali w wiosce w nadziei na ich cudowny powrót. Za mało jedli, za dużo pili i z każdą chwilą czuli coraz większe rozczarowanie. Zamiast się modlić i pokutować, wywoływali burdy i ciągnęli dziewczki na rozpustę. Rozpierzchli się, dopiero kiedy umarł Piąt – młody i silny jak dąbczak. Padł niespodziewanie między straganami, z ust rzuciła mu się krew, a na ciele dopatrzone się podejrzanych krost. Przerażeni pielgrzymi uciekli, porzuciwszy ciało. Musieli po drodze ostrzec innych, bo od wielu dni na wybrzeże nie ściągnęła żadna nowa grupa.

Rybacy pogrzebali młodego Piąta i odetchnęli z ulgą. Jednak wkrótce cisza zaczęła im ciążyć, a interesy zamarły – nie było komu kupować ryb i chleba, nie zarabiał karczmarz ani przewoźnicy.

* * *

Barnard de Nevers po drodze usłyszał o zarazie, ale dotarł za daleko, by zawrócić. Tym bardziej że sakiewka świeciła pustkami, a on nie znajdował wielu słuchaczy. Na wybrzeżu ludzie byli surowi i twardzi, wiedli proste życie, ciężko pracowali i bali się gniewu bożego. Dlatego nie cenili romantycznych pieśni o niespełnionej miłości, bo co ich obchodziły westchnienia, turnieje i wstążki ukochanych dam? Jeszcze gorzej przyjmowali rymy sławiące dzielnych rycerzy, ich odwagę i honor w walce. W ciągu ostatnich czterdziestu lat dość się napatrzyli i na rycerzy, i na ich „bohaterskie” czyny. Na szczęście Barnard miał dobrą pamięć i wyuczył się paru rybackich pieśni. To dzięki nim, a nie wzniosłym poematom, udawało mu się zapewnić sobie nocleg i lada jaką strawę.

Do wioski dotarł późnym popołudniem, cały wieczór śpiewał w zajeździe, a w zamian karczmarz go nakarmił i pozwolił przenocować w stajni. Ranek przywitał poetę deszczem i ziębem, wciskającym się pod ubranie. Barnardowi nie chciało się ruszać z przytulnej izby, tym bardziej że żaden z rybaków nie chciał płynąć na wyspę. Na każdą wzmiankę o podróży odwracali oczy i czynili znak krzyża.

Zniechęcony i głodny Burgundczyk siedział w kącie, a w głowie kołatały mu się coraz bardziej ponure myśli. W Langwedocji zamiast spodziewanych inspiracji znalazł tylko śmierć i zgliszcza, zamiast bohaterów – bandytów i morderców. Nawet szczęśliwa wyspa, o której śnił nocami, okazała się ułudą. Leżała tak blisko, a jednak była niedostępna, a święty nie

uzdrawiał, lecz sprowadził zarazę.

Co powinien teraz uczynić zawiedziony poeta? Wrócić do Burgundii? A może podążyć dalej na południe, przejść przez góry i próbować szczęścia na dworze króla Aragonii? Powolutku zaczęła też kiełkować myśl, że życie w pogoni za podniętą jest w gruncie rzeczy jałowe i pozbawione sensu. Lecz gdzie szukać celu, czym zastąpić ów przyjemny dreszczyk, kiedy udaje się znaleźć dobry rym, a słuchacze nagradzają okrzykami nową pieśń czy poemat? Tego Barnard nie wiedział.

Z tych niewesołych rozważań wyrwał go nieoczekiwany hałas. Przez drzwi przechodził właśnie rycerz w płaszczu zarzuconym na kolczą zbroję. Kiedy się wyprostował, zdjął i strzepnął okrycie, aż kropelki deszczu zawirowały w powietrzu. Nawet w rynsztunku wydawał się niezwykle suchy. Pociągłą, kościstą twarz z wydatnym nosem ozdabiały długie, opuszczone ku dołowi wąsy i krzaczaste brwi, nogawice zwijały się wokół chudych, krzywych nóg. Za nim do wnętrza wsunął się mnich w czarno-białym habitie.

Barnard przyglądał mu się z mieszaniną ciekawości i lęku. Dość się nasłuchał o Inkwizycji, a ponura sława Roberta Bourge'a i Konrada z Magdeburga nie świadczyła dobrze o jej narzędziach, wśród których niepoślednią rolę pełnili dominikanie. Z drugiej strony Bracia Kaznodzieje cieszyli się wyjątkowym poważaniem.

– Niech dobry Pan błogosławi temu domostwu i jego mieszkańcom – odezwał się zakonnik, a rycerz zawtórował mu w powitaniu potężnym kichnięciem.

– Na wieki wieków – wymamrotał gospodarz, kłaniając się w pas. – Prosiemy, prosiemy dostojnych panów. Siadnijcie, zara wina przyniosę i strawę.

– Byłe dużo – burknął rycerz i rozgościł się przy największym stole.

Dominikanin przysiadł obok, rozejrzał się po ciemnej izbie i dostrzegł kulącego się w kącie Barnarda, który co prawda suknie miał nędzne, ale pańskie, nie chłopskie.

– Do kompanii prosimy – zaproponował z uśmiechem.

Rycerz obruszył się i mruknął coś o hołocie, która zbyt wysoko zadziera nosa. Poetę te uwagi ubodły do żywego. Na przekór wcześniejszym obawom podniósł się i siadł obok zakonnika.

– Nazywam się Barnard de Nevers. Niegdyś poeta na dworze księcia Burgundii, a teraz wolny ptak – przedstawił się.

– Jam jest brat Claudio, a to rycerz Amilio z Asturii, na służbie biskupa Narbonne.

– Cóż taka ważna persona robi w tej dziurze? – spytał uszczypliwie rycerz.

– Przybyłem odwiedzić słynącą cudami L'Isle d'Escargot, ale szczęście mnie opuściło. Ponoć na wyspie panuje morowe powietrze.

Rycerz wzdrygnął się, a zakonnik potrząsnął głową.

– I my o tym słyszeliśmy. Wszystko w rękach Boga i Przenajświętszej Panny. Jeśli wyspiarzy powaliła zaraza, należy im się chrześcijański pochówek. Ale w opowieściach świadków zgodności w tej kwestii nie ma.

Barnard odniósł wrażenie, że te słowa nie zostały skierowane do niego, lecz do Amilia, jakby dominikanin i rycerz wiedli ze sobą jakiś spór.

– Wybieracie się na wyspę? – spytał, by się upewnić, czy dobrze zrozumiał brata Claudio.

– I owszem – potwierdził z mocą zakonnik.

Amilio zacisnął usta. Najwyraźniej, mimo groźnego wyglądu, nie on miał ostatnie słowo.

– Trzeba nam jeszcze dziś przepytać ludzi – wycodził przez zęby.

Karczmarz postawił na stole miskę parujących jagłów ze skwarkami. Barnarda od zapachu

skręciło w dołku.

– Głodniście – domyślił się brat Claudio. – Posilcie się, dla wszystkich starczy.

– Z podziękowaniem. Ostatnio nie wiedzie mi się najlepiej.

– W Langwedocji brak pięknych dam czy poeci nie mają wzięcia? A może wasze rymy takie marne? – zakpił Amilio, pakując do ust kopiastrą łyżkę kaszy.

– Raczej bohaterskich rycerzy, których czyny można by w poematach opiewać, jak na lekarstwo – odciął się Barnard.

– Ludziom bardziej duchowa posługa potrzebna niż pieśni – pouczył dominikanin. – Miast w poezji, ukojenia i nauki powinni szukać w modlitwie.

W ustach Barnarda grubo kraszone jagły nagle zyskały smak popiołu. Grzecznie podziękował i wyszedł na zewnątrz. Stał w progu i zaraz otrząsnął się niczym pies, bo za kołnierz kapała mu deszczówka spływająca z dachu.

Poprzez szum wiatru słysząc było parskanie koni i głosy pachołków, dochodzące ze stajni. Poeta ruszył się spod okapu, zajrzał do pachnącego sianem i końmi wnętrza, upewnił się, że jego tobolek jest bezpieczny, a potem postanowił obejrzeć okolicę.

Wlókł się między kramami, pozostawiając głębokie ślady w mokrym piachu. Ożywienie spowodowane niespodziewanymi gośćmi opadło, wróciło przygnębienie, potęgowane ponurym krajobrazem. Wydmy z kępkami suchych traw wyłaniały się z mgły jak przyczajone potwory i znikwały, kiedy je minął, zbite z desek stragany klekotały, wiatr zawodził złowroźnie.

Zziębnięty i przemoczony Barnard zawrócił. Przed stojącą najbliżej zajazdu chałupą zakonnik i rycerz rozmawiali z zarośniętym rybakiem, którego nogawic uczepił się zasmarkany dzieciak. Ciekawski z natury poeta przystanął obok i słuchał.

– Ino raz żem tam popłynął – mamrotał chłop, którego wołali Bézu. – Nikogo żem nie widział, same puste chałupy. A jakby się kto żyw ostał, sam by do wsi zawitał, łodzie przeca tam zostały. Widno wszytcy pomarli...

Bézu miętolił w rękach płócienną czapkę i dukał o śmierci młodego Piąta i bezbożnych pątnikach, wreszcie zamilkł na dobre z oczami wbitymi w piasek przesypujący się przez próg domostwa.

– Powiedzcie o ptakach – pisnęło dziecko.

– Cichej, smarku. Co wielmożnych panów obchodzą ptaki? – skarcił go ojciec i palnął w łepetynę.

Chłopaczek schował się w chałupie, poprzez szuranie bosych stóp słysząc było, jak pociąga nosem.

– Opowiedzcie – zachęcił rybaka brat Claudio.

– Ano ptaki przyleciały. – Rybak poskrobał się po głowie. – Mewy, kruki, gołębie, wróble...

– I sroka – uzupełnił dziecięcy głosik, wciąż nabrzmiały od łez.

– Było ich całe mrowie. Obsiadły łodzie, dachy, kramy. A skrzeczały, że strach.

– Jedyń mię dziubnął – znów wtrącił się głosik.

– Kamieniami my je pogonili i poszły precz, ino pirze fruwało.

– Dokąd odleciały? – zainteresował się mimo woli Barnard.

– Cheba za morze. – Rybak wzruszył ramionami.

Amilio, który miał dość tego nieskładnego bełkotu, odwrócił się i odszedł bez słowa. Zmieszany Bézu zaczerwienił się i stał z pomiętą czapką, nie wiedząc, czy się cofnąć, czy

jaśnie panowie będą go jeszcze męczyć pytaniami.

– Zostańcie z Bogiem – pożegnał go brat Claudio i podreptał do zajazdu.

Barnard poszedł za nim.

Do framugi przykleiło się lśniące zielenią piórko. Poeta zdjął je i przeciągnął palcem po stosinie.

– Niesłychana to rzecz, by sroki i gołębie latały za morze – mruknął.

Ciągle zamyślony skręcił do stajni i przysiadł na sianie. Pachołkowie właśnie się posilali i chętnie podzielili się jadłem i winem. W dodatku okazali się bywali w świecie, rozmowni i przyjaźni. Choć wino było cienkie i dodatkowo zmieszane z wodą, a kasza bez omasty i śmierdziała stęchlizną, Barnardowi smakowała bardziej niż ta jedzona w towarzystwie zakonnika i rycerza. Żeby jakoś się odwdziaczyć, wyjął lutnię, nastroił ją i zaczął śpiewać powszechnie znane piosenki, a oni wtórowali mu grubymi głosami.

Zwierzęta parskwały i tupały w przegrodach, oddechy parowały, zapach wilgotnego siana mieszał się z zapachem wina i końskich jabłek. Rozmowa stawała się coraz swobodniejsza.

– Strach na wyspę płynąć. Może zaraza wybiła wszystkich albo diabeł porwał ich do piekła?

– Pełnia się zbliża, wtedy demony mają największą moc – zadudnił basem najstarszy ze wszystkich Joaquim. – Pamiętacie Montségur i tych heretyków przeklętych? Kiedyśmy zakładników palili, też pełnia była... Widziałem, jak diabły krążą nad nimi i zabierają do otchłani. A krzyczały tak przeraźliwie, że uszy trzeba było zatykać. Wreszcie ogień ich pochłonał, ino popiół się ostał. I dobrze. Nigdy więcej nie będą porządnych ludzi do bezceństw namawiać!

Joaquim wykrzyczał ostatnie zdanie, lecz w jego głosie więcej było rozpacz niż satysfakcji.

– Byliście pod Montségur? – zainteresował się Barnard.

– Pan Amilio łasy na rycerską sławę...

– I łupy – wtrącił ktoś.

– ...i zamiast czterdziestu dni strawił tam dziesięć miesięcy. Ale w tej twierdzy przeklętej ani sławy, ani łupów nie zyskał.

– Powiadają, że heretykom udało się bajeczne skarby ukryć.

– Poza dobytkiem obrońców nic tam nie było, ino gołe ściany, chocia zajrzelimy w każdy kąt i opukali mury. – Siwy Joaquim wzruszył ramionami.

– Straszne to miejsce i obrońcy bardzo zawzięci. Bluźnili nawet w obliczu śmierci – mruknął czerwony na gębie Pauli i przeżegnał się. – Niech będą potępieni na wieki wieków.

– Amen – dokończyli wszyscy zgodnym chórem.

Siano szeleściło, kiedy mężczyźni mościli sobie legowiska, potem rozległy się odmawiane szeptem pacierze, a wreszcie chrapanie.

Barnard okręcił się płaszczem. Było mu ciepło i wygodnie, a w żołądku mile ciążył posiłek, jednak sen nie przychodził.

Słyszał oczywiście o oblężeniu Montségur, ale bał się samotnie zapuszczać w góry. Teraz nadarzała się okazja, by usłyszeć relację z ust naocznego świadka. Co prawda Amilio nie wyglądał na chętnego do zwierzeń, ale jeśli Barnardowi uda się odpowiednio połechtać jego dumę, z pewnością opowie o szczegółach. Kto wie, może w tej historii znajdzie wreszcie wątek wart poematu?

Żeby tak się stało, powinien towarzyszyć zakonnikowi i rycerzowi w wyprawie na L'Isle

d'Escargot. Z tym postanowieniem, trochę strasznym, a trochę podniecającym, Barnard wreszcie zasnął.

* * *

Kiedy Barnard przedstawił swoją prośbę, rycerz i zakonnik byli już po śniadaniu. Dominikanin przychylnie skinął głową.

– Im nas więcej, tym raźniej – tłumaczył pochmurnemu rycerzowi. – A w razie jakiego nieszczęścia Barnard da świadectwo naszych poczynań.

– Albo sam sprowadzi nieszczęście – burknął Amilio, lecz po raz kolejny nie odważył się sprzeciwić uśmiechniętemu bratu Claudio. – Ruszajmy nareszcie.

Karczmarz polecił im Bézu i jeszcze jednego przewoźnika jako silnych i wytrwałych, więc skierowali się prosto do ich chat. Chłopi popatrzyli w niebo i na morze, kręcąc głowami z powątpiewaniem, ale brat Claudio, ufny w bożą opiekę, nie zamierzał odwlekać wyprawy o kolejny nużący dzień. Koniec końców przewoźnicy nie śmieli odmówić duchownej osobie ani przeciwstawić się zbrojnym.

Łodzie trzeba było zepchnąć daleko w morze, bo pod znacznym ciężarem zanurzyły się bardzo głęboko. Przewoźnicy sterowali, poganiani przez Amilia pachołkowie przyłożyli się do wiosła.

L'Isle d'Escargot leżała niezbyt daleko od lądu, w pogodne dni widać ją było z brzegu – plamę zieleni na tle sinej wody. Wystarczyło płynąć na południe, by wylądować w zatoczce. Przedtem przewoźnicy robili nawet kilka kursów dziennie, w zależności od liczby chętnych i aury, bo czasem podczas sztormów fale zatapiały łodzie, zdarzało się też, że błędzili we mgle.

Deszcz już nie mżył, lecz padał grubymi kroplami, powietrze było lodowate, a nisko nad wodą wisiała mgła. Stada mew, które zwykle towarzyszyły rybakom w nadziei na łatwy kęs, unosiły się wysoko. Poza skrzypieniem wiosła w dulkach i chlupotem wody zagarnianej szerokimi pociągnięciami niczego nie było słychać – ptasich krzyków, ani szumu fal, jakby świat wstrzymał oddech i zamarł w oczekiwaniu.

Żeby zakłócić tę ciszę, brat Claudio zaczął odmawiać *Pater Noster*, a pozostali mu zawtórowali. Jednak głosy, zamiast wibrować w powietrzu i wzmacniać ducha, gasły niczym płomień świecy.

Wiatr szarpał tumanem mgły, rozrywał go na strzępy i znów zbijał w szarą masę. Zdawało się, że minęły całe wieki i łódź wypłynęła na pełne morze, a oni będą się błąkać, aż umrą z pragnienia i wyczerpania, albo skończą niczym Jonasz w brzuchu morskiego potwora.

Wreszcie w kolejnym prześwicie zamajaczyła wyspa. Pokrzepieni tym przejawem boskiej opatrności pachołkowie zaczęli raźniej wiosłować i wkrótce przybili do zielonej od wodorostów, usłanej kamieniami i drewnem plaży. Daleko od fali, prawie pod samą skałą stały krypy z wiosłami złożonymi wzdłuż burt. Łodzie oblepione były piachem, do środka napadło deszczówki, ale wyglądały na nieuszkodzone.

Przewoźnicy zawrócili, obiecując stawić się po południu. Na wszelki wypadek rycerz nakazał powrót także dwóm pachołkom, którzy mieli dopilnować, by rybacy nie zapomnieli o pozostawionych na wyspie pielgrzymach.

L'Isle d'Escargot wydała się Barnardowi nienaturalnie cicha. Nie słychać było szumu wiatru w koronach drzew czy ptasich głosów, chociaż na piasku dostrzegł liczne ślady trójpalczastych łapek i guano. Jedyne gdzieś z daleka, dodatkowo tłumiony przez mgłę,

dobiegał drażniący uszy dźwięk, którego w żaden sposób nie potrafił zidentyfikować.

Amilio trwał w ponurym milczeniu. Nie przyznałby się, chyba że na spowiedzi, iż śmiertelnie boi się wody. Całą drogę prześladowały go wizje wywracającej się do góry dnem łodzi i lodowatych odmętów, które zamykają się nad jego głową. Próbuje się wydostać, lecz ciężka kolczuga i nasiąknięta przeszywanica ciągną go na dno. Wreszcie poddaje się i tonie, samotny w głębinach.

Rycerz wstydził się swego strachu, próbował go przełamać, zawsze pierwszy rzucał się do przeprawy, ale to niewiele pomagało. Lęk wracał w koszmarach przeżywanych we śnie i na jawie, umniejszał poczucie własnej wartości i godności.

Dominikanin rozglądał się, szukając drogi po urwisku zamykającym wąską łączę.

W skale wyciosano nierówne stopnie, zgodne z ukształtowaniem terenu. Niektóre były wąskie i strome niczym drabina, inne szerokie. Dla wygody pielgrzymów obok zwieszała się lina, pomagająca przy wspinaczce.

Brat Claudio ruszył pierwszy. Po kilku krokach bał się spojrzeć w dół, a stromizna nie pozwalała zobaczyć, co znajduje się u szczytu, więc przed oczami miał tylko szarą i mokrą wapienną skałę. Krzyknął, kiedy niespodziewanie dotknął czegoś żywego, i cofnął rękę. Mało nie spadł, na szczęście tuż przy wierzchołku schody były szersze niż na dole. Przez chwilę chwiał się, szukając równowagi, aż wreszcie zerknął w górę.

Na urwisku siedziały ptaki, ciche i nieruchome niczym wyrzeźbione w kamieniu posążki, i śledziły paciorkowatymi oczami każdy gest zakonnika. Kiedy stanął na szczycie, rozstąpiły się, tworząc przejście. Nie przestraszyły się podążających za nim pacholków, dzwoniącego żelastwem rycerza ani Barnarda.

– Precz, precz! – wrzasnął Amilio i rzucił kamieniem w najbliższego ptaka.

Mimo że okruch wapienia trafił w skrzydło, mewa nie odleciała, nie cofnęła się nawet. Rozbrzmiał tylko krótki krzyk bólu, białe pióra zaczerwieniły się od krwi, okrągłe ślepka zaszklily się i spłynęła z nich pojedyncza łza.

– W imię Ojca i Syna... to jakieś czary – przeżegnał się rycerz.

– Tam jest dom boży, a żadne zło nie ma w świętym miejscu przystępu – powiedział brat Claudio i pierwszy ruszył w stronę murowanej budowli.

Wystawiony na nieustanne działanie wilgoci i wiatru biały wapień poszarzał i porósł mchem. Kościółek zbudowano na planie prostokąta, z półokrągłą absydą, wysoko umiejscowionymi oknami i wieżyczką na dachu. Wieńczący ją krzyż kołysał się i poskrzypywał żałośnie w podmuchach wiatru, tak samo skrzypiały niedomknięte drzwi. Deski, z których je zbito, wypaczyły się i między nimi ziały szerokie na palec szpary.

Barnard odetchnął, kiedy zrozumiał, że właśnie chwiejący się krzyż był źródłem niepokojącego dźwięku, który słyszał na plaży. Zaciekawiony, pchnął rozlatujące się drzwi i wszedł do środka, a za nim pospieszyli zakonnik i rycerz.

W pierwszej chwili mrok otulił ich niczym całun, bo wąskie smugi światła wpadającego przez okienka krzyżowały się na ołtarzu. Stojący w progu widzieli jedynie na podwyższeniu krucyfiks z ramionami wydłużonymi przez cienie. Twarz przybitego do krzyża Chrystusa wyrażała bezmiar cierpienia, spleciona z cierni korona była niczym rozświetlona aureola, z ran płynęła krew. Powietrze wibrowało od jęków bóleści.

Porażony tym widokiem brat Claudio upadł na kolana i zaczął się modlić. Z oczu płynęły mu łzy, bo czuł ten sam ból, to samo cierpienie, lecz równocześnie niemal ekstatyczną radość, że ta męka nie była nadaremna.

Amilio macał rękami jak ślepiec w poszukiwaniu łuczywa lub świecy. Trafił na ogarek i skrzesał ogień. Przy wątlym płomyczku wypatrzył biegnącą wzdłuż ścian drewnianą półkę i stojącą na niej świeczkę. Zapalił ją, a potem następną i następną, aż wewnątrz rozświetliło się płomiennym okręgiem. Rycerz podświadomie spodziewał się nagich ścian, tymczasem płomienie wydobyły z ciemności obwieszane wotami wizerunki Bogarodzicy, krzyże – całkiem proste, drewniane, wymyślnie rzeźbione albo misternie splecione z żelaznych drucików i ozdobione klejnotami, saraceńskie miecze w złożonych pochwach zdobyte w Ziemi Świętej, bukiety zasuszonych kwiatów. Ruszył wzdłuż murów, podziwiając bogate sznury pereł, pierścienie z drogimi kamieniami, zakrzywione miecze. Za nim postępowali Claudio i Barnard, obaj równie zdumieni zamożnością kościołka.

Z prawej strony ołtarza pochowano Fagoberta. W świetle widać było wypolerowane setkami kolan deski podłogi, a miejsce spoczynku znaczyła szlifowana płyta bez żadnych ozdób. Spod zwiędłych kwiatów wyłaniał się napis:

Tu spoczywa Fagobert, czyniący cuda.

Obok, w kącie, oparte o ścianę stały kule – przycięte z gałęzi, z uchwytnymi wyślizganymi od trzymających je dłoni. Sądząc po wysokości, należały do dziecka. Zapewne pozostawiono je, by świadczyły o bożej łasce, której uzdrowiony doświadczył za wstawiennictwem Fagoberta. Poetę poruszyły mocniej niż drogocenne wota rozwieszane na ścianach, a przez głowę przemknęła mu bluźniercza myśl, że takie wydarzenie bardziej zasługuje na poemat niż rycerskie czyny na polu bitwy. Bo cóż jest wzniosłego w zabijaniu się, choćby w najbardziej honorowy sposób? Oczywiście zmarli zyskiwali znacznie więcej niż doczesne dobra – ich nieśmiertelne dusze zażywały wiecznego szczęścia u boku Pana, ale czy ziemskie życie, tak przecież krótkie, musiało być jedynie pasmem udręk?

– Pomódlmy się, aby podziękować dobremu Bogu za wszelką łaskę, jaką nas obdarza, i za spokój duszy Fagoberta – zaproponował w uniesieniu.

Rycerz zmierzył Barnarda krzywym spojrzeniem.

– Możesz się modlić, poeto, lecz my mamy co innego do zrobienia. Trzeba nam przeszukać wyspę i ustalić, co stało się z mieszkańcami.

– Rację macie, panie Amilio – potaknął brat Claudio. – Ale i Barnard ma słuszość, żeby modlitwą uradować Najwyższego i syna Jego, Jezusa Chrystusa.

– Później, braciszku. Przy tej pogodzie szybko się ściemni, a nam mus zajrzeć w każdą dziurę.

Dominikanin skłonił głowę i zaczął gasić świece. Ostatnią położył tuż przy wejściu, by łatwo było ponownie po nią sięgnąć.

Zbrojni, którzy czekali na zewnątrz, stali tuż pod murami. W dłoniach trzymali obnażone miecze, ich twarze wyrażały zdumienie pomieszane ze strachem.

Kilka kroków przed nimi na drewnianych konstrukcjach opustoszałych kramów i na ziemi przycupnęły ptaki. Na widok wychodzących z kościoła ich nienaturalny spokój prysnął i podniosły rwetes. Mewy przekrzykiwały gołębie, skrzek srok mieszał się z ćwierkaniem wróbli i krakaniem kruków. Brzmiało to niczym kłótnia, bo dodatkowo młóciły skrzydłami, przepychały się, wlatywały w górę i znów przysiadły.

– Pewnie to demony, które przybrały postać ptactwa – orzekł rycerz i przeżegnał się trwożliwie. – Trzeba je wybić.

– Nie pojdziesz, patrząc, staraj się zrozumieć, wierząc – szepnął zakonnik. A potem zdjął z szyi krzyż i natężył głos: – Rozstąpcie się w imię Boga!

Może święty znak, a może krzyk sprawił, że stado wzbiło się w powietrze i zatoczyło krąg nad głowami ludzi, a potem zniknęło.

Zebrani odetchnęli, tylko rycerz Amilio się nie rozpogodził, przeciwnie – nachmurzył się jeszcze bardziej.

– To dowód, że piekielne moce wzięły wyspę w posiadanie – powiedział, ruszając wydeptaną ścieżką. – Trzeba zgładzić te przeklęte ptaki, nie błogosławić.

Dróżka prowadziła do źródelka tryskającego ze skały. Wszędzie poniewierały się pióra, pod strugą wciąż stał kociołek, na wapieniu pozostały ślady kopcia, a w miejscu dawnego grobu pod wiązami postawiono krzyż. Na rosnących w pobliżu krzakach zawiązano setki gałganków. Barwy niektórych wyblakły, inne przyciągały wzrok czerwienią, błękitem i żółcią. Brat Claudio, który wizytował domy zakonne w Ziemi Świętej, rozpoznał obyczaj wiązania kokardek na znak, że zanesiona do Fagoberta prośba została spełniona. Może jakiś krzyżowiec pierwszy zawiązał szmatkę, a inni poszli za jego przykładem? – domyślał się zakonnik.

Wszyscy słyszeli o cudownym źródle, więc chociaż nic im nie dolegało, napili się wody, a pachołkowie nawet nabrali jej do bukłaków na zapas.

Spod skały ścieżka wywiodła ich do osiedla złożonego z kilku przygarbionych chałup i zajazdu. Strzechy były porośnięte mchem, w okienka wstawiono błony. Na tonących w błocie podwórzach taplały się świny, kury rozgrzebywały rozmiękłą ziemię, siedziały nastroszone pod osłoną sterty drewna albo na żerdziach pod strzechami. Wokół chat nie było płotów, więc żywność mogła swobodnie włóczyć się po okolicy, lecz z przyzwyczajenia wracała na własne podwórka.

Najpierw zajrzeli do zajazdu.

Gdyby nie gruba warstwa kurzu osiadła na podłodze i na sprzętach, wspólna sala i izby dla gości wyglądałyby, jakby opuszczono je ledwie na chwilę. Na kołku ciągle wisiał płaszcz, na łóżku leżała słomiana kukielka, oparty o stół stał okuty żelazem kostur, na podłogę spadły miedziana moneta i muszla, jaką przypinali sobie do odzienia pielgrzymujący do grobu św. Jakuba w Santiago de Compostella. W garnkach znaleźli popsutą strawę, w spiżarce owiniętą czystą szmatką spleśniały chleb.

W innych chatkach było podobnie, tyle że tam w drzwiach brakowało skobli, więc zwierzęta w poszukiwaniu jada włąziły do środka. Pozostawiły ślady racic i delikatne wzory łapek, nie tylko kurzych, kłaczki sierści i puchu. Widać dziwne ptaki buszowały w mieszkalnych izbach. Straszny był widok kolebki z poszarpanymi powijakami i lśniącym czarnym piórem zaczepionym o drzazgę. Barnardowi przebiegła przez głowę upiorna myśl, że stado zadziobało i pożarło mieszkańców.

Najbardziej przygnębiające wrażenie sprawiało obejście księdza. Jako jedyne okolone płotem, z pobielonymi ścianami wyglądało na zadbane i dostatnie. Jednak ten dostatek obrócił się przeciwko zamkniętym w obórcę zwierzętom. Świny i krowa z urodzonym wiosną cielakiem zdechły z głodu. W otwartych ślepiach zastygł ból i jakby zdziwienie, że opiekunowie tak bardzo zawiedli. Padlina cuchnęła okropnie, a ponad nią unosiły się roje maleńkich muszek, które obrzydliwie brzęcząc, wciskały się do ust i nosa.

– Cokolwiek się zdarzyło, musiało stać się nocą, inaczej żywność byłaby na pastwisku – rozmyślał głośno Barnard.

Nie mógł oderwać oczu od skobla. Wyglądał, jakby ktoś albo coś próbowało go niedawno wyłamać. Drzazgi miały jaśniejszą barwę, a ślady nasuwały poecie skojarzenia z mocnym kruczym dziobem walącym w drewno. Lecz w jakim celu ptak chciałby otworzyć drzwi? Aby pożywić się padliną, mógł przelecieć ponad nimi, bo zagrażały dostęp ledwie w połowie.

– W nocy złe duchy zyskują największą moc – stwierdził dominikanin.

Amilio wzdrygnął się i spojrzął na niebo. Do zmierzchu ciągle było daleko, lecz gnane wiatrem sine chmury zasłaniały słońce, nadając krajobrazowi posępny wygląd. Nad wzgórzami wisiała mgła, deszcz padał coraz mocniej.

W księżej chacie cuchnęła popsuta żywność. Pościel na łóżku upstrzona była guanem i czarnymi kruczymi piórami, niektórymi ze śladami krwi. Zawirowały w powietrzu pod wpływem przeciągu i odsłoniły wielki, ciężki klucz. Brat Claudio zabrał go na wszelki wypadek.

Po pastwiskach rozciągniętych na wapiennych skałach błąkały się osamotnione krowy, kozy i stadko owiec. Kilka sztuk bydła rozszarpały zdziczałe psy, inne padły, bo nie potrafiły zgubić mleka.

Mimo że przetrząsnęli każdy zakamarek, zajrzeli w każdą rozpadlinę i rozgarnęli krzaki, poza ścierwem nie znaleźli żadnego śladu ani żywych, ani umarłych mieszkańców. Nie było także podejrzanych przedmiotów, odwróconych krzyży czy węzłów czarownic.

Zmęczeni, zziębnięci i przemoczeni zawrócili do wioski. Na strzechach i w wykuszach okien siedziały ptaki. Obserwowały ich w milczeniu, nastroszone i czujne.

– Zabierzmy wota, bo na tej przeklętej wyspie nikomu się już nie przydadzą, i wracajmy. Może przewoźnicy już czekają? A jeśli nie, i tak sobie poradzimy. Pamiętajcie łodzi na plaży? Wystarczy kierować się ku północy, a trafimy na ląd – odezwał się głośno rycerz.

– Słusznie – poparł go dzwoniący zębami ze strachu i zimna Barnard. – Niczego więcej tu nie wskóramy.

Nagle i bez ostrzeżenia ptaki zerwały się do ataku. Krakały, ćwierkały, skrzeczały i gruchały, podlatywały blisko, dziobały, jakby chciały zamknąć im dostęp do świątyni. Kulący się zbrojni wyciągnęli miecze i zaczęli machać na oślep. Komuś udało się strącić powolną mewę.

Stado niespodziewanie odstąpiło.

Mewa spadła w błoto, białe pióra zaczerwieniły się od krwi, muśnięte ostrzem skrzydło załamało się pod nienaturalnym kątem. Amilio trącił ją czubkiem miecza, żeby dokładniej obejrzeć.

Nie różniła się niczym od innych mew. Miała mocny czerwony dziób i łapy, na skrzydłach czarne paski. Może tylko oczy były inne, niemal rozumne i pełne udręki.

Brat Claudio samymi opuszkami palców dotknął zwieszzonego łepka i uczynił znak krzyża. Mewa zamknęła ślepka. Skonała.

– Co czynisz? – krzyknął Amilio.

– Diabeł może się transformować w każdą postać, lecz powinien porzucić to ciało pobłogosławione znakiem Pana Naszego i ukazać się w całej swej szpetocie. Widać jest bardzo zawzięty.

Wróbel, nastroszona kuleczka brązowego puchu z żółtym paskiem u nasady dzióbka, przycupnął między pokrwawionymi piórami. Stado zawiodło żałobną pieśń. Przybysze bez przeszkód dotarli do kościoła i ponownie zapalili świece.

Z chciwością, której nawet nie starał się skryć, rycerz zaczął zdejmować ze ścian ofiarne

przedmioty. Do przesiąkniętego wodą płaszcz łądował naszyjniki, pierścienie, klejnoty, broń. Zawahał się tylko przed obrazem Bogarodzicy w złotej sukience i koronie z rubinów. Miał chęć odrzeć Przenajświętszą Matkę Chrystusową z drogocennego ubioru i pozostawić nagi wizerunek. Ostatecznie jednak nie starczyło mu odwagi i zapakował cały obraz, postanawiając zwrócić go biskupowi Narbonne. Może ujęty podarunkiem zapomni o reszcie skarbów?

Amilio przeżył ogromne rozczarowanie po zdobyciu Montségur. Liczył na bogate łupy, a nie dostał nic, bo nic w twierdzy nie było. Dziesięć miesięcy oblężenia poszło na marne, a pokonanie czterystu obrońców przez dziesięcioletnią armię i spalenie heretyckich zakładników nie przysporzyło nikomu chwały.

Patrząc na poczynania rycerza, Barnard ostatecznie wyzbył się złudzeń. Nawet gdyby Amilio poczęstował go opowieścią o bohaterskich potyczkach, nie uwierzyłby. Już nie. Tak jak niegdyś rozczarował się do ideałów dworskiej miłości, tak teraz ostatecznie porzucił myśl o stworzeniu rycerskiego poematu.

Brat Claudio przystanął pod ołtarzem. Prócz krucyfiksu nie było na nim żadnych przedmiotów: ani relikwiarza, ani monstrancji, ani kielicha na ofiarne wino. Rozejrzał się i w półmroku dostrzegł solidne drzwi. Wtedy przypomniał sobie o kluczu znalezionym na posłaniu księdza.

Monstrancja była złota, ozdobiona karneolami i turkusami, także kielich, w którym przechowywano hostię i relikwiarz. Widać wyszły spod ręki jednego złotnika. Znalazł się także spory zapas kadzidła i przepięknie haftowane ornaty. Brat Claudio z czcią zebrał święte przedmioty i wrócił do świątyni.

Czuł potrzebę modlitwy, oczyszczenia się ze strachu, który nim owładnął, wzmocnienia ducha. I choć rozsądek podpowiadał, by jak najszybciej opuścić wyspę, zakonnik postanowił odprawić nabożeństwo.

Przymknięto drzwi, dym z płonących świec unosił się ku górze i wypływał przez wąskie okienka. Kadzidło pachniało mocno, napełniając kościółek słodkim, egzotycznym zapachem.

– *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti...* – zaintonował dominikanin.

Na zewnątrz deszcz przybierał na sile i siekł bezlitośnie, huczał wiatr, zrobiło się całkiem ciemno. Silniejszy podmuch sprawił, że drzwi otwały się i przeciąg zagasił większość świec. Umocowany na wysokiej podstawie krzyż zakolebał się niebezpiecznie.

Do świątyni wsunął się czarny łepek. W okrągłych ślepkach odbijały się złote płomienie, na piórach lśniły krople wody. Kruk wszedł do świątyni, a za nim rzędem podążyło stado. Wróble podskakiwały, mewy kolebały się na boki, gołębie drobiły czerwonymi łapkami.

Huknął grom, zatrzasnęły się drzwi. Kołyszący się krzyż spadł. O włos minął stojącego ze wzniesionymi w górę rękami brata Claudio i wsparł się na ołtarzu. Odłamany szczyt potoczył się na środek kościółka, poziome ramiona przypominały szubienicę, na której kołysała się zawieszona na jednym gwoździu figura Chrystusa.

Ptaki zbiły się w ciasną gromadkę, otuliły skrzydłami.

Zakonnikowi zdawało się, że w powietrzu czuje zapach siarki, ptasie oczy goreją czerwienią, a łapki stukają niczym kopyta.

– *Apage, Satanas!* Zaklinam was w imię Boga Najwyższego i Zbawiciela, Jezusa Chrystusa, odstąpcie, siły nieczyste!

Nagle zgasły ostatnie świece i świątynia pogrążyła się w ciemnościach.

Rycerz Amilio czuł, jak zimne iskierki strachu przesuwiają się wzdłuż kręgosłupa. Lęk potęgowała ciemność, w której czały się ptaki, sługi szatana.

Amilio nienawidził się bać – nienawidził lepkiego potu, który spływał po karku, dławiącej guli w gardle, obłądnego rytmu serca, paraliżującej członki niemocy.

Chciał się podnieść, lecz ciemność go pochłaniała. Nie czuł oparcia pod stopami, stracił poczucie kierunku, nie wiedział, czy ciągle kłęczą, czy spada, czy może unosi się w powietrzu. Na przemian oblewały go zimny pot i nieznośne gorąco. Z mroku dochodziły odgłosy ciężkich oddechów, stukotów, rżenia, jakby otaczały go diabelskie zastępy.

– Nie weźmiecie mnie! Precz, precz!

Kiedy palce trafiły na rękojeść miecza, zacisnął ją mocno w dłoni. Zapomniał, że jest w domu bożym, wyciągnął ostrze i zaczął machać na oślep. Kręcił się w kółko, zasłaniał i ciał, byle nie dać przystępu demonom. Nie wiedział, że krzyczy, nie słyszał jęków ani pisku ptactwa.

– W imię Ojca i Syna... Ratujcie nas, aniołowie i wszyscy święci... Stańcie naprzeciw diabelskim zastępom – błagał uczepony ołtarza brat Claudio.

Ponownie rozległ się potężny grom, mroczne wnętrza zalała jasność, jakby anielski legion naprawdę zstąpił z niebios. W sinym blasku błyskawicy zakonnik dostrzegł nadnaturalnie wielkie postacie z płomiennymi mieczami w dłoniach.

Jasny poblask zmienił nagle barwę na krwistoczerwoną, nieziemsko piękne twarze aniołów przeobraziły się w szpetne pyski z wystającymi kłami, szaty i lśniące zbroje zastąpiły łachmany i kosmate futro.

– Pan jest moim pasterzem i choćbym szedł ciemną doliną, zła się nie ulękne... – szepnął Claudio.

Lecz serce łomotało coraz szybciej, pot zalewał oczy, członki dygotały. A potem obłądny rytm urwał się nagle i wszystko ucichło.

Dla Barnarda wszystkie te odgłosy były bardziej niż przerażające. Coś zaatakowało go w ciemności, rozszarpało ubranie, poraniło. Był pewien, że znalazł się w piekle, a diabły rozrywają jego ciało na strzępy, taki czuł ból. W nagłej chwili jasności dostrzegł podobne ludziom postacie o szpetnych obliczach, wykrzywionych nienawiścią albo szaleństwem. Stwory toczyły pianę, głosy były niczym warczenie dzikiego zwierza. Kolejny obraz był równie straszny – światło odbiło się w falującej kałuży. Leżały w niej ciała ludzi i ptaków, a powierzchnię mąciły opadające pióra, szczątki skrzydeł, korpusy bez nóg. Ujrzał także nieruchome oczy Joaquina, pacholka, który przed chwilą modlił się obok niego. Znow zapadła ciemność. Straszliwe wrzaski umilkły. Barnard ostatkiem sił zaczął się czołgać w stronę wyjścia.

* * *

Po południu na wybrzeżu rozszalała się nawałnica. Wicher kręcił bicze z piasku, drobinki wciskały się w każdą szczelinę i tworzyły karbowane wzory na polepach. Kramy się rozpadły, poszarpane sieci wyglądały niczym fruujące w powietrzu wielkie pajęczyny. Wzburzone fale wdarły się w głąb lądu i porwały łodzie, grad zniszczył strzechy, raz po raz trzaskały pioruny.

Bézu nie śmiał wychylić nosa z chałupy, a cała rodzina odmawiała na kolanach modlitwę, prosząc o opiekę św. Floriana.

Nocą burza przycichła, a rankiem niebo miało czystą lazurową barwę. Morze szumiało łagodnie, jakby nie pamiętało wczorajszego gniewu. Plaża była usiana wodorostami, rybami trzepoczącymi się w niewielkich kałużach, strzępami sieci i szczątkami roztrzaskanych łodzi.

Na szczęście dla mieszkańców, dla których morze było karmicielem, ocalały dwie krypy.

Bézu najchętniej zająłby się naprawą zrujnowanego dachu i sieciami, ale pachołkowie nie ustąpili. Pomogli rybakowi wylać wodę z jednej z łodzi, uszczelnić ją i powiosłowali na wyspę.

Zatoczka wyglądała jeszcze gorzej niż wioskowa plaża. Fale musiały sięgać urwiska, bo wodorosty, martwe ryby i szkliste meduzy leżały pod samą ścianą razem z zagrzebanym w piachu pojedynczym wiosłem. Ułatwiająca wspinaczkę lina była poszarpana, wiatr stracił w dół kilka luźnych kamieni.

Bézu żegnał się raz po raz i, przestraszony, mamrotał modlitwy. Pachołkowie nie mogli go zostawić, bo porzuciłby ich na pastwę losu. Wyciągnęli więc łódź prawie pod same skały i we trójkę ruszyli w górę. Na śliskim wapieniu otarli ręce i kolana do krwi, a bez pomocy liny wspinaczka była bardzo trudna i niebezpieczna. Mocno się zasapali, nim stanęli na szczycie.

Krajobraz wyglądał niczym namalowany – piękny i nieruchomy, a ich przeszły dreszcze. Nie podobały im się ani cisza, ani martwota.

Oślepiające słońce raziło w oczy, więc idąc, patrzyli pod nogi, na ścieżkę. I prawie potknęli się o leżącego w poprzek dróżki człowieka.

– W imię Ojca i Syna... Zarażnik... – zakwilił Bézu.

Chciał czmychnąć, ale w ostatniej chwili Pauli złapał go za szmaty i przytrzymał. Drugi pachołek, Antonio, odgarnął poszarpane, sztywne od krwi włosy leżącego.

– Przecie to poeta, Barnard. Boże Wszchemogący, co mu się stało?

Odwrócił nieruchome ciało na plecy.

– Nie zaraza go powaliła, tylko miecz. Cały jest poraniony, ale jeszcze dycha.

– Nie zaraza? – odetchnął rybak i zerknął przez ramię. – Chwała niech będzie Najwyższemu.

– Głupiś, kmiecie – sarknął Pauli. – Ktoś go przecie zaatakował, a sam plotłeś, że na wyspie nikogo nie ma.

– Diabli... – Bézu zadygotał znowu i zaczął się żegnać. – Uchodźmy stąd, zanim i nas rozszarpia.

– Trzeba znaleźć zakonnika i pana Amilio. Gdzie kościół i chałupy?

– Tam.

Bézu nawet nie spojrzał w stronę, którą pokazywał. Nie chciał iść dalej, znajdować okaleczonych ludzi, zastanawiać się, co przytrafiło się Barnardowi i gdzie są pozostali. Był prostym, bogobojnym człowiekiem – znał się na łowieniu ryb, naprawianiu sieci i wędzeniu, nie potrzebował innej wiedzy. Opustoszała wyspa przerażała go śmiertelnie i gdyby nie czujni pachołkowie, wziąłby nogi za pas, a kiedy już dotarłby do domu, żadna nagroda nie skusiłaby go do następnej wyprawy.

– Gdzie? – szarpnął go Antonio, mrużąc oczy.

– No przeca mówię, że tam – smarknął bliski płaczu i żeby ukryć szkliste spojrzenie, odwrócił się w stronę świątyni.

Kościół nie było.

Rybak zamrugał, otarł łzy i ocieniając twarz, spojrzał ponownie.

Nie, zdawało mu się, pewnie słońce go oślepiło, widać przecież ściany. Ale gdzie podziały się dach, wieżyczka i krzyż? Mimo woli postąpił parę kroków w przód.

Frontowa ściana była osmalona od ognia, pozostałe zawaliły się, wokół poniewierały się nadpalone belki. Rozczepiony krzyż leżał obok. Spłukany przez deszcz popiół utworzył

błotniste kałuże. W najbliższej coś błysnęło, więc Bézu odruchowo schylił się i wyciągnął z błota kawałek blachy.

To był ryngraf z wyrytym wizerunkiem trzech gwiazd połączonych łukiem – okopcony i pogięty. Wcześniej wisiał zapewne na ścianie jako dar dla świątyni.

Pachołkowie też dostrzegli pogorzelnisko. Porzucili Barnarda i zaczęli odwalać belki i kamienie. Miejscami popiół był jeszcze ciepły i poruszony wirował w powietrzu, a pomiędzy nim fruwało nadpalone pierze. Na samym spodzie spopielona warstwa miała nienaturalną różową barwę i kleiła się do rąk. Oblepione tą obrzydliwą mazią i ptasimi piórami leżały ciała ze spaloną skórą. Brata Claudio rozpoznali po strzępach czarno–białego habitu, rycerza i pachołków po ryszunku. Pozostałe trupy były nagie i straszliwie poranione – bez nóg, rąk, nawet głów.

Pauli oglądał już niejedno pobożowisko, ale ten widok i potworny smród przyprawiły go o mdłości. Skoczył na bok i wyrzygał się w krzakach.

Bézu stał jak słup, obracając w rękach blachę. Potracony przez Pauliego poszedł bezwolnie w stronę wioski. Wtedy zobaczył jeszcze jedno ciało, nagiej kobiety. Leżała skurczona, z odrzuconą na bok głową, oplątana włosami. Od ramienia, przez piersi aż do boku ziała głęboka rana.

– Matko Przenajświętsza, przecie to Marie...

– A chodź ino tu! – usłyszał ochrypły głos, więc zawrócił.

– Poeta, zakonnik, pan Amilio i czterech pachołków – liczył na palcach ciągle roztrzęsiony Pauli. – Poznajesz resztę?

Na uginających się nogach rybak wszedł między ruiny.

– To chyba Mattias i jego najmłodszy, Jean. I Babtista, i René... A na drodze leży stara Marie, gospodyni wielebnego. Wszystkich złe zabiło...

Antonio odkopał z gruzu ciało swego pana. Rycerz miał na twarzy wyraz szaleństwa, wytrzeszczone oczy, a w rękach wciąż ścisnął miecz. Ostrze było pokryte zakrzepłą krwią, do której przylepiło się pierze. W pobliżu leżał tłumok zrobiony z płaszcza. Kiedy pachołek go rozwinął, posypały się skarby: pierścienie, złote łańcuchy, broń. Jakimś cudem ocalał także obraz Madonny w drogocennej sukience i rubinowej koronie.

– Sprawdzę w wiosce, może oprócz Barnarda jeszcze kto ocalał? – zadeklarował Pauli. – Antonio, opatrz poetę, a my pójdźmy.

Ruszyli wspólnie z Bézu, ale nie znaleźli nikogo, ani żywego, ani martwego.

– Wracajmy. Kiedy Barnard się ocknie, powie, co się wydarzyło. A może nie?

Pomodlili się za umarłych, zebrali wota, a najsilniejszy Pauli zarzucił sobie nieprzytomnego poetę na plecy i ruszyli z powrotem.

* * *

– Wysłuchaj mnie, bracie, i osądź, bo zgrzeszyłem...

– Mów, synu. Nie ja, lecz Bóg cię wysłucha i osądzi.

Biskup Narbonne skwapliwie przyjął okopcone wota i obiecał pomodlić się za zmarłych. Kiedy już odprawił pachołków, z satysfakcją potargał papiery sporządzone za czasów hrabiego heretyka, a dotyczące kanonizacji Fagoberta. Żaden święty nie dopuściłby diabłów do niewinnych, słynących z pobożności mieszkańców wyspy. Oznaczało to, że cuda były fałszywe, jak fałszywa była wiara hrabiego Rajmunda z Tuluzy.

– Wiodłem lekkie życie. Bardziej dbałem o doczesność niż o nieśmiertelną duszę.

Barnard wstał po chorobie odmieniony. Rany się zabiły, lecz przy większym wysiłku kręciło mu się w głowie, słabość ogarniała ciało. Postarzał się widocznie, włosy mu posiwiały, oczy zachodziły łzami, a broda drżała. Zdarzało się, że w środku rozmowy popadał w zamyślenie, a czasem gadał od rzeczy.

– Na L’Isle d’Escargot przywiodła mnie pusta ciekawość. Szukałem natchnienia i dla podniety popłynąłem z bratem Claudio i rycerzem Amiliem z Asturii.

Pachołkowie nie wierzyli, że poeta wyzdrowieje, bo gorączkował, majaczył i nie odzyskiwał przytomności. Zostawili go więc w rybackiej wsi, a sami wrócili do Narbonne, żeby ogłosić śmierć zakonnika i pana Amilio.

Jakby na przekór po dwóch miesiącach Barnard odzyskał siły. Pielęgnujący go Bézu nie omieszkał opowiedzieć, co zastał na wyspie. Te wiadomości były dla Burgundczyka równie przerażające jak prześladowające go koszmary – rycerza, który atakuje na oślepię, ogarnięty morderczym szałem, umierającego ze strachu brata Claudio i błagające o litość ptaki. On przecież pamiętał co innego: demony, ognie piekielne, nienawistne stado bezczeszczonej świątyni. Skąd więc wzięły się nagie ciała wyspiarzy? Przecież przeszukali cały skrawek łądu, zajrzeli w każdy zakamarek. I dlaczego wszyscy byli martwi?

Barnardowi przychodziło do głowy tylko jedno wytłumaczenie – demony przemieniły mieszkańców w ptaki i w ostatecznym akcie zemsty bestialsko ich zamordowały. Może rozwścieczył je fakt, że stado szukało schronienia w świątyni i mimo zmienionej postaci nie chciało się podporządkować mocom piekielnym? W takim razie poświęciły życie, lecz ocaliły swoje nieśmiertelne dusze.

Targany wątpliwościami poeta ruszył w podróż. On także kierował się do Narbonne – pachołkowie przecież nie mieli pełnej świadomości, co zaszło, a biskup powinien wiedzieć o wszystkich okolicznościach. Część drogi przebył wygodnie, bo podwieźli go jadący na targ rybacy, potem musiał maszerować.

Żniwa dobiegały końca, rzyśka złociły się w słońcu, kwitła lawenda, pachniało siano. Nocki były ciepłe i poeta sypiał w stojących na łąkach stogach, a resztki miedziaków wydawał na ciepłą strawę w zajazdach. Raz tylko próbował zaśpiewać, żeby opędzić wydatki, ale mu nie szło. Lutnia wydawała fałszywe nuty, zapominał słów, głos go zawodził. I tak naprawdę stracił serce do poezji, już nie myślał o rymach, nie łaknął sławy.

– Mów, synu, ulżyj sumieniu.

Barnard w pierwszej kolejności złożył sprawozdanie biskupowi. Mówił o ptakach, opustoszałych domach, poszarpanych powijakach i padłych zwierzętach. Kiedy doszedł do wydarzeń w kościele, głos mu się załamał, a z oczu puściły się łzy.

Hierarcha pokiwał głową, pobłogosławił poetę, nadstawił rękę do pocałowania i odesłał do dominikanów. On już stracił zainteresowanie tą historią.

Prowincjał Braci Kaznodziejów w Tuluzie przyjął go życzliwie, zaofiarował schronienie i słuchał słów Barnarda, które bardziej przypominały spowiedź.

– Widziałem ziejące ogniem demony i czeluście piekieł, czułem smród, słyszałem przerażające wycie i stukot kopyt. Diabły opętały ludzi, a potem rozerwały na strzępy. Mnie dobry Bóg oszczędził i do końca żywota będę Mu dziękował i chwalił Jego potęgę. Pachołkowie mnie znaleźli bez ducha i tylko za wstawiennictwem Najświętszej Maryi Dziewicy do zdrowia wróciłem.

– Bez Boga niepodobna ani działać, ani poznawać, ani istnieć. Potrzebne jest oświecenie,

aby poznać prawdę, potrzebna łaska, aby czynić dobro i być zbawionym.

– Lecz jak doznać oświecenia, jak zrozumieć?

– Nie pojdziesz, patrząc, staraj się zrozumieć, wierząc – odpowiedział przeor.

Barnard uświadomił sobie, że słyszał już podobne słowa z ust brata Claudio. Zdawało mu się, że dopiero teraz, doświadczony tragedią na L'Isle d'Escargot, pojął ich sens.

Jednak w co powinien wierzyć? W to, co widział na własne oczy, czy w wizje i nawiedzające go koszmary?

Poeta był niedaleko Narbonne, następnego dnia miał zapukać do drzwi biskupiego pałacu. Mimo ciepłej księżycowej nocy nie mógł zasnąć, a siano kłuło i szeleściło, kiedy się wiercił. Nockę strawił na bezowocnych rozmyślaniach i krótkich drzemkach, z których wyrwał go nieokreślony niepokój. Ptaki świergotały, rozświetlona księżycowym blaskiem ciemność zamieniła się w szarówkę, na żdźbłach zbierała się rosa, wiatr niósł zapach morskiej bryzy pomieszany z aromatem lawendy, rozmarynu i siana. Nagły głośny szelest ostatecznie wyrwał Barnarda ze płytkiego snu. Poeta zerwał się i odgarnął siano.

Naprzeciwko stogu zobaczył nieokreślony kształt – niby ludzki, a jednak odmienny. Szarówka dodatkowo zamazywała obraz i poeta sam już nie był pewien, czy naprawdę widzi twarz z ptasim dziobem w miejscu ust, delikatny puch na ciele i skrzydła zamiast rąk? A może dalej śnił?

Stwór rozpostarł ramiona, zatrzepotał nimi i wydał głośny krzyk, a potem serię pisków i świergotów.

– Pójdź za mną, a będziesz wolny i szczęśliwy – obiecywał. – Mogę dać ci sławę, nikt nie dorówna twoim rymom, a pieśni śpiewać będą po wsze czasy.

Jeszcze niedawno Barnard nie oparłby się takiej pokusie, lecz nie po tym, co widział na L'Isle d'Escargot.

Przerażony, drżącą ręką uczynił znak krzyża, a stwór skulił się jak smagnięty batem. W tej samej chwili horyzont rozświetlił pierwszy promień słońca. Oślepiiony Barnard musiał zamknąć oczy. Gdy je otworzył, łąka była pusta, a z pobliskich zagród dochodziły zwykłe poranne odgłosy – gdakanie, porykiwania, kwiki i piski.

Od tamtego poranka wciąż zastanawiał się, czy widział prawdę, czy też szatan zmaćił mu zmysły.

– W co mam wierzyć? – wyszeptał wreszcie z udręką.

– W Boga. Tylko przez niego dojdiesz do prawdy – odpowiedział mu z mocą dominikanin. – On cię poprowadzi i wskaże właściwą ścieżkę. Odmów różaniec, niech Przenajświętsza Matka będzie twoją orędowniczką u swego Syna Jezusa Chrystusa i Boga Najwyższego.

Przeor pobłogosławił go i zostawił samego.

Barnard opuścił głowę. Czas mijał, a on wciąż klęczał. Modlił się i robił rachunek sumienia. Wydawało mu się, że widzi swoje życie cudzymi oczami – puste, pozbawione celu, bezwartościowe, a przybity do krzyża Zbawiciel płacze nad jego losem.

– Co mam zrobić? – zapytał Go w udręce.

– Pójdź za swymi braćmi, oni doprowadzą cię przed oblicze mego Ojca – odpowiedział mu Chrystus.

Wyrwany z transu Barnard zapłakał, a były to łzy radości i ulgi. Trawił czas na płochych zabawach, romansach i włóczędze, marzył o poemacie, który unieśmiertelni jego imię. Teraz rozumiał, że mylił się całkowicie. Nie poezja, lecz Bóg i głęboka wiara nadadzą sens jego

egzystencji, bo dobra i szczęścia człowiek nie może zdobyć sam, lecz tylko z pomocą bożą. Dusza, nie ciało poznaje Boga, którego niepodobna oglądać cielesnymi oczami. Rozumiały to nawet skalane diabelskim dotknięciem ptaki, a dopiero teraz pojął ten, który wcześniej miał się za filozofa...

– Dzięki ci, Jezu Chryste, za naukę. Nie zapomnę jej, pókim żyw. Przed umęczonym obliczem Twoim składam ślubowanie, że głosić będę słowa ewangelii ubogim i moźnym, a zło, najgroźniejszą zarazę ludzkości, tępić. Tak mi dopomóż Bóg i święty krzyż.

Obserwujący Barnarda zakonnik uśmiechnął się i złożył ręce w dziękczynnej modlitwie.

– Rację miał brat Jordan, kiedy mówił, że dobrym winem łatwiej upijają się wieśniacy, którzy zwykle piją wodę, aniżeli szlachta czy mieszczenie, którzy nie przejmują się mocniejszym winem, gdyż mają je na co dzień. Humanisci przecież przez cały tydzień piją wodę Arystotelesa i innych filozofów, dlatego jeśli łykną słów Chrystusa, od razu są upici winem Ducha Świętego i nie tylko swój majątek, ale samych siebie Bogu ofiarują. Teologowie zaś często takich słów słuchają, toteż czasem są jak nieokrzesany kościelny, który bez szacunku zachowuje się przy ołtarzu i odwraca się do niego tyłem, gdyż często przebywa w kościele. Witaj nam, bracie Barnardzie.

Katarzyna Kubacka

– urodziła się w 1988 roku w Kostrzynie nad Odrą, jednak dużą część swojego dotychczasowego życia spędziła w Katowicach. Studiowała etnologię w Cieszynie i Krakowie, przez jakiś czas zajmowała się różnymi rzeczami: pracowała w rezerwacie przyrody, mieszkając w przyczepie, trochę się włóczyła – głównie po Bałkanach, Bieszczadach i Maroku. Píše od kilku lat, unikając sztywnych konwencji. Chętnie czyta literaturę amerykańską i ogólnie pojętą klasykę: Kerouaca, Bukowskiego, Palahniuka czy Huxleya.

HOTEL ALABAMA

Zastanawiałem się kiedyś, co to znaczy chichot losu. Słuchałem historyjek, jakie opowiadali ludzie – o mieszkaniach zalanych wodą albo o rybakach, którym lepiej szło z kobietami niż z makrelami, aż pewnego dnia złowili wielką sztukę, która okazała się zatruta. Śmiałem się z tych historii, dopóki los nie zabrał się za mnie. I jak słowo daję, rechotał do rozpuku. Pamiętam dokładnie, kiedy to się zaczęło, choć wtedy nie miałem pojęcia, w co się pakuję. Chyba każdy postąpiłby tak samo. A może nie – w końcu zawsze miałem najdurniejsze sposoby na problemy. Jeśli ktoś zaczynał przy mnie płakać, dawałem mu pomarańczę, zamiast go na przykład przytulić, nawet jeśli próbował to zasugerować. Trochę mi zajęło, zanim pojąłem, że wszystko zaczęło się od jednego człowieka. Choć było to w pewien sposób oczywiste, sam nigdy nie połączyłbym faktów. Chodziłem tamtego dnia po sklepie samoobsługowym, przyglądałem się produktom i myślałem, co poprawiłoby mi nastrój, albo coś równie idiotycznego. Patrzyłem na makarony i różne rodzaje herbat jak na estetycznie zapakowanych małych mesjaszów, w których odnajdę zbawienie. Już nie pamiętałem, kiedy rzeczy zaczęły mi przysłaniać to, co zawsze starałem się mieć przed oczami.

Coś tam w końcu włożyłem do koszyka i z westchnieniem podszedłem do kasy. Zapłaciłem kartą i ruszyłem w stronę wyjścia obok stoiska garmazeryjnego, gdy jakiś element przestrzeni przykuł mój wzrok. Wśród schludnie ubranych ludzi – uśmiechniętych, choć częściej zatroskanych – przed szybą stoiska z gotowym jedzeniem stał brudny, obszarpany trochę żulik. Niewątpliwie wyróżniał się stylową, ale nie to sprawiło, że nie mogłem oderwać od niego oczu. Twarz mężczyzny była zmęczona, w kącikach oczu czaił się strach, niepokój, który nie miał chyba wiele wspólnego z sytuacją materialną. W jego wzroku była zapowiedź czegoś nieuniknionego, nawracającego. Jednak w tym momencie nawet to skryło się gdzieś na obrzeżach jego spojrzenia. Żulik wbił wzrok w półkę z jedzeniem, głód wyzierał z niego jak skóra przez dziurawe ubranie. Szklana szyba przy stoisku odgradzała go od tego, co dla mnie chyba od zawsze było tylko drobnym szczegółem urozmaicającym życie. On to wiedział i ja też, dlatego jedynie patrzył jak zahipnotyzowany, tak jak dziecko patrzyłoby na anioła.

Nie miałem przy sobie gotówki, więc odwróciłem się i poszedłem, takie to było dla mnie proste. Pozostały tylko smutek i niesmak w stosunku do tego okropnego społeczeństwa, które tak go upodliło. Cóż to za świat, w którym nie można godnie żyć! – myślałem. Zanim wpadły

mi do głowy możliwe scenariusze pomocy, byłem już daleko, a że na zewnątrz chłód aż kąsał po twarzy i w domu czekał obiad, nie zawróciłem. Ale coś uformowało się w mojej głowie w momencie, gdy zobaczyłem tego człowieka, i zaskoczyło dopiero, kiedy dotarłem do domu. Wtedy właśnie postanowiłem, że będę się codziennie za niego modlić.

Na co dzień nie byłem specjalnie religijny, więc trochę mnie to zdziwiło, ale skoro mój umysł podobno wie, co jest dla mnie najlepsze, postanowiłem tego nie roztrząsać. Poza tym już zdecydowałem, nie było odwrotu. Co jak co, ale dane słowo to rzecz święta, nawet jeśli dajesz je tylko sobie. Jakimś cudem zawsze pamiętałem, żeby wspomnieć nieznanego. Od tego czasu coś się zmieniło – czułem, jakbym wpuścił do swojego życia coś niepokojącego, ale nic konkretnego się nie działo, więc nie zastanawiałem się nad tym specjalnie. Dopóki nie wylądowałem w miejscu, gdzie okazało się, że jest nas więcej.

* * *

Trafiłem do hotelu *Alabama* pewnego letniego wieczoru, gdy wszystko się już sypnęło. To było dość banalne: dziewczyna, którą znałem raczej krótko i sam nawet nie wiem, czego ode mnie chciała, zabrała mój samochód, starego gruchota, i odjechała w siną dal. Powiedziała, że nie może wytrzymać w moim upiornym mieszkaniu – właśnie tak to ujęła – a ze mną tym bardziej. Pracowałem wówczas dorywczo w warsztacie samochodowym i oczywiście zaraz potem zostałem zwolniony. Nie byłem zdziwiony, praca nigdy się mnie nie trzymała. Prawie nie pamiętałem czasów, kiedy chodziłem zblazowany między półkami sklepowymi, ponieważ pracowałem w firmie wujka i mogłem sobie na to pozwolić, choć nie powiedziałbym, żeby później moje podejście do życia znacznie się zmieniło.

W mieszkaniu faktycznie czułem się nieswojo, bez Moniki jeszcze bardziej, dlatego bez specjalnego żalu opuściłem dotychczasowe lokum. Sprzedałem wszystkie meble, żeby mieć trochę pieniędzy na czas zastanawiania się, co dalej. Pierwszego wieczoru łąziłem po mieście z niewielką walizką. Wstąpiłem do baru niedaleko stacji benzynowej. Było pusto, tylko telewizor migotał teledyskowymi kadrami. Wypiłem samotnie kilka piw i wyszedłem w ciepłą noc. Na parking przy stacji wjechał autobus i zamrugał światłami w moją stronę.

Pomyślałem, że to chyba dobre wyjście. Nie wahałem się – wsiałem; kierowca machnął ręką, że płaci się przy wysiadaniu, więc ułożyłem się pośród sennych pasażerów i odjechaliśmy, daleko w tyle zostawiając to koszmarnie miasto. Za oknem przewijały się kolejne zabudowania i światła, które znałem. Zmówiłem modlitwę i po chwili zasnąłem. Szarym świtem wjechaliśmy do dziwnego małego miasteczka, którego obrzeża składały się chyba tylko z torów kolejowych i kilku barów dla kolejarzy. Kierowca powiedział, że to ostatni przystanek.

Zacząłem od zwiedzania okolicy. Nie czułem się zbyt dobrze, bo byłem sam, ale w moim przypadku nie chodziło o zwykłą samotność. W towarzystwie zwykle skupiałem uwagę na rozmowie lub na przykład na podziwianiu wspaniałych rysów twarzy mojej rozmówczynie; wtedy starałem się nie myśleć, że cały czas czuję na sobie czyjś wzrok, przewiercający mnie na wylot. Wbrew pozorom w towarzystwie ludzi udawanie, że wszystko jest w porządku, nie było takie trudne.

Ale samemu to już zupełnie co innego. Bywało, że słyszałem lekkie westchnienia, jednak nie było sensu się odwracać – nigdy nikogo nie dostrzegłem.

Zawsze odwlekałem chwilę decyzji. Tym razem też, a ponieważ do zmroku zostało jeszcze

trochę czasu, poszedłem do jednego z tych smętnych barów. Zasiedziałem się – tam przynajmniej było kilku zmęczonych życiem facetów, którzy palili papierosy i rozmawiali ze sobą anemicznie. Im bliżej wieczoru, tym bardziej lokal się zaludniał i oczywiście w końcu dwójka gości, którzy na początku tylko łypali na mnie ponuro, nabrała odwagi i przysiadła się do mego stolika.

– Dzień dobry – burknęli.

– Dobry wieczór – odparłem.

Wybuchnęli śmiechem, jakbym powiedział coś niezwykle zabawnego.

– Widać, żeś nowy, ale teraz wiemy, że nie tylko w tym barze – powiedział ten większy, z wąsami, który wyglądał, jakby przyjechał z Rosji.

Dałbym głowę, że ma na imię Ivan.

Wzruszyłem ramionami i wpatrzyłem się w swój kufel.

– E, nie ma się co obrażać – powiedział drugi, klepiąc mnie przyjaźnie po ramieniu. – Stawiam następną kolejkę.

– No to opowiadaj, skąd żeś się tu wziął.

Oczywiście, pomyślałem, po cóż innego mieliby mnie zaczepiać, jeśli nie z czystej małomiasteczkowej ciekawości. Z pewnością nie mieli tu wielu turystów – tak wtedy sądziłem.

Ivan wlepił we mnie oczy i wypadało, żebym i ja się wreszcie odezwał. Nie miałem naturalnie ochoty wywnętrzać się przed starymi kolejarzami, ale z głośników poleciał kawałek Dire Straits, a ja od dawna nie gadałem z nikim szczerze. Słowa wypadały mi z gardła z częstotliwością karabinu maszynowego, na szczęście jednak miałem jeszcze trochę hamulców, żeby wyjść na w miarę zdrowego psychicznie, poczciwego, choć (specjalnie podkoloryzowałem ten fragment) porzuconego przez złą kobietę człowieka. Właściwie wszystko było prawdą – mówiłem i sam w to wierzyłem, a najważniejsze, że wywaliłem z siebie trochę złych emocji. Mężczyźni kiwali z powagą głowami i zamawiali kolejne piwa. W końcu ulżyło mi na tyle, że mogłem zastanowić się wreszcie, gdzie będę spać tej nocy. Wtedy Ivan powiedział, że taki zabawny facet jak ja powinien iść do hotelu *Alabama*.

Zapał już zmrok, ale światła palące się w hotelu wskazanym przez towarzyszy dzisiejszego wieczoru rozświetlały nieco nadciągającą coraz prędzej ciemność. Był to trochę odrapany budynek, odcięty od szarej ulicy niewysokim ogrodzeniem. Furtka okazała się otwarta, więc zarośniętą nieco alejką podszedłem powoli do głównych drzwi. W świetle latarni widziałem tabliczki informujące, co dodatkowo mieści się w budynku. Jeśli im wierzyć, znajdował się tu także ośrodek medytacyjny i świetlica charytatywna zakonu benedyktyńców. Drzwi również były otwarte, za nimi zobaczyłem posępną recepcję. Podszedłem i zapytałem, co i jak. Okazało się, że mogę sobie pozwolić na zatrzymanie się w hotelu przez jakiś czas, co trochę mnie zdziwiło, bo do tej pory nie było mnie raczej stać na takie fanaberie. Dostałem pokój na drugim piętrze. Korytarz wyłożono brudnym bordowym dywanem, a z mijanych pokoi dobiegały od czasu do czasu jakieś dźwięki – ktoś chyba trzymał psa, a mój sąsiad, co zauważyłem z zadowoleniem, był fanem jazzu. Cieszyłem się, że tak dużo życia jest wokół mnie, ale wieczorem znów poczułem niepokój.

Obudził mnie ostry promień słońca, wpadający przez brudne okno. Drobiniki kurzu tańczyły przed oczami. Rozejrzałem się – w pokoju, oprócz przykrytej kraciatym kocem kanapy i łóżka, na którym spałem, znajdowały się niewielki stolik i biała lampa. Idąc tu wczoraj, nigdzie nie widziałem hotelowego baru, w którym można napić się kawy, ani wspólnej kuchni,

choć na pewno coś takiego musiało istnieć. Postanowiłem ruszyć na mały rekonesans. Było zupełnie pusto i zdawało się, że wszyscy śpią, choć przecież słońce dawno już wstało. Minałem kilka pięter, żeby dotrzeć na ostatnie, ewidentnie niezamieszkałe, gdzie nie było żadnych dywanów, a jedynie drewno. Przeszedłem kilka metrów skrzypiącym korytarzem i zauważyłem tabliczkę z napisem *Towarzystwo medytacyjne*, ale drzwi okazały się zamknięte. Wzruszyłem ramionami i wróciłem do pokoju. Musiałem przysnąć – i tak dziwne, że byłem w stanie funkcjonować bez porannego kofeinowego koktajlu – bo gdy otworzyłem oczy, zza ściany dobiegały w najlepsze dźwięki jazzu. U mnie tylko buczał wentylator. Przeciągnąłem się i postanowiłem zmienić klimat. Może sąsiad będzie wiedział coś o kawie.

Drzwi otworzyły się, zanim zdążyłem zapukać drugi raz, i stanęła w nich drobna kobieta w białym szlafroku, trzymająca w dłoni długiego papierosa.

– Dzień dobry – uśmiechnąłem się na ten miły widok.

Ona również kiwnęła głową z uśmiechem, po czym otworzyła szerzej drzwi.

– Wpadłem się przywitać – powiedziałem. – Przyjechałem dopiero wczoraj i pomyślałem, że może ktoś mi poradzi, gdzie tutaj można dorwać się do kawy.

– No to masz farta – kobieta uśmiechnęła się znowu i poprawiła włosy, które, jeśli choć trochę się na tym znam, były ułożone dokładnie jak u Rity Hayworth na czarno-białych plakatach.

Muzyka płynęła z ustawionego w rogu pokoju gramofonu i kiedy moja sąsiadka podeszła, by przestawić igłę z powrotem na pierwszy utwór, wrażenie, że znalazłem się w starym filmie, na chwilę zaparło mi dech i sprawiło, że nie mogłem się ruszyć.

– Załatwiłam se płytę grzewczą – powiedziała i czar prysł. – Trochę już tu siedzę.

Postawiła na płycie włoski czajniczek do parzenia kawy.

– Marina – podała mi rękę i wskazała kanapę.

Przedstawiłem się również i dopiero wtedy usiadłem. Z początku było trochę drętwo, ale kiedy dostałem kawę, chyba z wdzięczności zacząłem o sobie opowiadać. Marina z poważną miną kiwała głową, wypuszczając dym i podtykając mi papierosy. Zrewanżowała mi się opowieścią o swoim dzieciństwie we Włoszech, nad morzem, gdzie po brzegu przechadzały się kraby, które potem podawano w drogich restauracjach. Mówiła też o Paryżu, o wieczorkach poetyckich i starych kamienicach pełnych artystów. Ale może zmyślała. Kiedyś byłem w Paryżu i wszystko, co widziałem, to syf na ulicach i ludzie śpiący w metrze. Mimo wszystko gadało nam się całkiem nieźle. Chyba trzy razy nastawialiśmy płytę od początku.

Po pewnym czasie w pokoju pociemniało i Marina zamilkła. Owszem, było stanowczo za wcześnie na popołudniową szarówkę, mogło być najwyżej koło trzeciej, ale żeby zaraz się tym martwić? Dawno nie czułem się tak dobrze. Jednak gdy rozmowa się urwała, zrobiło się jakby chłodniej. Płyta grała coraz wolniej i wolniej, a po chwili stanęła. Spojrzałem w okno. Za szybą gnieździły się gołębice i zaglądały nam do pokoju. Wielkie oczy – tak, ewidentnie to były największe oczy, jakie ostatnio widziałem – wlepiały prosto we mnie i za cholerę nie potrafiłem odczytać, o co im chodzi.

– Jak słowo daję – siłą woli oderwałem wzrok od okna i zaśmiałem się niewyraźnie, byle tylko przerwać ciszę. – Dałbym głowę, że te gołębice się na nas gapią.

Marina drgnęła.

– I miałbyś rację – szepnęła.

Tej nocy nie mogłem zasnąć. To, co przyczepiło się do mnie kiedyś, ewidentnie miało tutaj pole do popisu. Nim zasnąłem, coś kilka razy pukało w moje okno, a gdy zmusiłem się, by spojrzeć w tamtą stronę, zobaczyłem tylko fragment brązowego skrzydła, umykającego z wdzięcznym chichotem. Modliłem się, ale to nie pomogło. W końcu wstałem, wyszedłem na korytarz i zapukałem do drzwi obok – miałem nadzieję, że moja sąsiadka jeszcze nie śpi, zresztą słyszałem muzykę.

– Wejść – usłyszałem, zanim zdołałem zapukać po raz drugi.

Otworzyłem drzwi: w pokoju siedział starszy facet z długą brodą i właśnie dolewał Marinie whiskey do szklanki.

– Hej, nie mogłem zasnąć i...

– Siadaj – mężczyzna zarechotał. – Widzę, że tobie też dały popalić.

Zmusiłem się do słabego uśmiechu i usiadłem obok Mariny na kanapie. Facet, który przedstawił się jako Bongo, uniósł w moją stronę butelkę w pytającym geście, a ja skwapliwie pokiwałem głową.

– Masz jeszcze jakąś szklankę? – zapytał Marinę.

– Coś tam powinno być – machnęła ręką w bliżej nieokreślonym kierunku. – A jak nie, to jest jeszcze słoik po ogórkach.

Bongo wzruszył ramionami, wyłowił ostatniego ogórka i wrzuciwszy go sobie do ust, wylał zawiesinę, po czym przepłukał lekko słoik. Byłem mu za to wdzięczny, bo gdy napełnił naczynie whiskey, wcześniejszą zawartość czuło się już tylko trochę. Po kilku łykach zrobiło mi się lepiej. Siedzieliśmy i mimo że w pokoju unosiło się coś dziwnego, i bynajmniej nie był to zapach ogórków, staraliśmy się w miarę dobrze bawić. Bongo opowiadał kawały i pokazywał tatuaże, ponieważ jak się okazało, zgodnie ze swoją aparycją był kiedyś marynarzem. Po pewnym czasie zrobiło się tłoczniej. Zdawało mi się, że Marina i jej przyjaciel od początku spodziewali się kolejnych gości. Najpierw przyszły dwie drobne Azjatki, które usiadły cicho w kącie przy lampie, potem ruda kobieta o ciepłym uśmiechu z małym chłopcem, który przysypiał i najwidoczniej miał wszystko gdzieś.

Było całkiem przyjemnie, dopóki nie otworzyło się okno. Wszyscy zamilkli i wtedy do środka wdarł się chóralny śpiew – z trudem odróżniałem słowa, ale brzmiało to straszne. Przez całe życie nie słyszałem niczego bardziej przerażającego i smutnego, a swego czasu byłem wielkim fanem Pink Floydów. Dzieciak zaczął płakać.

– Do jasnej cholery – powiedział Bongo, chyba tylko po to, żeby dodać sobie odwagi, po czym wstał i zatrzaskał okno.

Wszyscy odetchnęli z ulgą; w pierwszej chwili nieco na siłę, później jednak coraz naturalniej rozmowy znowu się rozkręcały.

– Czy ktoś może mi do jasnej cholery powiedzieć, co się tutaj dzieje? – warknąłem do siedzącego po mojej prawej stronie Bongo, kiedy nikt prócz niego i Mariny mnie nie słyszał.

Brodacz westchnął tylko i nalał sobie trochę whiskey.

– Jeszcze szklaneczkę? – zapytał.

– Powiedziałeś – nie dawałem za wygraną – że mnie też dały popalić. Zaraz jak tu przyszedłem.

– Przyszłem – Bongo zachichotał.

– Kto mi dał popalić?

– Harpie – wzruszył ramionami. – Kobiety–kury czy jakieś inne pierzaste ciulstwa, na

ornitologii się nie znam.

– Że co, kurwa? – moje zdumienie przybrało poetycką formę, ale w istocie ta sytuacja nie była dla mnie do końca czymś nowym.

Przypomniałem sobie, co słyszałem czasami przed snem, kiedy Monika leżała obok, a ja starałem się nie wrzasnąć, żeby jej nie wystraszyć. Urywki dziwnych rozmów, jakieś szepty. Boże, nienawidziłem, kiedy ktoś szeptał, samo słowo budziło we mnie dreszcze.

– Dlaczego tu przyjechałeś? – zapytała Marina.

Wzruszyłem ramionami, bo nic nie przychodziło mi do głowy.

– Ten hotel miał być podobno połączeniem „pustelni i wypoczynku” – westchnęła. – Było tutaj kilku buddystów, dlatego myślałam, że to coś w rodzaju ośrodka medytacyjnego dla znerwicowanych. Co za ściema.

– Taa, coś takiego chyba tutaj widziałem na tabliczce...

Teraz nawet Bongo spojrział na mnie ze zdziwieniem.

– To nie przyjechałeś tutaj szukać duchowej drogi?

– Eee, wybacz...

– No to ja już nie wiem, co tu robisz.

– Dobra, dobra – zniecierpliwilem się. – O co chodzi? Dlaczego od jakiegoś czasu czuję się, jakbym wdepnął w gówno i nie mógł się go pozbyć?

Miałem nadzieję, że skoro są tacy oświeceni, to może rzucą trochę światła i na mnie.

– I co z tymi buddystami? – dodałem, żeby ich nie obrazić.

– Każdy z tych, co tu siedzą, wdepnął, jak to ująłeś, w gówno – powiedział Bongo. – Ja też. Ale chęci mieliśmy dobre. Chciałem pokoju na świecie, więc powtarzałem każdego dnia: „śianti, śianti, śianti”, ale myślałem o takim jednym wychudzonym chłopcu, którego spotkałem gdzieś, gdzie tylko wybuchały granaty, i teraz zawsze mówię to jakby w jego imieniu. Myślę, że go chronię. Gdybym przestał... Ty też kogoś wzięłeś pod opiekę, co nie?

Pokiwałem głową.

– Ale... ale...

– On chce powiedzieć, że przecież to tylko jakiś obcy dzieciak, a takich jak on są tysiące – Marina zaśmiała się, jakby była to najczęściej powtarzana fraza, jaką ostatnio słyszała. – Wytłumacz mu.

– Próbowałem – powiedział znacznie ciszej Bongo. – Ale co noc śniło mi się jego cierpienie. Nie wiesz, jak to jest. Jeszcze, bo na pewno spróbujesz. Czujesz się, jakbyś zabił człowieka.

– Szukaliśmy wytchnienia w jakimś spokojnym miejscu – dodała Marina. – Ale, jak widać, taka kumulacja nieszczęść robi swoje i jest jeszcze gorzej. Wcześniej nigdy nie widziałam tych paskudnych stworów.

– A mnisi się na nas wypięli – skwitował wesoło Bongo, machając prawie już pustą butelką.

Siedziałem tam i nic nie przychodziło mi do głowy. W pokoju z wolna zamierały rozmowy. Chyba wszyscy byli już zmęczeni. Po jakimś czasie goście postanowili zaryzykować i rozejść się do swoich pokoi. Jest taka teoria, że jeśli wystarczająca liczba osób w coś wierzy, staje się to prawdą. Być może w ten sposób stworzone zostały demony... No cóż, jeśli tak, to wszystkim nam przydałby się dobry psychiatra.

– A dlaczego po prostu stąd się nie wyniesiecie?! – wykrzyknąłem w nagłym olśnieniu.

– To nic nie da – powiedziała Marina. – Nie tykaj gówna, bo zacznie śmierdzieć i nie

przestanie, tak mi zawsze powtarzał ojciec. Poza tym bylibyśmy wtedy sami na świecie, a któż zrozumiałby, że łążą za tobą wkurwione harpie, nawet w bardziej lajtowej formie?

Wiedziałem, że ma rację.

– Ale przynajmniej już wiem, co mnie z wami łączy – wyszczerzyłem zęby.

– Dupa tam – zachnęła się Marina. – Trafiłeś tu przypadkiem, więc się nie wypowiadaj.

* * *

Oczywiście na dłuższą metę nie mogłem tego znieść. Próbowałem przestać się modlić, ale było jeszcze gorzej. Bongo mówił prawdę: czułem się, jakbym co najmniej zarabiał setkę ludzi gdzieś w Wietnamie. A przecież zawsze miałem w dupie bliźnich. Dlaczego ten jeden menel tak mi siedział na wątrobie, tego nie wiedziałem. Zastanawiałem się, czy gdybym trafił do innego miejsca, moje strachy przybrałyby podobną formę. Rozmawiałem z Mariną i Bongo, myślałem nawet, żeby zwołać zebranie. Jak na razie nie mieliśmy żadnego pomysłu, jak sobie z tym poradzić.

No cóż, nie mogłem wytrzymać z harpiami, tym bardziej nie mogłem z wyrzutami sumienia. Pomyślałem, że może gdyby ktoś przejął ode mnie modlitwę, miałbym wreszcie święty spokój. Ale kto wziąłby na poważnie takie brednie? Chyba tylko dziecko albo głupiec. Za oknem w całej okazałości rozciągał się piękny dzień. Trwało słoneczne popołudnie. Pokraki chyba poszły spać.

Ubrałem się i wyszedłem. Nagrzany asfalt pachniał azbestem, ale też wszystkim, co dobre. Marina powiedziała, że jesteśmy nad morzem. Nie zorientowałem się wcześniej i z dużym zdziwieniem przyjąłem jej słowa, choć nie musiało to znaczyć, że mnie wrabia. Postanowiłem się przekonać.

Gdy przeszedłem kilka przecznic, morze otworzyło się przede mną niczym bramy raj. Nie mogłem powstrzymać uśmiechu, który utorował sobie drogę na mojej bladej twarzy. Brzegiem spacerowało paru ludzi, ale jak na taką pogodę plaża była niemal zupełnie pusta. Zatrzymałem wzrok na małej dziewczynce, która rzeźbiła z piasku krokodyla albo coś równie paskudnego. Była śliczna. Wzięła do ręki procę i omiotła wzrokiem otoczenie w poszukiwaniu potencjalnego wroga, ale przecież nic jej nie zagrażało. Gdyby kogoś znalazła, być może udałoby jej się go pokonać. Na pewno tak. Wtedy przypomniałem sobie, gdzie jestem.

W oddali zobaczyłem krążące nad wodą paskudy. Dziewczynka za to widziała mewy i błyszczące w słońcu fale i była przekonana, że gdyby mama jej pozwoliła, dopłynęłaby na swoim materacu do Australii.

Tak bardzo chciałem się z nią zamienić. Dzielił mnie od tego tylko krok.

Helena Strokowska

– skończyła fizykę techniczną i informatykę na Politechnice Śląskiej, pracowała jako programista, mieszka w Gliwicach. Próbuje pisać zarówno SF, jak i fantasy, czyta oba gatunki, a także wiele innych. Chętnie grywa w cRPG i larpy. Autorka krótkich tekstów w internetowym Harpiunie oraz tolkienowskim Gwaihirze. Nareszcie jest na emeryturze!

JAKO ANIOŁOWIE

*Byliśmy jako aniołowie
okaleczeni, brudni, wściekli
byliśmy jako aniołowie
– ulecieliśmy ku Światłu.*

Nie patrzę już w lustro. Znam swój projekt. Jest oczywiście „piękny” – o ile rozumiem jeszcze słowo „piękno”. Mój kolor ci na dole nazwaliby „magenta” – czyli po prostu #FF00FF (no dobrze, nie całkiem „magenta”, ale oni nie zauważaliby różnicy). Moje istnienie teraz jest – znów oczywiście – lepsze niż wtedy, kiedy byłam na dole. Nie znam brudu, głodu, choroby. Pragnę tylko wykonywać moje obowiązki – które nie przekraczają (oczywiście, oczywiście) moich możliwości. Tylko czasem, kiedy odpoczywam, ponieważ potrzebuję jednak odpoczynku, nadchodzą mnie wspomnienia.

* * *

Aniołowie kroczyli drogą wśród pól. Było ich czworo. Smukłe identyczne sylwetki poruszały się ze zwykłą dla siebie gracją. W mroku wieczoru nasycone barwy ich nagich ciał przestały być tak jaskrawe i tylko srebrzystobiałe włosy i skrzydła wyraźnie rysowały się na tle ciemnego nieba. Jeden odwrócił się w stronę ruin willi – Adaś i Ewka zamarli.

Niby szpara w zabitym deskami okienku piwnicy nie była duża, ale kto wie, co taki anioł może zobaczyć. Na szczęście nie zauważył ich. Przetawiał coś w trzymanej w ręku broni i strzelił w uschniętą trawę między drogą a ruinami willi. Trawa buchnęła płomieniem, sylwetki aniołów odzyskały barwy – jeden był granatowy, jeden wiśniowoczerwony, jeden ciemnozłoty i jeden niebieskozielony. Włosy aniołów uniesione od ciepłego poddmuchu i rozłożone skrzydła zdawały się świecić własnym światłem. Ogień im nie szkodził. Nic im nie szkodziło, nawet błoto się nie przyklejało. Ewka i Adaś patrzyli na nich, aż Adaś szepnął:

– Chodźmy stąd. Wiatr wieje w naszą stronę, zaraz będziemy kaszleć od dymu.

Ewa oderwała oczy od aniołów, spuściła czarny worek, zasłaniający okienko, i po omacku przeszła za Adasiem do przedsionka, w którym mieściła się ich „kwatery”.

W środku, na stoliku zrobionym ze skrzynki, stała zapalona świeczka. W jej pełgającym świetle widać było dwa dmuchane materace z pozostałą trójką: na jednym siedziała Tereska z

małym Michasiem, na drugim Krzyś. Tereska przytuliła Michasia do siebie, okaleczoną dłonią głaskała go po głowie i szeptała jakąś uspokajającą historyjkę. Krzyś jak zwykle nic nie mówił, tylko się kiwał do przodu i do tyłu, do przodu i do tyłu... – jak to Krzyś.

Tereska popatrzyła pytająco na wchodzących i Ewa cicho ją poinformowała:

– Są na zewnątrz. Myślę, że nie podejrzewają, że możemy być właśnie tu. Podpalili trawę, może być trochę dymu, ale na razie jesteśmy bezpieczni.

* * *

Kiedy uciekli z transportu, była z nimi jeszcze Julitka, kuzynka i rówieśnica Ewy – niewątpliwie najładniejsza dziewczynka w całym transporcie, tak jak Ewa była niewątpliwie najbrzydsza.

Gdy Ewa powiedziała głośno do wszystkich: „Nie chcę być aniołem, chcę być sobą, mam zamiar uciec i uciekać tak długo, aż będę dorosła i nic mi nie będą mogli zrobić”, Julitka wstała i powiedziała, że idzie z nią. I wyszły – a za nimi poszedł dwunastoletni Adaś, który w jakimś wypadku stracił oko i wszystkie zęby z lewej strony. Potem wyszła Tereska – dziewczynka w wieku Ewy, z prawą ręką okropnie okaleczoną – prowadząc ze sobą małego Michasia. Michaś był ładnym i zdrowym chłopczykiem, ale ten pan, który przyszedł z jego mamusią, zostawił go chyba dlatego, że mamusia spodziewała się drugiego dzidziusia.

Ku zdziwieniu wszystkich dołączył do nich Krzyś. Przestał się zabawiać swoim siusiakiem, jak to robił przez cały czas, zapiął spodnie i wyszedł.

Z Julitką uciekali przez pół godziny, aż jej usta i dłonie zrobiły się sine.

Wtedy usiadła i powiedziała:

– Ewa, dalej nie dam rady. Uciekajcie beze mnie. Powiem im, że uciekliśmy, bo chcieliśmy pójść na basen. I że potem wrócicie.

Było jasne, że ma rację, mogła nie przeżyć dalszego marszu. Ewa się rozplakała, tuląc Julitkę na pożegnanie, Adaś podał jej rękę i powiedział „cześć”, Tereska pogłaskała po twarzy, a Krzyś stanął nad nią, pokiwał się trochę, dotknął ręką jej sinych ust i czoła (tą samą ręką, którą trzymał przedtem w spodniach), jeszcze raz się kiwnął – i tak ją zostawili.

Pierwszą ich kwaterą było mieszkanie na siódmym piętrze opustoszałego wieżowca. Jedzenie zdobywali, buszując po kuchniach, mieszkaniach, zbierając pozostawione puszki i słoiki. Po wodę schodzili tylko Adaś i Ewa. W piwnicy i na niższych piętrach przebywali czasem jacyś włóczędzy, ale ich piętro było bezpieczne, bo w schodach ziała trzymetrowa dziura, którą Ewa i Adaś po raz pierwszy pokonali, przechodząc po ocalałej poręczy. Potem zrobili kładkę z paru desek, którą wciągali po wejściu. To były fajne dni – jedzenia mieli dosyć, a dni i noce były ciepłe, tak ciepłe, że wybite okna nie przeszkadzały. Czas spędzali, grając w różne gry i huśtając się na huśtawce pozostawionej przez dawnych właścicieli mieszkania.

Po dwóch tygodniach pogoda się zepsuła, toalety zatkały, a o jedzenie było coraz trudniej. Ewa i Adaś wyruszyli na poszukiwanie nowej kwatery i znaleźli tę całkiem dobrą piwnicę w zrujnowanej dzielnicy willowej na skraju miasta. Ruiny willi otaczał zachwaszczony sad – służył im za ubikację i źródło pożywienia dzięki kilku owocującym jabłoniom.

Adaś i Ewa co jakiś czas wyruszali na poszukiwanie żywności do miasta. Parę razy spotkali mieszkańców niezniszczonej części dzielnicy, odkryli sklepik, w którym można było kupić pożywienie i sprzedać butelki oraz puszki. Raz nawet jedna kobieta zaprosiła Ewę do

siebie i wypytała, kim są i jak żyją. Po wysłuchaniu opowieści kobieta dała jej wielki kawał ciasta! Potem odeszła szybko, bo z innego pokoju rozległ się głośny płacz dziecka.

Następnego dnia w „ich” dzielnicy pojawił się pierwszy patrol aniołów. Jechali na motocyklach. Jeden z aniołów był fioletowy, a drugi ciemnoszary. Aniołowie krążyli i krążyli, a oni musieli kryć się po krzakach.

Adaś postanowił się ich pozbyć. W miejscu, w którym sąsiednia ulica miała zniszczoną nawierzchnię – wielką wyrwę wypełnioną błotem, z wąskim pasem nadającym się do przejazdu – zastawili pułapkę.

Zaraz po przejeździe patrolu pas w najwęższym miejscu, w zagłębienie wbili dwa pręty, tak żeby nie wystawały spod wody, po czym ukryli się za ogrodzeniem najbliższej ruiny.

Ale to był plusk! Pierwszy wywalił się ciemnoszary, ale fioletowy jechał zaraz za nim. Wtedy właśnie zobaczyli, że błoto nie przykleja się do aniołów: wyszli z kałuży czyściutcy. Najpierw obejrzelili pułapkę, a potem, patrząc na pozostawione ślady, powoli ruszyli w ich kierunku. Adaś i Ewa zwiewali co sił, dusząc się ze śmiechu. To było trzy dni temu. Od tego czasu siedzieli w piwnicy i nie wychodzili na zewnątrz, nawet załatwiali się w środku.

– Ta piwnica, którą wybraliśmy na ubikację, miała trochę niższą podłogę, ale teraz trudno tam wejść bez utyłtania się gównem. I śmierdzi. To był głupi pomysł z tą pułapką – powiedziała Ewa.

– Ale plusk był ekstra – odpowiedział Adaś.

Ewa wzruszyła ramionami.

W piwnicy nastroje stawały się coraz gorsze. Michaś miał kłopoty z brzuszkiem, Krzys kiwał się coraz mocniej i wszystko wskazywało na to, że niedługo znów zacznie majstrować przy swoich spodniach, co nie wiedzieć czemu strasznie wkurzało Adasia. Ewa zdecydowała więc:

– Musimy szukać nowej kwatery. Ta jest za bardzo zasrana.

– No. Niedługo sracz wpłynie nam do sypialni – zgodził się Adaś.

– Ale może lepiej poczekać... Jak szukać nowej kwatery? Patrole krążą i krążą... – Ewa westchnęła.

Przygryzła dolną wargę. Ciężko podejmować decyzje za innych. Czasem tak bardzo chciała, żeby Mama powiedziała jej, co ma robić! Reszta patrzyła na nią z oczekiwaniem, nawet Krzys przestał się kiwać. Zaczęła się głośno zastanawiać:

– W okolicy nie ma dobrego miejsca. Piwnica na końcu sąsiedniej ulicy nie ma wody i jest zbyt łatwo dostępna. Ale możemy tam łatwo przejść, nie natykając się na patrol. Myślę, że oni przeszukali tę piwnicę i wiedzą, że nas tam nie ma. A tam są dojrzałe czereśnie! Potem poszukamy lepszej kwatery.

– No. To dobra. To wyruszymy dzisiaj. Najlepiej zaraz. Jest dostatecznie ciemno. – Adaś zaakceptował jej propozycję.

Pakowanie nie trwało długo. Najwięcej czasu zajęło wypuszczanie powietrza z materacy. Większość rzeczy podzielili między siebie Ewa z Adasiem, Tereska prowadziła Michasia i Krzysia, Krzys niósł butlę z wodą. Adaś ruszył pierwszy, reszta za nim. Ewa jeszcze chwilę porozglądała się, wreszcie zgasła świeczkę i zabierając ją ze sobą, po ciemku ruszyła na zewnątrz.

Nowa piwnica była całkiem fajna i czysta, a niewielki otwór, przez który wczołgali się do środka, dawał poczucie bezpieczeństwa. Na półce w kącie odkryli kilka zapomnianych słoików z kompotem – posilili się jednym z nich. Nadmuchali oba materace i rozłożyli się w

poprzek pod jedynym posiadanym kocem. Ewa zdmuchnęła świecę.

* * *

Patrzac teraz wstecz, bogatsza o wiedzę zdobytą w setkach bibliotek, wiem, dlaczego niektórzy dorośli zachowywali się tak dziwnie, kiedy dowiadywali się o naszej ucieczce, szczególnie w kontekście zwykłych igraszek Krzysia. Cóż, nieuniknione zatrucie umysłu hormonami u dojrzałych płciowo. Na szczęście zostało mi to oszczędzone. Co prawda moim – Ewy – marzeniem był wtedy ślub.

Aby przyspieszyć zaślęcie, zajmowała się projektowaniem „cudownie pięknych” sukien ślubnych – z „czerwonymi rubinami, zielonymi szmaragdami i granatowymi granatami” – lśniących jak wigilijna choinka. Marzenia te kończyła jednak nie noc poślubna, a wesele – z obecną na tym weselu roześmianą i szczęśliwą Mamą. Dlaczego właśnie ślub?

* * *

Z Mamą, trzymającą ją za rękę, wchodzi do kościoła. Ewa uśmiecha się z dumą, jej sukienka komunijna, którą Mama szyła przez całą noc, nie jest gorsza od sukienek innych dziewczynek. Idą razem wzdłuż nawy głównej, za nimi szepty:

– Dziewuszki wyglądają ślicznie, jak panny młode.

– Niektórym jednak przydałby się welon.

– Tsss...

Ręka Mamy mocniej zaciska się na ręce Ewy.

* * *

Ani Adasia, ani Krzysia Ewa nie widziała jako kandydatów na męża – Adasia dlatego, że mężczyźni nie wkładają do ślubu welonów, a co do Krzysia, to podejrzewała, że ze zdenerwowania zacznie się onanizować przy ołtarzu. Cóż, teraz taka scena wydaje mi się całkiem zabawna.

Choć Ewa tęskniła za matką, wiedziała, że nie może do niej wrócić, dopóki nie dorośnie – matka naprawdę potrzebowała tych pieniędzy, które dostała za oddanie dziecka. Ewa podслуchała rozmowę mamy z ciocią Anitą, mamą Julitki.

Rozmawiały z Mamą półgłosem.

Ciocia:

– Wiesz, Krysiu, muszę oddać Julkę aniołom. Tak się boję, że umrze, kiedy jestem w pracy. A nie mam nadziei, że zarobię dość na operację. Myślałam, że ten Robert mi pomoże, ale zawinął się i wrócił do żony, cham.

Mama:

– Też się zastanawiam, czy nie oddać Ewy. Znowu straciłam pracę i mam dług w sklepie. W dodatku coraz bardziej bolą mnie zęby.

Ciocia:

– Krycha, co ty! Twoja Ewka jest taka ruchliwa i dzielna. Kiedy widzę, jak biega na tych swoich krzywych nóżkach, może nie wygląda ładnie, ale jest taka pełna życia i radości.

Mama:

– I co jej przyjdzie z tej radości? Teraz biega i się śmieje, bo życia nie zna. A ono ją zniszczy. Co dobrego może czekać brzydka dziewczynę? Ty tego nie rozumiesz, zawsze byłaś ładna, nie brzydka jak ja.

Pokłóciły się wtedy i nie rozmawiały ze sobą przez tydzień, ale kiedy im obu podnieśli czynsz, zaprowadziły nas do aniołów.

* * *

Następnego dnia obudzili się późno. Leżeli jeszcze jakiś czas, nasłuchując, ale motocykli aniołów nie było słychać.

Wypełzli w końcu z kryjówki. Było ciepło i cudownie, niebo bez jednej chmurki.

Siedli w niewielkiej altance, zjedli śniadanie składające się z dwóch puszek sardynek i wody. Wokoło altanki rozpościerała się dżungla pełna kwitnących chwastów i powalonych drzew, otaczających ruiny domów.

Ptaki śpiewały, pszczoły i bąki przelatywały z bzykiem, od czasu do czasu przefrunął żółty motyl.

– Musimy iść, Adam, poszukać nowej kwatery – przerwała ciszę Ewa.

– Ale tu jest ładnie... – sprzeciwiła się Tereska.

– No to zostaniemy do jutra, bo chyba aniołom znudziło się patrolowanie. Jeżeli się nie pokażą do wieczora, to rozpalimy ognisko – zdecydował Adaś, wstając. – Idę po wodę i coś do żarcia – dodał.

– No, ładnie tu, ale do wody daleko. Idę z tobą, wezmę słoiki na sprzedaż – oświadczyła Ewa.

Wzięli pusty baniak na wodę, słoiki i bezszelestnie zanurzyli się w gąszczu.

Przekradanie się obok uliczki do ocalałych od podmuchu części miasta zajęło im około godziny. Nie pojawił się żaden patrol. Postanowili zacząć poszukiwania wody od przepytania życzliwej osoby.

Ogródek domku, gdzie pracowała gospodyni, która dała Ewie ciasto, był pusty. Przeszli po wypielegnowanej ścieżce pod drzwi wejściowe i nasłuchiwali przez chwilę. Ktoś chodził za drzwiami, mrucało niewyraźnie radio.

Ewa przycisnęła palcem guzik dzwonka. Po krótkiej melodyjce odczekali parę chwil.

– Kto tam? – usłyszeli kobiecy głos.

– To ja, Ewa, z kolegą, Adasiem. Dała mi pani ciasto.

– Niech ten kolega się pokaże.

Adaś podsunął do judasza zdrową część twarzy.

Drzwi się otworzyły. Kobieta wzdrygnęła się, patrząc na całość Adasia.

– Dzień dobry – zagaiła Ewa. – Czy może nam pani dać trochę wody?

– Dobrze, wejdźcie.

Po raz pierwszy od tygodni znaleźli się w czystej, zamieszkannej kuchni. Pani wzięła baniak od Adasia i podstawiła pod kran.

– I co porabialiście w ostatnie deszczowe dni?

– Nic. Siedzieliśmy w takiej ruinie i czekaliśmy, aż aniołowie przestaną nas szukać. Ciągłe jeździli na motocyklach wokół naszego kwartału. Dziś już nareszcie nie jeżdżą!

– A skąd mieliście wodę?

– Była w piwnicy. Ale nie było ubikacji i teraz tam cuchnie, więc się przenieśliśmy do

nowej piwnicy, bez wody.

– Przydałaby się wam kąpiel. I pranie. – Kobieta popatrzyła krytycznie na Ewę i Adasia.

– Nie było jak się kąpać, myśmy się tylko przecierali mokrą szmatką. A prać możemy w ciepłe dni, żeby nam rzeczy wyschły. A czy te anioły się o nas wypytywały może?

– Tak, pytały. Nie powiedziałam im, że z tobą rozmawiałam.

– To dobrze, dziękuję!

– Wiesz, Ewo, może przyjdziecie tu do mnie dziś albo jutro wszyscy, żeby się wykąpać? I mogłabym zorganizować dla was jakieś ubrania na zmianę. Bo niedługo będzie was można wytropić po zapachu. – Uśmiechnęła się.

– O fajnie, dziękuję pani! Można jutro?

– Dobrze, przyjdźcie jutro.

Wybiegli z domku. Adaś trochę burczał:

– To pewnie jakaś pułapka z tą kąpielą. Może nas wydać!

– Och, będziemy ostrożni, będziemy uważać. Jakby się zbliżały anioły, to uciekniemy tylnymi drzwiami.

W sklepiku na końcu ulicy za słoiki kupili pół chleba, a Adaś wysupłał ze swojej tajnej kieszeni pieniądze i kupił dla każdego po sporym kawałku kiełbasy. Ewa spojrzała na niego ze zdziwieniem – przecież planował za te pieniądze kupić rewolwer i zastrzelić ojczyma. No cóż, jego sprawa, wzruszyła ramionami.

Było już wczesne popołudnie, kiedy przekradli się przez zapuszczone ogrody do nowej kwatery. Tereska, Krzys i Michaś siedzieli na progu zwałonego domu, niedaleko wejścia do piwnicy i pojadali czereśnie. Czas do wieczora spędzili, jedząc, drzemiąc na słońcu i przygotowując wieczorne ognisko.

Przez cały czas nad słuchiwali, ale patrole aniołów rzeczywiście się skończyły.

* * *

Małe ognisko płonęło, oświetlając ich twarze i przyjemnie grzejąc. Ostatni słoik z kompotem był lekko sfermentowany i Ewa czuła, że kręci jej się w głowie.

– Wiecie, ja i Ewka dokopaliśmy tym aniołom! – oznajmił radośnie Adaś. – Założyliśmy pułapkę na drodze!

– No! – potwierdziła Ewa.

– I aniołki się wypierdoliły do kałuży!

– Wykapały się w błocku!

– Zrobiły fontannę z błocka!

– Zwyciężyliśmy ich, wytaplały się w błocku i nas nie znalazły!

– Anioł zrobił buum i bul, bul, bul błockiem. – Adaś śmiał się głośno.

– Anioł ściga dzieci–śmieci i do błota sam poleci!

– Dzieci–śmieci, dzieci–śmieci! – zawołał Krzys i zaczął się śmiać z szeroko otwartymi ustami.

– Dzieci–śmieci się nie dały i aniołom dokopały!

– Teraz dla anioła bida, dzieci fajne, anioł brzydal!

Śmiali się wszyscy – pod wpływem zwycięstwa i alkoholu. Ogień raźnie zjadał gałązki, krąg otaczającego ich światła sprawiał, że czuli się bezpiecznie. Kiełbaski na ognisku pachniały rozkosznie. Kiedy były już gotowe, zjedli je, ogryzając z patyków.

Michaś umorusał sobie całą twarz i Teresa sięgnęła do kieszeni po chustkę, żeby go wytrzeć. Wraz z chustką wypadła jej jakaś kulka i potoczyła się w stronę ogniska. Była czerwona, wielkości czereśni.

– Co to? – spytała Ewa.

– A nie wiem, ale ładna. Wygląda prawie jak czereśnia.

Ewa dotknęła palcem kulki – była twarda i szklista. Kolor miała trochę inny niż czereśnie.

– Krew, krew – pisnął przerażony Krzyś.

– Nie, to nie krew, to tylko taka szklana kulka – próbowała go uspokoić Ewa.

– Krew, krew, krew, krew – powtarzał uporczywie Krzyś.

– Zamknij się! – warknął Adaś i wkopał kulkę do ognia.

Krzyś zamilkł, ale nadal był przerażony, skulił się i zaczął kiwać.

Jakoś dobry humor im się skończył, wszyscy poczuli zmęczenie.

– Idziemy spać – zawyrokowała Ewa. – Wy idźcie pierwsi – zwróciła się do Tereski, Michasia i Krzysia. – My jeszcze zgasimy ogień.

* * *

Noc minęła spokojnie, ale rano wydawał się trochę mniej radosny niż poprzedni. Być może sprawiła to niewielka mgiełka albo też udzieliło im się przerażenie Krzysia, który był wyraźnie nieswój. Do pani, która im obiecała kąpiel, poszli normalnie, ścieżką znajdującą się w miejscu dawnej ulicy.

– Witajcie i wchodźcie! – odpowiedziała na ich przywitanie. – O, nie wiedziałam, że jedno z was jest takie małe – zdziwiła się, patrząc na Michasia. – Śliczny chłopczyk!

– To Michaś, ma cztery lata – wyjaśniła Ewa, a Michaś zawstydzony schował się za Tereskę.

– Wejdźcie, wejdźcie. Tu jest łazienka, tu są ubrania, które wam zorganizowałam. Niestety nie będą pasowały na naszego Michasia. – Zaśmiała się nerwowo. – Chcecie popatrzeć na telewizję? Kto pierwszy do kąpeli?

Wpuściła ich do pokoju, w którym były elegancka kanapa i telewizor.

– Może ja pójde pierwsza. Wykąpię też Michasia i wypiorę jego rzeczy – zaproponowała Tereska.

– Może ja wykąpię Michasia? Nie jesteś za młoda na zajmowanie się dzieckiem?

– Mam dwóch młodszych braci bliźniaków. Zajmowałam się nimi – wyjaśniła Tereska.

– No dobrze – zgodziła się pani.

Kiedy Adaś jako ostatni udał się do łazienki, pani poprosiła Ewę do kuchni. Patrząc jakoś dziwnie w bok, powiedziała:

– Ten Michaś, on jest za mały, żeby z wami uciekać. Mógłby zostać u mnie, takie małe dziecko wymaga opieki dorosłej osoby.

– Ale Tereska dobrze się nim zajmuje, zresztą pani ma już dziecko.

– Tak, mam dziecko! Chodź zobacz, jakie mam dziecko! – Głos kobiety zabrzmiał dziwnie, chwyciła Ewę za rękę i pociągnęła po schodach do pokoju na piętrze.

Było tam łóżeczko, a w nim leżało niemowlę. Ewa przyjrzała się. To nie wyglądało jak prawdziwe dziecko, wyglądało jak plastikowa zabawka wielkości niemowlaka. Nieładna, brudna zabawka, z widocznymi łączeniami między częściami ruchomymi i nieruchomymi.

– To jest zabawka? – zdziwiła się.

– Nie, to jest potwór. Prawdziwy potwór! Nałożyli mi sztuczną twarz i ciało, ale to jest potwór! Mąż teraz tylko jeździ na delegacje, a ja siedzę sama z tym... obsługuję to, bo inaczej ryczy... Ja chcę mieć zdrowego chłopczyka... – Kobieta zaszlochała.

Ewa poczuła się nieswojo. Jakie miała prawo decydować o Michasiu? Odebrać go Teresce? Ale z drugiej strony Michaś był rzeczywiście mały, a w tym domku było fajnie.

– A może pani weźmie też Tereskę?

– Nie, nie sędzę, żeby mąż się zgodził na taką kalekę dziewczynę.

Ewa czuła się coraz bardziej niewyraźnie. Głupio odmawiać dorosłemu, szczególnie gdy był miły. I nie jest to rozsądne, bo w każdej chwili może przestać być miły. Popatrzyła na „dziecko”.

– A pani myśli, że ono jest w środku, no, w duszy, takie normalne? Takie jak normalne dziecko, tylko ciało ma zepsute?

– A co mnie to obchodzi! Wygląda jak potwór i jest potworem! Ryczy w nocy! Wali ohydne kupy! I wszystko spada na mnie. Czuję się jak niewolnica potwora!

– No dobrze, porozmawiam z Tereską. Ale to będzie trwało, żeby ją przekonać. I Michasia. A pani mąż kiedy wraca?

– Pojutrze.

– Możemy zostać do jutra? Przekonam Tereskę.

– Dobrze z ciebie dziecko – ucieszyła się pani.

Zeszły na dół.

Co robić, co robić? – zastanawiała się Ewa. Nie miała ochoty zostawiać u pani Michasia. Teresce naprawdę na nim zależało, a tej pani? Chciała mieć zdrowego chłopczyka – a co gdyby Michaś miał wypadek? Z drugiej strony powiedzieć „nie” było po prostu niebezpieczne. Musimy uciec w nocy, postanowiła.

– Hej, pani powiedziała, że możemy tu zostać na noc, żeby rzeczy Michasia wyschły – oświadczyła pozostałym dzieciom.

Spali w salonie. W nocy Ewa obudziła ich i szeptem wyjaśniła sytuację.

– Musimy uciekać – zgodzili się wszyscy.

Cichutko zwinęli swoje rzeczy. Ubranka Michasia rozwieszzone w kuchni były na szczęście prawie suche. Księżyc świecił jasno, kiedy bezszelestnie zamknęli za sobą drzwi.

– Gdzie teraz? – spytała Ewa.

– Tu dalej jest taki większy dom i chyba ludzie mieszkają tylko na parterze. Może wejdziemy do niego? – zaproponował Adaś.

Weszli do budynku. Gdzieś cicho gadał telewizor. Podeszli do drzwi od piwnicy, były zamknięte na kłódkę. Na ulicy rozległ się terkot motocykla. Ewa wyrzała przez szparę w drzwiach i aż ją zatchnęło. Aniołowie! Cała grupa!

– Aniołowie! – szepnęła cicho do reszty.

– Na strych – rozkazał równie cicho Adaś.

Na palcach wspięli się po schodach na górę. Adaś nacisnął klamkę – drzwi na strych ustąpiły.

Skrzypnęły, kiedy je otwierał. Zamarli. Nic, lokatorzy domu spali. Weszli do dużego, pustego pomieszczenia. Znajdowało się w nim coś w rodzaju drugiego piętra – niewielka galeryjka, do której prowadziła drabina.

Wspięli się po drabinie i ułożyli na galeryjce, podkładając pod siebie puste materace i koc.

Ewa zasnęła na chwilę. Obudziły ją głosy na klatce schodowej. Ktoś szedł do góry – kilku ktosiów.

Pstryknął kontakt i strych oświetliło ostre światło, ale oni byli powyżej lampy, podest tonął w cieniu. Na strych weszli aniołowie. Pięciu. Każdy miał w ręku tę ich dziwną broń, którą mogli sprawić, że płonęła trawa, a także że człowiek usypiał.

Aniołowie rozejrzeli się po strychu i odwrócili do wyjścia.

I wtedy, nie wiadomo skąd, spadła na podłogę ta cholerna czerwona kulka. Słabo odbiła się od podłogi i potoczyła w stronę aniołów.

Aniołowie odwrócili się jednocześnie. Jeden podniósł kulkę. Popatrzyli w ich stronę, a Ewa ujrzała skierowane ku nim otwory luf.

Tereska otoczyła Michasia ramieniem.

Adaś sięgnął do kieszeni i wyjął scyzoryk.

Rozległ się odgłos rozsuwanego zamka w rozporku Krzysia.

* * *

To ostatnie wspomnienie Ewy, śmiesznej brzydkiej dziewczynki, która kiedyś była mną.

Anna Kańtoch

– urodziła się 28 grudnia 1976 roku, z wykształcenia arabistka (studiowała na Uniwersytecie Jagiellońskim), mieszka w Katowicach. W 2003 roku podjęła jedną z najważniejszych i najlepszych decyzji w życiu, czyli zapisała się do Śląskiego Klubu Fantastyki. Pisze od ponad dziesięciu lat. Z czasów dzieciństwa została jej miłość do powieści detektywistycznych, lubi też dobrą nastrojową grozę oraz wszystko, co w mniejszym bądź większym stopniu podpada pod kategorię „dziwne”. Czterokrotna laureatka Nagrody im. Janusza A. Zajdla, wyróżniona także Nagrodą im. Jerzego Żuławskiego. Stan posiadanych kotów: dwa, w porywach do czterech.

SZTUKA POROZUMIENIA

Kiedy wszedłem, już na mnie czekała – spowita w półmrok bladokóra postać na tle panoramicznego okna, za którym ciemniała powoli Kopuła. Odwróciła się w moją stronę miękkim, kocim ruchem, suknia w kolorze błękitnego lodu zafalowała wokół zgrabnych nóg. Włosy też miała jasne, niemal białe. Jak duch albo Królowa Śniegu, która niespodziewanie zjawiała się w moim biurze.

Zamknąłem drzwi, podkręciłem światło i spróbowałem przybrać profesjonalny wyraz twarzy. Rzadko człowiek ma okazję przyjmować tak piękne klientki, choć mnie – z oczywistych względów – zdarza się to częściej niż innym.

– Witam – powiedziałem. – W czym mogę pomóc, pani...? – Celowo zawiesiłem głos, ale mój niespodziewany gość albo nie zrozumiał aluzji, albo nie miał zamiaru się przedstawić.

Z różnych powodów stawiałem na to drugie.

– Naprawdę powinien pan zainwestować w lepszą sekretarkę, panie Delamere. Ten automat w poczekalni potrafi tylko powtarzać: „Proszę czekać” i „Podać kawę?”.

Jak na możliwości starej Susie to i tak było sporo – moja pracownica zazwyczaj ogranicza się do przecierania biurka albo mało zrozumiałego rżenia.

Rzuciłem kapelusz na stolik i posłałem w kierunku blondynki niezobowiązujący uśmiech.

– Przyjechała pani sama? To niebezpieczna dzielnica, zwłaszcza dla kobiet. Zwłaszcza teraz.

Przyglądała mi się przez chwilę, jakby sprawdzała, czy nie żartuję, a potem wzruszyła ramionami.

– Chodzi o morderstwa Brązowego Kapelusza? Niech pan da spokój, to nigdy nie było bezpieczne miasto. Nie tylko dla kobiet.

Skinieniem głowy przyznałem jej rację. Zresztą tak tylko sobie mówiłem, bez szczególnej troski. Wcale mi nie zależało.

– Nawiasem mówiąc – wypomniała blondynka – obiecanej kawy nie dostałam. Nie, proszę się nie kłopotać, i tak jestem już spóźniona. Może po prostu przejdziemy do rzeczy?

Nie miałem zamiaru parzyć kawy, ale nie chciałem też wyprowadzać nowej – i w tej chwili jedynej – klientki z błędu. Zgodziłem się więc, że owszem, czemu nie, możemy przejść

do rzeczy, i wskazałem kanapę, która najlepsze lata miała za sobą, podobnie jak całe wyposażenie biura.

Usiadła, zakładając nogę na nogę i prezentując doskonałą linię łydki. Gapiłem się przez chwilę bez specjalnego poczucia winy – jej ciało zostało stworzone do tego, by się na nie gapić. Nie omieszkałem przy tym zauważyć, jak mocny stanowimy kontrast: ja, o skórze czarnej niczym sumienie diabła, i ona, ideał skandynawskiej piękności. Pasowalibyśmy do siebie jak noc do dnia, jak krem czekoladowy do waniliowego ciastka – i nie mówcie mi, że nie potrafię być romantyczny.

– Chcę, żeby odnalazł pan dla mnie pewną dziewczynę. – Sięgnęła po papierośnicę, obracała ją przez chwilę w szczupłych palcach, a potem zrezygnowanym ruchem wsunęła z powrotem do torebki. – Ma pan włączoną sieć?

Skinąłem głową, a ona przesłała mi zdjęcie, które pojawiło się w lewym górnym rogu pola widzenia. Mógłbym prześledzić połączenie, złamać kod i sprawdzić, z jakiego konta wysłała wiadomość, jednak – z oczywistych powodów – nie wypadało mi tego robić.

Ściągnąłem zdjęcie niżej, tak aby mieć je przed oczami. Zrobiono je dwa dni wcześniej; było ziarniste i niezbyt wyraźne, w tle widziałem coś, co wyglądało jak przeszkłone drzwi do biurowca – w poprzek biegł napis, lecz ktoś rozmazał go komputerowo, tak że nie potrafiłem przeczytać ani literki. Sprytne. Jednak nie na tyle sprytne, abym nie umiał rozpoznać kadru z monitoringu. Schwytana w oko kamery dziewczyna miała szesnaście–siedemnaście lat i wyglądała jak konspiratorka z tanich filmów: czujny wyraz twarzy, kaptur bluzy nasunięty na czoło tak nisko, że ledwo widać oczy. Na ramiona spływały jej kręcone ciemne włosy, cerę miała śniadą. Włoszka? Hiszpanka? Stawiałem na to pierwsze – ta ciepła, miękka uroda przywodziła na myśl rozciągnięte na wzgórzach oliwne gaje i dziewczęta, które flirtują, oparte o ramy rowerów, podczas gdy wiatr podwiewa im letnie sukienki. Jak mówiłem, bywam romantykiem, mam też słabość do klasycznej literatury i oglądam zdecydowanie zbyt dużo starych filmów, nie tylko SF. Najdziwniejsze jednak było, że brunetka na zdjęciu wydała mi się w pewien sposób znajoma, niczym ktoś z odległej przeszłości, kogo pamięta się jak przez mgłę. Zamrugałem, ale wrażenie nie znikło, choć nadal nie potrafiłem nigdzie umiejscowić tej dziewczyny. Może spotkałem ją kiedyś przelotnie, a może była podobna do jakiejś znanej aktorki czy celebrytki.

– Nie wie pani, jak ona się nazywa?

– Nie, to po prostu nastolatka, która wzięła coś, co do niej nie należało. Chcę, żeby pan tę rzecz odebrał. To nic szczególnego, zwyczajny zapis na dyskietce. I od razu mówię: może pan darować sobie próby odczytania. I tak nie zrozumiałby pan, o co chodzi, bo to sprawy interesujące jedynie dla bardzo wąskiego kręgu.

Dla kogo ta kobieta pracowała? Ubrana była elegancko, szczerze mówiąc – zbyt elegancko jak na tę dzielnicę i jak na biuro prywatnego detektywa, którego nie stać na nowy model sekretarki. Dlaczego nie poszukała kogoś w centrum, w znacznie większych agencjach?

Wątpliwości musiały odbić się na mojej twarzy, bo blondynka wyjaśniła:

– Nie zależy nam na ukaraniu dziewczyny, jedynie na odzyskaniu naszej własności i przede wszystkim na dyskrecji, a o to łatwiej, jeśli o wszystkim wie jak najmniej osób. Pana poleciła mi znajoma; podobno dobrze radzi pan sobie ze znajdowaniem osób, które nie chcą zostać znalezione. I nie jest pan zwolennikiem narracji, prawda?

– Nie jestem zwolennikiem ładnych kłamstw, owszem.

– Kogoś takiego właśnie mi potrzeba. – Uśmiechnęła się, mrużąc oczy, w których miała

nieokreśloną obietnicę. Większość facetów w tym momencie byłaby gotowa wybić głowę dziurę w suficie, byleby dobrać jej się do majątek. Ja nie. Może za dużo takich uśmiechów widziałem, a może zwyczajnie byłem już za stary. – Zresztą to prosta sprawa, dziewczyna zrobiła głupstwo, żadna z niej profesjonalna złodziejka.

Skinąłem powoli głową. Argumenty brzmiały rozsądnie, jednak miałem nieodparte wrażenie, że tak naprawdę chodzi o coś zupełnie innego. Bo podstawowa różnica między dużymi a małymi agencjami detektywistycznymi wygląda tak, że te pierwsze, z uwagi na częste kontrole, muszą ściśle trzymać się przepisów, podczas gdy drugie... Powiedzmy, że zarówno mnie, jak i moim kolegom po fachu zdarza się od czasu do czasu przymykać oko na takie czy inne prawne subtelności. Czy blondynka tego właśnie oczekiwała?

– Weźmie pan to zlecenie? – Pochyliła się w moją stronę, tak iż bez najmniejszego problemu mogłem w głębokim dekolcie dostrzec zarys piersi.

Chciałbym w tym miejscu napisać, że długo wahałem się przed podjęciem decyzji, rozważając wszystkie za i przeciw, a niewinna buzia ciemnowłosej nastolatki poruszyła moje sumienie. Prawda wyglądała jednak tak, że od dwóch miesięcy zalegałem z czynszem, a poza tym zdawałem sobie sprawę, że jeśli odmówię, moi koledzy nie będą mieli skrupułów, by przejąć zlecenie.

Wyglądało na to, że dziewczyna o włoskiej urodzie weszła właśnie między wilki, a ja byłem jednym z nich.

* * *

W tym samym czasie, lecz zupełnie innym miejscu dziewczyna wiedziała już, że jest ścigana. Czowała to głęboko w kościach i jeszcze głębiej w sercu, gdy odwracała się do gęstniejącej za jej plecami ciemności. Słyszała w szeleście liści nad głową, trzasku ściółki pod stopami i szumie krwi, tętniącej w uszach. Musiała cały czas pozostawać w ruchu, mylić tropy. Nigdy nie zatrzymywała się w jednym miejscu dłużej niż na kilka godzin; tyle wystarczało, żeby wypić kilka łyków wody, zjeść pośpiesznie kromkę zeschniętego chleba i zdrzemnąć się przed dalszą drogą. Kiedy ostatni raz miała w ustach ciepły posiłek? Kiedy spała w prawdziwym łóżku? Pamiętała rodzinę drwali, którzy przygarnęli ją, gdy zapadł zmrok i las rozbrzmiał wilczym wyciem, podzielili się skromną strawą i ofiarowali kąpiel z wypchanym słomą siennikiem. Zdarzyło się to wczoraj czy może przed tygodniem? Gdy biegła, gałęzie smagały jej delikatne ciało, a kolce dzikich malin rozrywały skórę, aż gęsta, czerwona krew kapała na ziemię. W nocy drżała z zimna, w dzień rozłożyste korony buków ledwo chroniły przed rozpalonym niebem. Znalazła źródło i napełniła bukłak, choć woda miała smak żelaza i pływały w niej martwe jesienne liście. Dziewczyna napiła się, obmyła poranione stopy, a potem spojrzała w górę na korony drzew, w których skrywały się lekkie jak wiatr duszki. Płakały nad jej losem, ale żaden nie miał odwagi sfrunąć i pomóc przerażonej dziewczynie, bo to, co ją ścigało, było potężniejsze i straszniejsze od wszystkich dobrych stworzeń w lesie. Zadrżała, nie wiedząc, co począć, i jej dłoń, jak wiele razy wcześniej w podobnych chwilach, sięgnęła do szyi, by chwycić zawieszony na rzemyku kryształ – prawdopodobnie najcenniejszą rzecz, jaka istniała na świecie.

* * *

Resztę wieczoru spędziłem, przeczesując sieć. Rezultaty nie były imponujące, bo

wyszukiwarka twarzy najpierw wyrzuciła kilka tysięcy zdjęć młodocianych gwiazdek albo po prostu dziewczyn bawiących się na imprezach – cóż, moja tajemnicza brunetka nie miała zbyt oryginalnej urody. Zawęziłem więc stopień podobieństwa do 95%. Tym razem wyników było ledwo kilkanaście, niemal wszystkie z Bay City. Brązowowłosa nastolatka na trawie, w towarzystwie brodatych łachmaniarzy, grająca na gitarze i pijąca tanie wino prosto z butelki. Przyglądając się jej, zapaliłem papierosa. Nie była piękna, ale miała w sobie cały urok beztroskiej i niewinnej młodości. Nikt, kto skończył osiemnaście lat, nie potrafi się tak uśmiechać. Do licha, w Argei nie uśmiecha się tak już większość dwunastolatków.

Zdusiłem papierosa w popielniczce, nalałem sobie whisky na dwa palce i zamknąłem okno, przez które wdzierał się chłód. Oto uroki mieszkania na pustyni – w dzień ogłuszający upał, nocą zimno jak w psiarni. Idiocyzm, biorąc pod uwagę, że żyliśmy pod stalowym niebem, które jaśniało i ciemniało, naśladując ziemski rytm dobowy. Nie wiem, kto zdecydował, by wpompować pod Kopułę kilka tysięcy ton ziemskiej atmosfery, a jednocześnie zachować pustynny klimat. Może tak było łatwiej, może projektanci uznali, że będzie to dla turystów dodatkowa atrakcja. A może po prostu mieli wszystko w dupie.

Wypiłem whisky i zerknąłem na ostatnie zdjęcie – jedyne, które zrobiono nie w Bay City, a przed urzędem miasta. Przedstawiało kilkudziesięciu pikietujących, ociekających potem, a mimo to pełnych entuzjazmu. Moja brunetka w jednej ręce trzymała transparent z napisem *Zostawcie w spokoju Wielkiego Jima*, a drugą obejmowała w pasie ciemnowłosą koleżankę. Pamiętałem ten protest jak przez mgłę – chodziło o Stockwell Company, które zamierzało rozebrać najszlachetniejszy argejski szkielet i postawić w tym miejscu kolejny drapacz chmur. Sprawa przez dzień–dwa przewijała się przez każde wydanie aktualności, ludzie łączyli się ze studiem i wygadywali bzdury, wypowiedziało się nawet kilku oburzonych naukowców. Później wszystko przycichło. W naszym mieście nawet największa sensacja ma krótki żywot. Zresztą zaraz potem zaczęły się morderstwa Brązowego Kapelusza, a z nimi Wielki Jim nie mógł konkurować.

Wróciłem myślami do mojej brunetki i zastanowiłem się, co właściwie o tej dziewczynie wiem.

Prawdopodobnie bez stałego miejsca zamieszkania, prawdopodobnie bez stałej i legalnej pracy. Nie chodziła do szkoły, a przynajmniej nie tutaj, bo w przeciwnym wypadku znalazłbym jej zdjęcie w którymś z sieciowych albumów. Hippiska? Anarchistka? Zaangażowana politycznie? Pokój, natura i wolna miłość zamiast nowoczesnych technologii?

Ktoś taki prędzej czy później musiał wejść w drogę prawu.

Włamanie się na policyjne serwery zajęło mi pięć minut (miałem wprawę), przeszukanie ich kolejne pięć. Brunetki jednak nigdzie nie było. Znalazłem sporo podobnych dziewczyn, owszem, ale za każdym razem wskaźnik podobieństwa był nie wyższy niż 91%.

Znowu chciało mi się palić, a przecież próbowałem ograniczać. Poza tym minęła już północ i powinienem wracać do domu. Diabli wiedzą, co robiła tam Sara, moja młodsza córka. Zamiast jednak podnieść tyłek, nalałem sobie jeszcze trochę whisky, żeby naoliwić komórki mózgowe.

Albo brunetka nigdy glinom nie podpadła, albo – co bardziej prawdopodobne – w chwili aresztowania była na tyle młoda, że jej dane nie znalazły się w bazie.

Niewiele myśląc, wybrałem numer Berniego Spinka, który był mi winien przysługę.

Sterana życiem, dziobata twarz pojawiła się niemal natychmiast w lewym górnym rogu pola widzenia. Nastrożony wąs i ulizana na żelu fryzura nie dodawały jej uroku, choć Bernie

z pewnością sądził, że jest prawdziwym latynoskim Casanovą. Czy raczej gormyjskim, bo mój kumpel to prawdziwy Obcy, nieczłowiek, inna planeta, odmienna biologia, rozumiecie, te sprawy.

– Co tam, *amigo*?

Wyłuszczyłem mu sprawę. Bernie słuchał, poruszając szczęką jak przeżuwająca krowa. Potem w zamyśleniu podłubał w zębach. Nigdy nie twierdziłem, że mam eleganckich znajomych.

– Zawracasz mi dupę jakąś laską, kiedy w mieście grasuje morderca? – powiedział wreszcie. – Nie masz nic lepszego do roboty?

Oznajmiłem, że nie mam.

Ruszał jeszcze przez chwilę szczęką, co oznaczało u niego wysiłek umysłowy, a potem niechętnie skinął głową.

– Jeśli ta mała była kiedyś zatrzymana jako nieletnia, do jutra rana będziesz miał jej dane, OK? Ale to koniec, łapiesz? Jesteśmy kwita.

Potargowałem się jeszcze przez chwilę i ostatecznie zdołałem przekonać Berniego, żeby podał mi też nazwiska osób, w których towarzystwie dziewczyna była aresztowana – o ile faktycznie była. Nie wyglądał na zachwyconego, ale jego dobre samopoczucie w tej chwili stanowiło najmniejsze z moich zmartwień.

Wyłączyłem sieć, wypilem resztę whisky, po czym – ignorując parę mniej ważnych przepisów – ruszyłem w stronę domu.

* * *

Argea to miasto, które nigdy nie zasypia. Banał, wiem, to samo można powiedzieć o każdej większej metropolii od chwili wynalezienia elektryczności. Ale do Argei takie określenie wyjątkowo pasuje. Zbudowano ją na pustyni, która kiedyś była morzem. Woda wyschła przed tysiącami lat, pozostawiając po sobie połacie czerwonego piasku i wystające z niego gigantyczne, dziwacznie powyginane szkielety, które zachwyciłyby samego H. P. Lovecrafta. Część wywieziono do muzeów na większych i bogatszych planetach, sporo jednak zostało i wyjazd na pustynię „żeby zobaczyć kości” to dziś obowiązkowy punkt każdej wycieczki. Wciąż także od czasu do czasu przylatują do nas ekspedycje naukowe, składające się z nieśmiałych, zbyt dużo pijących studentów i profesorów, którzy z kolei piją za mało, ale za to chętnie gapią się kelnerkom na cycki. Argea zresztą na początku była placówką badawczą, która potem przekształciła się w port przesiadkowy na trasie do Nowej Tuluzi. Wokół portu wyrosło miasto i teraz zarabiamy przede wszystkim na obsłudze podróżnych, którzy spędzają u nas dwanaście godzin – dokładnie tyle, ile trzeba, żeby zatankować oraz dokonać wymaganego prawem przeglądu wahadłowca. Stałych mieszkańców Argea ma nie więcej niż trzydzieści procent, reszta to „element napływowy”, jak mówią w mediach, albo po prostu spragnieni rozrywek turyści. Mamy więcej parków rozrywki niż szkół podstawowych, więcej kasyn niż Gormowie czczą bogów i więcej kurew niż diabłów kiedykolwiek tańczyło na czubku szpilki. O ósmej rano, kiedy w innych miastach ludzie spieszą do pracy, u nas panuje nastrój jak w piątkowy wieczór, z otwartych knajp słychać karaoke, a ulicami przetaczają się gromady podpitych przebierańców. Życie w Argei to nieustający karnawał i zabawa – któż może wiedzieć o tym lepiej niż ja?

Myslałem o tym, zmierzając w stronę domu, gdzie czekała na mnie Sara. Miałem nadzieję,

że okazała się na tyle rozsądna, by wrócić wcześniej, odrobić lekcje i pójść spać. Niewielką nadzieję. Nie należy spodziewać się rozsądku po czternastolatce, choć w porównaniu ze swoją starszą siostrą i tak była zdumiewająco dojrzała.

Na Franklin Avenue drogę zatarasowała grupa dwugłowych Nikaryjczyków, z których każdy dźwigał na ramionach nagą prostytutkę. Czekając, aż policja spędzi ich z powrotem na chodnik, zapaliłem papierosa i przywołałem w pamięci szczegóły morderstw, które w ostatnich dniach wstrząsnęły miastem – przynajmniej media twierdziły, że wstrząsnęły, bo ludzie i nieludzie wokół mnie nie wyglądali na przesadnie przejętych. Zaczęło się od śmierci tancerki *hula*, którą znaleziono za kulisami półtorej minuty po występie, równiutko przeciętą na pół. Wzdłuż, nie wszerz, co jeszcze byłoby zrozumiałe. Cięcie biegło przez nos, usta, pomiędzy piersiami, aż do krocza. Obok leżał brązowy kapelusz, do którego nikt nie chciał się przyznać, i dlatego prasa spekulowała, że mógł należeć do mordercy, choć osobiście miałem co do tego wątpliwości. Potem były inne ofiary, wszystkie zabijane w tak samo błyskawiczny, okrutny i zdumiewająco nieprawdopodobny sposób. Mąż, którego żona przysięgała, że straciła go z oczu ledwo na kilkanaście sekund, a który, siedząc spokojnie w fotelu, skończył z głową ugotowaną jak w mikrofalówce; nikaryjska dziewczyna, której ktoś połamał absolutnie wszystkie kości, nie naruszając przy tym w najmniejszym stopniu skóry. Szef policji twierdził, że są już na tropie, że lada moment morderca znajdzie się za kratkami – wiecie, całe to pieprzenie, które w przypadku takiej sprawy należy odwalić. Nie trzeba było jednak spostrzegawczości Einsteina, by zauważyć, że facet nie wierzy w ani jedno słowo i ze strachu robi w gacie. Nikt już chyba serio nie wierzył, że tę sprawę kiedykolwiek uda się rozwiązać. Na miejscach zbrodni nie znajdowano śladów, nie było żadnych motywów ani powiązań między ofiarami. Niektórzy dziennikarze twierdzili, że to jakaś tajemnicza sekta, inni, że to robota Obcych (którychkolwiek Obcych), a ci bardziej nawiedzeni, że Bóg postanowił pokarać Argeę za grzechy. Mnie nikt nie pytał o zdanie, ale gdyby jednak zapytał, powiedziałbym pewnie, że to zgnilizna moralna wypływa od czasu do czasu na wierzch, a kiedy zbierze się jej wystarczająco dużo, następuje wyładowanie przypominające uderzenie pioruna, paroksyzm ohydy i okrucieństwa, po którym pozostają kolejne zwłoki.

Nie była to dobra teoria, ale też wcale nie gorsza niż inne.

Minąłem ostatnie skrzyżowanie dzielące mnie od domu. Mimo późnej pory i zimna Argea tętniła życiem, z knajp dobiegała muzyka, a przy fontannach obściskowały się pary różnych płci i gatunków. To jeszcze jeden z uroków naszego miasta: nikt i nic nie jest w stanie przeszkodzić nam w rozrywce. Miałem wrażenie, że jestem jedyną osobą, która nie bawi się dobrze – a nie bawiłem się, ponieważ od chwili, kiedy opuściłem biuro, miałem nieodparte wrażenie, że jestem śledzony, że ktoś jedzie za mną tak dyskretnie, jak to tylko możliwe w zatłoczonym mieście. Chwilowo jednak nic nie mogłem na to poradzić, więc dałem spokój. Zresztą może tylko mi się zdawało. Po latach pracy w moim zawodzie człowiek z czasem zaczyna svirować.

Zaparkowałem pod domem i ruszyłem do drzwi. Sara siedziała w salonie z nogami na szklanym stoliku, jadła popcorn i oglądała holowizję.

- Spóźniłeś się – rzuciła w moją stronę, gdy zdejmowałem płaszcz.
- A ty dawno powinnaś już spać.

Wzruszyła ramionami, aż zafalowały jej różowe włosy. Nie powiedziałem nic na temat makijażu, kolczyków, których nie było jeszcze rano, ani sukienki wyglądającej, jakby ktoś uszył ją z podartej firanki. Po prostu skierowałem się w stronę lodówki i wyciągnąłem piwo,

ignorując wyświetlające się na drzwiczkach ostrzeżenie o szkodliwości alkoholu i pustych kaloriach.

Sara stała w drzwiach.

– Nie powinieneś tyle pić – pouczyła mnie.

– Mam nadzieję, że ktoś odprowadził cię do domu. – Zignorowałem jej słowa. – Argea jest...

– Niebezpieczna, wiem. – Ziewnęła. – Wyluzuj, tato. Byłam z Tomem.

– To jakiś nowy chłopak?

Znowu wzruszyła ramionami. Dawniej mogliśmy rozmawiać godzinami, ale wszystko zmieniło się, odkąd jej matka związała z moim dentystą, a starsza siostra wyprowadziła się, żeby „odnaleźć prawdziwą siebie”, cokolwiek, u diabła, miało to znaczyć. Teraz mogłem się uznać za szczęściarza, jeśli Sara zamieniła ze mną parę zdań. Może brakowało jej matczynej troski albo tęskniła za Chrissie, a może chodziło jeszcze o coś innego. Nie mam pojęcia. Chrissie trzymałem krótko, ale kiedy odeszła, zaczęło mnie gryźć sumienie, więc Sarę dla odmiany rozpuściłem – i z tego powodu też czułem się winny, zwłaszcza teraz, kiedy młodsza córka niebezpiecznie zbliżała się do wieku, w którym uciekła starsza. Czasem po prostu nie ma dobrego wyjścia. Jeśli chcecie mi zarzucić, że nie mam pojęcia o wychowywaniu dzieci, to będę pierwszym, który przyzna wam rację, ale nie wydaje mi się, żeby tak naprawdę ktokolwiek się na tym znał – niektórzy jedynie udają nieco lepiej niż inni.

Dopijając piwo, przypominałem sobie czasy, gdy nazywałem Sarę moją małą księżniczką. Gdzie się podziały te wszystkie dni i kim byłem dla niej teraz? Surowym, ale sprawiedliwym ojcem, z którego zdaniem trzeba się liczyć, czy tyranem, którego lepiej oszukać? Zrzęda, którego przestrogi puszcza się mimo uszu, czy kumplem? Prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiem, tak jak nigdy nie będę wiedział, kim jest moja córka w szkole: inteligentną outsiderką, dziewczyną, której inne dokuczają, bo skrycie jej zazdroszczą, czy może jeszcze kimś innym. Od kiedy skończyła trzynaście lat, zgodnie z prawem nie miałem już wpływu na to, w jakim świecie żyć będzie Sara.

Niech diabli porwą narrację.

– Chrissie wysłała mi wiadomość – oznajmiła Sara, kiedy już założyłem, że nic więcej nie powie. – Chciała rozmawiać z tobą. Chyba, bo słabo ją rozumiałam. Strasznie bełkotała. Większość zdań była kompletnie bez sensu.

– Następnym razem przekieruj ją do mnie.

Zgniotłem puszkę i wrzuciłem ją do kosza na śmieci, który natychmiast zabrał się za przetwarzanie metalu. Było późno, a ja zaczynałem odczuwać pierwsze oznaki kaca, choć wcale dużo nie wypilem. Może faktycznie robiłem się za stary na tę pracę. Wziąłem prysznic i powędrowałem do łóżka, żeby przespać choć kilka godzin. Śniła mi się Chrissie w różowej sukience i z kokardami; wspomnienie z jej czwartych urodzin, kiedy po przyjęciu poszliśmy na karuzelę. To był jeden z tych dobrych, słonecznych dni, gdy problemy wydają się odległe o całe mile. W takich chwilach człowiek niemal wierzy, że będzie żył wiecznie, a jego dzieci na zawsze pozostaną uroczymi maluchami.

Śniłem o Chrissie, śmiejącej się i machającej do mnie z drewnianego kucyka, który obracał się, coraz bardziej odległy, aż wreszcie moja córka odeszła tak daleko, że jej krzyki zamieniły się w bełkot, a ja nie rozumiałem ani słowa.

Dziewczyna nie była sierotą, choć czasem tak się czuła. Jej ojciec mieszkał w obcym kraju, za górami i lasami, tak daleko, że wszyscy tam mówili zupełnie innym językiem, nosili dziwne stroje i używali magii nawet do tego, żeby zrobić sobie owsiankę na śniadanie. Był błędnym rycerzem, jednym z tych, którzy nie mają pana, ale codziennie walczą o sprawiedliwość. Gdyby dziewczyna zwróciła się do niego o pomoc, na pewno by nie odmówił, nie wiedziała jednak, jak wysłać mu wiadomość. Bała się powierzyć ją swawolnemu wiatrowi, któremu wszystko wylatywało z głowy, gdy tylko wciągnęła go nowa zabawa, nie ufała zdradliwej wodzie ani zbyt powolnej ziemi. Dlatego postanowiła, że wrzuci swoje słowa w ogień. Zatrzymała się na polanie pośrodku lasu, przy świetle księżyca nazbierała chrustu i rozpałała ognisko. Płomienie strzeliły w górę, błękitne, żółte i czerwone, rozświetlając ciemność. Dziewczyna ogrzała zgrabiące dłonie, a potem poprosiła ogień o pomoc. Zgodził się chętnie, zatańczył, zasyczał i obiecał, że prędko pobiegnie do obcego kraju, za góry i lasy, do ojca rycerza, który walczy ze złem, ale nie pamięta o swojej córce.

Później zasnęła przy dogasającym ognisku i spała aż do świtu.

* * *

Można spędzić całe życie w Argei, nie wiedząc nawet o istnieniu Bay City. Można też trafić tu przypadkiem, jeśli zapędzimy się za daleko w poszukiwaniu egzotycznych rozrywek albo jeśli wkurzymy taksówkarza dowcipnisia. Założę się, że każdy z takich pechowców czuł się jak Dorotka odkrywająca, że nie jest już w Kansas. Nawet ci z wyższymi poziomami narracji, którzy nie dostrzegali brudu i zaćpanych nastolatków o twarzach staruszków, doskonale czuli, że Bay City to zupełnie inny świat. Kilka przecznic od tętniących zabawą ulic rozciągała się dzielnica, w której czas nie tyle się zatrzymał, co raczej zastygł przed półwieczem. Mijałem odrapane budynki, z trudem unoszące się na sfatygowanych poduszkach powietrznych i rdzewiejące przy krawężnikach wraki samochodów, a pod kołami mojego chryslera chrzęściły śmieci, które wysypywały się z przepelnionych kontenerów.

Gdy wysiadłem, upał uderzył mnie jak bokser wyprowadzający na ringu cios. Skrzywiłem się, próbując nie oddychać zbyt głęboko. Gorąco i zapach taniej gormyjskiej kuchni to kiepskie połączenie, które staje się jeszcze gorsze, jeśli dorzucić do niego ciche, ale uporczywe bzyczenie piaskowych trzmieli, żerujących na resztkach czyjegoś obiadu i truchle niewielkiego ptaka. Poza tym panowała cisza. W pobliżu nie było żywej duszy, jedynie zagłodzony kundel, któremu jakiś dzieciak dla żartów przywiązał do ogona puszkę, patrzył na mnie błagalnie. Wyciągnąłem papierosa i zapaliłem, by pozbyć się z ust smaku starego, wielokrotnie przypalanego tłuszczu. Nie widziałem nikogo, ale byłem pewien, że zza zakurzonych okiennic obserwują mnie czujne oczy.

Rzuciłem papierosa na ziemię, przydepnąłem go i ruszyłem w stronę budynku oznaczonego wyblakłym numerem 5. Kundel zaskowyczał, gdy go mijałem.

– Nie dziś, kolego – powiedziałem. – Radź sobie sam. Nie jestem w nastroju do pomagania.

Długo musiałem dzwonić, zanim w kamerze przy drzwiach pojawiła się wynędzniała twarz.

– Czego?

– Szukam Velmy Verringer. – Brzmiało jak pseudonim gwiazdki porno, więc pewnie dziewczyna nazywa się zupełnie inaczej, ale w tej chwili nie miało to znaczenia. – Ładna,

brunetka, jakieś szesnaście–siedemnaście lat. Mieszka tu.

– Nie mieszka.

– Numer 12, trzecie piętro.

– Idź pan w cholerę.

Wyciągnąłem banknot i pomachałem nim przed okiem kamery.

Drzwi rozsunęły się i zarośnięty stanął w progu w całej okazałości. Nie było na co patrzeć: niski, chudy, w dawno niepranych portkach, tak krótkich, że odsłaniały porośnięte czarnymi włosami łydki. Pod pachą dźwigał zewnętrzny mózg starego typu, jeden z tych, co to pozwalają jako tako funkcjonować ludziom, którym narkotyki wypaliły neurony. Bez niego facet miałby inteligencję pastewnego buraka.

Wyciągnął rękę po banknot, po czym spróbował zamknąć mi drzwi przed nosem, ale wsunąłem stopę między nie a futrynę i jednocześnie popchnąłem chudego w głąb korytarza. Nieładnie jest popychać kalekę, wiem.

– Czego? – zaskrzeczał.

Mimikę miał dziwnie nieskoordynowaną, widać w mózgu siadała bateria.

– Zaczynasz się powtarzać, przyjacielu. I masz krótką pamięć. Brunetka, mówiłem ci, młoda, ładna. Jest u siebie?

– Nie widziałem jej od paru dni – jęknął. – Idź w cholerę.

– Powinieneś wgrać sobie trochę nowego słownictwa – pouczyłem go, po czym skierowałem się w stronę schodów, rozsądnie zakładając, że winda prawdopodobnie i tak nie będzie działać.

W jednym z mieszkań, przy otwartych drzwiach, chudy narkoman onanizował się bez specjalnego zapachu do holowizyjnego porno; z innego dobiegały odgłosy, które bezbłędnie rozpoznałem jako alkoholową kłótnię kochanków. Kobieta błagała o coś, a potem chyba dostała w twarz, ale nie zatrzymałem się, żeby sprawdzić. Jak wspomniałem wcześniej, nie byłem dziś w nastroju do pomagania, a poza tym miałem mnóstwo własnych problemów.

Na przykład taki, że beznadzieja tego miejsca przywierała do mnie mocniej niż smród zjełczałego tłuszczu i tanich narkotyków.

Albo taki, że na trzecim piętrze jedno i drugie było już wyraźnie mniej wyczuwalne, a zastąpiło je coś innego, znacznie bardziej niepokojącego – słodkawa woń rozkładającego się w upale mięsa, nie do pomylenia z żadną inną.

Znacie to uczucie, kiedy zmierzacie do drzwi i wiecie już, że wcale nie chcecie oglądać tego, co jest za nimi, a mimo to nie zatrzymujecie się, bo jeśli to zrobicie, nie będziecie w stanie iść dalej?

Tak właśnie się czułem. Pchnąłem drzwi – były otwarte – wszedłem do małego przedpokoju, a potem do równie mikroskopijnego pokoiku, który niemal w całości zajmował rozłożony tapczan. Leżała na nim ciemnowłosa dziewczyna, naga i bez wątplenia martwa. Poznałem ją po kolorze włosów, bo cokolwiek ją zabiło, zdarło jej twarz, a także spory pas skóry z szyi i dekoltu, aż do prawej, równo odciętej piersi. Kończyny miała rozrzucone pod niewiarygodnymi kątami – nie jakby były po prostu złamane, ale jakby ktoś próbował zawiązać je w supły. I najwyraźniej prawie mu się udało.

Nigdy wcześniej nie widziałem zwłok pozostawionych przez Brązowego Kapelusza, ale postawiłbym połowę mojego wynagrodzenia, że to jego robota.

Ostrożnie obszedłem tapczan, by dostać się do małej szafki. Otworzyłem ją i przeszukałem, dotykając wszystkiego przez chusteczkę.

Znalazłem trochę dziewczynskich fatalaszków, kosmetyki w różowych i żółtych opakowaniach, jeden nadgryziony batonik i parę sztuk modnej ostatnio nikaryjskiej biżuterii. Nic ciekawego. Dopiero w ostatniej szufladzie natknąłem się na coś, co mnie zainteresowało. Był to plik ulotek antykorporacyjnych i antyrządowych, kilka z nich głosiło dość radykalne hasła. Pod nimi leżał stary komputer. Dziewczyna rzeczywiście musiała być oryginałem, skoro używała czegoś takiego, podczas gdy 99% społeczeństwa nosiło wszczepy. Prawdziwa hippiska w tych opanowanych przez bzdurne technologie czasach, kto by pomyślał. Zaczynałem czuć do niej sympatię.

Odpaliłem urządzenie, w ciągu paru minut złamałem prościutkie hasło i wszedłem na pocztę. Przejrzałem wiadomości. Pogaduszki, zaproszenia na imprezy, dziewczęce głupstewka. A wśród tego mail od kogoś używającego nicka *falcon2332*. Wiadomość zawierała tylko jedno słowo: *Dzisiaj*.

Wysłana siódmego marca o siedemnastej czterdzieści pięć – kilka godzin przed tym, jak Velma została sfotografowana w gustownym kapturze i z miną spiskowca.

Żadnej dyskietki ani niczego, co by ją przypominało.

Wyłączyłem komputer. Ekran wielkości dłoni pożegnał mnie gasnącym zdjęciem roześmianej dziewczyny.

W coś ty się wpakowała? – zapytałem w myślach, dotykając palcem jej policzka.

Potem wróciłem na dół, złapałem zarośniętego i nie zwracając uwagi na protesty, wykasowałem mu z elektronicznej pamięci ostatnich piętnaście minut. Kiedy wychodziłem, siedział przy stole i śliniąc się, czekał na restart mózgu. Widziałem warzywa sprawiające wrażenie bardziej bystrych niż on w tej chwili.

* * *

Przejrzałem przysłaną przez Berniego listę osób aresztowanych razem z Velmą. Była tam jeszcze jedna dziewczyna i czterech chłopaków, wszyscy w wieku od szesnastu do dwudziestu lat. Poza Velmą aktualny okazał się tylko adres Jaofy, który jako jedyny z grupy po wyjściu z więzienia zdecydował się wieść uczciwe życie – o ile można nazwać tak pracę w podrzędnej knajpie tuż przy porcie kosmicznym.

Jaofa był Rakhańczykiem. Klasyczny wygląd: skóra w szarzielonym kolorze, wielka głowa w kształcie gruszki i czarne oczy bez wyrazu. Wyciągnąłem go z zaplecza, gdzie kroił właśnie marsjańską ośmiornicę. Wszedł, wycierając oblepione śluzem i granatową krwią dłonie w fartuch, który i tak nie był już pierwszej świeżości.

– Velma Verringer – powiedziałem. – Szukam jej znajomych, przyjaciół, wszystkich, którzy trzymali się z nią blisko. Zwłaszcza Muriel Lagardie. – Pamiętałem, że dziewczyny na zdjęciach wyglądały na bardzo zaprzyjaźnione.

Jeśli ktoś miał tę dyskietkę, prawdopodobnie była to ona.

– Glina?

– Po prostu ktoś, kto szuka informacji i może za nią zapłacić. To jak, dogadamy się?

Skrzywił wąskie, bezkrwiste wargi.

– Nawet jakbym chciał, to nie dam rady ci pomóc, człowieku. Nie widuję się już z nimi. Jestem teraz czysty, kapujesz? Nie mam nic wspólnego z Velmą. To wariatka.

– Wariatka?

– Wycięła sobie narrację i poszła na pustynię, łapiesz, człowieku? Całkiem sama. Spędziła

trzy noce pod kośćcami Wielkiego Jima, a potem wróciła i bredziła coś o tym, że objawił jej się Bóg, czy może Szatan, albo jedno i drugie. Nie wiem, bo z trudem ją rozumiałem.

– Kiedy to było?

– Z tydzień temu. Nie mam z tym nic wspólnego...

– Z czym nie masz nic wspólnego?

– Z niczym. – Umknął spojrzeniem w bok.

Dopiero teraz w pełni dotarło do mnie, że to faktycznie dzieciak. Wszyscy Rakhańscy, młodzi i starzy, z mojego punktu widzenia wyglądali tak samo.

– No dalej, zwierz się wujkowi. Będzie ci lepiej.

– Z tym włamaniem... – wymamrotał. – Kiedy Velma wróciła z pustyni, wytrzasnęła skądś tego gościa, nazywał się George Phillips, ale kazał na siebie mówić Falcon. On pracuje w Stockwell Buildings. Podobno mieli tam jakiś dowód, który Velma chciała zdobyć.

– Dowód na co?

– Nie wiem! Poważnie, człowieku, zwałem od nich, jak tylko zrozumiałem, że gadają na serio o tym włamaniu. Wystarczyło mi jedno aresztowanie. Jestem na warunkowym i nie chcę mieć więcej problemów.

– Jasne. A pozostali kumple Velmy? Wiesz, gdzie ich szukać?

– Nie mam pojęcia. Muriel przez jakiś czas mieszkała z nią, może wciąż tam jest.

Przyjrzałem mu się uważnie. Trudno cokolwiek wyczytać z rakhańskiej twarzy, ale instynkt podpowiadał mi, że chłopak mówi prawdę.

Wcisnąłem mu dwudziestkę i zostawiłem go, żeby wrócił do krojenia ośmiornicy. Co teraz? – zastanawiałem się, zerkając w lusterko. Czy mi się zdawało, czy ten brązowy austin faktycznie za mną jechał? Zatrzymałem się, ale samochód zniknął, ruszyłem więc dalej.

Jeśli dziewczyna wycięła sobie narrację, to otwierało cholernie dużo nowych możliwości. Moje pokolenie było twardsze, ale młodzi ludzie, od dzieciństwa przyzwyczajeni do życia w sztucznym świecie, źle znosili nagły powrót do prawdziwego. Niemożność porozumienia z nikim, kto ma narrację powyżej piątego poziomu, osamotnienie, rzeczywistość, która nie wygląda tak, jak chcemy... To czasem prowadziło do poważnych psychoz, a mówiąc prościej – do świra.

Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby się okazało, że Velma trafiła na ostry dyżur.

Ryzykując wypadek, odpaliłem sieć. Jednym okiem wciąż śledziłem, co się dzieje na drodze przede mną, a drugim przeszukiwałem bazy argejskich szpitali. Velmę Verringer znalazłem w trzecim z kolei. Data przyjęcia: ósmego marca. Data wypisu: również ósmego marca.

Szybka jest nasza służba zdrowia, nie ma co.

Dwadzieścia minut później parkowałem już przed solidnym, otynkowanym na biało budynkiem, który miał chyba wzbudzać w pacjentach otuchę, ale wyglądał tylko jak zaniedbane mauzoleum. Wewnątrz przywitała mnie sącząca się z głośników neutralna muzyka i rozpylony w powietrzu zapach kwiatów. W recepcji siedziała słodka blondynka, która widząc, że zmierzam w jej stronę, podniosła wzrok znad starannie opilowanych paznokci i uśmiechnęła się różowymi usteczkami.

– W czym mogę pomóc? – zaczęła.

Gdy wyjaśniłem jej, w czym może, wciąż jeszcze się uśmiechała, ale była już zdecydowanie mniej słodka, a bardziej ostrożna.

– Nie możemy ujawniać takich informacji obcym. Chyba że pan jest krewnym...?

Najwyraźniej miała nadzieję, że jestem, jednak musiałem ją rozczarować.

– Nie jestem, ale, widzi pani, szukam tej dziewczyny na prośbę jej rodziny. To miliarderzy. Biedna Velma uciekła od nich pół roku temu. Jedyna córka i spadkobierczyni. Nic dziwnego, że szaleją z niepokoju i robią wszystko, żeby ją odzyskać. Prawdziwie romantyczna historia, jak w holowizji. Jeśli mi pani pomoże, obsypią panią złotem. Proszę pomyśleć, mogłaby pani rzucić tę pracę i do końca życia opalać się na Księżycowych Plażach. Mogę się założyć, że ślicznie by tam pani wyglądała, panno – zerknąłem na plakietkę – Fern.

– Och – powiedziała słabo. Nie uwierzyła w ani jedno słowo, ale chyba jej się spodobałem. – Niezły z pana numer, co?

Potwierdziłem, uśmiechając się łobuzersko. Pięć minut później była już wystarczająco zmiękczona, by zerknąć dla mnie do prywatnej bazy szpitalnej – tej, która nie została podłączona do ogólnej sieci.

– Velma była u nas tylko trzy godziny – powiedziała. – Przyjęto ją z rozpoznaniem psychozy po odłączeniu narracji. Uważała, że ścigają ją źli ludzie, ponieważ zrobiła coś zabronionego. Lekarz zalecił wszczepienie nowej narracji, która pomogłaby jej się uspokoić.

– Jakiej?

Powiedziała mi, a ja ze zdumieniem odkryłem, że pracownicy służby zdrowia jednak mają sumienie, bo zarumieniła się przy tym lekko:

– Nie była ubezpieczona, rozumie pan... Zresztą bajki są miłe, prawda?

– Jasne. – Narracji powyżej siódmego poziomu nie zalecano urzędnikom państwowym, a te powyżej dziesiątego były zabronione w większości zawodów. – I co, dobry doktor ją wypisał?

– Nie. – Rumieniec się pogłębił. – Miała zostać u nas parę dni, aż do ustabilizowania się narracji, ale uciekła.

– Uciekła, aha. – Blondynka nie doczekała się złośliwego komentarza. Czasem naprawdę rozczarowuję ludzi. – A jej rzeczy? Ma pani spis tego, co miała przy sobie?

– Kolczyki, szminka, torebka miętowych cukierków, bilet do parku rozrywki... – wymieniała.

– Żadnej dyskietki?

Przeczytała spis jeszcze raz, marszcząc brwi i poruszając ustami. Chyba nie była zbyt bystra.

– Nie widzę niczego takiego.

– W porządku, wielkie dzięki. I niech pani pamięta, gdyby wybrała się pani na Księżycowe Plaże, proszę absolutnie nie zabierać kostiumu. Gormyjczycy uważają, że kąpanie się w ubraniu przynosi pecha.

Kiedy zmierzałem w stronę drzwi, czułem wyraźnie na plecach jej smutne spojrzenie.

* * *

Kiedy słońce stało już wysoko na niebie, a pomoc wciąż nie nadeszła, dziewczyna zrozumiała, że ogień ją zawiódł. Usiadła i zapłakała. Płakała i płakała, aż wokół jej stóp powstała kałuża, do której przyleciał mały błękitny ptaszek. Spróbował wylanych łez, zatrzepotał skrzydełkami i zapytał:

– Dlaczego jesteś smutna, dziewczyno?

– Jestem smutna, bo demony zabijają dobrych ludzi w lesie i choć wiem, jak je

powstrzymać, nikt mnie nie słucha – odpowiedziała. – Chciałam poprosić o pomoc ojca, ale nie wiem, jak przekazać mu wiadomość. Ogień mnie zawiódł, a boję się zaufać swawolnemu powietrzu, zdradliwej wodzie czy zbyt powolnej ziemi.

– Znam się z ogniem od dawna – zaćwierkał ptaszek – i wiem, że cię nie zawiódł, tylko nie potrafił powtórzyć twoich słów tak, żeby zrozumiał je ojciec rycerz, który mieszka w obcym kraju i mówi obcym językiem.

– Co więc mam zrobić? – zapytała dziewczyna.

– Musisz znaleźć słowa, które brzmią tak samo w twoim języku i języku twojego ojca. Ja mogę je zanieść. Latam szybko i wysoko; dotrę do kraju za górami i lasami prędzej niż ogień.

Dziewczyna długo myślała, jak dobrać właściwe słowa. Zapomniała o głodzie, zapomniała o upale i tylko pisała patykiem po ziemi. Wreszcie, kiedy zrobiło się chłodniej, a las znowu zaczął ciemnieć, wezwała do siebie ptaka.

– Mam gotową wiadomość – powiedziała. – Tylko proszę, powtórz ją dokładnie, bo jeśli się pomylisz i ojciec nie przybędzie mi z pomocą, wszyscy zginiemy.

* * *

Zjawili się, ledwo wszedłem do hallu, zanim nawet zdążyłem o cokolwiek spytać. Dwóch wielkich jak góry facetów o tępych twarzach wykidajłów, ubranych w eleganckie garnitury, które wyglądały na nich równie stosownie jak frak na dobermanie. Jeden czarny, drugi biały. Ktoś tu miał poczucie humoru.

– Pójdzie pan z nami – powiedział biały. – I nie będzie pan robił problemów. Nie chcemy tego.

– Ja chcę. – Czarny wyszczerzył zęby. – Bardzo chcę, żeby robił problemy.

– Niech zgadnę: jeden z was jest tym bardziej bystrym, a drugi wrednym, tak?

Zaprowadzili mnie do windy, która w ciągu paru sekund wyniosła nas na wysokość czterdziestego piętra. Gdy wysiadałem, żołądek obijał mi się o zęby, a twarz musiałem mieć zieloną jak wiosenny szczypiorek. Obaj goryle znieśli jazdę znacznie lepiej.

Poszedłem za nimi do gabinetu, w którym zmieściłoby się całe moje mieszkanie. Wszystko tu było w najlepszym guście: od obić na fotelach po piękną blondynkę, siedzącą na miejscu sekretarki. Zastanowiłem się, czy dziewczyna jest prawdziwa – pewnie tak, automat nie potrafiłby w ten sposób zmierzyć mnie wzrokiem. Takiego wyrazu profesjonalnego znudzenia i lekkiej pogardy uczą tylko na kursach dla asystentek po pięćset dolarów za tydzień.

– Pan Stockwell czeka na pana – powiedziała, po czym wróciła do ważniejszych spraw, czyli do przeglądania sieci.

Sądząc z rumieńców, miała otwarty portal randkowy albo i coś lepszego.

Stockwell stał przy oknie i spoglądał w dół na rozciągające się u jego stóp miasto. Podszedłem bliżej i też zerknąłem – maleńcy jak mrówki z tej wysokości Nikaryjczycy odprawiali właśnie jakiś cudaczny rytuał, krążąc po trawniku w kolorowych strojach. Wyglądało to, jakby na skwerze rozkwiatały i więdły gigantyczne kwiaty, jakby składały się i rozkładały barwne wstęgi. Zakręciło mi się w głowie i zrobiłem krok w tył. Duży ze mnie facet, ale czasem bywam słaby jak szczenię.

Stockwell nawet nie spojrzał w moją stronę.

– Co pan tam widzi? – zapytał. – Walca? Tai chi? Zaskakujące, jak ludzie potrafią tłumaczyć sobie obcość na coś, co już znają. Teraz mamy narrację, ale wcześniej też to

robiliśmy. Pierwszym pozaziemskim gatunkiem, który spotkaliśmy, byli Gormowie, pamięta pan? Nie różnili się od nas aż tak bardzo: ot, inny język, inna kultura i nieco obrzydliwy z naszego punktu widzenia wygląd. Bez trudu dawało się z nimi dogadać. Potem zjawili się Nikaryjczycy, zdecydowanie bardziej dziwaczni, ale nadal pod wieloma względami do nas podobni. Potem Rakhańczycy – o, ci już dali nam popalić. Wie pan, że specjalistom wyposażonym w najnowocześniejszy sprzęt roszyfrowanie ich języka zajęło pięć lat? Ludzi, którzy potrafią dogadać się z nimi bez narracji, można policzyć na palcach dwóch rąk. I wreszcie T'Verthlianie, tak obcy, że nasi naukowcy z początku omal nie oszaleli od prób zrozumienia tej rasy. Co będzie dalej? Czy trafimy kiedyś na gatunek, w którym, z narracją czy bez, nie dostrzeżemy nawet żywych, świadomych istot? Gatunek, który przemówi do nas językiem, w którym nie rozpoznamy języka?

Nie fatygowałem się z odpowiedzią, zresztą chyba nawet jej nie oczekiwałem. Tacy ludzie nie potrzebują niczyjego poparcia. W zamian za to przyjrzałem się stojącej na biurku makiecie, która przedstawiała planowane inwestycje Stockwell Company. W miejscu Dużego Jima znajdował się tam hotel o nazwie *Róża Pustyni*.

– Argea ma piętnaście milionów mieszkańców – ciągnął Stockwell, nie odwracając się w moją stronę – i niemal nikt nie wie, jak to miasto naprawdę wygląda. Nie uważa pan, że to na swój sposób zabawne? Piętnaście milionów osób, z których każda żyje w swoim własnym świecie?

Wzruszyłem ramionami.

– Ludzie lubią się karmić złudzeniami, zawsze tak było. Kto chciałby na co dzień oglądać parszywe gęby Gormów, wdychać smród szczyń na chodnikach i słuchać bluzgów zaćpanych prostytutek?

– Pan?

– Ja jestem wyjątkiem, panie Stockwell. I chyba nie wezwał mnie pan tu po to, żeby dyskutować o moich gustach.

Odwrócił się wreszcie w moją stronę – niski człowieczek o ziemistej cerze, z ufarbowaną na czarno czupryną i zmarszczkami, które po osiemdziesiątych urodzinach zaczynały wygrywać z kremami i chirurgią plastyczną. Miał na sobie garnitur tak doskonale nijaki, że musiał kosztować ze trzy moje pensje.

– Nie życzę sobie, żeby pan tu węszył – oznajmił. – Moja pracownica wynajęła pana, żeby odnalazł pan dyskietkę, którą ukradła ta dziewczyna, a nie żeby zjawiał się tu pan i niepokoił moich ludzi.

– Dziewczyna nazywała się Velma Verringer. Włamania dokonała w porozumieniu z George'em Phillipsem, który dla pana pracuje. Szukam go, bo może mieć teraz dyskietkę.

– A dziewczyna?

– Leży martwa w swoim mieszkaniu. Kolejna ofiara Brązowego Kapelusza.

Zmarszczył brwi.

– To pechowo, bo Phillips nie przyszedł dziś do pracy.

– Byłoby prościej, gdyby powiedział mi pan, co jest na tej dyskietce.

– To nie ma znaczenia, moja pracownica już panu mówiła. Pana zadaniem jest odnaleźć skradzioną rzecz, nic więcej. I wolelibyśmy, żeby zrobił pan to jak najszybciej.

Odwrócił się z powrotem w stronę okna, najwyraźniej czekając, aż wyjdę. Nie miałem zamiaru tego robić.

– Naprawdę chcecie rozebrać Wielkiego Jima? – zapytałem, wskazując makietę. –

Obrońcy tradycji dobiorą wam się za to do tyłków.

– Mam dobrych prawników – odparł cierpko. – Poza tym to tylko wielka kupa kości.

– A postęp wymaga ofiar?

Tym razem to Stockwell nie zaszczycił mnie odpowiedzią. Patrzyłem jeszcze przez chwilę na makietę, a potem, ponieważ nie wpadłem na żaden lepszy pomysł, skierowałem się w stronę wyjścia. Jasnowłosa sekretarka pożegnała mnie spojrzeniem jeszcze bardziej pełnym pogardy, za co nie mogłem jej winić.

W ramach samoumartwiania postanowiłem zejść schodami, zamiast zjechać windą. Zajęło mi to dwadzieścia minut i na parter dotarłem spocony jak koń zaprzęgowy. Miałem nadzieję, że dzięki wysiłkowi odzyskam dobry humor, ale osiągnąłem tylko tyle, że potwornie rozboleły mnie łydki.

* * *

Przyszła do mojego biura pod wieczór, gdy wzdłuż ulic zapłonęły latarnie, a na trawnikach włączyły się zraszacze. Pachniało kwiatami jacarandy, a ona miała na sobie śnieżnobiałe futro, zarzucone na suknię tak cienką, że wyglądała, jakby zrobiono ją z pajęczyny. Mogłem obserwować, jak poruszają się pod nią jej piersi i biodra, gdy szła w stronę drzwi.

Spodziewałem się tej wizyty.

Usiadła na kanapie, założyła nogę na nogę i wyjęła papierosa. Patrzyliśmy na siebie przez obłok sinoniebieskiego dymu. W jej oczach widziałem rozbawienie i obietnicę zarazem.

– I co ja mam z panem począć, panie Delamere? – zapytała, nie kłopotując się tym, żeby obciągnąć skraj sukni, który podwinął się tak wysoko, że nawet dla kogoś wychowanego w Argei wyglądało to nieprzyzwoicie. – Ostrzegałam pana, żeby nie próbował pan węszyć.

– Na tym polega moja praca.

Skinęła powoli głową. Nie mogłem oderwać wzroku od jej oczu, połyskujących w blasku lampy jak dwie srebrne monety na dnie bardzo zimnego jeziora. Zastanawiałem się, czy to kwestia oświetlenia, czy jakiś nowy model soczewek kontaktowych, o których dotąd nie słyszałem. Zastanawiałem się, kim jest tam, w głębi, w swoim własnym świecie, i kim ja jestem dla niej. Zastanawiałem się, czego właściwie ode mnie chce. Wszystko to robiłem, aby nie myśleć o tym, czy założyła dziś majtki i czy jeśli spojrzę w dół, pomiędzy uda, które od czasu do czasu rozchylała kusząco, zobaczę cienki pasek materiału, czy też nie. Jak widzicie, mam czasem odrobinę przyzwoitości. A może tym razem był to po prostu instynkt samozachowawczy.

– Powiedział pan panu Stockwellowi, że dziewczyna nie żyje. To prawda?

– Tak.

– W takim razie – zgasiła papierosa – pora się pożegnać.

– Nie wykonałem zadania.

– Nieważne. Pana usługi nie będą już potrzebne. – Podniosła się, ja też wstałem. Przesunęła smukłymi palcami po moim policzku; jej dotyk był chłodny i elektryzujący, jakbym głęboko na dnie jeziora napotkał węgorza z rodziny *Gymnotidae*. – Choć może zostaną tu jeszcze chwilę. Mogę skorzystać z łazienki?

Oszołomiony, pokazałem jej drogę, a potem opadłem z powrotem na fotel. Za plecami słyszałem szum odkręcanej wody i coś, co mogło być odgłosem rozsuwanego zamka przy sukni, ale być może podpowiadała mi to rozgorączkowana wyobraźnia. Uznałem, że pora

trochę ochłonać, włączyłem więc sieć i podpiąłem się do kanału policyjnego.

Morderstwa, kradzieże, narkotyki i awantury barowe – w jednym momencie zalał mnie cały ten syf. Przedzierając się przez dziesiątki wiadomości pozostawiających posmak zastarzałego brudu, jak tłusta warstwa na knajpianym stoliku, przy którym siedziało już zbyt wiele osób, szukałem tej jednej, mogącej mnie zainteresować.

Przez jakiś czas nasłuchiwałem dobiegających z łazienki odgłosów. Potem przestałem. A jeszcze później zorientowałem się, że od dłuższego czasu nie słyszę nic. Wreszcie dłuższy czas zmienił się w niepokojąco długi czas – wtedy wstałem, nadal podpięty do sieci, z szambem z całego miasta wylewającym się na moje zmysły.

Zapukałem do drzwi.

– Jest pani tam?

Żadnej odpowiedzi. Do diabła z wymogami przyzwoitości, pomyślałem i przekręciłem gałkę.

Drzwi okazały się otwarte, za nimi znalazłem blondynkę. Była naga, tak jak się spodziewałem. Była też martwa, co stanowiło dla mnie niespodziankę. Leżała na posadzce z głową przekręconą o 180 stopni i patrzącą na szczupłe plecy; brakowało jej też sporego kawałka skóry zdartego z prawego ramienia i lewej nogi od kolana w dół. Mimo to w łazience nie było ani kropli krwi. Widziałem wyraźnie białe kości i ciemnoczerwone, prążkowane mięśnie – wewnątrz moja klientka była równie piękna jak na zewnątrz.

...ciało należy do Muriel Lagardie, lat 18, szukamy współlokatorki ofiary, 16-letniej Velmy Verringer...

Wycofałem się powoli z kompletną pustką w głowie. Zamknąłem drzwi łazienki, ale to niewiele pomogło – wciąż widziałem twarz blondynki, tak spokojną, jakby zmarła we śnie.

* * *

Ledwo ptak odleciał, dziewczyna znowu zaczęła płakać. Płakała i płakała, aż wokół jej stóp powstała kałuża, do której przypelzła mała zielona żmija. Spróbowała wylanych łez, zakołysała ogonem i zapytała:

– Dlaczego jesteś smutna, dziewczyno?

– Jestem smutna, ponieważ nawet jeśli mój ojciec przybędzie z pomocą, nie będę potrafiła go ostrzec. Mogę pokazać mu kryształ, ale on nie pojmie moich słów. Jak wytłumaczę mu, że demony chcą się z nami jedynie porozumieć, by ocalić jednego ze swoich?

– Nie martw się – powiedziała żmija – twój ojciec nie ma serca, więc kiedy i ty wyrwiesz sobie swoje, zrozumiecie się od razu. Już to kiedyś zrobiłaś, pamiętasz?

Dziewczyna pamiętała i za radą żmii wyrwała sobie z piersi bijące, czerwone serce, a kiedy to uczyniła, kałuża łez pod jej stopami pociemniała od szkarłatnej krwi.

* * *

Wsiadłem do samochodu i pojechałem na pustynię. Nie była to najmądrzejsza decyzja, jaką podjąłem w życiu, jednak potrzebowałem chwili, żeby odetchnąć i zastanowić się, co dalej. Jasne, bywało już, że tkwiłem w gównie po uszy, ale nigdy tak głęboko jak teraz. Jeśli gliny dowiedzą się, że dwa razy znalazłem się tak blisko ofiar Brązowego Kapelusza, zrobią ze

mnie kozła ofiarnego szybciej, niż wyskakujący z szafy dzieciak mówi „bu”.

Palilem papierosa i patrzyłem w ciemną Kopułę. Gdybym był bohaterem dziejącego się na Ziemi starego filmu, widziałbym tam lśniące srebrzyście gwiazdy, ale ponieważ byłem tylko sobą, musiałem zadowolić się blaskiem błękitnych lamp, które podświetlały wystające z piasku szkielety. Za nimi widziałem przez chwilę czarne kształty T’Verthlian, przypominające sunące przez mrok wagony pociągu, czy może segmenty ogromnej, wielonogiej gąsienicy. Wzdrygnąłem się: jeśli podejda bliżej... Na szczęście zniknęli w ciemności tak nagle, jak się z niej wynurzyli, pozostawiając za sobą szelest przesypującego się piasku. Mogłem wrócić do swoich rozważań.

Co powinienem teraz zrobić?

Minuty mijały, papieros się kończył, a ja wciąż nie miałem żadnego sensownego pomysłu, jak wydobyć się z tego bagna. Trudno, wyglądało na to, że będę musiał wrócić do biura i pozbyć się zwłok. Nie byłby to pierwszy raz, ale nigdy wcześniej nie grałem o tak wysoką stawkę.

Wyrzuciłem papierosa i już miałem ruszać, kiedy przyszła wiadomość od Sary.

Zrozumiałam wreszcie, co mówi Chrissie. Chce się z tobą zobaczyć przy Wielkim Jimie dziś o jedenastej. Nie spóźnij się, bo to chyba bardzo ważne.

Była dziesiąta trzydzieści siedem.

Zakląłem głośno. Jeśli chciałem zdążyć, powinien ruszać już teraz. Wyglądało na to, że martwa blondynka w mojej łazience będzie musiała poczekać na swoją kolej.

Jechałem przez pustynię, mijając sterczące z piasku podświetlone szkielety, które za szybą chryslera rozmazywały się w ciągi biało-błękitnych plam. Zimny wiatr uderzał mnie w twarz przez otwarte okno, droga była pusta, tylko od czasu do czasu obok przemykały autokary, zwożące spóźnionych turystów z powrotem do hoteli i barów. Zastanawiałem się, co powiem mojej córce, kiedy ją wreszcie zobaczę. Wcześniej często wyobrażałem sobie to spotkanie: skruszona Chrissie wracająca do domu, złoty cielec dla córki marnotrawnej, opowieści o tym, jak źle jej było bez tatusia w tym okrutnym świecie. Teraz wcale nie byłem pewien, czy mam na cokolwiek z tego szansę. Zresztą do diabła ze skrucą. Byłbym szczęśliwy, gdybym choć Chrissie zobaczył. W końcu to moja najstarsza córka, a pierworodne dzieci zawsze są w pewien sposób... szczególne, choćbyśmy nie wiem jak temu zaprzeczali.

Było dwie minuty po jedenastej, gdy zaparkowałem pod Wielkim Jimem – szkieletem tak olbrzymim, że musiałem porządnie zadzierać głowę, by dojrzeć miejsce, gdzie powinna znajdować się czaszka. Oczywiście nie znajdowała się – przykładanie ludzkiej miary do stworzeń, które dawno temu żyły na Argei, nie miało sensu. Jeśli szkielet cokolwiek przypominał, była to raczej płatanina moebiusowskich, oślepiająco białych linii, przecinających się pod kątami, które nie powinny istnieć w naturze. Turyści na ten widok zawsze wzdychali – częściowo ze zgrozy, a częściowo z zachwyty, a potem odwracali twarze, walcząc z mdłościami, i czym prędzej zajmowali się czymś zwyczajnym, czymś ze swojego świata: sięgali po kanapki, próbowali żartować albo szturchali swoje dziewczyny czy chłopaków i robili zdjęcia ich wystraszonych min.

O tej godzinie pod Wielkim Jimem już żadnych turystów nie było, pozostały po nich na piasku jedynie zgniecione puszki, mnóstwo papierków i szkło z rozbitej kamery monitoringu. Nad ranem zjawia się służby porządkowe, by wszystko posprzątać i naprawić, teraz jednak

byłem sam.

Albo i nie.

Zauważyłem ją dopiero po chwili, tak dobrze skrywała się w cieniu kości. Drobną, dziewczęcą sylwetką, skuloną, z głową schowaną w ramionach. Poczułem pierwsze ukłucie niepokoju.

– Chrissie?

Mój głos zabrzmiał obco, głucho. Strach o własne dziecko zawsze jest najsilniejszy, sięgający do mrocznych, prymitywnych instynktów, o których bezdzietni nie mają pojęcia.

– Chrissie?

Podszedłem do niej, schyliłem się i ostrożnie dotknąłem ciemnych włosów. Dziewczyna z trudem uniosła głowę. Z jej czoła spływała krew, w błękitnym świetle latarni niemal czarna. Zalewała oczy, ale i tak bez trudu mogłem poznać, że to nie moja córka.

Miałem przed sobą Velmę Verringer.

Zanim zdążyłem zrozumieć, co to oznacza, usłyszałem za plecami szczęk odbezpieczanej broni. Odwróciłem się powoli. Za mną stał jeden z goryli Stockwella, ten biały, bystrzejszy. Celował do mnie z rewolweru, który w jego wielkich łapskach sprawiał wrażenie zabawki.

– Odsuń się od niej – powiedział.

– Przyszedłem spotkać się z córką. Gdzie Chrissie?

– To jest twoja córka. Nie miałeś pojęcia, co? – zaśmiał się. – Efekt Lozelle’a, powinieneś o nim słyszeć, skoro jesteś takim cwaniakiem. Zdarza się, kiedy dwie narracje są bardzo niekompatybilne i szwankuje tłumaczenie.

Wyprostowałem się. W pierwszej chwili nie chciałem uwierzyć. Moja córka? Jakim cudem? Słowa goryla docierały do mnie powoli, z oporami. To mogła być Chrissie, nawet jeśli wciąż nie potrafiłem rozpoznać jej twarzy. Takie przypadki się zdarzały, facet miał rację. A jeśli przyjąć, że... Nareszcie wszystko stało się jasne: wizyta blondynki w moim biurze, wrażenie, że jestem śledzony, cała ta cholerna, pokręcona od początku sprawa nagle nabrała sensu.

– Wynajęliście mnie, bo wiedzieliście, że dyskietkę ukradła Chrissie – powiedziałem. – Założyliście, że spróbuje się ze mną skontaktować i poprosi o pomoc, dlatego podrzuciliście mi urządzenie namierzające. Ta wasza blondynka musiała mieć niezły ubaw, kiedy wynajmowała mnie do poszukiwania mojej własnej córki.

Goryl przesunął językiem po wąskich wargach. Znałem takich typów i wiedziałem, że ma ochotę strzelić. Aż drżał z niecierpliwości, czekając, aż zrobię coś głupiego.

– Pochyl się nad nią, sięgnij do kieszeni spodnicy i znajdź tę dyskietkę – powiedział. – Ostrożnie, tak, żebym cały czas widział twoje ręce. Żadnych numerów.

Zrobiłem, co kazał. Przy okazji szybko sprawdziłem Chrissie puls; był słaby, ale wyczuwalny. Moja córka straciła sporo krwi, wyglądało jednak na to, że będzie żyć, jeśli tylko ktoś szybko udzieli jej pomocy.

Jeśli.

– Masz, a teraz pozwól mi się nią zająć.

Goryl schował dyskietkę, po czym strzyknął śliną na piasek. W jego oczach połyskiwała chorobliwa fascynacja, jak u dziecka przyglądającego się psu, którego przed chwilą wyrzuciło z okna.

– Co jej jest?

– Wycięła sobie narrację. – Starałem się być cierpliwy. Z Chrissie uciekało życie, ale ten

drań miał wycelowaną we mnie broń. Nie mogłem ryzykować. – Potrzebuje pomocy, więc spadaj, kolego. Masz już to, po co tu przyszedłeś.

– Nie ma mowy – oznajmił. – Dziewczyna za dużo wie.

Facet mówił poważnie, dobry Boże. W jednej chwili rozważyłem swoje szanse na to, że zdążę sięgnąć po własną broń (zerowe), że goryl się rozmyśli (tak samo) albo że zdarzy się cud (ujemne). Zrozumiałem, że umrzemy tutaj, na pustyni, wśród śmieci pozostawionych przez rechoczących i pstrykających idiotyczne fotki turystów. Ja i Chrissie, córka, dla której nie byłem wystarczająco dobrym ojcem, by zatrzymać ją w domu.

Co za cholernie głupia śmierć.

* * *

Trzy sekundy później cud się wydarzył.

Wszystko działo się tak błyskawicznie, że ledwie zdążyłem cokolwiek zarejestrować: ciało goryla podrywające się, jakby uniosła je niewidzialna dłoń, skręcające się pod nieprawdopodobnym kątem, deszcz ciepłej krwi, która zrosiła moją twarz i piasek. Potem mężczyzna spadł na ziemię. W oczach miał zdumienie, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że jest martwy.

Właśnie byłem świadkiem morderstwa dokonanego przez Brązowego Kapelusza.

Minęło kolejnych kilka cennych sekund, zanim zdołałem się ruszyć – takich rzeczy nie widuje się na co dzień. Podbiegłem do Chrissie, zatamowałem krwawienie i owinąłem ją własnym płaszczem. Wziąłem na ręce drobne ciało – ważyła nie więcej niż dziecko – i już zamierzałem zanieść do samochodu, kiedy coś mnie tknęło.

Położyłem córkę na ziemi, pochyliłem się nad gorylem i odszukałem dyskietkę – nie wiem, na co właściwie miałem nadzieję, ale tak czy inaczej przeliczyłem się, bo dyskietka zamieniła się w kawał zgniecionego plastiku, równie przydatny do czegokolwiek jak walające się wokół Wielkiego Jima foliowe opakowania po kanapkach.

* * *

Bałem się zawieźć Chrissie do szpitala, zabrałem ją więc do domu, opatrzyłem i zostawiłem pod opieką Sary. Powrót do biura i pozbycie się ciała zajęły mi ponad dwie godziny, tak że kiedy z powrotem znalazłem się w domu, było już dobrze po pierwszej. Sara, moja mała księżniczka, trzymała się dzielnie, choć w oczach miała dwa wielkie znaki zapytania.

– Tato, co się dzieje? – Dreptała za mną, kiedy szedłem do pokoju starszej córki. – Proszę, powiedz mi, co się dzieje!

– Wszystko będzie dobrze – uspokoiłem ją. Jeśli miałem rację, Stockwell i jego kumple nie zaczną szukać Chrissie szybciej niż za kilka godzin. Do tej pory zdążę coś wymyślić. – Chrissie się obudziła?

– Tak, ale tato...

– Przynieś jej coś do picia.

Spojrzała na mnie wielkimi oczami i chyba chciała zaprotestować, ale zrezygnowała i poszła do kuchni. Miło wiedzieć, że człowiek ma jeszcze posłuch we własnym domu.

Usiadłem przy łóżku Chrissie i wziąłem ją za rękę. Uśmiechnęła się do mnie. Teraz, kiedy wiedziałem już, że patrzę na córkę, jej rysy z każdą chwilą wydawały się coraz bardziej

znajome, aż wreszcie zmieniła się w dziewczynę, którą dawno temu zabrałem na karuzelę.

– Jesteś bezpieczna. – Pogłaskałem ją. Jej skóra była czarna niczym węgiel, dokładnie tak jak moja. – A teraz opowiedz tatusiowi, co się stało. Co było na tej dyskietce?

Otworzyła usta i powiedziała:

– Cisza i jabłka, cienką nicią wszyci w niebo, oko za okiem. Spadają ptaki wypchane śmiercią. Kwiaty pełzają pod piaskiem i nie mają już smaku. Jak dawniej, teraz, w mroku. Straciłam tej nocy dwie najczerwieńsze kości.
